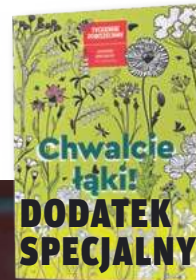


PODWÓJNY NUMER MATYJA | HATAŁSKA | S. CHMIELEWSKA
KS. HRYNIEWICZ | PILCH | NAPIÓRKOWSKI | BIEŃCZYK | ŁONA i WEBBER
LEM i KOŁAKOWSKI ■ **SZLAKI** ■ **LOS**Y ■ **CUDA** ■ **PĘDY** ■ **EKSTAZY**

Kraków 7–14 VI 2020 nr 23-24 (3700-3701) cena 12 zł (w tym 8% VAT)



**TYGODNIK
POWSZECHNY**

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

Mówi Mann

O AGENTACH, BIUROKRACJI,
BRYKANIU, BAWOLE,
PUNKU, TRÓJCE,
SŁUCHACZACH,
ZWIERACZU
I ŻŁOBIE





Branding* to więcej niż logo.



To również budowanie odpowiedzialnych społecznie marek.

Jako największa agencja brandingowa w Polsce nie tylko współpracujemy z dużymi globalnymi firmami, ale także wspieramy rozwój marek tak świadomych społecznie, jak „Tygodnik Powszechny”.

Poznaj nas na:

www.admindagency.com/odpowiedzialnie

KS. ADAM

Boniecki: Przypowieść o łące

DODATEK SPECJALNY DO TEGO NUMERU – „Chwalcie łąki!” – zachwycą, porusza, uczy i otwiera oczy. Jest piękny jak ukwiecona łąka i pożyteczny, bo często, jak cieleta na łące, patrzymy i nie widzimy. Kto np. myśli o metafizyce łąki? A jest ona „przestrzenią kompromitującą fasadę świata codziennego zamieszkiwania, krytycznie dementującą złudzenia »naszych rozrywek« i zmieniającą bieg czasu”, a to dlatego, że „trawa, dominująca roślina łąkowa, jest wybliskiem życia niczym jeszcze nieosłoniętym i niczym »nieozłoconym«. Jest naprawdę”. Tak o łące pisze profesor Tadeusz Ślawek, zresztą sami Państwo poczytajcie.

Zachwyt pięknem łąk podzielałam i cieszę się z Fundacji Łąka, a z naszego łąkowego dodatku o łące dowiedziałem się o niej więcej niż przez całe dotychczasowe życie. Choć oczywiście z łąkami miałem w życiu do czynienia.

Jako dziecko z okna oglądałem codziennie bezkresne łąki ciągnące się w kierunku Pilicy. Wędrowaliśmy przez nie nad rzekę, co nie znaczy, że wtedy naprawdę miałem z łąką do czynienia. Dopiero w nowicjacie zakonnym, w roku 1952... Jedną trzecią klasztornego ogrodu stanowiła łąka. Wzdłuż niej rosły drzewa i na jednym z nich miały gniazdo bociany. Przynosiły młodym żaby, oczywiście żywe. Niektórym uwolnionym z bocianiego wola żabom udawało się uciec. Wyskakiwały z gniazda, lądowały na łące i spokojnie cieszyły się życiem.

W tamtych czasach (może i obecnie) nowicjuszy, czyli adeptów do życia zakonnego, formowano duchowo, ale także zatrudniano do pracy w polu. Ponieważ nowicjat ma być czasem zrywania więzów z dawnym, świeckim życiem, było to dla takich jak ja, nieobeznanych z pracą na roli, także ważnym doświadczeniem formacyjnym. Łąka więc kojarzy mi się z nużącą pracą przy sianokosach. Mistrzem kosy był siwołłosy przełożony domu o. Czesław, z nim kosili nowicjusze, którzy tę sztukę wynieśli z domu. Do nas, ignorantów, należało grabienie, suszenie, robienie kopek z siana i zwożenie wysuszonego siana do stodoły.



Pewnego razu wyznaczono mi specjalne zadanie: połączyć łąkę gnojówką z zaprzęgniętego w konia beczkowozu. Do dziś pamiętam morderczą woń cieczy płynącej z powożonego przeze mnie pojazdu i opór konia, który się wzbraniał przed wchodzeniem na zewnętrzne rejony łąki, starając się zmniejszać zataczane przez nas (jego i mnie) kręgi. Długo jeszcze potem nad całą okolicą użyźnionej przeze mnie łąki unosił się zapach gnojówki. Ale z czasem się rozwiął i wyrosła bujna trawa. A kiedy nadeszły sianokosy, wysuszone siano, jak zawsze, cudownie pachniało. Gnojówki nikt już, poza mną, nie pamiętał.

Drugie moje związane z łąką wspomnienie odnosi się do łąki, która była typową tatrzańską halą. Było to wczesna wiosna. Łąkę (halę) pokrywał śnieg, który w ciągu dnia od spodu topniał, ale jeszcze się dało po nim jeździć. Wynajęliśmy niewielkie schronisko wzniesione w najwyższej części hali, która łagodnie schodziła w stronę lasu. Tam, gdzie się zaczynał las, płynął potok. O zmierzchu, kiedy już na szlaku nie było turystów, właściciele schroniska szli do domu i zostawialiśmy sami. Pierwszego wieczora zjechałem do strumyka po wodę na herbatę. Wodę zagotowałem w rondelku i kiedy podniosłem przykrywkę, z rondelka owionął mnie ostry, amoniakalny zapach owczarni (znany z dzieciństwa, przed wojną mieliśmy wielką owczarnię). To woda z topniejącego śniegu obmywała halę z tego, co na niej zostawiły wypasane latem i jesienią owieczki. Obmywała i spływała do strumyka. Ta owcza woda, rzecz jasna, nie nadawała się do picia.

Kocham łąki i hale, podziwiam ich fizyczne i metafizyczne piękno. Nie przeszkadza mi, że klasztorną łąkę poląłem śmierdzącą gnojówką, zanim słodko zapachniała trawą i kwiatkami, a tatrzańskim halom nie ujmują piękna owcze odchody, którymi głęboko przesiąknięta jest ziemia. Łąki są jak przypowieść o tym, że pięknu nie zaszkodzi nawet potężna porcja gnoju. ©P

Po święceniach dominowało we mnie poczucie onieśmienia. Wobec otrzymanego od Boga daru, a także wobec ludzkich oczekiwań, które wydały mi się ponad moje możliwości.

KS. ADAM BONIECKI

DROGI ADAMIE, przeżyliśmy wspólnie niejedyn Twój radosny jubileusz. Był czas na wspomnienia, marzenia, radości i zwińczenia, którymi się z nami dzieliłeś. Stąd też wiemy, że właśnie zbliża się jubileusz dla Ciebie najważniejszy: 60-lecie Twoich święceń kapłańskich.

Będziemy z Tobą 11 czerwca wszyscy, myślami i modlitwą. Szczęście Boże, dziękujemy, że jesteś z nami!

Twój „Tygodnik Powszechny”





34 Najłatwiejszy przemysł świata

KRZYSZTOF STORY

Już nie alkohol, broń ani narkotyki. Przepiętną żyłą złota są dziś nielegalne pestycydy.



63 Żywy towar płacze

MONIKA

ANDRUSZEWSKA
Z KIJOWA

W hotelowej sali stoi 50 łóżeczek z niemowlętami urodzonymi przez surrogatki, których biologiczni rodzice nie zdążyli odebrać przed pandemią. Trwa dyskusja o zastępczym macierzyństwie, które na Ukrainie jest legalne.



29 Z latarką w nieznane

ROZMOWA

Z NATALIĄ
HATAŁSKĄ,

ANALITYCZKĄ
TRENDÓW:

Nie możemy podchodzić do przyszłości na zasadzie: „przetrawiamy to, co dzieje się teraz, i wrócimy w stare koleiny”. Nawet jeśli zagrożenie zniknie, to wytworzymy sobie nowe.

40 Sorry, nie ma czasu na emocje

ROZMOWA

Z SIOSTRĄ
MAŁGORZATĄ

CHMIELEWSKĄ,
PRZEŁOŻONĄ

WSPÓLNOTY
CHŁEB ŻYCIA:

Sytuacja osób bezdomnych podczas epidemii obudziła ludzką solidarność, ale wstydem dla naszego państwa jest to, że ono nie zrobiło nic.



118 Opium

dla masy

MAREK RABIJ

Jezeli przyjąć, że na przyjemność powinno się zasłużyć, najsprawiedliwszą z rozkoszy będzie euforia towarzysząca biegaczom.



76 Druga fala w Zatoce

JAKUB MEJER

Gdy sto lat temu w San Francisco wybuchła epidemia grypy hiszpanki, nie każdemu spodobały się restrykcje. Presja na ich zniesienie była skuteczna – i miała fatalne skutki.

INFORMACJA DLA CZYTELNIKÓW Z przyczyn przez Wydawcę niezawinionych, pismo może nie być dostępne w niektórych punktach sprzedaży – szczególnie tych prowadzonych przez Garmond Press SA. W zaistniałej sytuacji najkorzystniejszym i najpewniejszym sposobem otrzymywania naszego pisma jest prenumerata – szczegóły na stronie TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate. WYDAWCA

- 6 Nowe rozdział w kosmosie**
WOJCIECH BRZEZIŃSKI
- 7-11 Obraz tygodnia**
- 20-21 Czytania / Widzenia**
ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ
ŚPIEWAK / O. WACŁAW OSZAJCA /
PIOTR SIKORA
- **KRAJ**
- 22 Zobaczmy, co się z nami stało**
RAFAŁ MATYJA: *Państwo na nowo*
- 26 Pan tu nie stał**
MAŁGORZATA NOCUN:
Jak powraca służba zdrowia
- 29 Z latarką w nieznane**
ROZMOWA Z NATALIĄ HATAŁSKĄ
- **REPORTAŻ**
- 34 Najłatwiejszy przemysł świata**
KRZYSZTOF STORY
- **ROZMOWA**
- 40 Sorry, nie ma czasu na emocje**
S. MAŁGORZATA CHMIELEWSKA
- **WIARA**
- 44 Heretyk ortodoksyjny**
JÓZEF MAJEWSKI
o ks. Wacławie Hryniewicz
- 48 Dwie procesje**
DOROTA BIDZIŃSKA:
Boże Ciało w Jasłiskach
- 52 Boska fizyka**
MACIEJ MÜLLER:
Cuda eucharystyczne
- **ŚWIAT**
- 56 Im mniej zakażeń...**
ŁUKASZ GRAJEWSKI Z NIEMIEC
- 60 Putinizm w czasach zarazy**
ANNA ŁABUSZEWSKA
- 63 Żywy towar płacze**
MONIKA ANDRUSZEWSKA
- 66 Dyktator kontra książd**
ROMAN HUSARSKI Z KOREI PŁD.

TEMAT TYGODNIKA

12 Imię gór

MARCIN ŻYŁA

Jeśli nie wiesz, gdzie jesteś,
ale wiesz, dokąd iść,
to się nie zgubiłeś.



GRAZYNA MAKARA

POŻEGNANIE

114 Ze statku głupców wysiadłem

RYSZARD KOZIOŁEK

Jerzy Pilch był pisarzem totalnym, nadobecnym,
sytem sukcesów, nagród i skandali.
Wiódł życie idealne dla biografii, w rzeczywistości
obfitujące w samotność i cierpienie.

■ DODATEK SPECJALNY Chwalcie łąki

■ FELIETONY ■

33 ANNA DZIEWIT-MELLER 87 ANDRZEJ STASIUK

112 JAN KLATA 113 PAWEŁ BRAVO

122 STANISŁAW MANCEWICZ 122 BARTOSZ
MINKIEWICZ

Oktadka: WOJCIECH MANN

Fotografia: MARCIN MANN DLA „TP”

Redaktor prowadzący: MICHAŁ KUŹMIŃSKI

■ ■ ■ ■

Następne wydanie „Tygodnika” ukaże się
w kioskach **w środę 17 czerwca.**

E-wydania już dzień wcześniej wieczorem

69 7000 kilometrów na marne

PAWEŁ PIENIĄŻEK Z KABULU

■ OPINIE

72 Zachód od wschodu

MARCIN NAPIÓRKOWSKI

■ HISTORIA

76 Druga fala w Zatoce

JAKUB MEJER

79 Księga jak członek rodziny

KAROL FRYTA Z ERYWANIA

■ Z ODDECHEM

82 Najlepszy ze światów

MARK BIEŃCZYK o *Lizbonie w 1755 r.*

■ NAUKA

88 Tajemnice zapylania

ROZMOWA Z JONATHANEM DRORIM

92 Myślenie rzeczami

PAWEŁ GWIAZDZIŃSKI

■ KULTURA

94 Ja, didżej

ROZMOWA Z WOJCIECHEM MANNEM

100 Dobrzy włamywacze

MONIKA OCHĘDOWSKA: *Łona i Webber*

102 Jest potencjał

PIOTR KOSIEWSKI o młodych malarzach

106 Geniusz w piaskownicy

ZBIGNIEW MENTZEL:
Wojna Lema i Kołakowskiego

110 Władza to słowo „nie”

ANITA PIOTROWSKA o filmie
„Zło nie istnieje”

112 Raport z pułapki

LEKTOR o książce Mihaila Sebastiana
„Od dwóch tysięcy lat”

■ POŻEGNANIE

114 Ze statku głupców wysiadłem

RYSZARD KOZIOŁEK

■ ZMYŚŁY

118 Opium dla masy

MARK RABIJ

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

➔ Woś się jeży

Młodych startupowców często przeciwstawia się pokoleniu
tzw. „Januszy biznesu”. Ale wiele wskazuje, że w temacie
praw pracowniczych „młodzi” są jeszcze gorsi niż „starzy”
– pisze **RAFAŁ WOŚ** tygodnikpowszechny.pl/wossiejezy

➔ Punkt zwrotny [Podkast Powszechny]

Druga klasa liceum. Pielęgniarka mnie zważyła i powiedziała:
»Justyna, ty już nie tyj«. To było wyjęcie mnie z dzieciństwa.
Wsadzono mnie w schemat – opowiada **JUSTYNA BARGIELSKA**
w cyklu rozmów o punktach zwrotnych w życiu powszech.net/punkt-zwrotny



Wojciech Jagielski: STRONA ŚWIATA

Autorski serwis specjalny

[WWW.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/STRONA ŚWIATA](http://WWW.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/STRONA_SWIATA)



f /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ t /TYGODNIK ■ i /TYGODNIK ■ y /TYGODNIKPOWSZECHNY



NOWE ROZDANIE W KOSMOSIE

Nie było okrzyku podobnego do słynnego „Pajechali!” Gagarina,
ale start kapsuły Crew Dragon był momentem epokowym.
I wzbudzającym ogromne emocje.

WOJCIECH BRZEZIŃSKI

WŚRODKU PANDEMII, U PROGU KRYZYSU, wśród ogarniającej USA fali zamieszek, inżynierom z NASA i prywatnej firmy SpaceX udało się zrobić coś ważnego. Z Florydy 30 maja wystartował pierwszy od dekady amerykański załogowy lot kosmiczny, w pierwszym zupełnie nowym załogowym statku, jaki wchodzi do służby od 1981 r., kiedy zadebiutowały promy kosmiczne. Lot Crew Dragon to początek nowej ery w lotach w kosmos. „Mam nadzieję, że ludzie zobaczą w tym osiągnięciu coś jasnego, pełnego nadziei”, mówił szef NASA Jim Bridenstine.

Najwyraźniej zobaczyli. Kosmos ciągle działa jak magnes na miliony ludzi. Transmisje ze startu tylko na kanałach YouTube’a należących do SpaceX i NASA obejrzało 10 milionów widzów. Na Florydzie pojawiły się dziesiątki tysięcy kolejnych – mimo apeli NASA o nieprzyjeżdżanie w obliczu epidemii.

Przyjechali obejrzyć przełom, bo właściciel SpaceX, Elon Musk, obiecuje zmienić oblicze lotów w kosmos. Zbudowana przez jego firmę rakieta Falcon nie tylko wynosi satelity i kapsuły, ale też sama wraca na Ziemię i miękko ląduje (52 udane lądowania na 62 próby). Dragon też będzie pojazdem wielokrotnego

*Start rakiety
Falcon 9 ze statkiem
kosmicznym Crew
Dragon, Centrum
Kosmiczne Johna
F. Kennedy’ego,
Floryda,
30 maja 2020 r.*

użytku i to nie tylko z nazwy, jak promy, które wymagały wielomiesięcznych przygotowań między startami. Ma być gotowy do kolejnego lotu natychmiast, po zatankowaniu i zamontowaniu na szczycie rakiety. Ma nawet dziesięciokrotnie obniżyć koszty dostępu do przestrzeni kosmicznej. Ma być też bezpieczniejszy i wygodniejszy niż jakikolwiek pojazd kosmiczny w historii.

Ale data 30 maja 2020 r. wyznacza coś jeszcze: koniec monopolu rządów na loty kosmiczne. Musk stworzył właśnie pierwszą w historii kosmiczną linię lotniczą i przyjmuje rezerwacje. Ma już dziewięć zaplanowanych lotów, z czego dwa będą w stu procentach prywatne: w drugiej połowie 2021 r. firma Space Adventures (znana już z obsługi kosmicznych turystów) wyśle czterech klientów w pięciodniowy lot na pokładzie Dragona. Podobno nawet Tom Cruise chciałby nakręcić pierwszy pełnometrażowy film fabularny na orbicie Ziemi. Po starcie Dragona ten plan nie jest już zupełną „mission: impossible”.

Nie chodzi jednak tylko o turystykę i rozrywkę. Również w drugiej połowie 2021 r. na pokład Międzynarodowej Stacji Kosmicznej polecą czterech astronautów firmy Axiom Space, która chce zbudować pierwszą komercyjną stację kosmiczną, początkowo opierając się na modułach hotelowych i laboratoryjnych zamontowanych na ISS. Choć bilety na Dragona są kosmicznie drogie (NASA kosztowały 80 mln dolarów, komercyjni klienci zapłacą zapewne ok. 55 mln), to cena jest osiągalna dla firm planujących tworzenie orbitalnych laboratoriów i fabryk. Usługi transportowe ma świadczyć także Boeing, budujący konkurencyjną dla Dragona kapsułę Starliner.

Lot Dragona to również krok bliżej do powrotu człowieka na Księżyc – w przyszłości pewnie na stałe. Dla Muska ostatecznym celem ma być kolonizacja Marsa, choć miliarder rozważa też wizje załogowych wypraw na odleglejsze światy, jak choćby Europę, księżyc Jowisza, w którego podłodowym oceanie mogłoby zdaniem naukowców istnieć życie. Ale to droga kręta i pełna pułapek. Statek, którym Musk chciałby podbić Układ Słoneczny, stumiejscowy Starship, wciąż nie oderwał się od ziemi. Jego czwarty prototyp efektownie wyleciał w powietrze w przeddzień triumfu Dragona. ©

Do końca epidemii daleko

MACIEJ MÜLLER



KAŻDY Z NAS MÓGŁ JUŻ PRZECHOROWAĆ COVID-19 albo przechodzi tę chorobę nawet teraz, nie mając o tym pojęcia. Dobra wiadomość? Połowicznie. Gwałtowny wzrost przypadków na Śląsku wynika z przeprowadzonych tam testów przesiewowych: wykryto głównie przypadki bezobjawowe. Takie osoby, nie wiedząc o tym, roznoszą wirusa dalej. O ile osoby młode są w miarę bezpieczne, o tyle dla starszych wirus stanowi śmiertelne zagrożenie.

Jeden z najaktywniejszych medialnie epidemiologów dr Paweł Grzesiowski wyliczył, że zakażonych w Polsce osób może być nawet milion. Ostro krytykujący politykę rządu poseł Zjednoczonej Prawicy Andrzej Sosnierz jest mniej radykalny i szacuje tę liczbę na 150 tys. Tak czy inaczej: to znacznie więcej niż sięgająca 11 tys. liczba aktywnych zakażeń z ministerialnych raportów.

Tymczasem wchodzimy w finałowy etap odmrażania gospodarki. Kiepsko wentylowane sale weselne (gdzie bawić się może do 150 osób – bez maseczek) i kościoły – nie mówiąc już o stadionach, gdzie kontrola zaleceń sanitarnych jest niemożliwa – to miejsca ułatwiające transmisję wirusa. Obserwujemy na sobie zjawiska opisane ostatnio w „TP” przez Radosława Żyzika: „W początkowych fazach

epidemii ludzie przeszacowują ryzyko zagrożenia i reagują zbyt radykalnie, potem jednak, gdy obiektywne ryzyko rośnie, zaniżają je”. A dane z krajów odmrażających gospodarki nie napawają optymizmem: krzywe zachorowań odbiły w górę. Zagadką jest Afryka, gdzie wykryto zaledwie 1,5 proc. globalnych przypadków koronawirusa. Wysłany tam przedstawiciel WHO alarmuje, że mała liczba przeprowadzanych testów może doprowadzić do wybuchu „cichej epidemii” poza jakąkolwiek kontrolą.

Każde zniesienie restrykcji to oddech dla gospodarki. Rząd liczy, że „jakoś to będzie”. Przed nami wakacje, a po nich jesień, kiedy druga fala COVID-19 (co do jej nadejścia eksperci są dość zgodni) pokryje się z sezonem grypowym. Już teraz trzeba pracować nad spłaszczeniem tej fali. Zakażenia występują w Polsce bardzo niejednolicie, wyjazdy wakacyjne pozwolą roznieść się ogniskom. To nie czas na wielkie podróże, raczej na mikroturystykę. Innymi słowy: odpowiedzialny krakowianin powinien odwiedzić nawet nie Malbork, ale dolinki jurajskie. Do opracowania szczepionki droga daleka. Ale jedno z ważniejszych narzędzi – dystansowanie społeczne – jest w rękach nie naukowców, nie polityków, lecz naszych. ©©

Z Unii Hobbesa do Unii Hamiltona

FUNDUSZ ODBUDOWY dołączony do znowelizowanego budżetu UE wyniesie 750 mld euro, z czego aż pół biliona miałyby stanowić bezzwrotne dotacje. Pieniądze na ten cel Komisja Europejska chce pożyczyć pod gwarancje krajów członkowskich, zaciągając – oczywiście jeśli projekt zyska poparcie poszczególnych stolic – pierwszy wspólny dług w swoich dziejach.

Głównym beneficjentem Funduszu zostałyby Włochy (81,8 mld euro), Hiszpania (77,3 mld euro), Francja (38,8 mld euro) oraz Polska (37,7 mld euro). Wraz z tanią linią kredytową pomoc dla naszego kraju wzrosłaby do 63,8 mld euro. Unijne prognozy przewidują wprawdzie, że recesja będzie w Polsce najpłytsza spośród wszystkich krajów Wspólnoty (4,3 proc.), ale punk-

tem odniesienia dla rachunku strat są szacunki sprzed pandemii, które przewidywały dla naszego kraju wzrost PKB rządu aż 3,5–3,7 proc.

„Nadszedł moment Europy” – przekonywała europosłowa szefowa KE Ursula von der Leyen. Istotnie, ryzyko dalszej dezintegracji Wspólnoty jest na tyle duże (zwłaszcza w odniesieniu do południa), że nawet Holandia, Austria, Szwecja i Dania, tradycyjnie przeciwnie zwiększaniu wspólnotowych wydatków, tym razem nie powinny blokować inicjatywy, z którą wyszły wspólnie Paryż z Berlinem.

Unia, dla której pandemia stała się swoistym „momentem hobbesowskim” z zamknięciem granic, zawieszaniem praw obywatelskich i zwiększaniem kompetencji władz krajowych, walcząc z kryzysem ma zatem szansę także na własny „moment hamiltonowski” – gdy podobieństwo wyzwań społeczno-ekonomicznych stanie się katalizatorem politycznej integracji. ©© MAREK RABII

Polki, miesięczka i wstyd

EWELINA BURDA



CO PIĄTEJ KOBIECIE ZDARZA SIĘ NIE MIEĆ PIENIĘDZY na zakup podpasek podczas menstruacji. „Miałam małe dziecko i musiałam myśleć o córce, a nie o sobie. Podkładałam to, co było” – opowiada jedna z nich w opublikowanym właśnie raporcie o miesięczce w Polsce, który przeprowadzono na zlecenie Kulczyk Foundation przez firmę badawczą Difference (badania realizowano w lutym 2020).

Wciąż mocno trzyma się wstydu i tabu: 42 proc. badanych opowiada, że w rodzinnym domu o miesięczce nie mówi się lub nie mówiło wcale, a co trzecia nastolatka nie jest na nią przygotowana. Silne są mity i przesady: prawie 30 proc. kobiet uważa, że podczas okresu nie można zająć w ciąży; co piąta wierzy, że nie powinno się wtedy piec ciast i kisić ogórków.

Po lekturze raportu zasmucają nie tylko wyniki. Bo miesięczka nigdy nie powinna być wstydem – wstydem jest, że do tej pory żadne publiczne instytucje nie zbadały tego tematu, a co za tym idzie, nie ma żadnych programów pomocowych ani edukacyjnych. Pocięzać może, że coraz więcej jest oddolnych inicjatyw (jak ta Młodzieżowej Rady Miasta Lublin, by w szkolnych toaletach zostawiać koszyczki z podpaskami), a dzięki pracy aktywistek temat jest coraz bardziej popularny. Jednak dla państwa wciąż jest nieważny. A wiemy, że można inaczej: kiedy w lutym Polki odpowiadały na pytania do raportu, o tym, jak nie stać je na podpaski, w Szkolnej przyjęto ustawę o darmowym i powszechnym dostępie do środków higienicznych dla kobiet. ©

500 plus: na edukację, ale nie cyfrową

TEN RAPORT POWSTAWAŁ PRZED EPIDEMIA, ale mówi też coś o rzeczywistości w trakcie jej trwania. Fundacja Świętego Mikołaja – znana choćby z programów stypendialnych dla szkół i uczniów – zapytała rodziny z dochodem poniżej 1700 zł na głowę (i z dziećmi w wieku 7-13 lat) o równy dostęp do edukacji cztery lata po wprowadzeniu 500 plus. Z deklaracji wynika, że pieniądze z rządowego świadczenia, które znacznie zmniejszyły wskaźniki biedy, nie idą – wbrew stereotypom – tylko na bieżącą konsumpcję, ale też na edukację i rozwój dzieci.

W badanej grupie na ten cel przeznaczają się średnio 419 zł miesięcznie (nadal brakuje przeciętnie 200 zł). W skali miesiąca główne koszty to m.in. składka na radę rodziców, rozwój zainteresowań dziecka, zajęcia sportowe czy językowe. W skali roku rodziny najczęściej wydawały pieniądze m.in. na materiały i wyjazdy szkolne, a najrzadziej na – potrzebne zwłaszcza w czasie epidemii – internet i zakup komputerów.

© PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

KRAJ W SKRÓCIE



ADAM WARZAWA / PAP

WYPILI

W chwili zamknięcia tego numeru nie było jeszcze wiadomo, kiedy odbędą się wybory prezydenckie (ustawa o ich organizacji metodą mieszaną jest wciąż w Senacie), ale programowe wystąpienie inauguracyjne kampanię wygłosił w Poznaniu nowy kandydat Koalicji Obywatelskiej Rafał Trzaskowski, wedle sondaży najbardziej prawdopodobny rywal Andrzeja Dudy w II turze. Tego samego dnia prezydent z premierem udali się na plac budowy przekopu Mierzei Wiślanej, a potem poszli na piwo.

NAWARZYŁ

Stosowny toast mógłby wychylić również Jacek Sasin: Sejm odrzucił wnioszek opozycji o wotum nieufności dla wicepremiera, który – jej zdaniem – wydał 70 mln zł na druk kart do głosowania w nieodbytych wyborach korespondencyjnych. Za kwotę tę – podkreślał w debacie Borys Budka – można by wypłacić wynagrodzenie minimalne dla 26 tys. osób, postojowe dla ponad 33 tys. pracowników albo przeprowadzić 138 tys. testów na koronawirusa.

KUPIĄ

Jak dobrze pójdzie, wicepremier Sasin będzie mógł kupić piwo w państwowym sklepie: jego resort zapowiada powołanie dużej sieci spożywczej, a „COVID to dobry moment, żeby pomyśleć, co można na tym rynku kupić”.

Ziobrystka na czele Sądu Najwyższego

ZWĄ JĄ MAŁGORZATĄ II: po prof. Małgorzacie Gersdorf szefową Sądu Najwyższego została prof. Małgorzata Manowska. Jej związki z PiS są oczywiste. Trzeba było mieć sporo determinacji, by objąć posadę zastępcy Zbigniewa Ziobry 13 lat temu, gdy w atmosferze skandali dogorywała koalicja PiS z Samoobroną i LPR. Choć tamten kilkumiesięczny epizod przyniósł Manowskiej konkretne korzyści – kiedy PiS wrócił do władzy, została szefową Krajowej Szkoły Sądownictwa i Prokuratury, potem sędzią SN.

Nowa pierwsza prezes ma trudną sytuację. Większość w SN wciąż stanowią tzw. starzy sędziowie, wybrani przed dojściem PiS do władzy. Popierany przez nich Włodzimierz Wróbel dostał 50 głosów, a Manowska ledwie 25. W przeszłości niepisana zasadą było nominowanie na pierwszego prezesa sędziego z największym poparciem, choć formalnie takiego obowiązku nie ma. Opozycyjni prawnicy twierdzą też, że wybór Manowskiej jest nieważny, bo nie ma uchwały Zgromadzenia Ogólnego Sędziów SN, w której zgłaszane są prezydentowi kandydatury. Tyle że przez kilkanaście lat przy wyborach poprzednich prezesów takich uchwał także nie było.

Duda zastosował zresztą przewidywalny trik. W toczącym się równolegle procesie mianowania szefa Izby Karnej SN wybrał także kandydata z niższą liczbą głosów – Michała Laskowskiego, znanego z krytyki działań PiS. Trudno będzie więc przekonać opinię publiczną, że z wyborem Manowskiej jest coś nie tak.

Czy nowa prezes doprowadzi do podporządkowania najważniejszego sądu w Polsce obozowi władzy? To zależy od wyniku wyborów prezydenckich. Walcząc z Gersdorf, PiS zmienił prawo tak, aby wzmocnić wpływ prezydenta na SN. Jeśli prezydentem zostanie Trzaskowski, to Manowska będzie ubezwłasnowolniona jak Gersdorf za Dudy. Jeśli jednak prezydentem pozostanie Duda, to razem z kontrolowaną przez PiS KRS w ciągu kilku lat dokooptuje do SN sędziów bliższych obozowi władzy. Manowska nie może nie rozumieć, do czego została wynajęta.

© ANDRZEJ STANKIEWICZ

Autor jest dziennikarzem Onet.pl, stale współpracuje z „TP”.

Hongkong coraz mniej wolny

PIOTR BERNARDYN Z TOKIO



PRZYJĘTY PRZEZ PEKIN PROJEKT USTAWY O BEZpieczeństwie Hongkongu może definitywnie zniszczyć jego niezależny status. Ustawa zakłada karanie działań „wywrotowych i secesyjnych” oraz pozwala na jawną obecność chińskich służb specjalnych. Ten krok, wymierzony w ruch demokratyczny Hongkongu, gwałci jego autonomię, a ogólnikowość przepisów ułatwi sądeniu niemal każdego, kogo działalność nie przypadnie Pekinowi do gustu. Pretekstem może być np. wywiad dla obcych mediów czy udział w manifestacji.

To niejedyny sygnał, że Pekin zacieśnia kontrolę nad siedmiomilionowym miastem. W kwietniu aresztowano tam 15 działaczy ruchu demokratycznego za organizowanie i udział w protestach w 2019 r. Z kolei w zeszłym tygodniu parlament Hongkongu przystąpił do proce-

dowania przepisów o zniesławieniu chińskiego hymnu, za co przewidziano do trzech lat więzienia i wysoką grzywnę.

Donald Trump nazwał nową ustawę „tragedią Hongkongu” i zapowiedział cofnięcie dla miasta przywilejów handlowych oraz wizowych, a także sankcje wobec chińskich oficjalów oskarżanych o niszczenie jego autonomii. Wielka Brytania i Tajwan zgłosiły gotowość przyjmowania hongkońskich imigrantów.

Pekin liczył zapewne, że pogrążony w pandemii świat przymknie oko na represje wobec Hongkongu. Jednak to tam przebiega dziś linia globalnego konfliktu Chin ze Stanami Zjednoczonymi. Los miasta nabrał więc dodatkowego znaczenia. Można mieć tylko nadzieję, że w tym pojedynku wielkich największej ceny nie przyjdzie zapłacić zwykłym Hongkończykom. ©

Gniew rozlewa się na Amerykę

ŚMIERĆ GEORGE'A FLOYDA po raz kolejny obnażyła rasizm i patologie w amerykańskiej policji – problemy, które w USA wciąż idą w parze.

Tuż po Memorial Day – ostatnim poniedziałku maja, gdy Amerykanie wspominają poległych żołnierzy – krajem wstrząsnęło nagranie z Minneapolis. Na wideo zarejestrowanym przez osobę postronną widać, jak biały policjant dusi kolanem czarnoskórego mężczyznę. Funkcjonariusz nie reaguje, gdy aresztowany skarży się, że nie może oddychać; zwalnia uścisk dopiero po prawie dziewięciu minutach. Wkrótce potem stwierdzono zgon 46-letniego Floyda.

Tak brutalne potraktowanie mężczyzny, podejrzanego o zapłacenie w restauracji fałszywym banknotem, wywołało w mieście zamieszki – doszło do starć z policją, podpałen i grabieży sklepów. Burmistrz wprowadził godzinę policyjną, a gdy ją zignorowano, gubernator stanu Minnesota ogłosił mobilizację Gwardii Narodowej. Wcześniej Donald Trump oskarżył burmistrza na Twitterze o „totalny brak przywództwa” i zagroził, że „sam załatwi sprawę należycie”. W innym tweecie prezydent nazwał demonstrantów „bandytami” i napisał, że „gdy zaczyna się szabrownie, zaczyna się strzelanie”.

Gniew wywołany śmiercią Floyda – i szerzej: skalą brutalności policji wobec Afroamerykanów – szybko rozlał się po kraju; epidemia nie powstrzymała protestów. W wielu miejscach miały one gwałtowny przebieg. W Nowym Jor-



JOHANNES EISELE / AFP / EAST NEWS

ku rannych zostało kilkunastu policjantów, a w kalifornijskim Oakland postrzelony policjant zmarł. W wielu miastach atakowano budynki rządowe. W stanie Kentucky mieszkańcy protestowali też w sprawie zabitej w marcu przez policję czarnoskórej Breonny Taylor. Demonstranci zebrali się również pod Białym Domem (na zdjęciu: Nowy Jork, 28 maja).

Gdy oddawaliśmy ten numer do druku, protesty trwały. Policjant, który dusił Floyda, został aresztowany i usłyszał zarzut morderstwa trzeciego stopnia. Trzech innych obecnych na miejscu zdarzenia zwolniono z policji. Sprawą zajmują się teraz FBI i Departament Sprawiedliwości.

© MARTA ZDZIEBORSKA z USA

Konflikt między Donaldem Trumpem a Twitterem

TO DLA NIEGO główny kanał komunikacji, za pomocą którego uprawia politykę: swoimi tweetami prezydent USA atakuje przeciwników, zwalnia i nominuje, zrywa i negocjuje umowy. I robi to coraz częściej: na początku prezydentury tweetował średnio 5,7 razy dziennie. Pod koniec trzeciego roku już 28,1 razy.

26 maja Trump opublikował dwa tweety, w których sformułował zarzut, że głosowanie korespondencyjne – dopuszczalne w części amerykańskich stanów – otwiera drogę do oszustw na masową skalę. To, co zdarzyło się potem, było niespotykane: portal Twitter opatrzył ten tweet ostrzeżeniem przed dezinformacją. Nigdy wcześniej żadne, nawet najbardziej szokujące stwierdzenia Trumpa nie doczekały się jakiegokolwiek reakcji Twittera.

W odpowiedzi Trump oskarżył portal, że celowo ucisza głosy konserwatywne, a w ramach odwetu podpisał dekret mający pozbawić media społecznościowe prawnej ochrony. Twitter nie cofnął się. Tweet Trumpa o strzelaniu do uczestników zamieszek w USA, którzy grabią sklepy, oznaczył jako pochwałę przemocy.

Nie wiadomo, dlaczego Twitter teraz zdecydował się na reakcję wobec prezydenta, który od lat prowadzi za jego pośrednictwem politykę mającą posmak trollingu. Ani jak skuteczne będą retorsje Białego Domu. Ale eksperci są zgodni: mimo konfliktu są na siebie skazani. Bez Twittera Trump jest niemy, a bez Trumpa Twitter traci ósmego najpopularniejszego użytkownika. Choć prezydenta może uwierać fakt, że tym najpopularniejszym jest jego poprzednik – Barack Obama.

© WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Komu wiele dano...

ARTUR SPORNIK



W 5. ROZDZIALE 1 LISTU DO KORYNTIAN św. Paweł nakazuje usuwać ze wspólnoty tego, kto okazuje się „chciwcem, bałwochwalcą, oszczercą, pijakiem lub zdziercą”. Czy to znaczy, że świeccy powinni zrobić wszystko, żeby doprowadzić do usunięcia z urzędu biskupa, który zdaje się pasować do tej charakterystyki?

Problem w tym, że możliwości świeckich ograniczają się do głośnego protestu. Władzę usuwania biskupów ma jedynie papież (i rzadko z niej korzysta). Do niedawna prawo kanoniczne wręcz chroniło biskupów przed rozliczaniem ich z odpowiedzialności, nie mówiło np. nic o możliwości ich ukarania. Trudno nie widzieć w takim podejściu strukturalnego klerykalizmu. Póki jednak nie nastąpią poważne zmiany w funkcjonowaniu Kościoła, sprawiające, że rzeczywiście od tego „komu wiele dano, wiele też wymagać się będzie” (dokonane np. na nowym soborze), czy świeckim pozostaje poczucie bezradności?

Organizatorzy protestów w Gdańsku przeciwko abp. Sławojowi Leszkowi Głódziowi przekonują, że nie. Właśnie organizują kolejną akcję: chcą wykupić miejsce w jednej z włoskich gazet, które czyta Franciszek, by zamieścić tam list do papieża, proszący go o interwencję w sprawie tuszowania pedofilii w polskim Kościele. Chcą w ten sposób ominąć klerykalne filtry na oficjalnej kościelnej drodze interwencyjnej.

Nawet jeśli papież nie zareaguje, te starania nie będą stracone. Kropla draży skałę. Każdą poważną zmianę w skostniałej instytucji poprzedzają liczne oddolne inicjatywy, które powoli zmieniają powszechną świadomość. Przedsoborowy ruch liturgiczny czy ekumeniczne kontakty, choć spotykały się z szykanami ówczesnej hierarchii, zaowocowały na Vaticanum II daleko idącymi zmianami w Kościele. Okazuje się, że od aktywności świeckich w dłuższej perspektywie coś może jednak zależeć.

Pozytywne sygnały już widać. Jak informuje „Więź”, księża z rady kapłańskiej diecezji kaliskiej nie zgodzili się podpisać listu broniącego oskarżonego o tuszowanie pedofilii bp. Edwarda Janiaka. Można powiedzieć: zachowali się przyzwoicie. Na razie powoli zaczynamy dobijać do normalności.

©P

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

NIEPEWNE REFORMY

Kościół katolicki w Australii analizuje możliwość wprowadzenia reform, które dawałyby świeckim większy wpływ na sprawy Kościoła i uczyniłyby kościelne finanse bardziej przejrzystymi.

Propozycje są zawarte w 208-stronicowym poufnym raporcie, zleconym przez Australijską Konferencję Biskupów. „Jest mało prawdopodobne, aby do końca roku Konferencja Biskupów ujawniła, w jaki sposób zareaguje na swoje 86 zaleceń” – komentuje katolicki tygodnik „The Tablet”.



JEWISH MUSEUM, HOHENEWS

REALNY RABINAT

Bundestag jednogłośnie uchwalił ustawę przywracającą rabinat wojskowy w niemieckiej armii. Rabinowie służyli w niemieckim wojsku do czasów I wojny światowej. Ich powrót po około stu latach uważa się za historyczne wydarzenie. Rabinat zacznie działać od jesieni. Na zdjęciu rabin Aron Tänzer z synami, podczas I wojny światowej kapelan na froncie wschodnim.

PRZYSZŁY

BŁOGOSŁAWIONY

Franciszek zatwierdził cud przypisywany wstawiennictwu założyciela Rycerzy Kolumba, amerykańskiego księdza Michaela McGivneya, który zmarł w wieku 38 lat w 1890 r. Otwiera to drogę do jego beatyfikacji. Rycerze Kolumba to jedna z największych organizacji katolickich, zrzeszająca obecnie ok. 2 mln członków.

W Polsce działa 6 tys. rycerzy Kolumba w 119 parafiach. Organizacja kładzie nacisk na pielęgnowanie miłosierdzia, braterstwa i patriotyzmu.

W USA rozważa, w Polsce optymizm

PREZYDENT TRUMP wywołał dyskusję zapowiedzią, że jeśli miejsc modlitwy nie otworzą gubernatorowie, to zrobi to sam. Biały Dom sugerował wręcz, że chodzi o łamanie poprawki gwarantującej wolność wyznawanej religii. Innego zdania byli liderzy religijni, łącznie z częścią biskupów katolickich. Rabini reformowani odpowiedzieli prezydentowi, że choć rozumieją od wieków fundamentalną rolę miejsc modlitwy, to nie ma większej wartości niż *piku-ach nefesz*, ocalenie życia. Inni podkreślali, że wraz z zamknięciem kościołów ani posługi religijne, ani praktyka wiary nie ustały w czasie pandemii. Głos zabrał też główny epidemiolog USA dr Anthony Fauci (sam katolik), zalecając ograniczenie zgromadzeń, noszenie masek, unikanie śpiewu. Podkreślił, że rozdawanie komunii jest bliską interakcją, której należy wciąż unikać.

Tymczasem odmrażanie polskich kościołów odbywa się bez podobnej dyskusji. W ślad za zdjęciem przez rząd limitów przewodniczący episkopatu abp Stanisław Gądecki zachęcił ordynariuszy do odwoływania ogólnych dyspens i pozostawienia ich dla osób z infekcją, w podeszłym wieku i czujących obawę przed zakażeniem. Biskupi zachętę tę chętnie zrealizowali. Pozostaje czekać z niepokojem rezultatów.

© ZUZANNA RADZIK



VATICAN MEDIA

O USTANIE PANDEMII modlił się papież przed figurą Matki Bożej z Lourdes w Ogrodach Watykańskich. Różaniec, odmawiany wspólnie z przedstawicielami osób najbardziej dotkniętych chorobą, to drugie publiczne nabożeństwo Franciszka (po pamiętnej adoracji krzyża na placu św. Piotra) w tej intencji. Papież prosił też Maryję o „dotknięcie sumień polityków rządzących państwami, aby ogromne sumy, wydawane na zbrojenia, przeznaczyli na badania naukowe, które zapobiegą podobnym katastrofom w przyszłości”. ©P EA

KULTURA W SKRÓCIE

XABO ONLINE

Trwa 60. Krakowski
Festiwal Filmowy.

Jeszcze 5 czerwca można wziąć udział w internetowym pokazie specjalnym filmu „xABO: Książd Boniecki”, po którym odbędzie się spotkanie z jego bohaterem oraz twórcami – reżyserką Aleksandrą Potoczek i autorem zdjęć Adamem Palentą. Bilety do kupienia na stronie krakowfilmfestival.pl/xabo.

Film jest prezentowany w ramach Konkursu Polskiego i walczy o główną nagrodę sekcji, Złotego Lajkonika. 24 lipca, w wigilię 86. urodzin księdza, „xABO” trafi do kin.

FESTIWAL GLOBALNY

Na platformie YouTube do 7 czerwca potrwa natomiast międzynarodowy festiwal „We Are One: Global Film Festival”. Obejrzymy produkcje zaczerpnięte z programów najlepszych filmowych imprez, w tym m.in. Cannes, Berlinale, Locarno, Sundance czy Wenecji. Oprócz fabuł, dokumentów i krótkich metraży, także wywiady z artystami i specjalne kuratorskie panele. Szczegóły i harmonogram, włącznie z godzinami, w których filmy są streamowane, dostępny jest na stronie weareoneglobalfestival.com.



PAWEŁ PIENIAŻEK

opowie o Afgańczykach deportowanych z Europy (tekst na s. 69) Agnieszce Lichnerowicz w „Światopodglądzie Radia Tok FM”, w środę 3 czerwca o godz. 16.00. A w kolejną środę, 10 czerwca, także o 16.00 gościem „Światopodglądu” będzie Krzysztof Story piszący o handlu nielegalnymi pestycydami (reportaż na s. 34). 95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław 96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź 97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań

– www.tokfm.pl

Ostatnia strona Pilcha

BYŁ JEDNYM Z NAJŚWIETNIEJSZYCH na długiej liście świetnych felietonistów „Tygodnika” (na zdjęciu: w redakcji „TP”, lata 90.), choć zatrudniono go po prostu jako dziennikarza działu kultury i w tej roli prowadził np. głośną dyskusję literacką o „Czarnej dziurze lat osiemdziesiątych”. W „o wszystkim rozstrzygającej dekadzie” 1989-99 był właśnie po debiucie książkowym („Wyznania twórcy pokątnej literatury erotycznej”, wyróżnione Nagrodą Kościelskich), a jego drukowane na ostatniej stronie pisma, morderczo złośliwe felietony budziły zachwyt czytelników i redaktorów („Będzie samobójstwo” – komentował znad maszynopisu Jerzy Turowicz...), popłoch portretowanych i zainteresowanie wydawców: za chwilę drukiem miała ukazać się nie tylko pierwsza powieść, „Spis cudzołóżnic”, ale także pierwszy zbiór felietonów, „Rozpacz z powodu utraty furmanki”.

Zawdzięczamy mu jednak nie tylko teksty, które weszły do kanonu polskiej felietonistyki, i nie tylko niezrównane portrety najważniejszych postaci naszego środowiska: Jerzego Turowicza, Bronisława Mamonia, Mieczysława Pizona, Krzysztofa Kozłowskiego, księży Józefa Tischnera, Andrzeja Bardeckiego i Stanisława Musiała, a nawet całej redakcji („Widok z mojego



DANUTA WĘGIEL DLA „TP”

boksu”). Wynajdywał też i zwracał uwagę kolegów na obiecujących autorów, zamawiał teksty, a podczas niekończących się narad „Tygodnikowej” młodzieży na temat przyszłości pisma potrafił przywrócić proporcje jednym zdaniem.

Obdarzony, jak mówił, „genem transferu”, w 1999 r. przeniósł się do Warszawy i do „Polityki”, później publikował w różnych tytułach, ale w 2012 r. na łamy „TP” wrócił z „Drugim dziennikiem”, zawsze chętnie zgadzał się również na wywiady, ze szczególnym uwzględnieniem tych dotyczących teologii i Pana Boga. Straciliśmy kogoś bardzo ważnego. ©© MICHAŁ OKOŃSKI

Więcej o Jerzym Pilchu pisze Ryszard Koziołek na s. 114.

Polska Liga Przeciw Skojarzeniom



MARCIN NAPIÓRKOWSKI

REDUTA DOBREGO IMIENIA OPUBLIKOWAŁA raport poświęcony „możliwości przeciwdziałania zniesławieniom na platformach streamingowych typu Netflix”. Przedmiotem analizy były, jak czytamy, „wadliwe kody pamięci” dotyczące naszego kraju.

Sam pomysł, żeby zbadać, jak w zagranicznych filmach i serialach ukazuje się Polskę, wcale nie jest niedorzeczny. Podobne badania prowadzi się od lat, analizując uprzedzenia rasowe, płciowe czy etniczne. Jednak wykonanie pozostawia wiele do życzenia. Autorzy obejrzeli 557 filmów i seriali tylko po to, żeby odkryć, że zaledwie 18 zawierało jakiegokolwiek wzmianki na temat Polski. Są to wyłącznie takie perełki, jak nieśmieszny dowcip o Polakach w 7. odcinku pewnej japońskiej animacji. Zamiast rzetelnej analizy mamy niezamierzony efekt komicznej przypadkowości.

Autorzy przeczuli się więc na filmy dokumentalne poświęcone II wojnie światowej, gdzie z kolei na 47 produkcji aż 36 proc. zawiera „szkodliwe przekłamania wobec Polski”. Najczęściej powtarzającym się błędem były mapy z okresu

okupacji z napisem „Polska”, według autorów błędnie sugerujące polski udział w Zagładzie Żydów.

Problem w tym, że obraz Polaka w wyobraźni mieszkańca Zachodu nie tworzy się na podstawie widocznych przez 30 sekund map z seriali dokumentalnych. Znacznie istotniejsza jest figura polskiego imigranta, dobrze reprezentowana w filmie i serialu. Z kolei dla widzów z Dalekiego Wschodu symbolem naszego kraju jest Chopin. Szkoda więc, że Reduta zamiast serialu, gdzie pada jeden żart o Polakach, nie uwzględniła dostępnego na Netflixie anime „Forest of Piano”, którego bohaterowie walczą o kwalifikację do Konkursu Chopinowskiego.

Świetnie, że autorzy dostrzegli przemiany zachodzące na współczesnym rynku medialnym. Szkoda tylko, że w opracowaniu nie powołano się na żadną książkę ani artykuł naukowy na ten temat, poprzestając na odniesieniach do Wikipedii. Mam nadzieję, że raport nie przedostanie się za granicę. Mogłby wytworzyć „wadliwe kody” związane z jakością pracy Polaków. ©



IMIE GÓR

Jeśli nie wiesz, gdzie jesteś, ale wiesz,
dokąd iść, to się nie zgubiłeś.

MARCIN ŻYŁA

JAK W WYWOŁYWACZU, KOLORY POKAZUJĄ SIĘ STOPNIOWO. BO NAJ-
pierw jest ciemność: w nią się wchodzi, w niej zdejmuje buty,
przez nią – znowu! – staje skarpetą w kałużce błota.

Powidoki znikają za drugimi drzwiami, w sieni, w której zostają
plecaki. Za trzecimi (i te, lekkie dość, z góralską klamką, kutą, lecz
zawsze poluzowaną, trzaskając głośno, aż drży szyba) jest niewielka,
pusta dziś jadalnia. Bufet, drewniane stoły, nieużywany kominek,
sterta książek i planszówek. Gitara.

I okno – to okno. Zawieszone, jak cała baczówka, nad doliną We-
tliny, w której kiedyś stały domy wsi Jaworzec, Ług i Zawój. Widać
drogę do przełomu rzeki i schodzące się na horyzoncie, zlewające
w jedno, bukowe berda Pereszliby oraz nienazwanych grzbietów
opadających z Siwarnej i Bukowiny. Ten widok – pastelowy, wzięty
jakby ze starych klisz Agfy – wyłącza czas.

Zostaniemy tu na chwilę.

ZAMKNIĘTA W TUZINIE zdań historia tych gór mogłaby brzmieć tak:

Dawno, dawno temu wołoscy pasterze znad dolnego Dunaju za-
częli swoją najdłuższą wędrówkę – na północ, po łuku Karpat. Szli
ponad dwieście lat, z sezonu na sezon przeganiając stada na kolejne
pastwiska i grzbiety, aż przekroczyli Bieszczady i dotarli do Moraw.
Przynieśli koczownicze zwyczaje oraz słowa i nazwy, które prze-
trwały do dziś – „Magura”, „redyk”, „Kiczera”, „zawój” – a może
i „Beskid”, pierwsze imię gór.

Dolinami szli inni. Król nadawał ziemię panom i biskupom, ci
sprowadzali osadników. Karczowano lasy, dzielono pola, budo-
wano kościoły. Z połączenia wołoskiej swobody z etosem pionie-
rów zrodzili się górale.

Walczone ze zbójnikami, szukano ukrytych skarbów, wożono
tokaj i wielicką sól. Potem dzieje przyspieszyły: powstała kolej, od-
kryto ropę, w okopach Wielkiej Wojny umierano za cesarstwo. Bo-
hema z miast odkryła Podhalan i Huculów, lecz Łemków i Bojków
zauważono jakby później – długo po II wojnie i wypędzeniach, gdy
zniknęły najludniejsze ongiś wsie.

Pozarastały drogi, zdziczały jabłonie.

Nastała cisza.



*Jeszcze pół godziny marszu do schroniska „Chatka Puchatka”
na Połoninie Wetlińskiej, Bieszczady, październik 2015 r.*

→ **I PUSTKA.** Lubi wychodzić do niej nad ranem, gdy gospodarze jeszcze śpią (mówią o nim, że gasi gwiazdy i budzi ptaki). Jest rok 1950, on ma 44 lata. Władysław Krygowski, adwokat, taternik i narciarz, odbywa samotną wycieczkę przez wyludnione Bieszczady.

Zaczyna w Komańczy. Droga jest zarosnięta, mosty zerwane. Żeby odnaleźć kierunek, parę razy wspina się na drzewa. Notuje: „Towarzyszem był mi lęk, że z gąszczy wyjdzie ktoś i jeszcze silniejszy strach, że właściwie nikogo już do końca nie spotkam”. Dochodzi tak do Cisnej, gdzie „w kilkunastu ocalałych chałupach gnieździło się 30 wystraszonych rodzin”. Walki z UPA skończyły się niedawno.

Dwa lata później Krygowski wraca w Bieszczady z młodszym od niego o 20 lat Edwardem Moskałą, początkującym działaczem Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego. W Polsce Ludowej to PTTK ma organizować turystykę. Oni też mają cel: wstępne wytyczenie w tym rejonie Głównego Szlaku Beskidzkiego. W górach nie ma wielu sklepów: w tajemnicy przed sobą, dla niespodzianki, kupują kilogramowe konserwy wieprzowe.

Po powrocie pouczają znakarzy, którzy w kolejnych latach, idąc od drzewa do drzewa z wiadrzem czerwonej farby, będą malować szlak. Żeby współgrał z instynktem piechura. (Wilgotny i śliski wąwóz? Tam nie prowadzić, turysta i tak go obejdzie). Żeby na bukach, które mają gładką korę, przed namalowaniem znaku, wyczyścić ją szczotką drucianą. A na sosnach, gdzie kora porowata – najpierw usunąć jej martwą warstwę ośnikiem. I unikać twardych dróg, lecz nie polan z widokami.

W ten sposób, w 1956 r., powstaje wschodni odcinek Głównego Szlaku Beskidzkiego. Dziś zaczyna się on w Wołosatem, a kończy 496 km dalej, w Ustroniu. W Bieszczadach, z niewielkimi modyfikacjami, biegnie trasą wypraw Krygowskiego i Moskały.

Z PIERWSZYCH STRON dziennika wycieczki tym szlakiem, rok 1998:

Tuż po północy, na Głównym tłum, „Bieszczady” z Gliwic opóźnione. Wschód słońca w Krośnie, gorąco, pachnie stałą torów. Sanok–Wetlina, pekaes się wlecz. Błoto na Dziale. Co za widok! Kremenaros, drzemka. Ustrzyki, Pink Floyd w stodole. Plusssz w butelce,

świetny patent. Na „końskiej drodze” spotykamy Czeszki. Najpiękniejszy wieczór na Wetlińskiej. Jeleń pod Okrąglikiem. Z Jasła widać Beskid Niski. Chryszczata, dobry czas. Będzie burza. Czemu Oscar idzie w klapkach? Bez sklepu w Nowej Wsi. Ciemno za pustelnią. Budzimy Chyrową. Oscar ma dość, łapie stopa. Czwarta rano, ciemno. Rosa. Wilk. Czarny bocian. Namiot w środku lasu. Paprykarz pod słońcem. Biegiem przez Rotundę. Zostaję sam. Noc, las, strach. Hańczowa: pocztówki. W Krynicy kupić: chleb, coś do chleba, płaską baterię, zadzwonić do domu.

OBOK OKNA w baczówce wisi mapa panoramiczna. Jedna z kilkunastu, które na wielkich dechach malował farbami olejnymi

WŁADYSŁAW KRYGOWSKI:

Droga wiedzie nie przez
zniżanie gór do mas, lecz
odwrotnie, przez podnoszenie
ich ku pięknu gór, nie przez
podsuwanie piękna pod
nos, lecz przez wydobycie
z człowieka potrzeby
wysilenia się o to piękno.

Edward Moskała. Ta ma datę: 1976, rok powstania baczówki w Jaworzcu. Jest tak stara, że niektóre przedstawione na niej polany pozaraślał już las.

Ryszard M. Remiszewski, jego dawny współpracownik, najlepiej pamięta Moskałę, jak stał na wieży widokowej na Baraniej Górze, i na świstku papieru szkicował widok.

– Wytknąłem mu, że jedna z mapek panoramicznych, które właśnie wydał, jest nieścisła, gdyż w rzeczywistości widok z Turbacza wygląda trochę inaczej. Bardzo był niezadowolony. Kazał mi przejść sto metrów. „A teraz?” – zapytał. „A teraz dobrze, ale to już nie widok ze szczytu”, upierałem się – wspomina.

Nie wszystkie mapy i panoramy były wtedy dokładne, ale i tak pomagały w orientacji. Na rajdach, przy ogniskach i w schroniskowych jadalniach starsi turyści uczyli młodszych.

Że jeśli nie wiesz, gdzie jesteś, ale wiesz, dokąd iść, to się nie zgubiłeś. Jeśli słyszysz wodę, idź w dół potoku, w trzy godziny zawsze dojdiesz do wsi. Jeśli widzisz prześwity, podejdź na grzbiet, stamtąd zobaczysz więcej.

Że wilki nie jedzą ludzi, także po zachodzie słońca. Przed niedźwiedziem, jeśli musisz, uciekaj w dół, bo ma krótkie przednie łapy i mu tak trudno. A przed żmiją, odwrotnie, w górę. (To chyba był żart, żmije nie gonią ludzi).

Że jeśli zastanie cię noc, przeżyjesz ją. Nie łaż za dużo po ciemku, po czasie dziwnych kształtów i odgłosów, po lodowatym przedświcie, przyjdzie ten cudowny moment, gdy między drzewami włączy się słońce, a ty odzyskasz wszystkie siły.

MIJAJĄ LATA. Władysław Krygowski i Edward Moskała pną się w hierarchii PTTK.

Pierwszy walczy w centrali o większe limity „znakokilometrów” (na każdy odcinek szlaku przydzielano znakarzom określoną ilość farby) i zaczyna wydawanie wielotomowego przewodnika po Beskidach (jego współpracownicy opowiadają: ma sieć informatorów, którzy „latają po górach i donoszą”, on przypomina im przed wyjazdami: „ważne jest dosłownie wszystko”). Przewodnik ten, mniej liryczny niż popularne książki Józefa Nyki o Tatrach, ma zaletę podstawową: jest pierwszy.

Drugi publikuje swoje panoramy gór. Jeśli nawet nie zawsze dokładne, to – najważniejsze – ładne. Zdarza się, że wyrwane z książeczek panoramy turyści wysyłają jako pocztówki.

Obaj mocują się z tą samą myślą: czy ułatwiając dostęp do gór nie przyczyniają się do ich zdeptania? Jak sprawić, żeby góry były dla wszystkich, ale jednak nie? By drogi i parkingi nie niszczyły przyrody? (Dziś powiedzielibyśmy: rozwój zrównoważony). Wymyślają, że będą promować turystykę kwalifikowaną (dziś: *slow tourism*) – taką, która wymaga choć minimum umiejętności.

„Do tego celu – Krygowski specjalnie pisze zrozumiałą dla decydentów nowomową – droga wiedzie nie przez turystykę ułatwioną, nie przez zniżanie gór do mas, lecz odwrotnie, przez podnoszenie ich ku pięknu gór, nie przez schlebienie ich chęci ku łatwiznie, lecz przez kształcenie w nich pędu do walki, nie



GRAŻYNA MAKARA

CHATKA PUCHATKA to surowe schronisko bez bieżącej wody, które stało na wschodnim krańcu Połoniny Wetlińskiej. Już nie działa. Bieszczadzki Park Narodowy tłumaczył, że nie spełniało wymogów sanitarnych, a w wakacje coraz liczniejsi turyści zadeptywali okolicę. Trwa budowa nowego schronu i punktu gastronomicznego.

Lutek Pińczuk – legendarny gospodarz tego miejsca (na stałe od 1986 r.), zszedł z Połoniny trzy lata temu. Mieszka w Wetlinie, prowadzi agroturystykę. „Tu, na dole, też mam co robić, ale nic nie muszę. Tu jest za prosto, nic się nie dzieje, nic człowieka nie goni”, tłumaczył w niedawnym wywiadzie dla portalu Nowiny24+. Mówił, że na górze nie zaznał ani dnia nudy.

W nowym schronie dla turystów, z wyjątkiem sytuacji awaryjnych, nocować już nie będzie można. Zostaną zdjęcia pokazujące „bieszczadzkie klimaty”.

przez podsuwanie piękna pod nos, lecz przez wydobywanie z człowieka potrzeby wysilenia się o to piękno”. Piękniej opisać góry w tomiku „W litworowych i piarżystych kolebach”, gdzie zawarł swoje przedwojenne wspomnienia z Karpat Wschodnich.

Dołącza do nich Stanisław Pagaczewski, autor książek dla dzieci o profesorze Baltazarze Gąbce. Można powiedzieć – pionier mikrowyprowadzeń. Jego „Znów idę na południe” (1979) otwiera relacja z wycieczki wokół pętli tramwajowej na krakowskim Salwatorze, którą odbył jako dziesięciolecie. Pagaczewski nie zapuszcza się dalej niż do doliny Popradu, sławi Gorce, niewielkie, znane z krokusowych polan góry, w połowie drogi z Krakowa do Zakopanego.

Koncepcje już są. Teraz trzeba jeszcze tym turystom zbudować domy.

JUŻ WCZEŚNIEJ Krygowski forsuje pomysł „małych schronisk” w górach. (– Nie walczył z masowością, chciał ją podnieść na wyższy poziom – tłumaczy dziś Wiesław A. Wójcik, redaktor naczelny „Wierchów”). Ale to Moskała realizuje pomysł.

Na początku 1975 r. w kawiarni zakopiańskiego „Gazdy” umawia się z architektem Stanisławem Karpiem i Jerzym Klimińskim z miejscowego zakładu remontowo-budowlanego, późniejszym naczelnikiem Grupy Tatrzańskiej GOPR.

– Moskała snuł nad stolikiem swoją wizję. Schronisko powinno mieć domową atmosferę, ma je prowadzić rodzina, a nie mianowani urzędnicy. Turysta musi poczuć, że przychodzi do człowieka, który

go ugości jak w domu – opowiada Ryszard M. Remiszewski. I dodaje: – Miałoby być jak w pokoju Łapińskich, kierowników schroniska nad Morskim Okiem.

Karpiel słucha wywodu, wyjmując ołówek, szkicuje na serwetce: drewniany domek w stylu góralskim, z dwuspadowym dachem krytym gontem. W murowanej piwnicy zaplecze sanitarne, na parterze jadalnia, bufet i kuchnia, na dwóch piętrach pokoje dla 20-30 turystów.

Moskała zabiera serwetkę. Wie, że pomysł jest rewolucyjny. Rządzi już Gierek, za zachodnie pożyczki w górach powstają drogi i parkingi dla autokarów. PTTK ma się skupić na udostępnianiu „piękna socjalistycznej ojczyzny szerokim masom społeczeństwa”, organizować wycieczki zakładowe, rajdy i zloty.

O DZIWO, udaje się. Już we wrześniu 1975 r. otwiera się baczówka na Rycerzowej w Beskidzie Żywieckim. Potem kolejne: na przełęczy Okraj w Karkonoszach, na Lubaniu w Gorcach, w Jaworzu. Moskała ma pomysł na kilkadziesiąt obiektów (niektórzy mówią, że na ponad sto). Marzy, żeby nocując w baczówkach dało się przejść cały Główny Szlak Beskidzki, z Wołosatego do Ustronia. Ostatecznie w ciągu dekady powstaje ich 13. Wszystkie prócz jednej – według serwetkowego projektu Karpiela. Do dziś działa 11.

Dostają odrębny od innych schronisk regulamin: nie wolno tu nocować grup, zostawać na wiele nocy i rezerwować wcześniej noclegów. Ostatni zapis jest zresztą niepotrzebny, gdyż żadna z baczówek nie ma telefonu.

Na aktywie PTTK Moskała wymusza coś jeszcze: prowadzących „jego” obiekty nie wolno nazywać, jak w dużych schroniskach, kierownikami. Baczówki, tłumaczy, mają gospodarzy. Będzie tego pilnować aż do śmierci w 1995 r. – na zebraniach, w sprawozdaniach, podczas jubileuszów.

Mówią obecni gospodarze. Na Krawcowym Wierchu: – Schronisko pod indywidualnego turystę, które miało utrzymywać dzierzawców? W tamtych czasach? To cud, że nikt nie krzyknął: hola, jest socjalizm, ma być kolektywnie!

W Jaworzu: – W szale zbiorowych wycieczek zakładowych udało się coś zrobić dla bardziej świadomego turysty. Teraz też przychodzą do nas tacy.

Na Rycerzowej: – Wykończenie z solidnego drewna, strzelista sylwetka – „moskałowski” były eleganckie. Ludzie do dzisiaj są zachwyceni, że tak pasują do krajobrazu.

„DO SKŁADU stojącego przy torze trzecim proszę nie wsiadać. Skład będzie zabierany do sprzątnięcia”. Zapowiedzi są konieczne, bo w Zagórzu – gdzie kończyły bieg pociągi w Bieszczadach – nie ma peronów i do pociągów wsiada się z poziomu torów. Dziś zarośniętych, bo stacja obsługuje kilkunastu pasażerów na dobę. Wtedy, w lipcu 1999 r., było tu pełno ludzi. Turyści, czekając na poranne pociągi, zasypiali na ławkach. Dzielił je z handlarzami z Ukrainy, które przyjechały ostatnim pociągiem z Chyrowa.

Przez te stacje – Zagórz, Jasło, Zagorzany, Stróże, Muszynę – trafiali w góry ➔

→ studenci. Ich pierwsze bazy namiotowe powstają w Zagórz i Ustrzykach Górnych jeszcze pod koniec lat 50. Działają od czerwca do września, w szczytowym okresie tylko w Bieszczadach jest ich kilkanaście.

Akademicka opowieść o górach przyczynia się do odkrycia dotąd zakazanych historii: traumy wysiedleń Łemków, szczegółów walk z UPA, w PRL-u kojarzonych głównie z wykorzystywaną propagandowo śmiercią gen. Karola Świerczewskiego. W Beskidzie Niskim studenci inwentaryzują zaniedbane cmentarze wojenne z Wielkiej Wojny, cerkwie, fundamenty dawnych wsi. To dzięki nim większość z tych miejsc udaje się uratować.

Razem z nimi przychodzą bardowie: Wojciech Belon i jego Wolna Grupa Bukowina, Jerzy Harasymowicz. Twórczość przepełniona zachwytem, ale i tęsknotą za domem. Teksty trochę utopijne, jak to na progu dorosłego życia. Nie ma w nich raczej zobowiązań, pieniędzy, chorób (a jeśli: czyż nie lepiej umrzeć tutaj, w górach?). Jest zachwyt, plany na całe życie, miłość, przyjaźń i nawet muzyka.

ŻYJE SIĘ W PIONIE. W baczówce jest mało miejsca. Gospodarze mają dla siebie jeden pokój. I łazienkę – ale dojdzie do niej jest już przez toaletę turystów. W nocy zejście do sanitariatów w piwnicach ułatwiają ledowe światelka. Wielu gości ma w swoich domach kuchnie większe od tej schroniskowej.

– Spędzasz tu trzy tygodnie non stop – opowiada Darek Cegłowski, prowadzący baczówkę na Rycerzowej. – Śpisz, jesz, płaczesz, śmiesz się, narąbiasz drzewa, przygotujesz żurek. Wstajesz pierwszy, zasypiasz ostatni. Potem tydzień wolnego. Wszystkim, którzy chcą tu pracować, mówię: to nie praca, tylko życie.

– Latem w pięcioosobowych załogach baczówek trudno uniknąć konfliktów. Jest jak na pokładzie małego statku. – A nawet nie statku. Z niego jeszcze można wy-

skoczyć. Tu jest jak na okręcie podwodnym. Ciasno i bez ucieczki – mówi Cegłowski.

Najtrudniejsze jest przewidzieć, ile zapasów będzie potrzebnych do kuchni. Logistyka zawsze wyprzedza czas. Bywa, że z zakupami grają *va banque*: tego, ile przyjdzie osób, nie da się przewidzieć. Wpływ ma pogoda. A ściślej: to, co o pogodzie powiedzą media.

Cegłowski: – Mamy więc syndrom chomika: gromadzimy rzeczy. Sprawdza się prawo Murphy'ego: kiedy chleba jest mało, wszyscy chcą bigos z pieczywem, gdy mamy nadmiar, zawsze zostaje. Od maja do większych śniegów w listopadzie czy grudniu dojeżdżamy do baczówki samochodem. Zimą skuterem albo quadem. Najmniej zawodny jest człowiek. Ma tylko jedną wadę – nośność. Weźmie te 20-30 kg, nie więcej. Bywa, że zimą dwa razy w tygodniu wnosimy tak chleb, mięso, masło, sery. Plus paliwo. Nie mamy stałego prądu, zainstalowaliśmy fotowoltaikę, jest też agregat.

NA KRAWCOWYM WIERCHU od pięciu lat gospodarzem jest Grzegorz Janowski:

– Najpierw sobie obiecałem: w mojej baczówce będzie zawsze ciepło. Nie oszczędzam na ogrzewaniu. Po wejściu do domu nikt nie powinien dygotać z zimna.

– Ludzie zaczęli nas pytać, co można u nas robić? Znajdujemy się w pięknej, ale odległej od najpopularniejszych szlaków części Beskidu Żywieckiego. Do innych schronisk jest daleko. Dla rodziny z dzieckiem to nie jest trasa na jeden dzień.

– Baczówka stoi 150 metrów od granicy ze Słowacją. Po południowej stronie gór, nazywanej przez sąsiadów Beskidem Orawskim, są piękne, łagodne i bezleśne stoki. Stoją tam wieże widokowe, we wsiach działają knajpki. Postanowiłem wyznaczyć tam trasy dla gości baczówki. Nie w terenie, tak mi nie wolno, ale w Google Maps. Teraz przed baczówką jest kod QR – po jego zeskanowaniu w telefonie wyskakuje nawigacja. Można z nią iść na Słowację z zamkniętymi oczami. Sam zresztą codziennie patrzę na kalendarz, przebieram nogami. Nie mogę się doczekać, gdy otworzą granicę.

MACIEJOWĄ, godzinę marszu od Rabki-Zdroju, prowadzi od 2012 r. Piotr Zagórski.

– Wszystkim powtarzamy: żeby poczuć atmosferę baczówki, najlepiej w niej

przenocować. Zachwycić się zachodem słońca, kiedy ostatni turyści w pośpiechu ruszają w dół, powitać dzień patrząc z tarasu na panoramę Tatr. Najprzytulniej jest jesienią, gdy za oknem zawierucha, w kominku trzaska ogień, a w jadalni unosi się aromat wstawionej do pieca szarlotki. Owszem, oczekiwania turystów rosną, staramy się jednak zachować rodzinną atmosferę. To wynagradza brak telewizora czy własnej łazienki w pokoju. Dla mnie rekompensatą za trud jest możliwość patrzenia z bliska na przyrodę. I poczucie, że baczówka to, po prostu, mój dom.

W JAWORZCU Waldek Ochodek, gazda od 2016 r., współautor książeczki „Baczówki Edwarda Moskały”, mówi, jak zmieniają się Bieszczady:

– Nie lubię mitu bieszczadzkiego zaka-piora, a szczególnie tego stylizowanego na potrzeby marketingu. Oczywiście, było kilku oryginałów, prawdziwych zakapiorów. Ale klimat Bieszczadów tworzą dziś głównie ludzie z zewnątrz, którzy tu przyjechali spełniając swoje marzenia i realizując pasję, ciężko pracując.

– Nie mówię gościom, co mają robić w baczówce – jestem tu od tego, żeby organizować ludziom przestrzeń, a nie czas. Możesz się spotkać z przyjacielem, z nieznajomym, przyrodą i duszami pokrewnymi. W spokoju. To ważne, bo w góry czasem przenosimy jeszcze ten swój pęd z dużych miast.

– Drażni mnie stawianie tu plastikowych placów zabaw, zewnętrznych siłowni czy chęć budowy wyciągów. Jesteśmy dziś chyba najbardziej reklamowanym regionem, ale wielu prowadzących obiekty powtarza błędy z Zakopanego. Nie wykorzystujemy w pełni piękna przyrody i historii regionu. A w tym jest droga do sukcesu.

– Mamy dużo pięknych, dzikich szlaków. Cieszę się, że Bieszczadzki Park Narodowy podjął tę trudną decyzję w sprawie schronu na Połoninie Wetlińskiej. Legendą jest przecież człowiek, Lutek, a potem „Chatka Puchatka”. To było magiczne miejsce. Ale każdy czas ma swoje legendy i emocje. Już czas na nowe.

A JEDNAK: szkoda „Chatki Puchatka”, która wtedy, zimą 2002 r., w potwornej zamieci i śniegu po pas, już po zmroku, wyłoniła się – a właściwie pojawiła – tuż przed nami. Pchnęliśmy



MARCIN ŻYŁA będzie gościem Grzegorza Chłasty

w środę 10 czerwca o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podcastach na stronie internetowej radia. Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM | Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM | Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM oraz na Mazowszu i w Warszawie – www.rdc.pl



GRAŻYNA MAKARA

W „Chatce Puchatka”, październik 2015 r.

drzwi. Najpierw, jak zawsze, była ciemność. W niej rozległ się głos gospodarza, Lutka Pińczuka: „Dobrze, że jesteście. Już mieliśmy szukać”.

Ktoś, pewnie leśnik, który podwoził turystów z Nasicznego do Berehów, widząc podchodzących w tych warunkach ludzi, zadzwonił na górę: spodziewajcie się jeszcze kogoś.

EPIDEMIA uderzyła w baczki z podwójną siłą: zamknęła i pokoje, i bufety, najważniejsze źródło dochodu. Ceny podskoczyły w górę, czasem nawet do 70 zł. To sporo jak na schronisko o niskim standardzie – ale wciąż śmiesznie mało w porównaniu z podobnymi miejscami za granicą.

Janowski: – Tak się musiało stać. Zwożę bieliznę do pralni, sprzęt do ozonowania pokoi kosztował 2 tys. zł. Od czasów Moskaly zmieniło się to, że schroniska są teraz formą biznesu.

Cegłowski: – Od tygodnia, z restrykcjami, udzielamy już noclegów. Podczas epidemii ludzie docenili takie miejsca. Są miłsi, bardziej wyrozumiali. Widać

DAREK CEGŁOWSKI (RYCERZOWA):

Podczas epidemii ludzie docenili baczki. Są miłsi, bardziej wyrozumiali.

Widać w nich tęsknotę za chodzeniem po górach. Ale strat szybko nie odrobimy.

WALDEK OCHODEK (JAWORZEC):

Drażni mnie stawianie tu plastikowych placów zabaw, zewnętrznych siłowni czy chęć budowy wyciągów. Wielu prowadzących obiekty powtarza błędy z Zakopanego.

w nich tęsknotę za chodzeniem po górach. Ale strat szybko nie odrobimy.

Zagórski: – Liczę na większy ruch latem. Wiele osób, które wcześniej planowały zagraniczne wycieczki, zdecydowało się na urlop w Polsce.

Z OSTATNICH STRON dziennika wyprawy czerwonym szlakiem:

6.15 – wymarsz z Krościenka. 17.30 – koniec dnia na Maciejowej, 40 km! Deszcz cały dzień. Przechodzę „zakopiankę”. Asfaltem do Jordanowa. Polica, tu rozbił się samolot LOT-u. Hala Śmietanowa, widok na Babia. Tłumy na Krowiarkach. Babia, w chmurach. Herbata na Mędralowej. Skrótem przez Słowację. Glinne i podejście przecinką. Dziwne tropy na śniegu. Hala Miziowa, droga za nocleg, grzejniki palą nam ubrania i prawie schronisko. Spotykamy Dominika, który biega po górach. Żabnica. Sen w zajeździe w Węgierskiej Górze. Barania Góra, słońce na wieży widokowej. Stożek, ostatnia noc. Po lewej Czechoy. Asfaltem na Równicę. Ustroń, ledwo zdążamy na pociąg.

© © MARCIN ŻYŁA

Jerzy Pilch

(1952 – 2020)

Był jednym z najwybitniejszych prozaików polskich i mistrzem felietonu, stylistą o niepowtarzalnej frazie; budował swoje książki ze zmitologizowanej materii własnej biografii.

Ewangelicką enklawę na Śląsku Cieszyńskim, w której spędził dzieciństwo, przetworzył w scenariusz zdarzeń komicznych i zarazem ostatecznych, w miejsce spotkania świata realnego z nadprzyrodzonym, trywialności z wzniosłością, obcowania żywych z umarłymi.

Jego proza, w najlepszym sensie humorystyczna, traktuje zarazem o sprawach podstawowych i takie też pytania zadaje.

W latach 80. publikował w drugim obiegu i w piśmie mówionym „NaGłos”,

od 1989 r. był redaktorem „Tygodnika Powszechnego” i jego felietonistą, w 1999 r. przeprowadził się do Warszawy, a felieton przeniósł do „Polityki”, potem do „Dziennika” i „Przekroju”, by wrócić do „Tygodnika”.

Ukazywały się kolejne powieści, takie jak „Spis cudzołóżnic”, „Inne rozkosze”, „Tysiąc spokojnych miast”, „Pod Mocnym Aniołem” (nagroda Nike), „Miasto utrapienia”, „Marsz Polonia” i inne. Postawały też filmy według jego scenariuszy.

Pisał do końca mimo postępującej choroby. Zmarł 29 maja w Kielcach.

Żegnamy Go w wielkim smutku.

STOWARZYSZENIE AUTORÓW ZAiKS

Z wielkim żalem żegnamy

ś.†P.

Jerzego Pilcha

wspaniałego pisarza,
naszego przyjaciela, autora
i dawnego kolegę redakcyjnego.

Łączymy się w bólu z Magdaleną,
Hanką i Kingą.

TYGODNIK POWSZECHNY

Z głębokim żalem żegnamy
świetnego pisarza, ciętego felietonistę,
niezwykłego człowieka

ś.†P.

Jerzego Pilcha

Bawił nas, prowokował polemistów,
gdy trzeba, bezlitośnie szydził,
uczył przenikliwości i niezależności sądu,
szacunku dla mistrzów i autentycznych wartości,
mężnego mierzenia się z losem.

Będzie Cię brakowało, Jurku,
Twojej mądrości, cudownej frazy,
poczucia humoru.

PRZYJACIELE Z WYDAWNICTWA ZNAK



„TP” 20/2020

Wiecej Majewskiego!

Chciałbym podziękować redakcji „TP” za odwagę publikowania takich tekstów jak „Pytania o antykonceptę” Józefa Majewskiego, a samemu autorowi za odwagę pisanie o tych sprawach w sposób, który mi pozwala być, trwać, myśleć, otwierać się na świat. Tylko takie uprawiane teologii ma według mnie sens. Mam wielką ochotę na więcej. A ochota ta znacznie wzrosła po zorganizowanym niedawno przez Kluby „Tygodnika” spotkaniu z autorem. To nie tylko twórczy teolog, ale też wspaniały, ciepły człowiek. Jako wieloletni czytelnik wołam: więcej Majewskiego na waszych (naszych) łamach! Przyznając uczciwie, że dzięki takim ludziom jestem (jeszcze) w Kościele. Dzięki, że jesteście.

Bez Was ten świat byłby o wiele mniej kolorowy.

MIREK CHMIEL

„TP” 22 / 2020

Co dalej, Panie Ministrze?

Moja mama ma chorobę ośpienną. Odkąd wybuchła pandemia i wprowadzono obostrzenia, codziennie myślę o tym, jakie to wszystko będzie miało skutki dla seniorów. Nie tylko tych chorych, jak moja mama, ale wszystkich zamkniętych w czterech ścianach zgodnie z hasłem „Zostań w domu”. Z ust polityków słyszymy, że krzywa zakazów spłaszczone, czyli jest dobrze. Pandemia wprowadziła nie gaśnie, ale w sumie jest pod kontrolą i wszyscy nam tego zazdroszczą. DPS-y, które przez chwilę były newsem, już przebrzmiały. Różne grupy coraz głośniejsze upominają się słusznie o uwagę, a do górników na Śląsk zjechało pół rządu z maseczkami i testami. A czym mogą zwrócić uwagę rządzących starsi ludzie siedzący cicho w swoich domach, DPS-ach, spacyfikowani skutecznie i zamknięci na głucho? Niczym. Zostań w domu – powtarzane tysiące razy przez zatroskanych przy-

wódców, wbito im do głowy tak skutecznie, że uwierzyli, iż to ich jedyna szansa na przeżycie. Żadnych testów, choćby i przesiewowych, nikt im nie proponuje. Ani ich opiekunom. Przed pandemią słyszeli, że mają się ruszać, ćwiczyć ciało i umysł, nie rezygnować z codziennych rytuałów. Teraz to wszystko skasowano. Każdą z tych rzeczy robimy za nich: dzielni harcerze i sąsiedzi znośzą im zakupy, wyprowadzają psa, gotują. Wizyty u lekarzy odwołane, nowe nie wyznaczane – zresztą ciekawe, jak się teraz to wszystko odtworzy? Kto i jak skontaktuje się z tymi starszymi osobami porejestrowanymi przed miesiącami do poradni? Gasną, niedołączają w swoich domach. Zdalna edukacja, uprawiana od trzech miesięcy w naszym kraju, pozwala chociaż stwierdzić, ilu uczniów zniknęło z systemu, bo nie logują się w elektronicznych dziennikach. Jak sprawdzić, ilu starszych zniknęło nam z horyzontu? Widzę smutne oczy ministra zdrowia, który ma do przekazania tylko tyle, że jeśli będziemy tak dzielni, jak dotąd, to będzie tak dobrze, jak dotąd. Nie mogę tego słuchać. Co dalej, Panie Ministrze?

Kiedy i jak skłoni Pan ludzi starszych do wyjścia z domu? Zamknął Pan ich w czterech ścianach i zapomniał, że tam są. Nawet nie wspomina się o nich podczas konferencji przedstawicieli rządu. Skoro już siedzą, niech siedzą tak dalej. A przecież bez aktywności, towarzystwa, wymuszonych obowiązkami czynności stają się bezbronni. Nie tylko mózg, ale całe ciało potrzebuje bodźców. Potrzebujemy też innych ludzi. Samotność to największa kara. Wiem, że trzeba być odpowiedzialnym i nie narażać starszych na niebezpieczeństwo, ale poszukajmy sposobu, żeby z nimi być, rozmawiać, śmiać się. Nie ograniczajmy się do zostawiania im jedzenia pod drzwiami. Nie o to chodzi w życiu. Szczególnie w ich życiu.

KINGA KONIECZNA

Czytaj także artykuł Małgorzaty Nocuń pt. „Pan tu nie stał” w dziale Kraj.

Autorzy
opublikowanych
listów dostaną
od nas notes
TUROWICZ
na 75-lecie.



TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego
Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ,
Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc,
Michał Okoński, Marek Rabij,
Mariusz Sepiolo, Andrzej Stankiewicz,
Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik),
Marcin Żyła
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek
(kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiatkowski,
Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski,

Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepiolo,
Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoredakcja: Edward Augustyn,
Grażyna Makara (kierownik)
Wydanie internetowe: Ewelina Burda,
Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka,
Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdań, Sylwia Frołow,
Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne:
Maja Kuczmirska (kierownik),
Anna Dziurdziłowska, Marta Filipiuk-Michniewicz,
Monika Ochędowska, Mateusz Gawron,
Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietoniści: Wojciech Bonowicz,
Anna Dziewit-Meller, Szymon Hołownia,
Jan Kłata, Stanisław Mancewicz,
Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus
Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk,
Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata
Chomętowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna
Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła,
Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek,
ks. Tomasz Halik, ks. Michał Heller, o. Wacław
Hryniewicz, Eliza Kačka, Piotr Kłodkowski,
Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota
Kozłiska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka,
Stanisław Łubieński, Szymon Łucy, Józef Majewski,
Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja,
Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena
Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech,
Olaf Osica, o. Wacław Osajca, Jacek Podsiadło,
Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna
Radził, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna
Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Ślawek, Michał
Sowiński, Andrzej Stasiuk, Marcelina Szumer-Brysz,
Paweł Świątek, Jacek Taran, Joachim Trenkner

Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes),
Maja Kuczmirska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków,
ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11,
redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70,
reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83,
prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA



S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”



Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYM ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIAZA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

PAWEŁ

Śpiewak: *Etyka potopu*



O NOEM WIEMY, ŻE ZNALAZŁ ŁASKĘ w oczach Pana. „Był mężem sprawiedliwym, nieskazitelnym w swoim pokoleniu. Noe chodził z Bogiem”. A może to raczej jego otoczenie było tak zepsute, że tylko w takim towarzystwie mógł zostać

nazwany sprawiedliwym? W jednym z midrasz czytamy, że Noe miał przyjaciela króla, który wyświadczył mu przysługę. Trzymał go przez lata w więzieniu, byle tylko Noe nie „zaraził się” powszechną pandemią rozwiązłości. Jakoś wszak trzeba było wytłumaczyć, że akurat on zachował nieco przyswoistości.

Możliwe jest jeszcze inne czytanie tego fragmentu. Wielki Raszi, komentując słowa o sprawiedliwym Noem, zdobył się na ironiczny komentarz, pisząc, o jakiej w ogóle sprawiedliwości tu mowa. W Talmudzie, w traktacie Sanhedryn, mówi się wprost, że wyrok śmierci na Noego był już przypieczętowany, ale coś się Bogu w nim spodobało. To ważny wątek, bo każe nam myśleć o tym, jakimi Bóg kierował się kryteriami, dokonując hurtowej rzezi. Być może było więcej sprawiedliwych, tylko że nie dostrzegł w nich piękna młody jeszcze Bóg.

Ogólne stwierdzenie, że zło panowało wśród ludzi, nie wyklucza jednak przekonania, że wszyscy tak samo ochoczo zhu się poddali. W jednym z midrasz powiada się, że zasady kary i nagrody zmieniły się po tym, jak Izraelici otrzymali Prawa na górze Synaj. „Od czasów, gdy Izrael stanął przed górą Synaj, a Bóg dał im Torę, każdy człowiek, który zgrzeszył, jest karany przez Boga. Przedtem było tak, że jeden mógł zgrzeszyć, a karane było całe pokolenie. W pokoleniu potopu, jak uczą nasi mędracy, było wielu sprawiedliwych, jak Noe, którzy zostali wymazani jak reszta ludzi”. Wynika z tego, że na Synaju zmienia się etyka ludu i etyka Boga. Wcześniej nie każdy był oceniany z osobna i karany wedle swoich postępów, ale mieliśmy do czynienia z odpowiedzialnością zbiorową.

Potwierdza się ta reguła w innych znanych z Biblii sytuacjach. Bóg ukarał jednakowo wszystkich budowniczych wieży Babel, nie oglądając się na indywidualne przymioty poszczególnych osób. Podobnie chciał postąpić w przypadku Sodom. Abraham próbował Bogu wytłumaczyć, że Jego gniew nie może zamykać Go na poszczególnych ludzi. Ale i tak na wiele to się nie zdało.

Czy historia i etyka Boga z czasów potopu albo wieży Babel należy już do przeszłości? A może rzecz w tym, byśmy docenili Torę i Boga, który od czasów Synaju oczekiwał od ludzi większej dojrzałości i samowiedzy etycznej. Wiemy, że Bóg jest niczym skała, Jego dzieła są doskonałe. Tak jest od początku świata, ale etyka odpowiedzialności jednostkowej została odkryta przez Boga znacznie później i ona w nas stale dojrzewa. ©

O. WACŁAW

Oszajca: *Moc ze słabości*



ŁŹE JAK NAOCZNY ŚWIADEK, MÓWI PRZYSŁOWIE. Przekonałem się o tym, gdy będąc świadkiem wypadku drogowego, chciałem jego przebieg opowiedzieć policjantowi i nie umiałem odtworzyć kolejności zdarzeń. Miałem wrażenie, że wszystko działo

się poza czasem, a ja pewnie miałem oczy dookoła głowy i widziałem, co działo się za moimi plecami. Wtedy przyznałem rację przysłowiu. Mówiąc najszczerzą prawdę, szczerze kłamiemy.

Zwykle te poznawczą bezradność traktujemy jako niedoskonałość, wręcz ułomność naszej natury. W rzeczywistości świadomość takiej bezradności jest atutem. Budzi ludzki rozum i serce i nie pozwala im zasnąć. Tym samym nie pozwala człowiekowi na życie w wydumanej światłości. W rezultacie ta nasza ułomność jest naszą siłą, gdyż ośmiela do sięgania, jak mówi Czesław Miłosz, po niemożliwe. Natomiast źle się dzieje z człowiekiem, gdy sobie ubzdura, że nikt, łącznie z Panem Bogiem, nie ma mu niczego sensownego do powiedzenia. Nie bez powodu ks. Tomasz Halík twierdzi: „Największym grzechem historii teologii i nauczania Kościoła jest wyobrażenie, że mówić o Bogu jest bardzo łatwo. Ta lekkomyślność i tania pobożność otworzyły przestrzeń na nieprzebraną ilość naiwnych, komicznych, ale także perwersyjnych czy toksycznych wyobrażeń Pana Boga”. Nie popełni się błędu, dodając, że ta lekkomyślność, bezmyślna pobożność stworzyła „nieprzebraną ilość naiwnych, komicznych, ale także perwersyjnych czy toksycznych wyobrażeń Kościoła”.

Będąc w Warszawie, generał jezuitów Arturo Sosa mówił: „Wszyscy jesteście Ludem Bożym, posiadamy poprzez chrzest tę samą godność oraz misję (...). Przeciwnieństwem takiej wizji jest to, co papież Franciszek wielokrotnie już nazwał grzechem klerykalizmu, czyli podejście uznające, iż wyłącznie elitarna grupa wyświęconych mężczyzn stanowi prawdziwy Kościół i że znajdują się oni w posiadaniu wszystkich odpowiedzi, całej władzy i autorytetu oraz nie potrzebują już słuchać, uczyć się i być pociągani do odpowiedzialności. To właśnie klerykalizm stworzył kryzys nadużyć w Kościele i jedynym sposobem na uleczenie Kościoła jest przezwyciężenie klerykalizmu”.

Ale co to wszystko ma wspólnego z Trójcą Świętą? Jeśli Kościół jest winnym krzewem, a klerykalizm pasożytnicza naroślą, to z wypowiedzi Franciszka i Halíka wynika, że to zwyrodnienie wzięło się z zapomnienia, że modelem chrześcijańskiego życia jest Trójca. Trójjedność, pojednana absolutna różnorodność, czyli Miłość, której przedsmak znamy, jako że każdy z nas jest tym trzecim, który życie otrzymał od tych dwojga. Mówiąc: „w imię Ojca, Syna i Ducha Świętego”, opowiadamy o Bogu, ale i o człowieku, skoro „Jesteśmy z Jego rodu”. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:

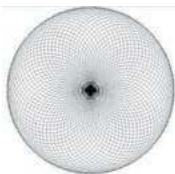
Modlitwa Jezusa

Trzeba się dziwić,
jak płynie wszystko,
co należy do tego świata.

ORYGENES



Wolność od przywiązania
do zjawisk zewnętrznych
nazywa się medytacją,
wolność od wewnętrznych
niepokojów nazywa się
skupieniem.

SZÓSTY PATRIARCHA
ZEN HUI-NENG

„OJCZE ŚWIĘTY, NIE tylko za nimi [apostołami] proszę, ale i za tymi, którzy dzięki ich słowu będą wierzyć we Mnie, aby wszyscy stanowią jedno, jak Ty, Ojczy we Mnie, a Ja w Tobie, aby i oni stanowili w Nas jedno, by świat uwierzył, żeś Ty Mnie posłał” (J 17, 20). To jeden z najbardziej wzruszających fragmentów Ewangelii. Na progu Wieczernika Jezus modli się za wszystkie pokolenia uczniów – za tych, którzy w Niego uwierzą dzięki słowu apostołów. To głęboko poruszające. I zobowiązujące.

Jednocześnie owa modlitwa Jezusowa musi w nas wywołać kilka refleksji i pytań. Jej horyzontem pozostaje bowiem nie tylko nasze (osobiste czy eklesjalne) dobro, lecz ewangelizacja świata. Pragnieniem Jezusa jest, „aby świat uwierzył”. Co jest potrzebne, aby świat uwierzył?

Odpowiedzi padają różne: potrzeba nowych metod; nowego języka; trzeba rozszerzyć się za nowymi narzędziami ewangelizacji; koniecznie trzeba podjąć dialog z ludźmi tam, gdzie oni są – tzn. w internecie; trzeba większej znajomości psychologii, a także warsztatów z przywództwa itd.

Jezusowi – w Jego modlitwie za nas – nie chodzi o to, jakich umiejętności potrzebujemy nabyć, i co jeszcze musimy „zrobić”, „by świat uwierzył”. Jezusowi zależy

na tym, kim (jacy) mamy być. I to nie tyle każdy z nas osobiście, co raczej my razem.

To pewnie rozumiemy, że w ewangelizacji liczy się nie tylko to, co umiem, ale również to, jak żyję i kim jestem. Jakże łatwo jest przecież tym, kim jestem, przeżyć każdą ogłaszaną przeze mnie Dobrą Nowinę. W swej modlitwie Pan nie mówi jednak o konieczności indywidualnego świadectwa każdego z nas; mówi o fundamentalnej potrzebie naszego wspólnego świadectwa: aby stanowili jedno! Wtedy świat uwierzy.

Piszemy pracownice programy duszpasterskie. A potem jeszcze pracownice je realizujemy. Przeprowadzamy wielkie inicjatywy i kongresy ewangelizacyjne. Organizujemy coraz to nowsze i lepsze wydarzenia. I ciągle mamy poczucie „kurczenia się”. Gdzie leży przyczyna? Czy czasami nie w tym, że nawet ewangelizację uczyniliśmy polem swoistych wyścigów i głupiego współzawodnictwa? Ciągłe rywalizujemy: między Kościołami. Między wspólnotami. Między charyzmatami. Między formacjami. Między ruchami. Między parafiami. Między sobą. Każdy z nas gotów jest do wielkiej (i jeszcze większej!) pracy i zaangażowania. Byle osobno, przed innymi. Byle inaczej niż inni. Nawet w Nim nie jesteśmy jedno! Więc świat nie wierzy. Mimo całego naszego umęczenia. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (7 – 21 VI)

Niedziela, Uroczystość Najświętszej Trójcy:

Wj 34, 4b-6. 8-9; Ps: Dn 3, 52-56;

2 Kor 13, 11-13; J 3, 16-18;

Poniedziałek: 1 Krl 17, 1-6; Ps 121; Mt 5, 1-12;

Wtorek: 1 Krl 17, 7-16; Ps 4; Mt 5, 13-16;

Środa: 1 Krl 18, 20-39; Ps 16; Mt 5, 17-19;

Czwartek, Uroczystość Najświętszego Ciała
i Krwi Chrystusa: Pwt 8, 2-3. 14b-16a;

Ps 147B; 1 Kor 10, 16-17; J 6, 51-58;

Piątek: 1 Krl 19, 9a. 11-16; Ps 27; Mt 5, 27-32;

Sobota: 1 Krl 19, 19-21; Ps 16; Mt 5, 33-37;

11. niedziela zwykła: Wj 19, 2-6a; Ps 100;

Rz 5, 6-11; Mt 9, 36 – 10, 8;

Poniedziałek: 1 Krl 21, 1b-16; Ps 5; Mt 5, 38-42;

Wtorek: 1 Krl 21, 17-29; Ps 51; Mt 5, 43-48;

Środa: 2 Krl 2, 1. 6-14; Ps 31; Mt 6, 1-6. 16-18;

Czwartek: Syr 48, 1-14; Ps 97; Mt 6, 7-15;

Piątek, Uroczystość Najświętszego Serca Pana

Jezusa: Pwt 7, 6-11; Ps 103; 1 J 4, 7-16; Mt 11, 25-30;

Sobota: Iz 61, 9-11; Ps: 1 Sm 2, 1. 4-8; Łk 2, 41-51;

12. niedziela zwykła: Jr 20, 10-13; Ps 69;

Rz 5, 12-15; Mt 10, 26-33.

Wybrał PIOTR SIKORA

ZOBACZMY, CO SIĘ Z NAMI STAŁO

Restrykcje związane z epidemią przyjęliśmy,
bojąc się losu północnych Włoch,
a nie z lęku przed autorytetem władzy.
To dobry punkt wyjścia
do zdefiniowania państwa
na nowo.

RAFAŁ MATYJA

TO, CO DOTĄD NAZYWALIŚMY PAŃSTWEM, na naszych oczach traci swą formę. Jeszcze jest w stanie zamknąć granice, ale nie potrafi rozwiązać sprawy wyborów prezydenckich. Wprowadza przepisy stanu nadzwyczajnego, ale nie ma odwagi sięgnąć po odpowiednie, wprowadzone z konstytucji ramy prawne. W konsekwencji zamiast stabilizować sytuację, wytwarza nastrój niepewności. A my możemy się cieszyć, że nie zostaliśmy poddani cięższej próbie, że mogliśmy uczyć się na błędach Włochów i innych narodów.

Tymczasem trudne czasy dopiero nadchodzą. I to niekoniecznie za sprawą zagadki, jaką pozostaje epidemia, ale ze względu na te jej konsekwencje, które już dziś są oczywiste. Co do tego, że ostatnie miesiące zmieniają gospodarke, zgodni są

wszyscy. Nie wszyscy jednak dostrzegają, że zmianom ulegną też relacje społeczne. I nie wiadomo, jak się to przełoży na politykę. Chyba że przyjmiemy, że właśnie się przekłada. Że ważne są nie przyszłe konfiguracje partyjne i to, kto będzie zasiadał w rządzie, ale to, na co się teraz zgodziliśmy, co przyjęliśmy jako uzasadnioną reakcję na stan zagrożenia.

Wprowadzenie wielu ograniczeń z pominięciem procedur określonych w prawie o stanach nadzwyczajnych tworzy drogą faktów dokonanych nowe reguły ustrojowe. A kiedy dodamy do tego sposób przełożenia wyborów prezydenckich – nie tylko bez umocowania w ustawie zasadniczej, ale także bez próby zawarcia porozumienia wszystkich sił parlamentarnych – stanie się jasne, że rozpoczęliśmy dryf w nieznane.

Jego kresem nie jest jakiś dający się precyzyjnie opisać autorytaryzm, lecz chaos. Fantazje na temat nieograniczonej władzy Jarosława Kaczyńskiego zostały zweryfikowane w najbardziej demokratyczny sposób, gdy okazało się, że cofnął się on pod naciskiem niewielkiej grupy posłów uznających argumenty Jarosława Gowina.

Owszem, propaganda PiS-u i kontrolowanych przez niego mediów rozbudza apetyt na rządy autorytarne i tworzy przekonanie, że to stan lepszy niż użeranie się z opozycją – ale tych rządów nie widać. Stan chaosu prawnego i degeneracji instytucji wprowadzony w sądownictwie i w obszarze działania Trybunału Konstytucyjnego to – jak się okazuje – zapowiedź metody rozszerzanej na inne sfery. Po raz pierwszy także na mechanizmy wyborcze.





LUKASZ SZELĄG / REPORTER

Warszawa, 16 maja 2020 r.

Komu opłaca się chaos

Problem w tym, że chaos utrudnia rządzenie samemu PiS-owi. Zastanówmy się nad scenariuszem, w którym zasady wprowadzania restrykcji, ich zasięg, rozwiązania osłonowe i termin wyborów są przedmiotem uzgodnień z opozycją – i postarajmy się ustalić, dlaczego okazał się on niemożliwy.

Przez pierwsze tygodnie epidemii wydawał się przecież całkiem realny. Do momentu, w którym okazało się, że odrzuca go Nowogrodzka. Dla Kaczyńskiego złagodzenie konfliktu z opozycją, skupienie się na walce z pandemią i ustawach chroniących miejsca pracy to stan, w którym jego pozycja ulega marginalizacji. Dlatego uznał, że warto przeciąć wszystkie nici porozumienia absurdalnym konfliktem o wybory. I znaleźć się

znowu w centrum uwagi – nie tylko mediów, ale przede wszystkim polityków własnego obozu. Racjonalność walki z epidemią musiała ustąpić logice konfliktu.

Ruch Kaczyńskiego odsłonił jednak nową realną alternatywę. Nie między obozem władzy i opozycją, ale między dwiema logikami polityki, między dwoma zasadniczymi scenariuszami: pogłębiania się absurdu chaosu i stopniowej racjonalizacji systemu. Można sobie wyobrazić sytuację, w której część opozycji stawia na chaos. Bo jest łatwiejszy i daje – jak zwykle od pięciu lat – złudną nadzieję na szybkie pokonanie wroga. Można też wyobrazić sobie sytuację, w której spora część obozu rządzącego uzna za korzystniejszy – choćby ze względu na powagę sytuacji ekonomicz-

nej i społecznej – scenariusz racjonalizacji systemu.

Za tym drugim przemawia nie tylko doraźna korzyść, jaką jest skupienie się na problemie wychodzenia z kryzysu po lockdownie, ale także perspektywa zmiany władzy w jakiejś dającej się przewidzieć perspektywie. Oczywiście przełomy polityczne są możliwe, ale nadzieja, że po rządach Prawa i Sprawiedliwości nastąpi wielki zwrot tworzący warunki dla zasadniczo lepszej polityki, jest oparta na myśleniu magicznym. Warunki, w jakich będą rządzić następcy PiS-u, rozstrzygają się dziś i opozycja musi być tego świadoma. Bo nawet po roku 1989 lepiej było przejmować ster władzy po rządzie Mięczyśława Rakowskiego, który uruchomił pewne mechanizmy rynkowe i prywatyzacyjne, niż po jego poprzednikach. ➔

→ Każda dobrze skonstruowana instytucja stawiała się atutem w rękach nowego rządu, a każda zepsuta ponad miarę – źródłem poważnych kłopotów.

Antoni Kamiński w opublikowanym pod koniec lat 80. szkicu przekonywał, że każdy element sprzeczny z logiką państwa socjalistycznego daje szansę na erozję systemu i stanowi potencjalny element nowego postkomunistycznego porządku. Wszystko to, co było zgodne z logiką pluralizmu politycznego i wolnego rynku, zasługiwało na szczególną ochronę. W naszym przypadku kluczowe jest jednak dobre opisanie racjonalności przeciwnej logice obecnych rządów, logice konfliktu za wszelką cenę.

Mobilizacja i współpraca

Nowa racjonalność powinna być oparta na trzech elementach. Po pierwsze, na mobilizacji całego systemu instytucjonalnego, obejmującego także organizacje obywatelskie, samorząd i cały sektor publiczny, do walki ze skutkami epidemii i lockdownu. Po drugie, na polityce obliczonej na solidarne ponoszenie kosztów kryzysu, bez prób przerzucania ich na najsłabszych, bez ograniczania praw pracowniczych czy lekceważenia sytuacji prowincji. Trzeci element to świadomość, że rdzeniem państwa – rozumianego jako przestrzeń działań publicznych, a nie domena przemądrzałej partii władzy – muszą stać się nowe procedury komunikacji społecznej. Zamiast przemawiania przez elity do „ciemnego ludu” – korzystanie przez rządzących z wiedzy, jaką dysponuje np. administracja pierwszej linii, i uważne analizowanie sygnałów od organizacji społecznych.

Racjonalność mobilizacji i współpracy jest odwrotnością wprowadzonej przez PiS metody zaostrażania konfliktu i demobilizacji, wyrażonej w słynnym wezwaniu Kaczyńskiego: „popierać i nie przeszkadzać”. Choć oczywiście nie sposób zredukować polityki PiS-u do tej metody, a kilka istotnych korekt wprowadzonych przez obecne rządy – dotyczących np. płacy minimalnej czy 500 plus – powinno stać się elementem szerszego konsensusu politycznego.

Przed powrotem fali

Narzędzia racjonalizacji są w oczywisty sposób bogatsze. Większość sił politycznych i większość komentatorów zrezygnowała np. z dyskusowania kwestii za-

Nadzieja, że po rządach PiS-u nastąpi wielki zwrot tworzący warunki dla lepszej polityki, to myślenie magiczne.

**Warunki, w jakich
będą rządzić następcy,
rozstrzygają się dziś.**

rządzania restrykcjami. Być może uznała, że restrykcje to w zasadzie pochodna apolitycznej walki z wirusem, domena epidemiologów. I z tego przekonania nie wytrąciło jej nawet przywrócenie rozgrywek ekstraklasy piłkarskiej na długo przed zmianami dotyczącymi innych sektorów „przemysłu czasu wolnego”.

To, co powinno stać się przedmiotem gorących dyskusji – czyli sekwencja odmrężania życia społecznego i gospodarczego, restytucji praw obywatelskich – ustępowało dzień po dniu miejsca jałowej dyskusji o dacie wyborów i efektywności działania poczty, popisom umiejętności Jacka Sasina i opiniom ministra zdrowia dotyczącym dopuszczalnych sposobów głosowania.

Dwa ostatnie miesiące spędziłem w zespole pod kierunkiem Michała Możdżenia z Uniwersytetu Ekonomicznego w Krakowie na pracy nad modelem zarządzania restrykcjami, uwzględniającym nie tylko czynniki epidemiczne, ale także społeczne i ekonomiczne konsekwencje tych restrykcji. Ze zdumieniem dostrzegliśmy, że polityka w tym zakresie nie tylko nie jest dyskutowana, ale nikt nie próbuje jej uzasadniać. Zarówno wprowadzanie ograniczeń, jak i ich znoszenie przebiegało w sposób chaotyczny, a najlepszym tego przykładem były opinie kluczowych polityków na temat zasadności noszenia maseczek.

Jeżeli prawdą jest, że epidemia może nawracać i trzeba liczyć się z jej falowaniem – to sprawą numer jeden w debacie publicznej powinno być przygotowanie się na dalsze funkcjonowanie w takich warunkach, bez drastycznych procedur zastosowanych w marcu. Wtedy zapewne nie było innego wyjścia. Dziś nasza wiedza i zrozumienie sytuacji są większe. Byłoby grzechem zaniedbania nie wy-

korzystać tego do przygotowania się na nawrót tej lub nadejście innej epidemii.

Reguły zaufania

Nie da się racjonalizować polityki bez zmiany reguł rządzących zaufaniem – kto komu i w jakim zakresie ufa.

To one zawsze wytyczają ramy faktycznego porządku ustrojowego, sposób odczytywania konstytucji pisanej. Na początku lat 90. podstawową przesłanką faktycznego ustroju była – wbrew liberalnym hasłom i demokratycznym pozorom – nieufność wobec społeczeństwa i spontanicznej samoorganizacji, a także wobec partii politycznych. Zmieniło się to wraz z pozornie niewiele znaczącą i niewpisaną do konstytucji zmianą mechanizmu ich finansowania oraz z ustanowieniem nowej osi podziału: PO–PiS w miejsce historycznego konfliktu obozu postkomunistycznego z postsolidarnościowym.

Tymczasem wzajemna nieufność obu partii, wywodzących się ze zantagonizowanych skrzydeł obozu postsolidarnościowego, osiągnęła poziom nieznany w latach 90. Jeszcze w początkach konfliktu możliwe były polityczne narady Lecha Kaczyńskiego z Donaldem Tuskiem, które doprowadziły do przedterminowych wyborów w 2007 r. Dziś podobne rozmowy w sprawie nieporównanie bardziej dramatycznej, jaką było przeprowadzenie wyborów prezydenckich po wybuchu epidemii, okazały się niemożliwe. Konflikt na osi PO–PiS stał się czynnikiem rozkładu zaufania w całej wspólnotie politycznej, rzutując na relacje rządu z samorządem, sposób funkcjonowania ciał przedstawicielskich, wzmocnienie stronniczości mediów.

Podczas walki z epidemią dała o sobie znać inna, od dawna zapisana w naszym politycznym DNA nieufność: sprawiła ona, że ustanowiono bardzo szeroki zakres spraw, które muszą być regulowane przy pomocy norm ustawowych, a nie aktów prawnych niższego rzędu. W normalnych warunkach oznacza to tyle, że większa część regulacji przechodzi przez parlament. W warunkach kryzysu może prowadzić do paraliżu, nie pozwalając na szybkie i adekwatne reakcje na poziomie regulacji rządowych. W rezultacie parlament musiał w trybie ekspresowym uchylać obszerne ustawy tarczowe, nie mając szans na przemyślenie możliwych konsekwencji tych działań. Zwłaszcza że

styl pracy parlamentarnej wprowadzony przez PiS sprowadził Sejm do roli maszyny do głosowania.

Uspołecznienie z musu

W sferze zaufania zaszły także inne daleko idące zmiany. Niektóre nadciągały od dłuższego czasu. W ostatnich latach spadło zaufanie do rynku jako dobrego regulatora usług publicznych – zdrowotnych, oświatowych czy nawet transportowych. Coraz lepiej zdawaliśmy sobie sprawę z zawodności tej logiki w organizowaniu sektora publicznego, nie mieliśmy jednak odwagi podjąć działań uspołeczniających ten sektor. W chwili kryzysu zrobiliśmy nagle wielki skok: zaufano nauczycielom i rodzicom, że są w stanie udźwignąć – niemal bez pomocy państwa – koszty nauczania zdalnego w całym szkolnictwie. Założono, że użyj do tego prywatnego sprzętu komputerowego, opłacanych z własnych środków łącz internetowych, kupowanego z prywatnych środków oprogramowania.

W tym samym czasie ponad podziałem rząd-opozycja zaakceptowano ogromną skalę pomocy państwa dla podmiotów komercyjnych. Czy można wyobrazić sobie pasywną obojętność władz publicznych wobec długów szpitala, problemów jakiejś szkoły czy gminy w momencie, gdy wielomilionowa pomoc trafia do potężnych przedsiębiorstw? Uruchowienie znaczącej pomocy dla sektora prywatnego będzie musiało wpłynąć na zmianę postawy władz wobec instytucji publicznych, o ile znajdą się one w tarapatkach bez własnej winy. To trudne wyzwanie, bo zamiast skupiać się na tym, komu lub czemu nie ufamy, trzeba teraz stwierdzić, komu lub czemu możemy zaufać. I to nie jako jednostki, ale jako instytucje.

Polityczna kropka nad „i”

Gwałtowne zmiany w mechanizmach zaufania nie mogą pozostać bez konsekwencji ustrojowych – znacznie istotniejszych niż wahające się słupki sondażowego poparcia. Oczywiście każda zmiana posługuje się własnymi symbolami, potrzebuje nowych liderów, sztyldów i haseł. Ale nie liderzy są jej istotą. Pojawienie się nowej racjonalności wymuszonej przez realia walki z epidemią wymaga postawienia politycznej kropki nad „i”.

Zmienić się musi przede wszystkim sposób kształtowania polityk publicznych, nawet jeśli nie uda się tego połą-

czyć z naprawą świata „czystej polityki”. Regulacja sfery publicznej nie może się dalej odbywać w dzisiejszym „wesołym miasteczku”, czyli w trójkącie między Pałacem Prezydenckim, Sejmem i siedzibą premiera. A właściwie w czworokącie – odkąd głównym punktem decyzyjnym stało się biuro na ulicy Nowogrodzkiej.

Jak do tego dojdzie – zależy od dynamiki sytuacji społecznej, sygnałów ekonomicznych i epidemicznych z zagranicy, a także w jakimś stopniu od politycznych umiejętności nowego pokolenia polityków. Jednak znacznie istotniejsza niż zmiany na scenie politycznej wydaje się szansa nowego zdefiniowania podmiotu politycznego, który rozumieliśmy dotąd na sposób bardzo staroświecki: państwa odziedziczonego po epoce nowożytnej i poddanego nowoczesnej obróbce.

Sposób, w jaki przyjęliśmy restrykcje, nie był oparty ani na autorytecie władzy, ani na obawie przez sprawnymi mechanizmami kontroli. Kiedy spiszymy kronikę wypadków pierwszych miesięcy roku, zobaczymy, w jak absurdalny sposób stosowano kary, jak mało spójnie wprowadzano restrykcje i jak niepewna była reakcja na pierwsze sygnały o epidemii. Na dyscyplinę społeczną bardziej wpłynęły medialne obrazy katastrofy epidemicznej we Włoszech i innych państwach. Dynamika, o której wspominałem, to przede wszystkim proces dochodzenia opinii publicznej do pewnych wniosków, formułowania narracji opisujących to, co się stało, i propozycji dróg wyjścia.

Paradoksalnie – wbrew prorocztwom o nawrocie narodowych partykularyzmów – po raz pierwszy uczestniczymy w tak długim, globalnym wydarzeniu, stojąc w zasadzie po jednej stronie. Podlegając podobnym obostrzeniom, dzieląc te same lęki i niewygody. I – choć tego nikt nie wypowiedział głośno – uznając legity-

mizację wielu restrykcji także dlatego, że podobnie postępują inne kraje. I wspólnie bojąc się losu północnych Włoch. Ta uogólniona legitymizacja wystarczy, aby zostać w domu, ale nie jest źródłem autorytetu władzy w tworzeniu nowych reguł życia publicznego.

Nowe reguły nie mogą pomijać ani doświadczenia walki z epidemią, ani doświadczenia samoorganizacji procesów oświatowych, działań pomocowych, zgodnego wycofania się do domów. Nie mogą też lekceważyć dotkliwych strat, jakie ponieśli ludzie prowadzący firmy usługowe i gastronomiczne oraz ich pracownicy. To jest realny fundament nowego ładu publicznego, w którym rząd w większym niż dotąd stopniu musi się liczyć z zachowaniami partnerów społecznych, musi nawiązać współpracę z samorządem terytorialnym, porzucając postawę przemądrzałego wujka, który trzyma rodzinną kasę. Powinien uczyć się zmiany, którą sam pod wpływem obaw przed pandemią wprowadził.

I zmiany tej powinniśmy uczyć się wszyscy, tworząc przestrzeń publiczną lepiej skomunikowaną i opartą na wzajemnym rozumieniu się. Z instytucjami gotowymi na współpracę, z bardziej empatycznymi politykami, z większą gotowością adaptacji do nowych realiów. Epidemia rozpoczęła trudne czasy. Stare państwo i logika partyjnej wojny prowadzą nas w otchłań chaosu i bezradności. Państwowe instytucje są słabsze, niżby to wynikało z buńczucznych przemówień premiera. Alternatywą dla chaosu – takiego jak ten wokół wyborów prezydenckich – jest tworzenie wysp racjonalności. A gdzieś u podstaw przyszłego myślenia i działania – nowe sformułowanie interesu publicznego, uwzględniające doświadczenie ostatnich trzech miesięcy.

© RAFAŁ MATYJA

POZEGNANIE

Andrzejowi Stankiewiczowi

wyrazy serdecznego współczucia z powodu śmierci

Ojca

składają

REDAKCJA I WYDAWNICTWO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”



MAGDA PASIEWICZ / EAST NEWS

Uniwersytecki Szpital Kliniczny podczas ćwiczeń na wypadek wystąpienia koronawirusa. Wrocław, marzec 2020 r.

Pan tu nie stał

MAŁGORZATA NOCUŃ

Służba zdrowia powinna powoli wracać do normalności. Jest na to tak samo niegotowa, jak niegotowa była na pandemię.

W TAKIM CZASIE MEDYCYNĄ PRZESTAWIA SIĘ na tryb wojenny. Lekarze wiedzą, że nie pomogą wszystkim. To tak, jakby się chodziło po polu bitwy. Walka się skończyła, trzeba dokonać rozstrzygnięć i pomóc tym, których szanse na przeżycie oceniamy jako najwyższe. Nie można się też przejmować „drobniejszymi” kontuzjami: jeśli komuś urwało rękę, trzeba się pogodzić z faktem, że nie czas na transplantację, a tylko na zahamowanie krwawienia.

Bezradni są pacjenci i lekarze. Pacjenci, którym nagle przełożono termin wi-

zyty u specjalisty, pytają, co robić. Kilka miesięcy, czasem lat czekania w kolejce do urologa, ortopedy, laryngologa, endokrynologa – i co teraz? Lekarz prywatny? Lekarz dyżurny w Szpitalnym Oddziale Ratunkowym przyjmie jedynie pacjentów, u których występuje zagrożenie życia. Wtedy zleci odpowiednie badania i jeśli wystąpi konieczność, skieruje na oddział. Jak postąpić z dzieckiem, które długo czekało na badania kontrolne? Lekarze, których oddziały specjalistyczne zamieniono na „covidowe” lub obserwacyjne, mają podobny problem. Świadczą

jedynie usługi ambulatoryjne. Co począć z pacjentem, który kwalifikuje się do hospitalizacji?

Lepszy Kowalski, gorszy Nowak

W przededniu epidemii placówki medyczne przestawiły się na tryb nadzwyczajny.

Powstawały szpitale jednoimienne przeznaczone dla pacjentów z potwierdzoną infekcją SARS-CoV-2 lub z objawami sugerującymi to zakażenie. W innych szpitalach wydzielono strefy „czyste” i „covidowe”, budowano specjalne śluzy i ścianki oddzielające pacjentów zakażonych i opiekujących się nimi personel od cierpiących na inne dolegliwości. Oddziały intensywnej terapii zaopatrywano w dodatkowy sprzęt do wentylacji i specjalistyczną odzież ochronną. Lekarze śledzili doniesienia z Włoch, bali się, że może dojść do sytuacji, w której nie uda im się udzielić pomocy wszystkim. Trzeba będzie zastosować triaż, czyli segregację. W tej procedurze wybiera się

chorego, który rokuje najlepiej, i jego się ratuje.

Polska – szczęśliwie – nie podzieliła losu Włoch. Lekarzom towarzyszą jednak obciążające dylematy moralne, choć nie muszą decydować, kto otrzyma respirator i kto zakwalifikuje się do elitarniej procedury pozaustrojowego natlenowania krwi. W Polsce powstały grupy pacjentów uprzywilejowanych i tych, którzy otrzymają pomoc w drugiej kolejności – czyli późno albo nawet za późno. Niektórzy w kolejkach po prostu umrą. Niby w polskiej służbie zdrowia to nic nowego, ale teraz musi wybrzmieć ważne pytanie: jaka będzie skala zjawiska?

– Mamy się zabawić w Pana Boga i zdecydować, który pacjent jest pilniejszy: Kowalski czy Nowak? Jak mamy to zrobić? Wyciągnąć jeszcze raz skierowanie i ocenić diagnozę lekarza kierującego? W naszym zawodzie nie wolno sugerować się dokumentacją, pacjenta należy ocenić indywidualnie, dokładnie ta sama choroba może w zupełnie inny sposób przebiegać u różnych osób. A co zrobić, jeśli szpital nie posiada przychodni? Gdzie można takiego pacjenta zbadać i na nowo ocenić jego stan kliniczny? Gdzie wykonać badania dodatkowe niezbędne do hospitalizacji? – pyta lekarz ze śląskiego szpitala.

W marcu szpitale ograniczyły planowe przyjęcia i liczbę wykonywanych operacji. Na przykład: duży szpital w województwie małopolskim, oddział chirurgiczny. Przed epidemią wykonywano tu około dziesięciu operacji dziennie. W przededniu epidemii ograniczono ich liczbę do pięciu (najcięższe przypadki). Z obawy przed zakażeniem personelu zredukowano też jego liczbę na dyżurach. Lekarze, pielęgniarki, rehabilitanci pracowali w trybie wahadłowym. Kolejka oczekujących na przyjęcie znacznie się wydłużyła. – Jeśli nie zaczniemy tych ludzi hospitalizować, obawiam się, że ich stan znacznie się pogorszy – mówi lekarz proszący o zachowanie anonimowości.

Podobnie sytuacja wygląda w wielu polskich placówkach. W kolejkach czekają pacjenci „neurologiczni”, „kardiologiczni”, „ortopedyczni”. – Mam prawie trzysta przypadków pacjentów, którym powinienem szybko znaleźć miejsce na oddziale. Czekanie może doprowadzić nawet do śmierci – mówi kardiolog z Małopolski.

– U nas czas oczekiwania na wizytę w poradni endokrynologicznej to ponad

dwa lata – informuje lekarz ze szpitala na Śląsku. Placówki nie mogły liczyć na pomoc rządu. W wielu regionach z dnia na dzień zamknięto tzw. oddziały wąskospecjalistyczne, czyli: dermatologiczne, laryngologiczne, psychiatryczne, endokrynologiczne. Pacjenci, którzy czekali w kolejce na przyjęcie od wielu miesięcy, nagle dowiedzieli się, że świadczenie nie zostanie zrealizowane. Mogłoby się wydawać, że pomoc endokrynologa czy psychiatry nie jest tak pilna, jak leczenie COVID-19. To nieprawda: np. liczne choroby endokrynologiczne mogą rozregulować cały organizm (a nawet doprowadzić do śmierci), pacjent zaś w stanie ostrej psychozy może popełnić samobójstwo lub zagrozić własnemu otoczeniu.

– Czuję się zupełnie bezradna – mówi matka bliźniąt, skrajnych wcześniaków. – Moje dzieci miały mieć zbadany wzrok w marcu, z trudem załatwiłam wizytę na czerwiec. O USG mózgu nie mogę się doprosić.

Retinopatia wcześniacza może doprowadzić do dużej wady wzroku. A niewykonanie USG przezciemniaczkowego w terminie wiąże się z koniecznością przeprowadzenia pogłębionej diagnostyki pod narkozą (z wiekiem ciemniaczko się zarasta).

Na własne ryzyko

Lekarze najbardziej boleją nad faktem, że Ministerstwo Zdrowia ani żadna instytucja (np. NFZ) nie opracowały rekomendacji, standardów, wytycznych, nie wydały rozporządzeń dotyczących trybu przyjmowania pacjentów cierpiących na inne schorzenia. Ambulatoria i zakłady Podstawowej Opieki Zdrowotnej działały na własną rękę.

– Wolna amerykanka. Powstał bałagan, który tylko generuje kolejne zakażenia – mówi pracownik służby zdrowia ze Śląska.

W czasie epidemii nie przyjmowała większość przychodni przyszpitalnych, pacjentów nie kwalifikowano do dalszej diagnostyki i operacji. Oni też teraz „staną” w kolejce. A przychodnie będą przyjmować mniejszą liczbę chorych – wciąż trzeba przestrzegać reguł „reżimu sanitarnego”, wszystkie strefy potencjalnie zakaźne, czyli: droga, którą przemierzył pacjent, rejestracja, gabinet, należy zdezynfekować przed wejściem każdego kolejnego chorego. Niektóre ambulatoria przyszpitalne przez telefon udzielały

pomocy pacjentom stabilnym, przyjmowały jedynie tych „pilnych”. Ale i tak nie mogły w pełni udzielić pomocy, niemożliwe było (i często wciąż nie jest) wysłanie materiału do badania histopatologicznego lub cytologicznego. Laboratoria i pracownie specjalistyczne w czasie epidemii nie świadczyły takich usług dla poradni przyszpitalnych i specjalistycznych. Świadczenia te w ograniczonym zakresie wciąż wykonywane są na Śląsku.

Podobnie było z poradniami patologii ciąży przeprowadzającymi badania płodu (pozwalają wykryć wady rozwojowe na wczesnym etapie i podjąć interwencję nawet w łonie matki). Pracownicy poradni informowali pacjentki, że przychodzą do szpitala „na własne ryzyko”. Wiele z nich nie zaryzykowało, na badanie zgłasza się teraz.

– Nie możemy zachowywać się tak, jakby jedynymi chorymi byli pacjenci zakażeni COVID-19. Ci „inni” to osoby, wobec których podjęliśmy już zobowiązania, rozpoczęliśmy diagnostykę i zakwalifikowaliśmy do leczenia – mówi prof. Paweł Łuków, specjalista m.in. w zakresie etyki klinicznej, kierownik Zakładu Etyki Instytutu Filozofii UW.

W czasie „zwykłym” reguły są jasne: o przyjęciu pacjenta na oddział powinna decydować kolejność zgłoszeń i stan kliniczny. Niekiedy lekarze kierują się wyłącznie stanem pacjenta – w pierwszej kolejności udzielają pomocy choremu, którego życie jest zagrożone.

Epidemia to nie czas na leczenie drobniejszych dolegliwości, nawet jeśli wiąże się z cierpieniem. Trzeba dokonać wyboru, komu pomaga się w pierwszej kolejności. – Mamy teraz spojrzeć w te sterty skierowań i zastanawiać się, kogo przyjąć: pacjenta z przypadkowo rozpoznany guzem nadnercza, a może pacjentkę w wieku 37 lat, po pięciu poronieniach lub niepowodzeniach położniczych, która bardzo chciałaby jeszcze zostać matką – mówi prosząca o zachowanie anonimowości lekarka. – Ktoś na tym musi ucierpieć.

Prof. Łuków: – W trybie „zwykłym” fakt, że pomożemy pacjentowi X, nie oznacza, że nie udzielimy pomocy Y. Inaczej jest podczas epidemii, służba zdrowia dysponuje ograniczonymi zasobami: jest mniej miejsc na oddziałach, brakuje personelu, sprzętu, leków, dlatego niejednokrotnie fakt, że pomożemy pacjentowi X, oznacza, że nie pomożemy Y.

→ Profesor Łuków codziennie śledzi doniesienia medialne i stara się z nich dowiedzieć, czy stworzono wytyczne postępowania dla ochrony zdrowia. Odpowiedź brzmi: nie.

Zniknięcie z radaru

Koronawirus sprawił, że kolejki do specjalistów wydłużyły się nawet o kilkuset „dodatkowych” pacjentów. Niewydolny system stał się jeszcze bardziej niewydolny.

– Epidemia trwa już prawie trzy miesiące. Pacjenci, którzy w marcu nie kwalifikowali się do natychmiastowego przyjęcia na oddział, dziś mogą być już pilnymi przypadkami. Przecież nie wiemy, co się z nimi w tych kolejkach dzieje, nikt tego nie sprawdza, nie monitoruje. Odraczanie leczenia zawsze niekorzystnie wpływa na jego przebieg – mówi dr hab. Jerzy Jaroszewicz, kierownik Oddziału Obserwacyjno-Zakaźnego i Hepatologii Szpitala Specjalistycznego nr 1 w Bytomiu.

W ten sposób ogromna część pacjentów zniknęła z radaru lekarzy. Odmrażanie służby zdrowia przypomina balansowanie między pracą w trybie wyjątkowym a powrotem do czasu sprzed epidemii. – Chcielibyśmy wrócić do normalności, w której szpitale jednoimienne po prostu nie były potrzebne – mówi prof. Jerzy Wordliczek, anestezjolog, kierownik Kliniki Intensywnej Terapii Interdyscyplinarnej Uniwersytetu Jagiellońskiego Collegium Medicum. – Ale boimy się, że epidemia może powrócić, przecież podstawową jej cechą jest nieprzewidywalność.

Szpital Uniwersytecki w Krakowie otwiera przyszpitalne przychodnie, zabiegi i operacje będą wykonywane na szerszą skalę, do tej pory pomagano przede wszystkim pacjentom „pilnym” (operacje onkologiczne, interwencje kardiologiczne, neurologiczne, medycyna urazowa).

Kliniczny Oddział Anestezjologii i Intensywnej Terapii, którym kieruje prof. Wordliczek, pozostaje w pełnej gotowości. – Ograniczymy liczbę łóżek w części „covidowej” oddziału intensywnej terapii, ale pozostawimy zabezpieczenia, które powstały w przededniu epidemii: służy oraz specjalne ścianki pomiędzy częścią czystą i „covidową” – mówi prof. Wordliczek. Kierowany przezeń oddział jest wyposażony w sto respiratorów, obecnie hospitalizowanych jest na nim

Gdy urzędnicy „odmrażają” kraj, krakowscy neonatolodzy organizują charytatywny maraton zumbi w sieci,

by zdobyć środki na odzież ochronną dla rodziców, którzy zaczną odwiedzać oddział.

dziesięciu pacjentów zakażonych koronawirusem.

O losach cierpiących na inne schorzenia niż COVID-19 zadecyduje czynnik ludzki. To, jak zachowywały się i zachowują poszczególne szpitale, zależy w dużej mierze od dyrekcji. Jeśli pochodzą z nadania politycznego i nie wsłuchują się w głosy lekarzy, to utrudniają im pracę. Takie szpitale wciąż będą spalizowane.

Epidemia pokazuje, że dobrze radzą sobie placówki, które wykazały się samoorganizacją. Potrzebowano odpowiednich przepisów: tworzone je – opierając się na doświadczeniach innych państw – w pośpiechu, na własną rękę. Specjalistyczne maseczki? Szyto je, wykorzystując filtry do odkurzacza. Budowa na terenie szpitali tzw. stref, dróg „czystych” i „brudnych” (przeznaczonych dla pacjentów zakażonych i cierpiących na inne schorzenia), konstruowanie namiotów wstępnej selekcji sanitarnej? Bywało, że dyrekcje angażowały do pomocy nawet straż pożarną.

Epidemia doprowadziła do zamknięcia oddziałów neonatologicznych i pediatrycznych w całym kraju. Przez przeszło dwa miesiące rodzice nie mogli odwiedzać swoich dzieci, informacje o stanie ich zdrowia (czasem zbliżającej się śmierci) uzyskiwali przez telefon. – Planujemy wpuszczać na oddział jednego z rodziców dziecka na pół godziny dziennie – mówi prof. Ryszard Lauterbach, kierujący Oddziałem Klinicznym Neonatologii Szpitala Uniwersyteckiego w Krakowie.

Kilka miesięcy temu kierowana przezeń jednostka z własnych środków (pożyczonych m.in. dzięki Fundacji Neonatus) kupowała odzież ochronną i maseczki dla personelu. Dziś specjalne ma-

seczki i odzież są potrzebne rodzicom odwiedzającym dzieci, bez nich otwarcie oddziału jest niemożliwe. Więc gdy urzędnicy „odmrażają” kraj, krakowscy neonatolodzy organizują charytatywny maraton zumbi w sieci, by zdobyć środki.

I co z tego?

Śląsk jest regionem najmocniej dotkniętym epidemią, ale Jerzy Jaroszewicz apeluje do dyrektorów placówek medycznych: „Wychodźcie do pacjentów”. Żeby jednak zacząć przyjmować wszystkich chorych, należy najpierw zabezpieczyć szpitale. Zdaniem Jaroszewicza można to uczynić w jeden sposób – powszechne testy na COVID-19. Bez nich „odmrożenie” służby zdrowia jest niemożliwe i może być niebezpieczne.

– Podczas przyjęcia pacjenta na oddział przeprowadzamy wywiad: mierzymy temperaturę ciała, staramy się określić, czy pacjent pochodzi z grupy ryzyka. Tylko co z tego? Chory może nie mieć objawów, może się też wydawać, że nie miał gdzie i od kogo się zarazić, ale się zaraził – mówi Jerzy Jaroszewicz. – Jednoznaczna odpowiedź daje tylko test.

Testów wciąż przeprowadza się bardzo mało. Dyrektorzy szpitali i tak kupują ich więcej, niż mówią zalecenia. Wiedzą, że wydatek nie zostanie zrefundowany, ale uważają, że to mniejsza strata w budżecie niż zamknięcie szpitala. W razie zakażenia personelu szpital lub oddział zostanie poddany kwarantannie, a pacjentom (często w ciężkim stanie) trzeba będzie znaleźć miejsce w innych placówkach.

Inny problem to czas oczekiwania na wynik testu: wciąż dwie, trzy doby. A chorobę jest nieprzewidywalna. Dr hab. Jaroszewicz: – Wiemy, że podeszły wiek, współistniejące choroby mogą zaostrzyć przebieg. Ale właśnie hospitalizuję górnika, który jest poniżej 50. roku życia, nie cierpi na przewlekłe choroby serca czy płuc, a niestety jest w stanie ciężkim.

Kolejny problem to skala epidemii. Tej zupełnie nie znamy. Na Śląsku przeprowadzono badania przesiewowe górników, u 17 proc. test wyszedł pozytywny. – Jestem jednak pewien, że gdybyśmy przeprowadzili analogiczne badania w podobnych grupach ryzyka w innych regionach kraju, otrzymalibyśmy zbliżone wyniki – mówi dr hab. Jaroszewicz. – Większość z zakażonych górników nie zdradzała bowiem żadnych objawów choroby.

© MAŁGORZATA NOCUN

Z latarką w nieznane

NATALIA HATAŁSKA,
ANALITYCZKA TRENDÓW:

Nie możemy podchodzić do przyszłości na zasadzie: „przetrwajmy to, co dzieje się teraz, i wróćmy w stare koleiny”. Nawet jeśli zagrożenie zniknie, to przez ten czas wytworzymy sobie nowe problemy.

EWELINA BURDA: Żyjemy dziś w nowej rzeczywistości?

NATALIA HATAŁSKA: Zdecydowanie tak.

I jaka ona jest?

Bardzo dynamiczna, dzieje się z dnia na dzień – codziennie powinniśmy akceptować to, co jest tu i teraz. Myśleć, co możemy zrobić, żeby funkcjonować w niej z komfortem.

To chyba nie w naszym stylu – chcemy raczej wiedzieć, jak będzie, kiedy „to wszystko” się wreszcie skończy.

W zachodnim świecie nie umiemy żyć tu i teraz. Albo żyjemy przeszłością, albo przyszłością, na którą patrzymy →

NATALIA HATAŁSKA jest analityczką, trendwatcherką, autorką projektów badawczych. Założycielka i CEO infuture.institute – instytutu badań nad przyszłością. Autorka bloga hatałska.com oraz książek „Cząstki przyciągania” i „Far Future. Historia jutra”.

→ w sposób dystopijny. Trudno przychodzi nam akceptowanie rzeczywistości w danym momencie. Kiedy zaczęła się izolacja, sama zakładałam, że wytrzymamy tydzień czy dwa i wrócimy do normalności.

Ale nie wróciliśmy.

Pewne jest, że nie ma powrotu i mamy już tylko nowy początek. Opowiem pani moją historię osuwania nowej rzeczywistości. 29 marca miały się odbyć w Gdyni mistrzostwa świata w półmaratonie, miałam też wtedy sama po raz pierwszy go przebiec. I zostały odwołane. Stwierdziłam, że mimo wszystko pobiegnę – zrobię dokładnie tę samą trasę w zamkniętym mieście. Padał śnieg, wiał wiatr, było zimno. Gdy biegłam, przypominały mi się sceny z filmu „Vanilla sky”, nikogo nie było na ulicach. To miało dla mnie taki wymiar symboliczny – rzeczywistość jest nowa, a ja muszę ją zaakceptować.

Nasz styl życia się teraz zmienia?

W tym momencie tak, wymuszają to różne czynniki: byliśmy zamknięci w domach, część z nas straciła pracę lub ma obniżone pensje. Przestaliśmy więc wychodzić do kina, do restauracji, gotujemy więcej w domu, nie możemy kupować takiej ilości rzeczy jak wcześniej. Ale nasz styl życia oparty jest na konsumpcjonizmie, cała nasza gospodarka funkcjonuje na ciągłym wzroście. W długiej perspektywie – jeśli nie pojawiają się inne czynniki globalne czy gospodarcze – nasz styl życia się nie zmieni. Kiedyś wrócimy do konsumpcji w wymiarze sprzed pandemii.

Długa perspektywa – czyli jaka?

To zależy, jak na nią patrzymy. W prognozowaniu trendów to powyżej 20 lat. Ale dla nas dzisiaj to pewnie około trzech lat, biorąc pod uwagę, jak dynamicznie sytuacja się zmienia.

Jak się w tej nowej rzeczywistości teraz odnaleźć?

W infuture.institute, gdzie badamy trendy, od połowy marca rozmawialiśmy o tym z konsumentami i przedsiębiorcami. Tych pierwszych pytaliśmy o skłonność do zmiany, o ich zachowania w różnych kategoriach zakupowych przed pandemią, w trakcie i po niej, a przedsiębiorców o największe wyzwania. Ich odpowiedzi zderzyliśmy w raporcie „Renewed reality”.

Lubimy mówić,
że świat się zatrzymał,
że teraz będzie już tylko
lepiej, a w kanałach
Wenecji już zawsze
będą pływały delfiny.
Wiemy, że to nieprawda.

I co się zmieniło?

Mamy rewolucję w handlu, edukacji, systemie zdrowia, w znanych nam schematach pracy. Na krótkim dystansie widać zmiany w dziedzinach, które wskazują na ograniczenie konsumpcjonizmu: np. ludzie sobie uświadamiają, ile rzeczy posiadają. O cztery punkty procentowe wzrósł odsetek osób, które zadeklarowały, że będą używać przedmiotów, które mają w swoim najbliższym otoczeniu, i nie będą kupować nowych. Przed pandemią było to 8 proc., w trakcie lockdownu wzrosło do 12 proc. Z deklaracji badanych wynika, że po pandemii będzie wynosił 11 proc. Ludzie chcieliby zostać z tą zmianą. Rośnie też wskaźnik tendencji do oszczędzania.

A Polacy oszczędzają mało.

Obecna sytuacja uświadomiła nam, że bufor finansowy jest jednak potrzebny. I większa liczba ludzi jest skłonna do oszczędzania – na poziomie deklaracji, bo trudno powiedzieć, jak to będzie w rzeczywistości. Przed pandemią odkładanie min. 10 proc. zarobków deklarowało 33 proc. Polaków, w trakcie pandemii – 38 proc. Po pandemii odsetek ten spada, ale wciąż jest wyższy niż deklaracje sprzed lockdownu.

Podczas epidemii zostaliśmy zderzeni z pracą zdalną na niespotykaną do tej pory skalę.

I nie chcemy tego przedłużać. Utrzymanie *home office* w bardzo dużym stopniu deklaruje tylko 4 proc. naszych badanych.

Dlaczego?

Praca zdalna spowodowała, że zatarła się granica między czasem wolnym a obowiązkami służbowymi. Część osób nie ma możliwości komfortowej pracy zdalnej – rodziny mieszkają w małych mieszkaniach, obok zdalnie uczą się dzieci, dzieje się życie rodzinne. Nie mówiąc już o sytuacjach trudnych czy przemocowych w domach.

Z perspektywy pracodawców praca zdalna działa dobrze.

Od kilku lat mamy silny trend, który zakłada redefinicję pracy. I on teraz bardzo przyspieszył: epidemia to potężny impuls do digitalizacji. Dla wielu może stać się rozwiązaniem stałym, nie tylko awaryjnym.

Giganci technologiczni jak Twitter zapowiadają, że pracownicy nie muszą wracać do biur w ogóle. Facebook przedłużył czas pracy zdalnej do 2021 roku. Dla pracodawców to są też duże oszczędności na kosztach utrzymania biura. One całkowicie nie znikną, ale będą się zmieniać. W zeszłym roku wydaliśmy raport o przyszłości biur i pisaliśmy o idei *hot desk*, tzw. gorących biurek. To trend, który też był z nami przed pandemią, ale teraz jeszcze urosł: zakłada, że w biurze będzie określona liczba biurek do swobodnego korzystania, nie przypisana, jak teraz, do konkretnej osoby. Praca zdalna będzie więc stałym elementem.

Jakie jeszcze trendy zyskały na sile?

Na pewno lokalność – trend, który zakłada, że to, co bliżej nas, jest bardziej wartościowe, autentyczne, a wsparcie dla lokalnych przedsiębiorców jest ważne i coraz popularniejsze. To trend, który rósł także przed pandemią. W szerszym kontekście jest odpowiedzią na procesy globalizacyjne, które bardzo dużo nam dały, ale też spłaszczyły nam świat. Niezależnie od tego, gdzie na świecie jesteśmy, kupujemy te same produkty, korzystamy z tych samych technologii, śpimy w identycznie urządzonej hotelach.

Pandemia spowodowała też przerwanie łańcuchów dostaw, które są długie i skomplikowane. Choć przecież już wcześniej



NATALIA I MACIEJ PODYMA

opowiedzą Grzegorzowi

Chłascie o tym, jak wysiać własną tęgę i w czym jest ona lepsza od trawnika (więcej w dodatku „Chwalcie łaki” dołączonym do tego wydania) w środę 3 czerwca o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podcastach na stronie internetowej radia. Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM | Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM | Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM oraz na Mazowszu i w Warszawie – www.rdc.pl

możliśmy dostrzec i zrozumieć, że nie powinniśmy zamawiać jedzenia z odległości większej niż sto kilometrów od miejsca zamieszkania.

Wiele rzeczy zniknęło nam z pola widzenia przez pandemię, spadły na dalsze miejsca w skali ważności tematów.

Bardzo zmieniło się podejście do dużego globalnego trendu *life after plastic*, życia po plastiku, głównie z perspektywy konsumentów. Przed pandemią stawał się istotny dla coraz szerszych grup – rezygnowaliśmy z plastikowych słomek, reklamówek, jednorazowych kubków. Ubiegły rok cały był o tym: żeby wyeliminować plastik. I co się wydarzyło? Przyszła epidemia i zaczęliśmy używać ogromnej ilości rękawiczek, reklamówek, plastikowych worków, ponieważ bezpieczeństwo jest dla nas najważniejsze.

Wczoraj na stacji benzynowej płaciłam kartą, musiałam wbić PIN – zostałam poproszona przez obsługę, żeby założyć foliowe rękawiczki. Użyłam ich przez dwie sekundy, a będą rozkładać się setki lat. Jeśli chodzi o maseczki, to zaakceptowaliśmy te wielorazowe, pierzemy je. Dlaczego nie robimy tego z rękawiczkami? Mogliśmy zająć się innymi rozwiązaniami, ale teraz koncentrujemy się tylko na pandemii.

Bo wciąż czekamy na powrót do normalności?

Do niczego nie wrócimy. W kontekście zmian możemy w jakimś stopniu porównać dzisiejszą sytuację do zamachu na World Trade Center z 2001 roku. Po ataku zostały wprowadzone procedury bezpieczeństwa różnego rodzaju: wszystko to, z czym spotykamy się, gdy chcemy wejść na pokład samolotu. Musimy zdjąć buty, paski, zegarki. Robimy to w imię bezpieczeństwa. Wtedy też wydawało się, że to na chwilę – a 19 lat później nadal to robimy.

Nie możemy podchodzić do przyszłości na zasadzie: „przetrawimy to, co dzieje się teraz, i wrócimy w stare koleiny”. Może nasze zagrożenie zniknie, a może wcale nie? Nawet jeśli odejdzie, to przez ten czas stworzymy sobie nowy problem: np. kolejne góry plastikowych rękawiczek.

Przyszłość interesuje nas tylko w krótkim wymiarze?

W krótkim i blisko ciała – tylko to, co dotyka mnie bezpośrednio. Żeby było mi dobrze w danej chwili.

Z czego wynika takie patrzanie na świat?

To ciągnie się od oświecenia, od Kartezjusza, który wypromował nasze redukcjonistyczne podejście do nauki. Znamy się na wąskich wycinkach rzeczywistości. A nasz świat nie składa się z osobnych elementów – jest całością, która ma ogromną

Pytaliśmy Polaków, czy mają świadomość tego, że treści w internecie są przygotowane przez algorytmy.
70 procent z nich powiedziało, że nie.

liczbę powiązań. I to teraz odczuliśmy. Bardzo popularny jest taki mem: to, że ktoś w zeszłym roku zjadł nietoperza w Wuhan, spowodowało, że teraz moje dzieci uczą się zdalnie.

Napisała Pani na blogu niedawno: „W świecie online, równoległe do świata fizycznego, także trwa epidemia. Równie niebezpieczna”.

Kiedy zaczęła się pandemia, chciałam wiedzieć wszystko, bałam się, że coś mi umknie. Typowe FOMO, *fear of missing out*. Z mediów społecznościowych korzystałam ponad dwie godziny dziennie. Potem zaczęłam znowu nad tym pracować i wróciłam do poziomu 20 minut dziennie, ale zajęło mi to dwa miesiące.

Odinstalowywaliśmy aplikacje, ustalaliśmy limity czasowe, prawdziwe joy of missing out – epidemia zawróciła nas z tej drogi?

Zaczęliśmy korzystać więcej z sieci, z mediów społecznościowych, co jest naturalne, bo dzięki temu możemy pozostawać w kontakcie. A media społecznościowe są tak skonstruowane, by wspierać system uzależnień behawioralnych, żebyśmy z nich jak najwięcej korzystali. Tylko czy mamy świadomość, że to tak działa?

I czy będziemy umieli po pandemii z tego zrezygnować?

A będziemy?

Świat wirtualny rozwija się szybciej, niż my rozwijamy się jako ludzie. Świat cyfrowy zmienia się z dnia na dzień. I to on narzuca nam zasady, do których musimy się dostosować. To zaś wpływa na nasz dobrostan emocjonalny. W teorii wiemy, że nadmierne korzystanie z mediów społecznościowych pogłębia samotność, powoduje obniżenie nastroju, może nawet wpływać na rozwój depresji...

...a mimo to wciąż spędzamy tam ogrom czasu.

Świat mediów społecznościowych jest światem iluzorycznym, pokazujemy i widzimy tam rzeczy, które nie są prawdziwe – ciągle szczęśliwych ludzi na ciągłych wakacjach, wszystko im się udaje, mają fantastyczne dzieci, fantastyczne małżeństwa, a my nagle siedzimy za biurkiem, w zamknięciu i czujemy, że to my odstajemy. To jest iluzja, w którą uwierzyliśmy. Ten sam mechanizm działa w popkulturze: badania pokazują, że im więcej ktoś ogląda komedii romantycznych, tym bardziej nierealne ma oczekiwania wobec swojego partnera i związku, w którym się znajduje. W wirtualu konieczna jest świadomość funkcjonowania świata, jego mechanizmów, obecności iluzji. A to wymaga sporego wysiłku.

Dzisiejsza pandemia jest szansą na zmiany? Mam wrażenie, że chcemy tak o niej myśleć.

To prawda: lubimy mówić, że świat się zatrzymał, że my się zatrzymaliśmy, że teraz będzie już tylko lepiej, a w kanałach Weneji już zawsze będą pływać delfiny. Wiemy, że to nieprawda. W wymiarze indywidualnym to nie zadziała, może zadziałać jedynie, jeśli zrobimy to globalnie, bo wymaga to połączenia wielu elementów układanki – wprowadzenia regulacji prawnych, działań rządów, i w rezultacie konsumenci też zmienią swoje zachowania, a firmy będą działały w sposób bardziej zrównoważony.

Ale ostatnio na swoim profilu na Facebooku zadałam pytanie: „Gdybyście mieli możliwość przeniesienia się do jakichkolwiek czasów w przeszłości, to które byście wybrali?”. Było ponad 150 komentarzy, w których ludzie piszą, że nie chcą się przenosić, bo jednak czasy, w których

→ żyjemy, to najlepsza epoka w historii człowieka.

Mamy masę problemów.

Tak. Choćby epidemii samotności. Jest taki mem, nie wiem, czy go pani widziała: widzimy na nim osobę w izolacji i podpis z pytaniem, co będzie robić, gdy *lockdown* się skończy: spotkania, imprezy, grille. I potem w kolejnym oknie – a co tak naprawdę będę robić? I widzimy tę samą osobę, która siedzi na kanapie i przegląda swój *feed* w mediach społecznościowych.

Koronawirus nie sprawił, że staliśmy się bardziej samotni. O tym mówiło się bardzo głośno i bardzo często: mimo ogromnej liczby połączeń, jakich nigdy w swojej historii jako ludzkość nie mieliśmy, jesteśmy społeczeństwem samotnym. Tak będzie też po tej pandemii.

A czego jeszcze możemy się bać?

Czytam właśnie książkę Shoshany Zuboff z Harvardu „The Age of Surveillance Capitalism”, w której mówi o świecie pełnym inwigilacji. Używa zdania, które bardzo do mnie przemawia: kiedyś korzystaliśmy z Google’a po to, żeby przeszukiwać internet, dzisiaj Google przeszukuje ludzi. Każdy z nas jest danymi, dajemy firmom różnego rodzaju informacje – a dzięki nim algorytmy projektują nasze życie. I zamykają nas w bańkach: własnych poglądów, sympatii i preferencji. Dotyczy to w zasadzie wszystkich obszarów naszego życia.

W zeszłym roku robiliśmy badanie i pytaliśmy Polaków korzystających z in-

ternetu, czy zdają sobie sprawę, że treści, które dostają, są przygotowane przez algorytmy. 70 proc. odpowiedziało, że nie. I to jest przerażające, bo prowadzi do rozwoju społeczeństwa, które jest bardzo spolaryzowane i zamknięte.

Wygodnie jest funkcjonować w bańce, w świecie, który – mamy wrażenie – oswoiliśmy i kontrolujemy.

Polaryzacja jest łatwa – upraszcza świat.

To globalny trend?

Tak. I jest dużym wyzwaniem na przyszłość. Stajemy przed problemami, które dotyczą całego świata: koronawirus, dostęp do energii, nierówności społeczne, zagrożenie klimatyczne, niekontrolowany rozwój sztucznej inteligencji. I kiedy będziemy się polaryzować, okopywać w swoich poglądach, nigdy nie dojdziemy do konsensusu. Dla dobra naszej przyszłości, przyszłości naszych dzieci, przyszłości świata, musimy starać się ze sobą dogadać. Żeby wypracować takie rozwiązania problemów, które zaspokoją potrzeby nie tylko wąskich grup, potrzebujemy różnorodności. Ludzie o podobnych przekonaniach, z tego samego kręgu kulturowego, tej samej płci, stale będą wymyślać te same rozwiązania. Nie pójdziemy do przodu.

To wydaje się Pani w ogóle realne? Że kiedyś się jednak dogadamy?

Są zjawiska, które pokazują, że mamy na to szansę – pokazała to też pandemia.

Środowisko medyczne zjednoczyło się w walce z wirusem: publikuje wszystkie badania, dane są dostępne, cały świat korzysta z nich, żeby pracować nad szczepionką. Wiadomo, że stoją za tym pewne interesy, ale zakładałam optymistycznie, że zaczynamy dostrzegać to, że pewne problemy możemy rozwiązać tylko wspólnie.

Jak daleko możemy patrzeć w przyszłość?

Większość ludzi wyobraża sobie to jak przechodzenie z punktu A do B. Na przyszłość powinniśmy jednak patrzeć szerzej. Tak jakby miała pani latarkę i rzucała snop światła w ciemności: im dalej od źródła światła, tym jest szerszy, ale mniej intensywny. I dokładnie tak samo jest z prognozowaniem przyszłości. Kiedy patrzymy na tę bliską, widzimy kilka możliwych wersji zdarzeń. Im dalej, tym scenariusz jest więcej.

W takim razie po co nam prognozy?

Po to, by zobaczyć dłuższą perspektywę, żebyśmy mogli się do niej przygotować. To, co możemy zobaczyć na pewno, to sygnały zmian, które wskazują nam na pewne scenariusze przyszłości.

Jest takie popularne zdanie, z którym się zgadzam: przyszłość zaczyna się dzisiaj. Zaczyna się od naszych wyborów w obecnej rzeczywistości. I przyszłość cały czas możemy zmienić – nie jest nam dana z góry. Bo mamy wpływ na to, co może się wydarzyć.

© Rozmawiała EWELINA BURDA

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK
POWSZECHNY

Stwórzmy razem mapę naszej łąki!

Do tego wydania „Tygodnika” dołączyliśmy nasiona łąki kwietnej. Co dalej? Zapraszamy do wspólnej akcji:

1. Wysiejcie je w donicy, na małym poletku, na trawniku czy przy przydrożnej kapliczce; w Polsce czy za granicą
2. Róbcie zdjęcia i relacjonujcie, gdy zacznie wzrastać
3. Relacje oznaczcie hasztagiem [#lakapowszechna](#) lub wyślijcie na adres laka@TygodnikPowszechny.pl z podaniem miejsca, gdzie łąka zakwitnie.

Łąka Powszechna powinna być w pełnym rozkwicie pod koniec lata. W wydaniu „Tygodnika” na Matki Boskiej Zielnej, w połowie sierpnia, pokażemy mapę naszej łąki, nasze wspólne dzieło!



ANNA

Dziewit-Meller: Złość piękności nie szkodzi



CO TO BĘDZIE? CO TO BĘDZIE? UROŚNIE nam w końcu ta gula czy jak zwykle machniemy ręką? Dziwny ten koniec maja w Polsce A.D. 2020: niby nerwowo, ale nie do końca, niby pandemia, a w sumie już trochę nie, niby narasta społecz-

ny gniew, ale bo ja wiem?

Podczas niedawnego spotkania online z Klubem „Tygodnika”, gdzie wraz z Wojciechem Bonowiczem opowiadaliśmy o pracy felietonistów, Wojtek poruszył temat gniewu – emocji ważnej, potrzebnej i bywa, że ogromnie sprawczej. Trochę więc sobie razem ponarzekałimy na polski społeczny gniew, który od dawna nie zapala do wielkich zmian, który nie chce być konstruktywny, jest bardzo indywidualny, nieokreślony politycznie, zgorzkniały i skierowany raczej do środka niż na zewnątrz.

Widać pewne idee krążą po ludziach, bo nie tylko nam do głowy przyszły takie refleksje. Filozof Tomasz S. Markiewka wydał właśnie bardzo ciekawą książkę pt. „Gniew”, w której zastanawia się m.in. nad tym, jak to się stało, że wbrew pozorom po 1989 r. tak słabo, jako naród, się wkurzamy.

W III RP gniew, nawet ten najbardziej słuszny, rychło uznany został za „roszczeniowość”, czyli postawę będącą – jak pisał cytowany przez autora Andrzej Osęka w „Gazecie Wyborczej” w 1991 r. – „jak choroba woli i wyobraźni. To nieumiejętność spojrzenia w oczy prawdzie: będę miał z życia to, co weń włożę dzięki własnemu wysiłkowi i własnej inicjatywie”. Jak to ujmują twórcy memów, „weź kredyt, zausz firmę”. Tak oto – powiada Markiewka – zawężano pole politycznej debaty, bo ludziom zabrano język protestu.

Dlatego też, zdaniem autora „Gniewu”, w Polsce stał się on tym, co Marek Koterski w „Dniu świra” kazał wyrażać Adasiowi Miauczynskiemu: gniewem wsobnym, artykułowanym pod nosem, zza zaciśniętych zębów. I całkowicie antypolitycznym – bo przecież politycy są bezwartościowi i nic z nich nie wynika ponad puste slogany o tym, czyja prawda

jest najmojsza. Wiadomo – wszyscy kradną i co zrobisz? „Innej drogi nie ma” – jak powiedział w 1990 r. przewodniczący dolnośląskiej Solidarności Władysław Frasyniuk, trawestując niejako hasło Margaret Thatcher, z którym to hasłem na ustach rozjeżdżała związki zawodowe w Wielkiej Brytanii.

A przecież, jak w dowcipie rysunkowym, „są takie chwile w życiu żółwia, że musi dać komuś w mordę”. Czy gdy żółw jest Polakiem po transformacji, to nie musi? Markiewka sięga do analiz Davida Osta, który zarzucał polskim politykom nieumiejętność zmierzania się z gniewem obywateli: „Liberałowie zamiast starać się o zagospodarowanie gniewu, woleli go ignorować, a kiedy się przejawiał – wykpiwać”. Co było pożywką dla populistów w typie Leppera, a dużo, dużo później – prawicy z jej hasłem o „Polsce solidarnej”.

Druga część książki, poświęcona gniewowi toczącemu zwolenników prawicy na myśl o zwolennikach lewicy (lub lepiej – „lewactwa”, bo w tej kategorii więcej się pomieści: i Zandberg, i Tusk, i „Tygodnik”) oraz *vice versa*, też jest ciekawa, ale dla nas dziś mniej ważna. Bo mnie interesuje to, czy w związku z nadchodzącym kryzysem ekonomicznym wściekniemy się konstruktywnie, skoro po trzech dekadach od przełomu wiemy już, że jednak „zausz firmę” może nie być radą uniwersalną. Że nie zawsze można być kowalem własnego losu.

Więc co będzie teraz? Bo że moment dziejowy, chyba nikt nie ma wątpliwości, choć tąpnięcie jeszcze nie nastąpiło i jeszcze można żyć złudzeniem, że może mimo wszystko będzie, jak było. Ale nie będzie.

Ciekawi mnie przyszła narracja środowisk, które nadawały rytm marszowi ku świetlanej przyszłości, gdzie każdy Polak będzie mieć szansę na karierę, byle się nie mazgał i nie wykazywał roszczeniowej postawy *Homo sovieticus* („Jest on jak niewolnik, który po wyzwoleniu z jednej niewoli czym prędzej szuka sobie drugiej” – Tischner – pamiętamy!). Czy pozwolą się nam już wkurzyć? Czy umiemy to jeszcze robić konstruktywnie? Markiewka przywołuje dwa typy gniewu: solidarny pozytywnie (tu wskazuje amerykańskie sufrażystki) i negatywnie (wyborcy Trumpa z południowych stanów USA), oraz stawia pytanie, do jakich działań może nas w obu wersjach prowadzić złość. Wściekle sufrażystki, mając jasno wytyczony cel, wywalczyły prawa wyborcze dla kobiet. Wkurzeni wyborcy Trumpa, walcząc nie tyle o większe prawa dla siebie, co mniejsze dla innych, i nie mając konkretnego celu – nie poprawili znacząco swojego losu.

Gdzie na tej skali jesteśmy my? Nie wiem.

©

Przed Sądem Rejonowym w Mińsku Mazowieckim, Wydział I Cywilny, pod sygnaturą I Ns 559/19, na wniosek Krystyny Marianny Lipińskiej, toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Andrzeju Marku Lipińskim, zmarłym 18 maja 2019 r. w Drożdżówce, ostatnio stale zamieszkałym w miejscowości Dłużew.

Sąd wzywa, aby spadkobiercy w terminie 3 miesięcy od dnia opublikowania ogłoszenia zgłosili się do tutejszego Sądu i udowodnili nabycie spadku, ponieważ w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

W Sądzie Rejonowym w Kamiennej Górze, Wydział I Cywilny, pod sygnaturą I Ns 351/19 toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Janinie Rusnarczyk, mającej ostatnie miejsce zwykłego pobytu w Kamiennej Górze, ul. Staszica 4/9, zmarłej 20 sierpnia 2017 r. w Kamiennej Górze.

Wzywa się wszystkich spadkobierców zmarłej, aby w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się tego ogłoszenia zgłosili się do Sądu Rejonowego w Kamiennej Górze i udowodnili swoje prawa do spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

OGŁOSZENIA

NAJŁATWIEJSZY PRZEMYT ŚWIATA

Już nie alkohol, broń ani narkotyki.
Przestępczą żyłą złota są dziś nielegalne pestycydy.

KRZYSZTOF STORY

MECCHANIZM JEST PROSTY. SUBSTANCJĘ aktywną kupujesz poza Europą, najczęściej w Chinach, koszt: 10-15 euro za litr. Na czarnym rynku w Europie będzie warta nawet sześć razy więcej. Musisz oczywiście zapłacić za transport i opakowanie, ale i tak na każdym litrze czy kilogramie zarobisz nawet 50 euro. Zysk z jednego kontenera może wynieść dwa miliony euro.

Gdzie trafiają? Na nasze pola, a potem stoły. Pestycydy są dziś nieodłączną częścią przemysłowej produkcji żywności: warzyw, owoców, ziaren. Weźmy zwykłe pole pszenicy. Zabiegi zaczynają się jesienią od zaprawy nasiennej. Później herbicyd, czyli środek odchwaszczający. Jeśli nie ma pokrywy śnieżnej i wege-

tacja trwa dalej (co w ostatnich latach staje się w Polsce normą), trzeba jeszcze użyć fungicydu i insektycydu, by zabić grzyby i mszyce. Wiosną zaczyna się od drugiego zabiegu fungicydowego. Potem zabieg skracania – specjalne preparaty powodują, że pszenica zamiast na ponad metr rośnie np. na 85 centymetrów. Dzięki temu lepiej znosi ulewne deszcze i wichury. Później jeszcze tylko kolejny fungicyd przeciwko grzybom i insektycyd – na mszyce. Łącznie – siedem lub osiem różnych zabiegów i preparatów.

Branża środków ochrony roślin jest warta miliardy. I także tutaj istnieje czarny rynek. Inaczej niż w handlu alkoholem czy narkotykami, te pieniądze są

praktycznie pozbawione ryzyka. Nawet jeśli zostaniesz złapany, sprawa prawdopodobnie nie trafi do sądu. Jeśli trafi, skończy się skromną grzywną.

– Ryzyko aresztowania i skazania jest małe, a zyski ogromne – potwierdza Rien van Diesen, ekspert Europolu (unijnej policji) ds. handlu nielegalnymi pestycydami.

Ten reportaż to efekt pracy międzynarodowego zespołu dziennikarzy. Wszystkie nasze śledztwa potwierdzają słowa eksperta Europolu. W Niemczech do prokuratorów od 2011 r. trafiło zaledwie 11 spraw związanych z handlem pestycydami. Niektóre jeszcze się toczą. Nie zapadł żaden wyrok skazujący. W Słowenii przez ostatnie 17 lat wy-



kryto 27 ton nielegalnych pestycydów. Żadna ze spraw nie trafiła do sądu.

We Włoszech od 2017 r. służby przechwyciły 1053 tony. Wręczono 531 mandatów. Od 2015 r. odbyły się tylko cztery procesy. Tylko w jednym sąd orzekł karę roku więzienia i grzywny – 1000 i 600 euro. W Holandii przez ostatnie 10 lat prokuratura zarejestrowała ponad 200 podejrzanych o nielegalny obrót pestycydami. Wydano tylko cztery wyroki pozbawienia wolności. Dwa z nich uchylono.

Mrówki na granicy

23 maja 2019 r., Medyka. Straż Graniczna przeszukuje autobus jadący do Szczecina. W schowkach pojazdu znajduje łącznie 92 kg chemikaliów w małych paczkach. 35-letni kierowca przyznaje się do przemytu.

11 stycznia 2018 r., przejście graniczne w Korczowej. Sprytny system rurek w zatrzymanym volkswagenie łączy zbiornik

na płyn do spryskiwaczy z pompą paliwową. Skoro paliwo znajduje się tutaj, co czeka w baku? 60 litrów nielegalnych pestycydów.

5 października 2016 r., ponownie Korczowa. Kontrolę przechodzi jadąca na pusto ciężarówka typu chłodnia. Skan rentgenowski ujawnia podejrzaną substancję w jednym ze zbiorników paliwa. Oraz w zbiorniku agregatu zasilającego lodówkę. Łącznie 660 litrów pestycydów. Całość wypompowują strażacy.

Styczeń 2018 r. Inspektorzy z Państwowej Inspekcji Ochrony Roślin i Nasiennictwa znajdują 500 kg pestycydów pod sianem w stodole na Podlasiu. Etykiety są pisane cyrylicą.

Grudzień 2019 r. Inspektorzy PIORiN znajdują 12 ton chemikaliów w gospodarstwie pod Poznaniem. 31 stycznia 2020 r. zapada decyzja o zniszczeniu całości.

Takich przypadków są setki. Większość wyłapujemy na granicy. Tylko w 2019 r. Krajowa Administracja Skar-

bowa zatrzymała 162 transporty nielegalnych pestycydów. Rok wcześniej – 326.

Co miesiąc polscy i ukraińscy celnicy zatrzymują kolejne litry i kilogramy. To najczęściej małe ilości – w bakach, torbach, kołach zapasowych. Trudne do wyśledzenia, zwłaszcza jeśli mówimy o najbardziej ruchliwej granicy w całej UE – rocznie osiem drogowych i sześć kolejowych przejść granicznych obsługuje ponad 22 miliony ludzi. Eksperci twierdzą, że nawet 90 proc. nielegalnych pestycydów przekracza granicę bez naszej wiedzy.

Adwokat Włodzimierz Olejnik, specjalista prawa własności przemysłowej, mówi: – Zdecydowana większość tych spraw to tzw. przemysł mrówkowy. Małe transporty przewożone przez pojedyncze osoby. Wykrywalność oszacowałbym na 10 proc.

– To, co znajdujemy, to tylko wierzchołek góry lodowej – potwierdza dr hab. Jacek Nawrocki z Katedry Botaniki, ➔

Fizjologii i Ochrony Roślin Uniwersytetu
→ Rolniczego w Krakowie.

Co dziesiąte pole

Te małe transporty sumują się w ogromny problem. Europejski rynek środków ochrony roślin to 11 mld euro rocznie. Jaka część jest nielegalna? Zależnie od opinii – od 10 do 25 proc. Według ostatnich szacunków, potwierdzonych przez UE i OECD, czarny rynek to 13,8 proc. całości. Jeśli są poprawne, na co dziesiąte, a nawet co siódme pole w Europie wylewa się chemikalia, które nigdy nie przeszły żadnej kontroli. Łącznie ponad 48 tys. ton.

48 tys. ton czego? Czym tak naprawdę są nielegalne pestycydy? Na to pytanie nie ma jasnej odpowiedzi. Pestycydy możemy porównać do leków – na bazie pewnej substancji aktywnej (tzw. generyku) produkuje się środek, któremu potem nadaje się nazwę handlową, patent, znak towarowy (czyli ochronę prawną). Nielegalność może dotyczyć każdego z tych etapów. Może chodzić o legalną substancję aktywną, wyprodukowaną i przemycaną poza oficjalnym obiegiem. Na rynku pojawiają się także środki przeterminowane lub z etykietami w obcych językach. Są też produkty, które jedynie udają popularne, markowe preparaty.

Co się daje do takich podróbek?

– Proste, tanie substancje, oby nietoksyczne albo przeterminowane środki – mówi dr hab. Nawrocki. – Ktoś wyrzuca stare zapasy, a czasami w opakowaniu jest coś innego. Zamiast wycofanego już linuronu sprzedawano niegdyś zabarwione mleko wapienne, bo miało podobną konsystencję.

Niebezpiecznym zjawiskiem są środki zakazane na terenie UE i nielegalnie sprowadzane z innych państw. W 2019 r. inspektorzy PIRiN nadal znajdują takie substancje jak dichlorfos, wycofany 12 lat temu m.in. ze względu na potencjalne działanie rakotwórcze.

Największym problemem z nielegalnymi pestycydami pozostaje brak jakichkolwiek gwarancji. Nie znamy składu, działania, potencjalnych konsekwencji.

– Te środki nie były testowane. Nie mają żadnej teczki z badaniami i analizami. Nawet jeśli nie są niebezpieczne dla ludzi, mogą być szkodliwe np. dla pszczoł, dla środowiska. To nie jest przestępstwo bez ofiar – przyznaje Rien van Diesen z Europolu.



Kierowca przewoził przez granicę 660 litrów toksycznego pestycydu.

Dostał 3400 zł grzywny.

Wartość celna tego, co strażacy wypompowali z jego baku, wynosiła prawie 250 tys. zł.

Bezpośrednie konsekwencje są trudne do uchwycenia. Ciężko przypisać konkretną chorobę czy zgon nielegalnym pestycydom. W żadnym kraju nie dotarliśmy do wyroku skazującego ze względu na zagrożenie dla życia i zdrowia ludzi lub zanieczyszczanie środowiska. Ale to nie znaczy, że nielegalne pestycydy są bezpieczne.

– Najbardziej oczywistym zagrożeniem jest zbyt wysoki poziom substancji aktywnej – mówi Rafał Mładanowicz, prezes Krajowej Federacji Producentów Zbóż. – Ale na jakość środka ma wpływ także reszta składu: aktywatory, wypełniacze.

Federacja zamówiła testy 57 preparatów z tą samą substancją aktywną, tebuconazolem. Tylko dziewięć miało skuteczność ponad 70 proc. 20 nie działało w ogóle.

– Najczęściej tańsza podróbka po prostu nie zadziała. Nie zabije insektów, chwastów czy grzyba – mówi Mładanowicz. – A rolnik będzie musiał wykonać drugi oprysk. Użyć więcej substancji albo innego środka. To wszystko zwiększa poziom toksycznych substancji, które odkładają się w roślinach i w glebie. Jest jeszcze trzecia możliwość: zupełnie inny skład preparatu niż według „sprzedawcy”. Na przykład fungicyd zabije nam inny rodzaj grzyba. A ten, którego chciał pozbyć się rolnik, dostanie więcej po-

żywki i przestrzeni do wzrostu. Niektóre poziomy substancji bywają wtedy szkodliwe dla zwierząt i ludzi.

Są przypadki, w których szkodliwości podrobionych i nielegalnych pestycydów nie trzeba sobie wyobrażać. 9 kwietnia 2009 r. na lotnisku w Budapeszcie wylądował samolot pasażerski z Chin. Na pokładzie znaleziono ponad trzy tony pestycydu o temperaturze zapłonu 24 stopnie Celsjusza. Istniało realne ryzyko eksplozji.

W Polsce też zdarzają się oczywiste zagrożenia. Próbkę substancji zatrzymanej podczas kontroli granicznej w 2016 r. zawierała 69 proc. bromadiolonu. To środek do zwalczania gryzoni. Produkty z bromadiolonom są co prawda zarejestrowane w czterech krajach UE (nie w Polsce), a sama substancja dopuszczona w Unii – tylko że w stężeniu poniżej 0,005 proc., czyli 14 tys. razy mniejszym. W wysokim stężeniu bromadiolon jest śmiertelny w kontakcie ze skórą i przy wdychaniu, może uszkodzić płód i jest ekstremalnie toksyczny dla środowiska wodnego.

Srebrny topór

Największą paneuropejską inicjatywą, która ma walczyć z czarnym rynkiem pestycydów, jest operacja Silver Axe (Srebrny Topór). To kilka tygodni zmasowanych kontroli na granicach i w portach całej Unii, koordynowanych przez Europol i krajowe służby (w Polsce: PIRiN, KAS i policję). Odbывa się od 2015 r. i jest systematycznie rozszerzana. Do 2019 roku przechwycono 1222 tony nielegalnych pestycydów. Polska jest częścią tej operacji od drugiej edycji – przez trzy pierwsze lata służby wykryły u nas ponad 125 ton.

W tym tekście pojawiają się kolejne tony, kilogramy i litry. Służby na granicy wyłapują kolejne małe transporty. Część z nich to próby łatwego dorobienia się, dodatkowe źródło dochodu np. dla pracowników sezonowych w rolnictwie. Ale te małe transporty sumują się do 10, a może nawet 25 proc. rynku wartego miliardy. Nie pojawiają się przypadkiem. Ktoś je organizuje, planuje łańcuchy dostaw, znajduje odbiorców.

Zarówno Europol, jak i polskie władze potwierdzają: handlem pestycydami zajmują się wysoko zorganizowane grupy przestępcze, a „mrówkowy” przemysł to tylko wynik większego obrazu.

– Obserwujemy grupy działające z terytorium Ukrainy. Mają swoje fabryki, ale

sprowadzają także substancje z Chin czy Rosji. Towar przewożą samochodami, docierają nawet do Grecji – opisuje Rien van Diesen.

Drugi typ importu trafia do portów: Antwerpii, Rotterdamu, Hamburga, ale też Gdańska i Gdyni. W tych dwóch ostatnich inspektorzy PIORiN zatrzymali przez ostatnie pięć lat ponad 56 ton nielegalnych chemikaliów.

– Główni gracze na tym rynku to zorganizowane grupy z Wielkiej Brytanii i Niemiec. Działają w pięciu-sześciu krajach, prowadzą zarówno legalne, jak i nielegalne interesy. Do transportu wykorzystują legalne firmy przewozowe i magazyny – mówi van Diesen. – Po jednej stronie mamy więc małe firmy i prywatne osoby, które próbują przewieźć jeden-dwa transporty, szukając szybkiego zarobku. Po drugiej stronie są zorganizowane grupy przestępcze. W sumie działa w nich od 50 do 100 osób.

Strategie są różne. Aktywne substancje z Chin bywają zgłaszane jako np. barwnik do tkanin, a gotowy produkt powstaje dopiero na miejscu. Innym razem sprowadzane są gotowe substancje. Gdzieś podrabia się opakowania, gdzieś sam pestycyd. Często środki zakazane w UE są sprowadzane legalnie jako tranzyt w drodze np. do Maroka. Tylko że do Maroka dociera pusty kontener, a nielegalne pestycydy trafiają na nasze pola i stoły. Czasem wywozi się pestycyd z Unii, zmienia dokumenty i sprowadza z powrotem.

Grupy kontrolujące czarny rynek błyskawicznie dostosowują się do realiów. Według naszego informatora z Ukrainy uszczelnienie polskiej granicy spowodowało, że główne szlaki tranzytowe prowadzi teraz przez państwa bałtyckie, Rumunię i Mołdawię. Ta elastyczność sprawia, że nielegalny obrót pestycydami staje się trudny do opisania, a co dopiero do wyśledzenia.

Dwie twarze Chin

Pierwszy wykryty w Europie transport nielegalnych pestycydów pochodził z Chin i dotarł do Hiszpanii w 2000 r. Od tego czasu Chiny uważa się za lidera produkcji nielegalnych pestycydów i najczęstszy kraj pochodzenia generyków (czyli substancji czynnych, z których dopiero później tworzy się gotowy produkt). Choć i tu zachodzą zmiany, bo coraz częściej w tej roli pojawiają się Indie.

Od stycznia 2020 r. państwowy koncern ChemChina jest jedynym właścicielem Syngenty, największego producenta legalnych pestycydów na świecie. Chiński kapitał stanowi także większość udziałów Adamy – izraelskiej korporacji zajmującej się środkami ochrony roślin. Chiny wydają się być więc największym graczem na rynku legalnych i nielegalnych pestycydów. Tylko w ciągu ostatnich czterech lat w portach Gdańsk i Gdynia wykryto co najmniej cztery nielegalne transporty z Chin, które przekraczały 10 ton.

Za nadzór nad pestycydami w Chinach odpowiedzialny jest Instytut Kontroli Środków Ochrony Roślin przy Ministerstwie Rolnictwa (The Institute for the Control of Agrochemicals, Ministry of Agriculture - ICAMA). Każdy chiński środek ochrony roślin powinien posiadać specjalny, jednostronicowy dokument, tzw. ICAMA-1-Pager. Tyle że w wielu przypadkach 1-Pager jest sfalszowany, a jego weryfikacja wymaga zatrzymania towaru w porcie na kilka dni.

Pomoc mogłaby lepsza wymiana informacji i dostęp dla europejskich służb bezpośrednio do bazy ICAMA. Współpraca z państwami poza Unią w takich sprawach należy do kompetencji Europejskiego Urzędu ds. Zwalczania Nadużyć Finansowych (OLAF), który ma



Rekordy popularności biją środki zakazane niedawno,

do których przyzwyczaili się
rolnicy. W minutę można
kupić zakazany
kilka miesięcy temu
chloropiryfos.

w Pekinie swojego oficera łącznikowego. Źródła w OLAF potwierdzają, że władze chińskie współpracują z nimi przy kolejnych śledztwach, ale nadal czynią starania nad usprawnieniem wymiany informacji.

Przez ostatnie tygodnie wysyłaliśmy do chińskich władz pytania o ich podwójną rolę na rynku pestycydów i przyszłość współpracy z europejskimi służbami. Do czasu publikacji nie otrzymaliśmy odpowiedzi.

165 złotych mandatu

Nie tylko Unia podejmuje działania, by walczyć z problemem. Zabezpieczają się także sami producenci.

– Firmy, których towary są podrabiane, inwestują w nowe zabezpieczenia – mówi dr hab. Jacek Nawrocki. – Specjalnie tłoczone opakowania, hologramy, co kilka lat zmienia się samo opakowanie, kolor i wzór etykiety. Pestycydy zabezpiecza się nie gorzej niż banknoty. Wszystko, by utrudnić zrobienie dobrej podróbki.

Mimo to system nie jest szczelny. Jak i co dokładnie trafia do rolników, a potem – w konsekwencji – na nasze stoły? Pełnej odpowiedzi nie poznamy nigdy. Wiemy natomiast, że legalnie dopuszczone środki ochrony roślin muszą przejść rygorystyczne testy, a wprowadzenie produktu na rynek trwa nawet 10 lat.

Jednak i w tym systemie zdarzają się błędy, co pokazuje przypadek chloropiryfosu – substancji, o której od dawna wiadomo, że jest szkodliwa, uszkadza układ nerwowy płodu, a zakazana została dopiero od stycznia 2020 r.

Na czarnym rynku nie ma reguł. Co można tam znaleźć? – Trafiają się oryginalne środki z Ukrainy, z etykietą w cyrylicy, nielegalnie przemycane do Polski – mówi Rafał Mładanowicz. – To dla rolnika przypadek najlepszy. Zdarza się, że substancja jest rozcieńczona. Ale są przypadki wariackie. Zamiast pestycydu sprzedawano proszek Persil. Pewna firma podrabiała polski preparat Chwastox sprzedawała... esencję herbaty.

Wielu polskich rolników o szkodliwości kupowania nielegalnych produktów przekonało się w jedyny uczący czegoś sposób – ponosząc straty finansowe.

Przykładem przypadek spod Krakowa z 2010 r., gdy rolnikom używającym podrabiane pestycydy przepadły dziesiątki tysięcy złotych na spalonych uprawach.

→ Czy coś mogą zyskać?

– Według mnie niewiele – mówi Mładanowicz. – Weźmy średnio intensywną uprawę pszenicy. Potrzebujemy zaprawy donasienniej, dwóch zabiegów fungicydowych, regulatora wzrostu, herbicydu, insektycydu. To daje, powiedzmy, 450 zł na hektar. Na podróbkach można oszczędzić 30–40 proc. Zaryzykować całą uprawę, żeby zaoszczędzić stówę na hektarze? Trzeba być chyba desperatem. Dlatego doszliśmy do takich czasów, że jeśli coś jest 10 proc. tańsze, to rolnicy już patrzą podejrliwie.

Potwierdza to Jacek Nawrocki: – Nawet jeśli podróbka jest o połowę tańsza, to się w ogóle nie opłaca. To jak chodzenie do wróżki. Ktoś, kto poważnie traktuje produkcję roślinną, nie pozwoli sobie na to.

Kolejne transporty na granicach potwierdzają, że popyt jednak jest. A część rolników kupuje nielegalne pestycydy nieświadomie. W sieci.

– Około 50 proc. handlu przeniosło się do internetu – mówi Mładanowicz. – Pestycydy można kupić na Allegro i w portalach ogłoszeniowych.

Jak rozróżnić podróbkę od oryginału?

– Ceną – wyjaśnia Mładanowicz. – To jedyne kryterium. Zdjęcia, opis można łatwo sfabrykować. A cena powinna być zawsze taka sama. Na środki ochrony roślin nie ma przecen, tu się nie zdarza Black Friday.

Jeśli rolnik użyje nielegalnego pestycydu (tak samo, gdy źle zastosuje legalny środek), jest szansa, że w wyprodukowanej żywności zostaną przekroczone tzw. NDP – najwyższe dopuszczalne poziomy pozostałości substancji.

Teoretycznie, gdyby system kontroli działał dobrze, takie partie szłyby do utylizacji albo na etanol. W praktyce trafiają do sprzedaży. Rolnicy także mają swoje sposoby: trefne partie mieszają z dobrymi albo sprzedają towar na targowiskach, gdzie ryzyko kontroli jest mniejsze. Główny Inspektorat Sanitarny nie jest w stanie zbadać wszystkich próbek.

– Powiem szczerze: jeśli w okresie żniw przywożę do skupu 25 ton zboża, nie ma szans, że ktoś tego ode mnie nie kupi, bo sprawdzi poziom pestycydów – mówi Mładanowicz, który oprócz szefowania federacji prowadzi własne gospodarstwo.

Rekordy popularności w internecie biją zwłaszcza środki, które zostały zakazane

niedawno, a do których przyzwyczaili się rolnicy. Jedno wyszukiwanie na portalu aukcyjnym wystarczy, by w minutę kupić zakazany kilka miesięcy temu chloropyryfos.

Obrót środkami ochrony roślin kontroluje PIORiN. Inspektorzy wykonują ok. 7 tys. kontroli rocznie w punktach sprzedaży i 23 tys. w gospodarstwach rolnych. W ok. 8 proc. kontroli stwierdza się nieprawidłowości, a tylko w latach 2018–19 inspektorzy zakwestionowali ponad 50 ton środków ochrony roślin i nałożyli 3745 mandatów. Ta kontrola wydaje się skuteczna, dopóki nie sprawdzimy, że średnia wysokość mandatu wynosiła... 165 zł. Mniej więcej tyle, co za przekroczenie prędkości o 25 km/h.

Zero ryzyka

Co roku mamy więc w Polsce setki przypadków przemytu i sprzedaży nielegalnych pestycydów. Tylko, że do 14 marca 2020 r. za sprzedaż, składowanie i stosowanie podrobionych środków ochrony roślin groziła jedynie grzywna do 5 tys. zł. Dlatego przed sąd trafiały pojedyncze przypadki, w których złamano inne przepisy. Najczęściej były to zarzuty podrobienia wzorów towarowych

Największym problemem z nielegalnymi pestycydami

jest to, że nie znamy
**składu, działania,
potencjalnych skutków.**

Nawet jeśli nie są
niebezpieczne dla ludzi,
mogą być szkodliwe
np. dla pszczół.



(art. 305 ust.1 ustawy o prawie własności przemysłowej).

Adwokat Włodzimierz Olejnik reprezentował producentów w kilku takich sprawach: – Za to przestępstwo grozi do dwóch lat pozbawienia wolności. Jest ściągane na wniosek pokrzywdzonego, czyli producenta. Najczęściej podrabiane są popularne produkty. Kopiuje się etykiety, opakowania, zazwyczaj bardzo nieudolnie.

Import pestycydów bez oceny może być również podstawą postępowania karnoskarbowego. Prawo do niedawna chroniło więc głównie wzór przemysłowy (interesy producenta) i zyski z cła. Teoretycznie używanie nielegalnych, potencjalnie toksycznych chemikaliów do produkcji jedzenia mogłoby wypełniać artykuł 165 albo 182 kodeksu karnego. Pierwszy mówi o narażaniu zdrowia i życia ludzi, drugi – o zanieczyszczaniu środowiska. Tylko że takiego procesu nigdy nie udało się w Polsce przeprowadzić. W 2018 r. sprawa sprzedaży przez internet podrobionych pestycydów została umorzona, a w uzasadnieniu czytamy: „brak jest informacji zarówno od zawiadamiającego, jak i z portalu ogłoszeniowego (...), że cokolwiek nabył przedmiotowe środki. W tej sytuacji brak jest podstaw do stwierdzenia, że doszło do spowodowania niebezpieczeństwa dla zdrowia i życia wielu osób”.

Ale nawet wyroki zapadające w procesach o podrobienie wzorów towarowych są najczęściej dość niskie. Oto kilka spraw w Polsce, do których akt dotarliśmy. W 2012 r. policjanci weszli na teren nielegalnej hurtowni pestycydów w powiecie hrubieszowskim. Zabezpieczyli ponad 250 kg substancji z podrobionymi etykietami i hologramami. Każdy kilogram był wart nawet do tysiąca złotych, a 54-letni właściciel posesji był wcześniej skazany za podobne przestępstwo. Kara – osiem miesięcy pozbawienia wolności.

To według naszej wiedzy jedyna sprawa, w której za handel nielegalnymi pestycydami ktoś w Polsce poszedł do więzienia. Sklep nieopodal Krakowa, przez lata handlujący podrobionymi pestycydami? Rok w zawieszeniu na trzy lata. Nielegalna hurtownia pestycydów w Lubaczowie, która sprzedawała przemycane środki ochrony roślin o łącznej wartości setek tysięcy złotych? Wszystkie wyroki w zawieszeniu, a sam proces trwał prawie 10 lat.

Na początku tekstu wspomniałem przypadek przewiezienia przez granicę 660 litrów toksycznego pestycydu. Na kierowcę nałożono grzywnę 3400 zł i przepadek towaru. Wartość celna tego, co strażacy wypompowali z jego baku, wynosiła prawie 250 tys. zł.

Nawóz z huty

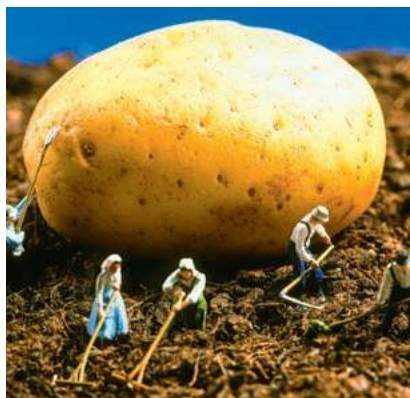
Wydaje się, że państwa coraz ściślej kontrolują granice, także pod kątem nielegalnych pestycydów. Ale zorganizowane grupy handlarzy zawsze są o krok do przodu – już teraz wykorzystują porty w krajach bałtyckich (np. Kłajpedę). Przesłano też importować gotowe do sprzedaży, zapakowane podróbki przypominające produkty innych firm, bo tutaj prawo dotyczące własności przemysłowej jest bardzo skuteczne. Zamiast tego importuje się generyki – same substancje czynne, które rzadko podlegają ochronie patentowej.

– Realnej skali ocenić nie sposób – mówi dr hab. Nawrocki. – Do nielegalnych, podwójnych, źle przeprowadzonych oprysków nikt się nie przyzna. Fakt jest taki, że nadal znajdujemy w jedzeniu pozostałości substancji, także tych, które są nielegalne albo nie wolno ich stosować w danej uprawie.

Czy coś się zatem zmienia?

– Sito kontroli staje się gęstsze, inna jest też świadomość producentów. W latach 90. było łatwiej sprzedawać nielegalne produkty, oficjalne dane nie są kompletne. Zajmowały się tym zorganizowane grupy. Na przykład wokół Krakowa sprzedawano „świetne” nawozy, miały zawierać dużo fosforu. Taki handel obwoźny. Później okazało się, że to były odpady z krakowskiej huty. A rolnicy wywozili to na pola. Szkodliwe substancje nie znikają ze środowiska natychmiast, pestycydy mają okresy półrocznego, jak izotopy. Do tej pory znajdujemy pozostałości szkodliwych związków w glebie.

Dziś jesteśmy w innej sytuacji. Polska niedawno wprowadziła kolejne zmiany. 13 lutego 2020 r. uchwalono zmiany w ustawie o środkach ochrony roślin. – Główną zmianą, o którą wnioskował PIORiN podczas prac nad projektem, było wprowadzenie dotkliwszych kar w obszarze nielegalnego handlu pestycydami – mówi Tadeusz Łączyński, zastępca głównego inspektora. Od 14 marca 2020 r. za sprzedaż i stosowanie podróbionych pestycydów grozi nawet do trzech lat wię-



Partie plonów, w których
**przekroczono normy
szkodliwych substancji,**
rolnicy mieszają
z dobrymi albo sprzedają
towar na targowiskach,
gdzie ryzyko kontroli
jest mniejsze.

zienia. Dopiero od września 2018 r. inspektorzy PIORiN nie muszą także zapowiadać swoich kontroli z wyprzedzeniem.

Codziennie na obiad

Europejski Urząd ds. Bezpieczeństwa Żywności co roku publikuje wyniki badań żywności w całej Unii. Według ostatniego raportu 4,5 proc. jedzenia na naszych stołach przekracza dopuszczalne poziomy pozostałości pestycydów. Część z nich pochodzi z nielegalnych źródeł. Czy są bezpieczne? Na to nie ma żadnej gwarancji. Zwłaszcza że codziennie jesteśmy ekspozowani nie na jedną, lecz cały wachlarz substancji w naszym jedzeniu.

Co możemy zrobić? Wśród rozwiązań są oczywiście bardziej dotkliwe kary, dokładniejsze statystyki sprzedaży, a także lepsza współpraca między służbami. Ale ważnym postulatem organizacji konsumenckich i środowiskowych jest też ogólne zmniejszenie ilości stosowanych pestycydów. Parlament Europejski dyskutuje nad uzależnieniem dopłat bezpośrednich od takiej redukcji. Celem nowej strategii Komisji Europejskiej „Farm to Fork” ma być redukcja zużycia pestycydów o połowę do 2030 r. Organizacje rolnicze twierdzą, że to nierealne, bo wzrost

kosztów spowoduje, że europejscy rolnicy przegrają konkurencję z importowaną żywnością.

Tymczasem czarny rynek pestycydów wciąż istnieje, przynosi wielkie zyski, a kontrolujący go ludzie rzadko ponoszą jakąkolwiek odpowiedzialność. – W znakomitej większości przypadków karze się tego, kto został zatrzymany z daną substancją – mówi Włodzimierz Olejnik. – On z kolei mówi, że nabył pestycyd od nieznanej mu osoby, i łańcuch się urywa.

Przeprowadziliśmy 76 wywiadów w całej Europie. Wszystkie potwierdzają, że prześledzenie całej drogi pestycydu od produkcji na nasze stoły jest trudne, a często niemożliwe. Prokurator ds. środowiskowych Holandii Rob de Rijck przyznaje: – Człowiek złapany na granicy z kilogramem kokainy spędza rok w więzieniu, a przemytnik przewożący sześć kontenerów pestycydów dostaje 40 tys. euro grzywny. Nie rozumiem tego. Szczerze, nie mam dobrej odpowiedzi.

Niestety, to porównanie da się też zastosować w Polsce. Zastanówmy się. Gdyby na polskim przejściu granicznym złapano kierowcę ciężarówki przewożącego 660 litrów alkoholu niewiadomego pochodzenia albo kierowcę volkswagena, który zamiast koła zapasowego wiezie 70 kg narkotyku, kara byłaby natychmiastowa i bardzo surowa. W przypadku pestycydów kończy się na grzywnie. W przypadku alkoholu, papierosów i narkotyków policja potrafi rozpracowywać i rozbić zorganizowane grupy przestępcze. Dlaczego nie da się tego zrobić, gdy chodzi o pestycydy? Dlaczego w ciągu minuty jestem w stanie kupić w internecie zakazaną i groźną dla zdrowia substancję? Powoli zdajemy sobie sprawę, że czarny rynek pestycydów jest realnym zagrożeniem. Że niesprawdzone, potencjalnie toksyczne substancje trafiają potem na nasze stoły.

© P KRZYSZTOF STORY

Nielegalny handel pestycydami badał zespół dziennikarzy śledczych Environmental Reporting: Eva Achinger, Lorenzo Bagnoli, Antonio Baquero, George Brock, Kristof Clerix, Anuška Delić, Staffan Dahllöf, Rasit Elibol, Caroline Henshaw, Nils Mulvad i Krzysztof Story. Reportaż powstał dzięki wsparciu Journalismfund.eu i Reporters in the field/Robert Bosch Stiftung.
www.ir-d.dk/illegal-trade

ROZMOWA



*Siostra Małgorzata Chmielewska,
Nagorzyce, sierpień 2016 r.*

S. MAŁGORZATA CHMIELEWSKA: Przekładałam naszą rozmowę kilka razy, ale, jak pani się pewnie domyśla, mamy tu małe urwanie głowy.

ANNA GOC: Namioty z punktami pobrań do testów dla osób bezdomnych już stoją?

Tak, ale nim stanęły, zdarzył się mały cud. Cud na Messengerze. Modliłam się i rozmyślałam, skąd wziąć na to pieniądze. W końcu Pan Bóg ulitował się nad starą siostrą, żeby nie musiała się już martwić. Znajomy spytał, czy ja bym przypadkiem nie chciała pieniędzy. Odpisałam mu natychmiast, że przypadkiem bym chciała.

Zapalę, ale nie będę dmuchała w ekran.

Chwilę potem znajomy wysłał mi na Messengerze informację o granicie fundacji Google'a. Kilka stron formatu A4, wykropkowane miejsca, prośba o dane, kosztorys, parę pytań z odpowiedziami „tak/nie”, na koniec zapewnienie, że nie jesteśmy terrorystami. Wypełniłam natychmiast. Pieniądze były na moim koncie dziesięć dni później. Wyobraża sobie pani, ile by to trwało, gdybyśmy się starali o rządowy grant? Dlatego od teraz w mojej obecności proszę nic złego na „wujka Google'a” nie mówić.

Taki namiot to dużo koszt?

Zależy dla kogo. Dla naszej wspólnoty, która zatrudnia sześćdziesięciu pracowników w dziesięciu domach w całej Polsce i nie ma rezerw finansowych, ogromny. Rzecz niewykonalna. Dla samorządu – podejrzewam, że niewielki, żeby nie powiedzieć – żaden.

Kto może u Was zrobić test na koronawirusa?

Każda osoba bezdomna, która się do nas zgłosi. Niezależnie od tego, z którego jest miasta. Zaczynamy od testu przesiewowego, jego koszt to około 200 zł. Jeśli wynik jest niepewny, robimy wymaz, czyli test genetyczny, droższy. Założmy, że zgłosi się osiemset osób, to jakie to są pieniądze dla samorządu? Żadne, proszę mi wierzyć.

Nim stanął Wasz namiot, co mogła zrobić osoba bezdomna, jeśli

SORRY, NIE MA CZASU NA EMOCJE

S. MAŁGORZATA CHMIELEWSKA, PRZEŁOŻONA WSPÓLNOTY CHLEB ŻYCIA:

Sytuacja osób bezdomnych podczas epidemii obudziła ludzką solidarność, ale wstydem dla naszego państwa jest to, że ono nie zrobiło nic.

w czasie pandemii nie chciała spędzić nocy na ulicy?

Zupełnie nic. Nie było ani jednego miejsca w Polsce, w którym by robiono testy osobom bezdomnym. Ani jednego, gdzie mogłaby przejść kwarantannę, żeby się dostać do schroniska czy noclegowni.

Dwa tygodnie temu Stowarzyszenie Monar otworzyło w Warszawie takie miejsce, gdzie bezdomni mogą się zgłaszać na kwarantannę. Pytanie – dlaczego dopiero dwa miesiące po wybuchu epidemii w Polsce?

Jak wygląda rządowa pomoc dla osób bezdomnych w czasie epidemii?

Nie ma żadnej pomocy. Jako organizacje zajmujące się osobami wykluczonymi wystąpiliśmy oczywiście natychmiast o pomoc państwową. Bezskutecznie.

A samorządy?

Niektóre miały pretensje do takich miejsc jak nasze, że w czasie epidemii nie przyjmujemy osób bezdomnych, bo przecież do przyjmowania się zobowiązaliśmy.

Zorganizowanie kwarantanny, np. w opuszczonej szkolnej sali gimnastycznej, nie wydaje się być czymś niewykonalnym. Ale procedury... Obserwuję ludzi, którzy są na różnych stanowiskach, nie mówię wyłącznie o rządzie, ale też o politykach niższego szczebla: wójtach, starostach, radnych gmin. Chyba nie wszyscy zdają sobie sprawę z tego, że ich praca to nie jest prestiż, tylko odpowiedzialność. Oczywiście znam takich, którzy absolutnie serio traktują swoje stanowiska jako służbę innym ludziom.

Dawno temu, za rządów zupełnie innej partii, powiedziałam podczas jakiegoś kongresu, że minister jest sługą. Po konferencji podeszła do mnie pani, żeby mi powiedzieć o swoim oburzeniu. Próbowałam wyjaśnić, że w łacinie słowo „minister” właśnie to oznacza. Okazało się, że była panią minister tego rządu.

Gdy zakładaliście pierwsze domy wspólnoty, na początku lat 90., pomagali Wam m.in. samorządowcy.

To byli ludzie, którzy mieli kontakt z rzeczywistością, żyjący bliżej ludzi. Nie twierdzę, że w tej chwili tak nie jest, bo w wielu samorządach są przyzwyczajeni, mam przykłady w mojej wsi, natomiast trzymają ich procedury.

Wiele lat temu wiceprezydent Warszawy od spraw społecznych wspierał przed świętami Bożego Narodzenia organizacje takie jak nasza. Dostawaliśmy pieniądze, niby na przygotowanie wigilii, w rzeczywistości dzięki nim mogliśmy przeżyć styczeń, najgorszy miesiąc. Pojawił się problem, jak przekazać pieniądze siostram od Matki Teresy z Kalkuty, bo one nie miały konta w banku. Wiceprezydent wymyślił, że pieniądze przeleje nam, a my wypłacimy i prześlemy siostram za pokwitowaniem. Czy pani wyobraża sobie dzisiaj coś takiego?

Kiedy w 1989 r. organizowała Siostra pierwszą wigilię dla osób bezdomnych na Dworcu Centralnym, problem bezdomności właściwie nie istniał. Coś się zmieniło od tamtego czasu?

Zmieniły się dwie rzeczy. Z jednej strony powstał ogromny ruch społeczny pomagający ludziom bezdomnym. Setki organizacji, stowarzyszeń, wolontariuszy. W systemie komunistycznym rzecz nie do pomyślenia.

Ale z drugiej – powstał też system, który właściwie uniemożliwia albo znacząco blokuje udzielenie natychmiastowej pomocy osobom potrzebującym. Stworzono sztywne struktury, a wyjście poza nie grozi urzędnikowi karą. Szereg lat temu można było zadzwonić do ministerstwa i powiedzieć: „Słuchajcie państwo, jest taki i taki problem”. Proszę spróbować to zrobić teraz. I nie mówię tylko o obecnych rządach.

Jak wygląda ta walka z systemem?

Dobrze się składa, że jest pani z Krakowa. Może pani zrobić prosty sprawdzian: proszę zadzwonić do jakiegokolwiek schroniska dla ludzi bezdomnych i powiedzieć, że ma pani kobietę czy mężczyznę bezdomnego. Spotkała go pani teraz i on pilnie potrzebuje pomocy, a pani nie wie, gdzie się po tę pomoc udać. Usłyszy pani, że człowieka trzeba zgłosić do ośrodka pomocy społecznej i poczekać na decyzję administracyjną. Sprawdzian najlepiej wykonać w piątek po południu.

W Warszawie stworzono specjalną komórkę do wydawania takich decyzji, zatrudniając nie wiem ile dokładnie osób. Decyzje zwykle trzeba odnawiać co trzy miesiące. Czasem się zastanawiam, co za te pieniądze można by realnie zrobić.

Mnóstwo czasu poświęcamy na walkę z systemem, usiłując na nim wymóc,

żeby przynajmniej wykonał obowiązki, za które my, jako obywatele, płacimy.

Kilka lat temu mówiłam kolegom z ministerstwa: uważajcie, wprowadzacie tak kosztowne – nie wspominając o tym, że śmieszne i zbędne – standardy dla schronisk, że kiedy zacznie brakować pieniędzy, to zabraknie ich przede wszystkim na schroniska i ludzie nie będą mieli się gdzie podziać. To się właśnie dzieje.

Jest czasem Siostra wściekła?

Nie. Na wściekłość jestem za stara.

Rozczarowana?

Też nie, bo nie zakładałam, że w czasie epidemii władza sama pomyśli o ludziach, którzy i bez epidemii są na marginesie.

Gdy się umawialiśmy na tę rozmowę, powiedziała Siostra, że udało się Wam jakoś sytuację opanować.

Na razie. Jestem z tego pokolenia, które musiało sobie radzić w różnych sytuacjach.

Jak to wygląda w praktyce?

Gdy się okazało, że epidemia dotarła i do nas, wprowadziłam ostry reżim. Jestem z wykształcenia biologiem, to się czasem przydaje.

Stwierdziłszy, że dopóki nie będziemy mogli robić testów, nie możemy przyjmować ludzi bezdomnych do naszych domów. 95 proc. naszych mieszkańców to ludzie starsi, schorowani, w grupie największego ryzyka.

Oczywiście wybór jest trudny: zostawiając na ulicy człowieka bezdomnego, chorego, wymagającego natychmiastowej opieki, ryzykujemy, że może on nie przeżyć następnego dnia. Wpuszczając go do naszego domu bez zrobienia testu ryzykujemy, że może zarazić kilkadziesiąt osób, mieszkańców domu.

Duża część osób pracujących w domach wspólnoty jest równocześnie ich mieszkańcami. A co z tą częścią personelu medycznego, która dochodzi?

Niektóre osoby z personelu medycznego pracujące u nas są zatrudnione też w szpitalach. Nim się jeszcze okazało, że źródłem zakażenia w DPS-ach jest personel medyczny przychodzący z zewnątrz, →

→ podjęłam decyzję, że na jakiś czas osoby z nami współpracujące nie będą do nas przychodzić.

A pozostali?

Pozostali stanęli wobec częściowego braku personelu. W domach dla ludzi bezdomnych praktycznie nikt nie wziął urlopu. Jeden z naszych pielęgniarzy odesłał dziecko do babci, żeby być z nami na dyżurach. W warszawskim schronisku dla kobiet dziewczyny natychmiast podzieliły się na grupy, wzięły dyżury 24-godzinne, wszystko po to, żeby w razie czego nie zaraził się cały personel jednocześnie. Oczywiście, wszyscy jesteśmy tym zmęczeni.

Co, jeśli któryś z mieszkańców wraca ze szpitala?

Dopóki nie mieliśmy możliwości zrobienia testu, nie mogliśmy wpuścić z powrotem żadnego naszego mieszkańca.

Raz zdarzyła się taka historia. Jeden z panów był przez dwa tygodnie w szpitalu, w którym był koronawirus, choć nie na tym oddziale, na którym leżał. Szpital odesłał nam go z informacją, że powinien odbyć kwarantannę. Tyle że w naszych warunkach to nie jest możliwe. Trzymaliśmy pana na dworze dobrych parę godzin, owiniętego w koce, dobrze, że było ciepło, karmiliśmy go i robiliśmy dziką awanturę w szpitalu. Nie mogliśmy go przyjąć do domu, bo była groźba zakażenia innych. W końcu szpital przyjął go na kwarantannę z powrotem.

A co z wizytami lekarskimi?

Wozenie do przychodni to kolejny problem. Jak się ma 70 osób chorujących, to jest trudniej. Niektórzy z nich mieli zaplanowane wizyty, na które czekali miesiącami, a nawet latami. Odwołanie ich nie wchodziło w grę.

Żeby wyjechać do lekarza z kimś od nas, trzeba mieć przynajmniej fartuch ochronny, przyłbicę albo maskę. Lepsze są przyłbice, w nich człowiek mniej się dusi niż w masce. A niektórzy nasi mieszkańcy mają problemy z oddychaniem. I tu zdarzył się kolejny cud: z Krakowa przyszła paczka z przyłbicami. Zupełnie niespodziewanie.

Następna historia: 90 proc. naszej żywności pochodzi ze sklepów wielkopowierzchniowych. Dostajemy ją na kilka dni przed końcem terminu ważności. Kiedy zamknięto markety, stanęliśmy

WSPÓLNOTA CHŁEB ŻYCIA



Namioty z punktami pobrań w schronisku Wspólnoty Chleb Życia przy ul. Gniewkowskiej 50 w Warszawie. Maj 2020 r.

wobec braku żywności. Spodziewałam się dramatu.

Jak udało się go uniknąć?

Zdarzyły się kolejne cuda. Szymon Hołownia ze swoją Dobrej Fabryką zorganizował zbiórkę, dołączyły kluby „Tygodnika Powszechnego”, wsparła nas Ania Dymna, a także ludzie prywatni, m.in. pracownicy banku PKO BP z Sandomierza, którzy się zrzucili. Cztery ogromne samochody dostawcze przywiozły siostry dominikanki, Lions Club i wielu innych.

Ale nie wszyscy mają tak dobrze. Mamy tu po sąsiedzku DPS: 180 chorych psychicznie osób. Wiek? Od 18 do 85 lat. Im też zaczęło brakować jedzenia. DPS-y mają sztywne budżety. A w czasie epidemii część budżetu muszą przeznaczyć na środki dezynfekujące. Nie mogą też liczyć na Opatrzność i przyjaciół, jak my. Albo pozwolić sobie na przyjęcie jedzenia na granicy ważności, jak my.

Dlaczego dochodzi do sytuacji, w których ci najslabsi nie są niejako z urzędu, z rozdzielnika zaopatrzeni natychmiast w to, co jest niezbędne do przeżycia? To najważniejsze pytanie. Dobrze się stało,

że zareagowało społeczeństwo, że obudziła się zwykła ludzka solidarność, natomiast wstydem dla naszego państwa jest to, że ono nie zrobiło nic.

Wróćmy do początku epidemii. Jak wtedy wyglądała sytuacja w Waszych domach?

Nie mieliśmy nawet środków dezynfekujących. Używamy ich sporo, ale zapas nijak się miał do zapotrzebowania. Na szczęście czuwa nad nami – już nieraz to mówiłam – Opatrzność. Zesłała nam panią, która na co dzień zaopatruje nas w środki dezynfekujące, a tym razem wysłała kilka palet płynów więcej. Co tu mówić – uratowały nas. Było ich tak dużo, że mogliśmy się nimi podzielić. Potem zaczęło się polowanie na inne potrzebne rzeczy.

Maski, rękawiczki?

Znalezienie rękawiczek graniczyło z cudem. Jedna nocka w internecie z głowy. A ceny? Jak za złote rękawice bokserskie. Maseczki? Jakiś obłęd. Mamy co prawda niewielką szwalnię, więc dziewczyny od razu siadły do maszyny. A ja, jako główny zaopatrzeniowiec,

do komputera. Zaczęło się przekopywanie internetu: strony polskie, zagraniczne. Szukałam: najpierw instrukcji, jak szyc maseczki, potem gumek, których metr nie kosztowałby tyle co złoty łańcuch. Po paru tygodniach mieliśmy na koncie dwa tysiące masek, większość rozdaliśmy.

Jak się udało zorganizować namioty do testowania osób bezdomnych?

Zadzwoiła do nas pani z biura prezidenta Andrzeja Dudy z pytaniem, czy nie chcemy maseczek. Oczywiście, chcemy – odpowiedziałam od razu, a kilka dni później zadzwoniłam, że przydałby się też namiocik.

Okazało się, że namiocik to nie kłopot, przywiozła go nam i rozstawiła brygada straży pożarnej. To była duża pomoc, bo w naszych domach średnia wieku raczej nie pozwala na takie aktywności.

A drugi namiot?

Należy do Wojsk Obrony Terytorialnej. Znalazłam do nich numer telefonu w internecie, w końcu chłopaki są młode, dzielne i od tego. Przekierowywano mnie z jednej brygady do drugiej, w końcu powiedziano, że ktoś oddzwoni. Oddzwonił pan i spytał, na kiedy ten namiot potrzebny, więc ja żartem, że na wczoraj. Powiedzieli, że za cztery godziny będą. Musiałam ich stopować, że wystarczy, jeśli przywiozą go na za dwa dni.

Barierki?

Są drogie jak nie wiem co. Kto ma takie barierki? – myślałam. Miasto! Ogradza teren podczas tych wszystkich demonstracji, marszów i pochodów, to może bezdomnym też użyć.

Zadzwoiłam do pana prezydenta Pawła Rabieja, bo mam jego numer komórkowy, i powiedziałam: „Panie prezydencie, ma pan zadanie. Potrzebne są barierki”. Następnego dnia były.

Jak pani widzi – jest dokładnie tak, jak mówiła Margaret Thatcher: żeby być dobrym samarytaninem, trzeba mieć pieniądze, potem już wszystko toczy się szybko.

Pozostała sprawa szkolenia personelu.

Ktoś Wam pomaga?

To, że potrzebujemy kogoś, kto zna się na rzeczy i wie, jak zadbać o bezpieczeństwo podczas pobierania krwi – było jasne.

Niech państwo przestanie wymyślać coraz to nowe przepisy na uszczęśliwianie ludzi bezdomnych, bez pytania o zdanie ich i tych, którzy się tym zajmują. Teraz to już bym poprosiła, **żeby państwo się nam za bardzo nie wpieprzało.**

Niedaleko nas, w Kielcach, pracuje dr Paweł Kukiz-Szczuciński, lekarz Polskiej Misji Medycznej, który był podczas epidemii w Lombardii. Na moją prośbę doktor wsiadł w samochód, przyjechał i przeszkolił wszystkich. Chodziło nie tylko o przeszkolenie, lecz także o sprawdzenie, czy wymyślone przez nas rozwiązania są bezpieczne. Przy testowaniu pracują ludzie młodzi, część z nich to nasze dzieci, więc musieliśmy mieć pewność, że wszystko jest dobrze zaplanowane.

Pojawili się już pierwsi, którzy chcieli z testów skorzystać?

Tak, od razu przyszli. Testy robi oczywiście certyfikowane laboratorium, u nas pobierana jest jedynie krew.

Siostra zdaje relację jak z frontu.

A emocje?

Sorry, nie mamy czasu na emocje. Czasu ani możliwości. To jest ciężka robota. Oczywiście głęboko współczuję ludziom, którzy są w DPS-ach, martwię się, że zostali pozostawieni sami sobie.

Natomiast emocji przy tym nie ma żadnych, oprócz przekleństw, bo czasem nóż się w kieszeni otwiera, gdy się widzi głupotę, bezradność, zaniedbania najrozmaitsze.

Opowiem anegdotę. Dostaliśmy informację z sanepidu o kontroli naszych domów, niemającej nic wspólnego z epidemią. Kontrola miała się zjawić parę dni po tym, jak zaczął się ogromny wzrost zachorowań. Odpisałam, że oczywiście, serdecznie zapraszamy, ale... I tu wymieniałam, czego oczekujemy: kontrolerzy przychodzą w rękawiczkach, w maskach lub przyłbicach, nie wchodzą do domu, tylko zgłaszają swoje przybycie pracownikowi,

który jest do tego upoważniony, trzymają się w odległości dwóch metrów, dezynfekują się, już nie napisałam, że dezynfekują się „na Łukaszenkę” itd., itd. Do dzisiaj nikt nie przyszedł.

Jak mieszkańcy domu przyjęli nowe środki ostrożności?

Wielu naszych mieszkańców nie zrozumiało, co się dzieje. Część z nich to osoby starsze, niepełnosprawne intelektualnie.

Staramy się im zapewnić rozrywkę, oderwać od myślenia o tym, co się dzieje. Na szczęście przy większości domów jest jakiś ogród, gdzie można na chwilę wyjść. Robimy grille, organizujemy seanse filmowe, bo telewizja jest oglądana u nas niechętnie. Mój Artur, autystyk, wciągnął się w układanie puzzli, więc jeździłam po nie, zastanawiając się, jak wytłumaczyć podczas ewentualnej kontroli, że to towar pierwszej potrzeby.

A gdyby państwo chciało się jednak bardziej zaangażować w pomoc dla osób bezdomnych, to jakiego zaangażowania by Siostra oczekiwała?

Poświęciłam wiele lat życia na doradzanie różnych rozwiązań. I nie chodzi o to, że państwo ma słuchać, co myśli siostra Chmielewska. Oczywiście oczekuję pomocy od państwa. Korzystamy z instytucji państwowych, z ochrony zdrowia, z pomocy społecznej. To się naszym mieszkańcom, jako obywatelom, należy. Ale niech państwo przestanie wymyślać coraz to nowe przepisy na uszczęśliwianie ludzi bezdomnych, bez zapytania o zdanie ich i tych, którzy się tym zajmują.

Więc teraz to już bym tylko poprosiła, żeby państwo się nam za bardzo nie wpieprzało w to, co robimy. Krótko mówiąc.

To jeszcze żart na koniec. Wiele lat temu, gdy znów się okazało, że państwo nie jest skuteczne w pomaganiu ludziom z marginesu, siedziałyśmy z Janką Ochojską i Janka mówi tak: niech oni nam dadzą to państwo w dzierżawę, my je poprowadzimy dużo taniej i może nawet lepiej.

© P Rozmawiała ANNA GOC

SIOSTRA MAŁGORZATA CHMIELEWSKA

jest przełożoną Wspólnoty Chleb Życia. Założyła w Polsce dziesięć domów dla osób bezdomnych i chorych. Mieszka razem z osobami bezdomnymi w Nagorzycach w województwie świętokrzyskim.

HERETYK ORTODOKSYJNY

Chodził po krawędzi.
Sprawiał, że pytania człowieka stawały się pytaniami teologii.
Zmarł ks. Wacław Hryniewicz.

JÓZEF MAJEWSKI

BEZ PRZESADY MOŻNA W NIM WIDZIEĆ najwybitniejszego polskiego teologa. Jego myśl pozostaje najbardziej pasjonującą współczesną polską propozycją teologiczną, rozpoznawalną w świecie. Żadna inna koncepcja nie budziła aż tyle podziwu, ale i sprzeciwu, uznania, ale i krytyki. Żadna inna nie potrafiła w takim stopniu elektryzować profesjonalistów, lecz także rzesze „zwykłych” chrześcijan, a nawet ludzi dalekich od Kościoła i niewierzących.

Ks. Wacław Hryniewicz swoje życie związał z Katolickim Uniwersytetem Lubelskim. Był jednym z przedstawicieli wymierającego dziś, a ekskluzywnego gatunku twórców własnego systemu teologicznego, któremu nadał miano chrześcijańskiej teologii paschalnej. Jego koncepcja nadziei zbawienia dla wszystkich wywołała najważniejszy, najgorętszy i najdłuższy spór teologiczny nad Wisłą. Należał do grona wybitnych ekumenistów. Reprezentował Kościół rzymskokatolicki w dialogu z Kościołem prawosławnym na forum światowym. W 2008 r. Kongregacja Nauki Wiary sprawdzała ortodoksyjność jego krytycznych wypowiedzi pod adresem jednego z jej dokumentów o Kościele, ale ostatecznie obyło się bez kar. Stale współpracował z „Tygodnikiem Powszechnym”, który w 2010 r. wyróżnił go Medalem św. Jerzego.

Naukowiec i ekumenista

Wacław Hryniewicz urodził się w 1936 r. w Łomazach niedaleko Białej Podlaskiej. Jak wyznał: „Pochodzę z rodziny wie-

rzącej, pobożnej, przy tym prostej, wieśniaczej. W moim wypadku nie było to pełne dramatyzmu przebijanie się do wiary. Z drugiej jednak strony nie mam poczucia, że wyssałem wiarę »z mlekiem matki«. Wyrastałem w rodzinie praktykującej, w pobliżu miejsca pielgrzymkowego, jakim jest Kodeń nad Bugiem”.

Mając 14 lat, wstąpił do Małego Seminarium Ojców Oblatów w Lublińcu na Śląsku. Już dwa lata później z powodu stalinowskiej likwidacji tego ośrodka zdecydował się wstąpić do nowicjatu oblatów. Święcenia przyjął w 1960 r. „Zaraz potem – powiedział kiedyś – przyszedłem na KUL i tu zostałem”. Już w 1963 r. został asystentem II Katedry Teologii Dogmatycznej, a w 1966 r. obronił doktorat poświęcony zbawczemu znaczeniu zmartwychwstania Chrystusa, napisany pod okiem ówczesnej sławy KUL-u, ks. prof. Wincentego Granata, który następnie pchnął go ku teologii prawosławnej.

W latach 1968-70 przebywał na stypendium w ośrodkach teologicznych w Louvain, Paryżu, Londynie i Rzymie, gdzie krzepła jego pasja ekumeniczna. Po powrocie do kraju w 1974 r. uzyskał habilitację na podstawie rozprawy „Rola tradycji w interpretacji teologicznej. Analiza współczesnych poglądów dogmatyczno-ekumenicznych”. Tytuł profesora uzyskał w 1992 r. Gościnnie wykładał w Austrii, Belgii, Francji, Niemczech i Stanach Zjednoczonych. Wydał ponad 30 książek i około 900 artykułów, z czego ponad 160 ukazało się w językach obcych (angielski, białoruski, czeski, fran-

cuski, niemiecki, rosyjski, rumuński, ukraiński i włoski).

Od roku 1979 uczestniczył w pracach Międzynarodowej Komisji Mieszanej ds. Dialogu Teologicznego między Kościołem rzymskokatolickim a Kościołem prawosławnym. A działał w tej strukturze bardzo aktywnie, co poświadczył inny wybitny ekumenista bp Alfons Nossol: „Trzeba przyznać, że nasz przyjaciel Wacław uratował poniekąd już na pewnym etapie dialog prawosławno-katolicki”. Chodziło o reinterpretację zasady „poza Kościołem nie ma zbawienia”. Hryniewicz pokazał, że nie wolno jej zacieśniać konfesyjnie – Bóg zbawczo nie ogranicza swojego zbawienia wyłącznie do „naszego” Kościoła.

W latach 1979-84 Hryniewicz był konsultorem watykańskiego Sekretariatu ds. Jedności Chrześcijan. A od roku 1998 do 2000 należał do ekumenicznego zespołu, który przygotował tekst dokumentu „Charta Oecumenica. Wytyczne do wzrastającej współpracy pomiędzy Kościołami w Europie”, który w kwietniu 2001 r. w Strasburgu został przyjęty przez przewodniczących Konferencji Kościołów Europejskich, organizację skupiającą Kościoły niekatolickie, i katolicką Radę Konferencji Biskupów Europy.

Pytany o to, czym jest ekumenizm, Hryniewicz odpowiedział: „To wola obalania murów, obniżania ich, by ludzie mogli się do siebie przybliżyć i wzajemnie uznawać swoją inność. (...) To jest wielki dar Pana ludzkich dziejów, wielka szansa i wielka lekcja uczenia się, jak być →



⇒ dzisiaj chrześcijaninem, (...) uczenia się od innych, z zachowaniem tego, co najlepsze w moim własnym Kościele”.

Optymista

Szerszej publiczności w Polsce Wacław Hryniewicz dał się poznać w 1978 r., publikując na łamach miesięcznika „Więź” artykuł „Nadzieja powszechnego zbawienia w tradycji Wschodu”. Zaprezentował w nim aprobowaną żywą w prawosławiu tradycję o nadziei na eschatologiczną apokatastazę (gr. *apokatástasis* – „odnowienie”, „przywrocenie”), pojednanie wszystkich stworzeń z Bogiem. Jego tekst mocno wstrząsnął ówczesnymi strażnikami ortodoksji w Kościele nad Wisłą. Sprawa trafiła do naszych najwyższych władz kościelnych, a w „Więzi” ukazała się polemika. Już wtedy to tu, to tam przyklejano Hryniewiczowi etykietę schizmatyka albo heretyka, a on (przekornie?) nie protestował, lecz w kolejnych numerach tego samego pisma bronił nadziei zbawienia dla wszystkich.

W końcu z tej apologii nadziei Hryniewicza narodziła się w 1989 r. chyba najważniejsza teologiczna książka w całej historii polskiej teologii: „Nadzieja zbawienia dla wszystkich. Od eschatologii lęku do eschatologii nadziei”. Inny KULowski wybitny teolog o. Stanisław C. Napiórkowski krótko po jej wydaniu powiedział: „Usiłuję wynaleźć wśród naszych publikacji jakąś inną pozycję, którą mógłbym porównać, i nie mogę znaleźć”.

„Nadzieja zbawienia dla wszystkich” stała się przyczyną bardzo gorącego, a pasjonującego sporu, jakiego nigdy wcześniej ani potem nie znała polska teologia. Spór ten na dobrą sprawę właściwie nigdy się nie zakończył. Jego cechą endemiczną jest i czas trwania, i temperatura, i zasięg. Dzięki tej niewielkiej książce, która nie liczy nawet dwustu stron, o nadzieję na apokatastazę spierają się nie tylko teologowie i teolożki, ale również „zwykli” wierni (i „niewierni”). Jak ujęła to Elżbieta Adamiak: „Hryniewicz potrafił myśleć i pisać w rygorze ściśle naukowym (...). Potrafił jednak także przekazywać swoją teologię w odwołaniu do tradycji mądrościowej, formułując proste zdania pełne treści. W ten sposób jego słowo docierało do wielu ludzi niezajmujących się teologią naukowo, a nawet dalekich od Kościoła i wiary”.

Ważną odsłoną sporu wokół Hryniewiczowej nadziei na apokatastazę oka-

Jego książka o nadziei powszechnego zbawienia

stała się przyczyną sporu,
jakiego nigdy
wcześniej ani potem
nie znała polska teologia.

zał się sąd nad nią teologów dogmatyków polskich, który odbył się w 1991 r. na Jasnej Górze. Na debatę przybyło ponad trzydziestu teologów, w tym, bagatela, czterech biskupów. Referaty wygłosili wtedy sam Hryniewicz, ojcowie Jacek Salij i Zdzisław Kijas, księża Ignacy Bokwa i Jan Szczurek oraz niżej podpisany. Swoje refleksje w dyskusji dodali, by wymienić tylko niektóre nazwiska, bp Alfons Nossol, o. Napiórkowski i o. Jacek Bolewski. Na sali obrad może nie wrzało, ale było naprawdę gorąco. Ogólną wymowę jasnogórskiego sądu nad Hryniewiczową nadzieją dobrze, moim zdaniem, oddają słowa o. Napiórkowskiego: „Czy mam iść za eschatologiem Chrystusem czy eschatologiem Hryniewiczem? To nie jest głupie pytanie, ale podstawowe, zupełnie fundamentalne. Nie umiem z przekonaniem odpowiedzieć, że są to eschatologie kompatybilne”.

Autor „Nadziei zbawienia dla wszystkich” na Jasnej Górze szczęśliwie uratował swoją głowę, ale tamtejsza dyskusja nie zakończyła samego sporu, a zapis jej poważnej części znalazł się w książce „Puste piekło?” z roku 2000. Od tamtej pory Hryniewicz opublikował ponad dziesięć kolejnych książek, w których pogłębiał stare i podawał nowe racje za swoją nadzieją. Trudno się dziwić, że wielu jego myśl teologiczną wiąże głównie z apokatastazą. Tymczasem wyraza ona z teologicznych fundamentów, które budował przez całe swoje teologiczne życie – i to przede wszystkim one decydują o tym, że na stałe wszedł on do panteonu wybitnych teologów przełomu XX i XXI w.

Poszukujący

Zanim powstał spór o nadzieję na apokatastazę, krótko wcześniej zacząłem studia na KUL-u. A były to złote lata tamtejszej

teologii, by wymienić nazwiska takich wykładowców, jak bp Nossol, Napiórkowski, Czesław Bartnik czy właśnie Hryniewicz, reprezentujących różne, wręcz kontradykcyjne style myślenia, nie wspominając o tamtejszej znakomitej szkole biblijnej.

Wykłady Hryniewicza – o teologii paschalnej, prawosławiu, teologii starożytnej czy ekumenizmie – miały charakter, rzekłbym, studyjny. Ściągały nielicznych uczestników, ale zawsze miałem wrażenie, że dla Hryniewicza, także dla jego uczennic/uczniów, spotkania te były rodzajem świętej teologii. On nasze myślenie teologiczne budził z letargu, odkrywał nowe lądy na starych oceanach, rozpraszał mgły przykrywające prądnice i nowe drogi... W tej liturgiczno-egzystencjalnej aurze jego wiedza przetapiała się w teologiczną i po prostu życiową mądrość.

U niego teoria była bardzo życiowa. Lubiał prowadzić nas do granic teologicznych przepaści – i jeszcze proponował samotne wędrówki po tych skrajach i granicach. Myśl o możliwości zbawienia Szatana wprawiała w osłupienie. Rzucanie koła ratunkowego dla Judasza zaskakiwało. Dowodzenie, że święty Kościół jest grzeszny, właśnie Kościół, a nie tylko jego członkowie – Kościół jako nierządnicą, prostytutką – okazywało się trzęsieniem ziemi. Cóż w tym kontekście powiedzieć o „grzesznych dogmatach”? Ależ to były i wciąż są widoki! Hryniewicz zostawił je nam w swoich książkach i niezliczonych artykułach.

Krytyk Kongregacji

Wiele wskazuje na to, że Wacław Hryniewicz był jedynym teologiem z Europy Środkowo-Wschodniej, którego poglądy pod lupę wzięła Kongregacja Nauki Wiary w czasach po Soborze Watykańskim II. W każdym razie tylko jego nazwisko reprezentuje ten region w pracy amerykańskiego badacza Bradforda E. Hinzego o watykańskim dyscyplinowaniu teologów w tym okresie.

Chodziło o artykuł Hryniewicza „Zbawiciel jest polifoniczny”, opublikowany w 2008 r. na łamach internetowego pisma „Open Theology”. Polski teolog skrytykował watykański dokument „Odpowiedzi na pytania dotyczące niektórych aspektów nauki o Kościele”. Kongregacja Nauki Wiary oświadczyła w nim, że

nazwa „Kościół” przysługuje Kościołom wschodnim, ale już nie Wspólnotom wywodzącym się z reformacji. Hryniewicz ripostował: „W oczach Kongregacji Kościoły protestanckie nie są Kościołami w sensie właściwym, gdyż brak im »ważnego episkopatu i ważnej Eucharystii« i dysponują »tylko elementami Kościoła«. W Kościele rzymskokatolickim istnieje pełnia, tam – tylko elementy (...). W takim rozumieniu widać ślady ilościowego rozumienia prawdy. Czy dobra i wartości duchowe poddają się prawom liczenia? Z natury swej mają przecież charakter jakościowy, osobowy i eschatologiczny. To nie pewna suma »elementów« sprawia, że dany Kościół jest w pełni Kościołem Chrystusa. To sam Chrystus jest »fundamentem« (por. 1 Kor 3, 11) wiary i Kościoła jako »droga, prawda i życie« (J 14, 6). Wprawdzie Sobór Watykański II nie przyznał wszystkim Kościołom reformacyjnym jednoznacznie charakteru eklesjalnego, ale z drugiej strony nie odmówił go wyraźnie żadnemu z nich, co przed Soborem uważano za rzecz oczywistą”.

W marcu 2008 r. lubelski teolog, odpowiadając na krytyczne uwagi Kongregacji Nauki Wiary, w liście do niej, wspominając o swojej chorobie nowotworowej, oświadczył, że nie widzi sposobu, by działać wbrew swemu sumieniu, pisząc artykuły z wyjaśnieniami i sprostowaniami, mimo groźby sankcji kościelnych. „Marti mnie przede wszystkim to, że wyrok Kongregacji może teraz objąć wszystkie moje wcześniejsze prace, w których wyrażałem podobne poglądy i przekonania”. Ostatecznie Kongregacja nie nałożyła na lubelskiego teologa żadnej kary.

Teolog Paschy

Cechą charakterystyczną teologicznej metody Hryniewicza jest erudycja. Zawsze miałem wrażenie, że przeczytał wszystkie publikacje teologiczne na dany temat. Jego erudycja miała jednak specyficzne znamiona: była patrystyczna i ekumeniczna. W jego pracach przemawiają Ojcowie Kościoła Zachodu i Wschodu. A byli to Ojcowie, którzy wstawili się nie tylko, jak uczą podręczniki teologii, umiejętnością udzielania bardzo ortodoksyjnych odpowiedzi, ale także zdolnością stawiania pytań i przeżywania trudności w wierze.

Z drugiej strony Hryniewicz oddawał głos teologom różnych tradycji chrześci-

jaństwa, prawosławia, luteranizmu, kalwinizmu czy anglikanizmu. Rzecz charakterystyczna, że w jego wykładzie nie przynależność konfesyjna autorów była najważniejsza, ale wiara w tego samego Jezusa Chrystusa, ich problemy, trudności i pytania oraz próby odpowiedzi, myślenie teologiczne. Hryniewicz miał wyjątkową zdolność tworzenia syntez teologicznych z bardzo bogatego, różnorodnego, konfesyjnego i pozakonfesyjnego, teologicznego i nieteologicznego materiału. To ta zdolność, jak sądzę, okazała się podstawowym narzędziem, które pozwoliło mu napisać najważniejsze dzieło – „Zarys chrześcijańskiej teologii paschalnej”, w trzech tomach: „Chrystus nasza Pascha” (487 stron); „Nasza Pascha z Chrystusem” (546 stron) i „Pascha Chrystusa w dziejach człowieka i wszechświata” (531 stron). Półtora tysiąca stron rozważań tworzących wielowątkową patrystyczno-ekumeniczną mozaikę wizji, myśli, wątków, pytań, odpowiedzi, hipotez, które wszystkie wiąże ze sobą tajemnica Paschy Jezusa Chrystusa, Jego śmierć i zmartwychwstanie. To w Pasze autor oczami wiary zobaczył Boga ranliwego, zdolnego dać się zranic cierpieniem i złem, potrafiącego współcierpieć z cierpiącymi. Wizja Boga cierpiącego również wywołała teologiczną debatę w naszej teologii.

To właśnie „Zarys chrześcijańskiej teologii paschalnej” sprawił, że Hryniewicz wszedł do ścisłego grona wybitnych teologów i ekskluzywnej w dobie naukowej specjalizacji grupy myślicieli, którzy

stworzyli własny system teologiczny, pozwalający na oryginalne widzenie całej albo prawie całej złożonej tkanki wiary. Takich szerokich wizji obecnie już się raczej nie spotka.

Za jeden z kluczy do zrozumienia teologiczno-paschalnego systemu Wacława Hryniewicza może posłużyć jego wypowiedź z książki „Nad przepaściami wiary”, wywiadu rzeki, który razem z Elżbietą Adamiak przeprowadziliśmy z nim na progu trzeciego tysiąclecia: „W swoim życiu jedynie szukam teologii bardziej wyrozumiałej, bardziej ludzkiej, bliższej doświadczeniu ludzi. (...) Boję się teologii wpędzającej ludzi w rozpacz. Boję się teologii serwującej ludziom beznadzieję, trwogę, lęk przed Bogiem. (...) Jeśli chodzę nad przepaściami wiary, to unoszą mnie nad nimi skrzydła nadziei. Ona mówi: Bóg jest większy niż nasza wiara. Bóg jest większy niż nasza nadzieja”.

Wacław Hryniewicz zmarł 26 maja w wieku 84 lat w Lublińcu. Temat śmierci pojawiał się często w jego wykładach, działalności i twórczości teologicznej. W 1999 r. na łamach miesięcznika „Więź” pisał: „O śmierci mówić trzeba językiem prostoty, pokory i nadziei. Taki jest język Biblii i wielkiej tradycji chrześcijańskiej. Kto rozumie jego sens, temu łatwiej przybliżyć się do samej głębi misterium śmierci jako wydarzenia sakramentalnego, jako wielkiej inicjacji do pełni nowego życia”. Właśnie sam wszedł w to życie.

© JÓZEF MAJEWSKI

POZEGNANIE

Z głębokim żalem żegnamy

ś.†P.

Księdza Profesora

Wacława Hryniewicza OMI

wybitnego ekumenistę,
teologa miłosierdzia i powszechnego zbawienia,
człowieka wielkiej uczoności, wiary i dobroci,
który dziś raduje się doświadczeniem spełnionej Nadziei.

PRZYJACIELE Z WYDAWNICTWA I MIESIĘCZNIKA ZNAK

Dwie procesje

DOROTA BIDZIŃSKA

**Dla nas zwyczajne jak te góry za oknami
– mówią o obchodach Bożego Ciała mieszkańcy Jaślisk,
które zagrały w „Bożym Ciele” Jana Komasy.
– Ale na ekranie: retty, ale to piękne!**

PANIE DOBRY JAK CHLEB, BĄDŹ UWIELBIONY od swego Kościoła” – śpiewają ludzie w procesji. Strażacy niosą porce, dziewczynki w komunijnych sukienkach sypią kwiaty, a młody ksiądz o przejrzystości błękitnych oczach klęka przed monstrancją wśród brzoźowych gałązek.

– Trochę kombinowaliśmy przy tej scenie – opowiada Jan Komasa, reżyser filmu „Boże Ciało” – bo nie mieliśmy zgody na kręcenie wewnątrz kościoła. Arcybiskup przemyski Adam Szal po przeczytaniu scenariusza przysłał długą listę z wypunktowanymi uzasadnieniami, dlaczego nasz film uważa za „antykościelny”. Ksiądz proboszcz, początkowo bardzo chętny do pomocy, podporządkował się tej decyzji. Zresztą nie dziwię mu się. Rozumiem, że obowiązuje go hierarchia. Nasza procesja wychodziła więc zza kościoła, a kościelną bramę otworzyliśmy w komputerze.

Problemem były też baldachim i monstrancja.

– Pożyczyliśmy je z innej parafii – tłumaczy Komasa. – A że kręciliśmy w dzień Bożego Ciała, musieliśmy je szybko oddać, bo tam też były potrzebne do procesji. Część dokręciliśmy już bez rekwizytów.

– Ekipa filmowa poprosiła nas o przygotowanie ołtarza – opowiada Małgorzata, mieszkanka pobliskiej Posady Jaśliskiej, która co roku włącza się w przygotowania do święta i procesji. – Dzięki temu mogliśmy kupić specjalny stelaż z metalowych rurek. Do tej pory robiliśmy konstrukcję drewnianą, a to wymagało sporo pracy. Teraz jest dużo łatwiej – przyznaje zadowolona.

– A ja jestem zbulwersowana – rzuca pani Maria. Co roku przygotowuje ołtarz na fasadzie swojego domu. Jej mąż, pan Stanisław, mówi, że to wielopokoleniowa tradycja. Ołtarze robiła jego babcia, potem

jego mama. – Może to i dobry film, ale na pewno nie powinien mieć takiego tytułu. A ta scena z procesją to moim zdaniem dodana jakby na siłę. W całym filmie jest dużo seksu, dużo wulgaryzmów i ja mam takie przemyślenia, że to niestety chodziło o to, żeby w to święto, tak uroczyste w Polsce obchodzone, jakąś szpileczkę wbić.

– Statystowałam w tej scenie razem z moim psem – mówi Iwona. W Jaśliskach prowadzi bar. Podobno niektórzy mają ją za bezbożnicę, bo nie chodzi do kościoła i czasem zdarza jej się rozwieść pranie w ogródku w niedzielę. Nigdy jednak nie spotkała się z tego powodu z bezpośrednią niechęcią. – Potem jedna starsza pani strasznie się oburzała: „Kto to widział? Na prawdziwą procesję nikt nie chodzi z psem!”. Odpowiedziałam: „Niechże tak będzie choć na tej wyobrażonej”.

W polskim Hollywood

Sobota po południu. Na rynku w Jaśliskach prawie pusto. Czasem przejeżdża jakiś samochód. Dwóch nastolatków na rowerach ćwiczy skoki na schodach przy budynku dawnego ratusza. Przy sklepie spożywczym kilku mężczyzn z piwem. Przez otwarte drzwi kościoła słychać śpiewy – właśnie trwa msza. Na chwilę dźwięki modlitwy zagłusza warkot motoru. Przez rynek przejeżdża samochód terenowy z odsłoniętym dachem. Wychylają się z niego młodzi ludzie, komórkami cykają sobie zdjęcia na tle drewnianych chat – nie wyglądają na tutejszych.

Kiedyś Jaśliska były ważnym ośrodkiem przy trakcie węgierskim. W XVI wieku podróżowali tędy handlarze z węgierskim winem – to dlatego pod niemal każdym tutejszym domem mieści się przestronna kamienna piwniczka. Prawa



miejskie odebrano pod koniec XIX wieku i miejscowość coraz bardziej traciła na znaczeniu.

„Jest powiedzenie u nas w Jaśliskach. Trochę śmieszne, ale prawdziwe – mówi w materiale filmowym z 1997 r. dla Telewizji Rzeszów jeden z mieszkańców. – Mieliśmy tu nie tylko gminę, ale też GS i kółko rolnicze. No więc jest takie powiedzenie, że kółko spalili, GS przepili, a gminę sprzedali. Wesołe, prawda?” – śmieje się, ale tak jakoś niewyraźnie.

Dziś w Jaśliskach mieszka około 500 osób, głównie ludzie starsi. Młodzi wyjeżdżają do pracy do Rzeszowa albo za granicę. Trochę ludzi pracuje w przemyśle drzewnym, coraz więcej idzie w agroturystykę. Na rynku powstaje duża restauracja, a w jednej ze starych chat Gminny Ośrodek Kultury tworzy izbę pamięci. Czysta i dzika przyroda Beskidu Niskiego przyciągają turystów. Tak samo jak fakt, że powstawały tu aż trzy filmy: „Wino truskawkowe” Dariusza Jabłońskiego, „Twarz” Małgorzaty Szumowskiej i nominowane do Oscara „Boże Ciało”. Nasze Jaśliska to takie polskie Hollywood – śmieją się mieszkańcy.



PARAFIA RZYMSKOKATOLICKA W JASŁISKACH

*Łtarcz przygotowany przez mieszkańcw
Jařlisk na Boęe Ciało, czerwiec 2019 r.
Ponięej: jedna z wiejskich uliczek.*



WALDEK SOSNOWSKI

Patent na płatki piwonii

Co roku w dzień Boęego Ciała rynek ożywa. Pojawiają się stragany. Parking wypełniają samochody. Rejestracje głównie z Krakowa i Rzeszowa. Przyjeżdżają nie tylko dzieci i wnuki mieszkańcw, ale teę turyści. Przy domach po czterech stronach placu powstają barwne, ukwie-

cone łtarze. Dziewczynki sypią kwiatki, chłopcy w komżach dzwonią dzwonkami.

– Dla mnie samej ta celebrowacja jest duęym przeęyciem – mówi Alicja Majdosz z Gminnego Ořrodka Kultury. – Pokazujemy naszą wiarę na zewnętrę. Zresztą my tu wszyscy jesteśmy katolikami, cho-

dzimy do kořciła i te waęne święta, jak Boęe Narodzenie, Wielkanoc i Boęe Ciało, przeęywamy bardzo urocęyscie.

– Bo wie pani co, człowiek niewierzący jest bardzo biedny. Mnie żal takich ludzi – mówi pani Maria. – My się mamy czego uczeć: czy Boga, czy rżańca, czy Matki Boęej. A ktoř, kto nie wierzy w nic? Czego? Mamony? To jest rzecz przemijająca. Pieniędzy do grobu nie zabierze. Ja nie jestem dewotką. Nie biegam cały czas do kořciła, ja się nawet kłcę z Panem Bogiem, ale gdybym nie była w niedzielę w kořcile, to po prostu nie miałabym tygodnia.

Pani Maria jeszcze nie ma gotowego pomysłu, ale w jej głowie juę się coř powoli układa. Łtarze robi od 1991 r. i za kaędym razem wprowadza jakieř udoskonalenia. Początkowo było tradycyjnie. Wieszala dywan, na to firanę.

– Od kilku lat staram się nawiązać do wydarzeń w Polsce – opowiada. – Jak był rok Jana Pawła II, to tło było żłte z wizerunkiem papieęa, w roku miłosierdzia – wizerunek Pana Jezusa, a w roku Ducha Świętego wszystko w bieli i słowa: „Niech zstąpi Duch Twj i odnowi oblicze ziemi. Tej ziemi”. Przez cały rok szukam rekwizytw i inspiracji. Tak przyszedł mi do głowy pomysł na łtarcz w barwach narodowych, z pięknym kręęem i tym wierszem: „Tylko pod kręęem, tylko pod tym znakiem Polska jest Polską, a Polak Polakiem”. Innym razem zamiast stolika jako łtarcz ustawiłam brzoowy pieńek. Oczywiřcie duęo zielonych gałęzek i kwiatw. Nie daję wstąęek – żadnej pstrokaczny! Staram się, żeby było elegancko.

Po południu, dzień przed Boęym Ciałem, spotykają się przy wybranych domach.

– W pomoc włączają się sąsiedzi, ale teę dzieci komunijne z rodzicami, kandydaci do bierzmowania i ręe rżańcowe, a w nich są i młodzi, i rodziny, i starsi – opowiada Alicja Majdosz.

– Kaędy jakoř się do tego dokłada – mówi Małgorzata. – Jedna pani trzyma u siebie dywan, inna daje stolik, do jeszcze innej chodzimy prasować obrusy. ➔

⇒ – Zwykle po popołudniowej mszy ksiądz proboszcz przychodzi do nas – dodaje jej mama, pani Janina. – Popatrz, pochwali i to też jest bardzo miłe.

– Pracujemy nieraz do późna. Któregoś roku, jak Boże Ciało wypadło wcześniej i szybko robiło się ciemno, to podświetlaliśmy sobie światłami z samochodów – śmieje się Małgorzata. – A następnego dnia też człowiek dłużej nie pośpi, tylko pędzi, żeby wszystko podopinać. Bo nawet ci, którzy przyjdą na poranną mszę, a nie na sumę, lubią przejść wokół rynku i pooglądać ołtarze.

Dawniej kwiaty brali od sąsiadów z ogródków. Teraz najczęściej kupują w kwiaciarni.

– No bo kiedyś rzeczywiście było pełno kwiatów w ogrodach – mówi pani Alicja. – Teraz się pozmieniało i ludzie przed domami mają tylko trawniki, jakieś drzewka, pojedyncze rabaty. Nawet jest problem, żeby dziewczynki uezbrały kwiatki do sypania.

– Ja mam taki patent, że jak piwonie wcześniej przekwitają w ogrodzie, to zbieram płatki i je mrozę. Potem, jak się je wymiesza ze świeżymi, to jest okej – zdradza Małgorzata.

Obowiązkowe są też gałązki brzozone, które zgodnie z ludową tradycją uczestnicy procesji zabierają do domów. White na polu lub między grządki zapewniają dobre plony.

– Ludzie dają je do zbóż, do grochu, do kapusty, żeby gaśienice nie zjadły – mówi pani Maria – niby to tylko taki zwyczaj, ale naprawdę działa!

– Niektórzy zabierają też płatki kwiatów sypanych na procesji i ususzone trzymają w portfelu – dodaje Małgorzata. – To podobno ma zapewnić bogactwo.

Zawieszenie

Panie zastanawiają się, jak to będzie w tym roku. Na procesję przyjeżdża przecież tyle osób. Czy ksiądz pozwoli? Już te święta wielkanocne, bez uroczystych obchodów w kościele, były dla nich trudne.

– To na pewno wywarło duże piętno na wszystkich – mówi pani Ala. – Brakowało mi tego tłumy ludzi. Tego bycia razem. Zresztą my wszyscy znamy się tutaj od dziecka.

– Dużo osób chodziło w niedzielę pomodlić się do pobliskich kapliczek. Palili świeczki, przynosili świeże kwiaty – mówi Małgorzata. – Co prawda ksiądz proboszcz zadbał o to, żeby była trans-

Mieszkańcy zastanawiają się, czy procesja Bożego Ciała w tym roku się odbędzie.

Przecież wtedy do Jaślik przyjeżdża tyle osób.

Czy ksiądz na nią pozwoli?
I jak będzie wyglądać?

misja mszy z naszego kościoła przez internet, ale przed ekranem to jednak człowiek tak tego nie czuje.

– Tak już się przyzwyczailiśmy do tych naszych zwyczajów – dodaje pani Janina. – Któregoś roku byłam na Boże Ciało u córki, która mieszka w Stanach. I choć byłam na mszy i nawet była procesja wokół kościoła, to wcale nie czułam, że to jest to święto. Tak jak czuję to u nas.

Ks. Grzegorz Polasz, proboszcz parafii św. Katarzyny Aleksandryjskiej w Jaślikach, przyznaje, że na ten moment (rozmawiamy trzy tygodnie przed Bożym Ciałem) nie wyobraża sobie tradycyjnych obchodów z procesją. Nie kryje zawodu. W tym roku miało być szczególnie uroczyste ze względu na setną rocznicę urodzin papieża Jana Pawła II.

– Nie mogę jednak narażać ludzi – wyjaśnia. – Czuje się odpowiedzialny za tę naszą małą społeczność.

– To jest ogromne duchowe przeżycie – zwierza się pani Maria, która ciągle ma nadzieję, że i w tym roku będzie tak jak zawsze. – My wierzymy, że Pan Bóg schodzi do nas z nieba i zagląda do naszych gospodarstw, zobaczyć, jak żyjemy. I tak, jak szykujemy się na wizytę gości, tak przygotowujemy się na spotkanie z Nim. Wiadomo, że On zawsze nas widzi, ale w tym dniu chcemy Go przyjąć jak najlepiej, godnie. I nawet w latach, kiedy czułam się gorzej albo zdrowie szwankowało, to Pan Bóg zawsze dawał mi siłę, żeby jednak ten ołtarz dla Niego przygotować.

Człowieczy los

Rozmawiamy na ławce, na podwórku pod filmową plebanią. Na trawniku widać jeszcze czarny kwadrat – ślad po spalonym na potrzeby filmu garażu.

– Palilo się, że ho ho – mówi pan Wiesiek, właściciel domu. – Taki płomień,

że aż mi drzewa poopalali. Postawili taką specjalną ścianę, żeby przypadkiem domu nie ruszyło. Deszcz też robili sztuczny. Mieli wysoki dźwig, lejki, podpięli pompy, płyn jakiś taki specjalny, żeby to kamerą uchwycić. Zalane było jak diabli.

Pan Wiesiek „Boże Ciało” już raz oglądał, ale jeszcze sobie do końca, na spokojnie tego filmu nie przemyślał.

– Film szeroki – ocenia – taki, że go można na różne funty szterlingi rozkładać. Nie daje konkretnej recepty, tylko żeby każdy sobie esencję dla siebie wyciągnął. Żeby się zastanowił nad wiarą, nad duchowością człowieka, nad przemianą w ogóle. Tak widzę sens tego filmu, pokazanie przemiany człowieka. Jak on się zbuntował przeciwko stereotypom. A co tam reżyser miał na myśli, to już nie wiem.

– Zresztą, jak na swój wiek, to porządnie podszedł do tematu – mówi z uznaniem. – Przecież to młody chłopak, za dziewczynkami powinien się uganiać – śmieje się, a za chwilę dodaje: – A film to by mi nawet pasował do moich poglądów, bo fanatykiem nie jestem. Jak byłem gówniarz i mama kazała iść do kościoła, to się nie zastanawiałem, tylko szedłem. Ale teraz jestem katolikiem, bo pewnych rzeczy doświadczyłem i wiem, że jest coś takiego. Jedni mówią na to Bóg, drudzy inaczej. Jak do kościoła nie pójde, to mi czegoś brakuje. Nieraz się mnie pytają: czego do kościoła chodzisz? Mówię: chodzę, bo mi się Pisma Świętego nie chce czytać. Tak odpowiadam, bo co za pytanie głupie!? Żartobliwie, ale w satyrze czasem jest najprawdziwsza prawda – przygląda mi się z błyskiem w oku.

Mówi, że tak jak on, tak zmienił się świat wokół. Że dawniej ludzie byli bardziej zakorzenieni w wierze, brali ją po prostu za pewnik. Teraz więcej się nad tym wszystkim zastanawiają. I choć nadal angażują się w przygotowania i obchody Bożego Ciała, to z dawnymi czasami nie ma już porównania.

– Pewnie część na procesję chodzi tradycyjnie, ale myślę, że większość idzie, bo wierzy. Dawniej jakby kto nie poszedł, toby wykleli we wsi – tłumaczy. – W przygotowania też się ludzie bardziej angażowali. Większa jedność była. Jak już coś robili, to razem. Jeden od drugiego bardziej zależał. A dzisiaj każdy samochód ma, ubezpieczony. Z każdej strony taki samodzielny, że może na sąsiada ki-

chać. Chociaż nie narzekam, bo my tu żyjemy w zgodzie – dodaje.

Z ekipą filmową też się trochę zaprzyjaźnili. Dużo czasu spędzali u niego. W końcu tutaj, na plebanii, kręcili większość scen. Trochę też gadali o życiu.

– Któregoś dnia przyszedł do mnie tak z rana – mówi o Komasiu pan Wiesiek. – Akurat kawkę sobie piłem. Rzucał temat: jaki jest sens życia, a ja mu na to: nie ma żadnego! Bo nie wiadomo, po co człowiek się rodzi, po co umiera. Jak jest młody, to sobie stawia jakieś cele. Ja na przykład chciałem latać samolotami. Ale przecież, koniec końców, to nie o to chodzi w życiu. Po prostu trzeba je przeżyć. Jak czasem patrzę na to, jak mi się życie ułożyło, to porównuję je do Odysa, który przeszedł przez to swoje piekielko, żeby wrócić do Itaki. Może trochę ironizuję, może trochę przesadzam. Ale jest jakieś takie przeznaczenie, że człowiek będzie szedł i szedł nie wiadomo gdzie, i po to kula ziemiska jest okrągła, że i tak w końcu trafi w to właściwe miejsce. Ja tak miałem. Z domu wyszedłem, jak miałem 15 lat, i nigdy nie myślałem, żeby tu zostać. A potem trach, i tak się stało.

– Wie pani co? – dodaje. – Tu jest czasem taki spokój, że aż to człowieka przeraża. I nieraz tak sobie myślę w tej ciszy o swoim życiu, dlaczego tak się potoczyło, czy można było inaczej. I widocznie nie można było. Widocznie tak to miało być. Iwona z panem Wieskiem



ANDRZEJ WENCEL / AURUM FILM / KINO ŚWIAT

Bartosz Bielenia w filmie „Boże Ciało”.

Poniżej: procesja w Jaśliskach, Boże Ciało, czerwiec 2019 r.

czasem spacerują sobie do pobliskiej kapliczki.

– Początkowo mnie to wszystko śmieszyło i irytowało – mówi Iwona. – To chodzenie do kościoła wydawało mi się bezrozumne lub, co gorsza, tchórzliwe. Że ludzie faktycznie boją się tego Boga. Teraz patrzę na to inaczej. Niedzielną msza jest dla nich taka naturalna i oczywista. Jak rosół. Rosół w niedzielę być musi. To chyba jednak piękne. Paradoksalnie chyba trudno się tu nie przybliżyć do wiary.

Zeszyt Matki Boskiej

Przy kapliczce leży zeszyt, do którego ludzie wpisują swoje intencje, prośby do Matki Boskiej Lipowieckiej o zdrowie i pomyślność.

– Wiesiu nie wziął okularów, chciał, żeby coś wpisała w naszym imieniu. Zgodziłam się. Gdy przeczytałam mu nasz wpis, bardzo się wzruszył. Napisałam tak: „Matko Boska, przyszliśmy Cię odwiedzić, bo pewnie jesteś samotna”.

© DOROTA BIDZIŃSKA





MIKHAIL TERESHCHENKO / GETTY IMAGES

Sobór Chrystusa Zbawiciela. Moskwa, styczeń 2020 r.

Boska fizyka

MACIEJ MÜLLER

**Wizja, a potem cud eucharystyczny:
to one stoją u podstaw święta Bożego Ciała.**

PRZEORYSZA KLASZTORU AUGUSTIANEK z Mont Cornillon, św. Julianna, od 1208 r. doświadczała widzenia świetlistej tarczy, na którą padał cień. Boże natchnienie naprowadziło ją na interpretację: tarcza to Kościół, a cień – brakujące święto ku czci Eucharystii. Usłyszała głos Chrystusa wzywającego, by ustanowić je w czwartek po Niedzieli Świętej Trójcy. O wizjach wiedział najpierw tylko spowiednik, potem biskup Liège – którego decyzją w 1246 r. przez miasto przeszła pierwsza procesja eucharystyczna. W 1264 r. papież Urban IV, były archidiakon katedry w Liège, wprowadził tę uroczystość w Rzymie.

W tym postanowieniu – według tradycji – wzmocniło go o rok wcześniejsze

wydarzenie z włoskiej Bolseny. W rękach pewnego księdza, wątpiącego w realną obecność Chrystusa w chlebie i winie, zaczęła krwawić konsekrowana hostia. Krople krwi kapąły na korporał. Materiał zawieziono przebywającemu w pobliskim Orvieto papieżowi.

W Polsce przeważają objawienia i cuda związane z Matką Bożą, niemniej i u nas doszło do około dziesięciu (w zależności od definicji) cudów eucharystycznych. Do dwóch ostatnich, w Sokółce i w Legnicy, w bardzo podobny sposób. Konsekrowaną hostię, przez przypadek upuszczoną na posadzkę, zgodnie z przepisami umieszczono w pojemniku z wodą zwanym *vasculum*, by uległa rozpuszczeniu (obecność Chrystusa – tłumaczą teologo-

wie – w konsekrowanym chlebie zanika, gdy postać eucharystyczna ulega rozpuszczeniu). Wbrew przewidywaniom opłatek nie rozpuścił się, pojawiły się natomiast na nim czerwone ślady. Po zleceniu badań laboratoryjnych biskup miejsca orzekł *nihil obstat*: wydarzenie nie sprzeciwia się wierze Kościoła, a opłatek może być wystawiony jako relikwia.

Badania laboratoryjne hostii z Legnicy krok po kroku prześledziła Ewelina Burda w reportażu opublikowanym na tych łamach („TP” 17/2016). Opłatek – podobnie jak ten z Sokółki – przeszedł przez kilka laboratoriów, które nie stwierdziły fałszerstwa i uznały, że preparat oglądany pod mikroskopem przypomina tkankę serca osoby w agonii. Motyw ten powtarza się: podobnie stwierdzono np. w przypadku cudu w Buenos Aires z 1996 r.

O wydarzeniu z Sokółki jedna z badaczek powiedziała: „To cud, mówię z pełną odpowiedzialnością”. O cudzie z Argentyny opowiada zaś książka pod znamienym tytułem „Powód do wiary”.

Nie żyjemy jednak w XIII wieku. Opowiadanie o cudach wielu katolikom bardziej przeszkadza w wierze, niż pomaga. Obok dyskusji o tym, czy jest sens wery-

fikować działanie Boga za pomocą metod naukowych, pojawiają się formułowane wprost wątpliwości: czy to wszystko nie urąga rozumowi?

Sceptycyzm

LANCIANO, WŁOCHY, VIII W.

Pewien mnich zastanawiał się, czy to rzeczywiście możliwe, żeby Chrystus był obecny w postaciach eucharystycznych. Kiedy odprawiał mszę i wypowiedział słowa konsekracji, hostia przemieniła się w jego rękach we fragment ludzkiego ciała, a wino w krew. Relikwie zbadano w 1971 r., raport patologów potwierdził, że są to ludzkie szczątki; tkankę opisano jako fragment serca, stwierdzono grupę krwi AB. Jan Paweł II w księdze pamiątkowej sanktuarium napisał: „Spraw, abyśmy w Ciebie bardziej wierzyli, pokładali nadzieję i miłowali”.

– Moim zdaniem te przemiany nie są naukowo potwierdzone w sposób, który nie budziłby wątpliwości – mówi ks. dr Eligiusz Piotrowski, dogmatyk, były wiceprezydent Europejskiego Stowarzyszenia Teologii Katolickiej, badacz i tłumacz Hansa Ursa von Balthasara – zwłaszcza że nie skorzystano z niezależnych i niezaangażowanych autorytetów. Istnieje przecież bakteria wytwarzająca czerwony osad.

Mowa o *Serratia marcescens*, która rozmnaża się na pieczywie, wytwarzając czerwony barwnik: prodigiosynę. Opisał ją po raz pierwszy (choć początkowo jako grzyba) w 1819 r. pewien włoski farmaceuta, który zaobserwował, że powierzchnia wilgotnego chleba pozostawionego w ciepłym miejscu pokrywa się czerwonym zabarwieniem. Podobny eksperyment przeprowadził z użyciem polenty przygotowanej z mąki kasztanowej. *Serratia* lubi skrobię.

– Cud eucharystyczny w znaczeniu krwawącego opłatka nie wytrzymuje krytyki rozumu – mówi ks. Piotrowski. – Eucharystia, jak powtarzał Rahner, nie jest Bogiem, jest sakramentem i nie na niej ma się zatrzymywać nasza uwaga. Prawdziwy cud eucharystyczny zachodzi wówczas, kiedy ktoś po przyjęciu komunii pomyśli: skoro zjadłem Pana Jezusa, teraz sam muszę dać się zjeść innym. Połamałem się chlebem eucharystycznym, teraz połamię się chlebem powszednim. Z udziału w Eucharystii musi wynikać faktyczny akt dzielenia się z in-

nymi. Zwłaszcza z ludźmi spychanymi na margines.

Skąd sceptycyzm teologa wobec cudów? – Bo one stanowią otwarte wyzwanie dla rozumu wobec racjonalnego Boga – uważa ks. Piotrowski. – Ja nie mam zresztą problemu z cudami, tylko raczej z ich brakiem. Skoro przyjmujemy, że cuda się dzieją, to narzuca się pytanie: dlaczego Bóg jednym daje, a innym nie? W lipcu 2007 r. autokar z polskimi pielgrzymami wracającymi z La Salette spadł na zakręcie w przepaść i stanął w płomieniach. Połowa ludzi zginęła, połowa przeżyła. Ci drudzy opowiadali, że Bóg ich cudownie uratował. Trzeba by więc konsekwentnie stwierdzić, że pozostałych Bóg cudownie nie uratował. I co z tego wynika?

Ostrożność

ALATRI, WŁOCHY, 1228

Pewna dziewczyna po przyjęciu komunii wyjęła opłatek z ust, by zanieść go do czarnicy, która miała przygotować dla niej napój miłosny. Targana wyrzutami sumienia, nie poszła do niej od razu, ale wzięta hostię do domu. Kiedy po kilku dniach odwinęła chusteczkę, odkryła, że hostia zmieniła się w zakrwawiony kawałek ciała.

– Odrzucanie z góry możliwości zaistnienia cudu wcale nie jest ani racjonalne, ani naukowe – uważa ks. dr hab. Robert Woźniak, dogmatyk, wykładowca z UPJPII, laureat Nagrody Tischnera za książkę „Przyszłość, teologia, społeczeństwo”. – Postawą właściwą naukowcowi, oprócz krytycznego podejścia do rzeczywistości, jest jej akceptacja. Wiara nie przeczy rozumowi, tylko daje mu do myślenia. Teolog musi mieć instynkt krytyczny, ale przede wszystkim otwartość na to, co Bóg chce powiedzieć przez rzeczy, których do końca nie rozumiemy.

KS. ELIGIUSZ PIOTROWSKI:

Wierzyć jest trudno,
ale nie szukajmy
dla wiary podpórek.
Więc jeśli oczekujemy cudów,
to nie takich,
że coś się stanie z hostią.

– Podchodźmy do tych zjawisk – zachęca ks. Woźniak – z wolnością zadawania pytań krytycznych, wolnością pod adresem samego zjawiska, ale i pod adresem własnego rozumienia rzeczywistości.

Według niego cud jest wpisany w wiarę. – Dzisiaj już niewielu teologów, idąc za modą XIX i XX w., demitologizuje cuda, sprowadzając do pouczających opowiadań – podkreśla. – To podejście samo w sobie okazało się niekrytyczne. Rzeczywistość jest dużo bardziej złożona, niż nam się wydaje. Wiara jest racjonalna, ale to nie znaczy, że wierzymy tylko w to, co potrafi udowodnić rozum. Ireneusz z Lyonu pisał, że Bóg objawia się komu chce, kiedy chce i jak chce. Ta nieskończona wolność jest wyrazem Jego racjonalności, może zatem być poznana, jeśli rozum człowieka pozostaje na nią otwarty.

Ze średniowiecznej zasady Anzelma z Canterbury, że wiara potrzebuje zrozumienia, według ks. Woźniaka wynika także to, że wiara potrafi poradzić sobie w momentach, których nie opanowuje rozum. Jest powiedzeniem Bogu „tak”, mimo że nie rozumiemy wszystkiego. – Cuda Jezusa były znakiem uwiarygadniającym Go, pomagającym wierzyć. Ale paradoksalnie: te znaki zmuszały do jeszcze radykalniejszej wiary. Pomagały, ale na zasadzie rzucenia człowieka na otwarte morze.

Atrakcja

SEEFELD, AUSTRIA, 1384

Podczas komunii w Wielki Czwartek pewien dumny rycerz zażądał, by zamiast małego opłatka podano mu wielką hostię. Kiedy to się stało, pod jego nogami zapadła się ziemia, a rycerz, trzymając się desperacko ołtarza, prosił kapłanów, by wyjęli hostię z jego ust. Wtedy otchłań znikła. Kapłanom wyjęta z ust hostia zdawała się nasycana krwią.

– Istnieje obawa, że tzw. cuda eucharystyczne przynoszą religii odwrotny od spodziewanego skutek, że spychają ją na margines i sprawiają, że z Kościoła odchodzą ludzie krytycznie myślący. To coś jak pokonywanie pandemii koronawirusa pobożnymi praktykami, przybierającymi często charakter magii – mówi ks. Piotrowski. – Wiara, że opłatek zmienił się w tkankę serca, nie jest drogą do ożywienia sakramentalnego wymiaru Kościoła.

→ Te wątpliwości zdaje się potwierdzać statystyka. W latach poprzedzających cud (2012-13) w diecezji legnickiej według raportów ISKK do kościoła chodziło odpowiednio 30,5 proc. i 30,1 proc. zobowiązanych do tego katolików. W 2017 r., rok po zatwierdzeniu kultu przez biskupa: 28,5 proc. Efektu nie widać.

Z takim podejściem nie zgadza się ks. Woźniak: – Nie oceniałbym skuteczności cudów eucharystycznych statystycznie. Jeśli policzyć osoby pod krzyżem, misja Chrystusa wygląda na przegraną sprawę. Pan Bóg myśli o człowieku we wspólnocie, ale wiara to nie kolektywizm. Gdyby Bóg miał stworzyć świat dla jednego człowieka, toby go stworzył.

Według teologa z Krakowa cud może pomóc w rozwoju osobistej religijności: – Może pomnożyć czyjaś wiarę, wzbudzić ciekawość rozumu. Nawet jeśli niewielu ludziom pomagałoby to wierzyć, to Bogu niech będą dzięki także za tych nielicznych, którym pomaga. Na pewno nie sięgałbym po cud szukając argumentów za istnieniem Boga i prawdziwością Eucharystii. A już z pewnością cud nie powinien być argumentem w dyskusjach ekumenicznych: one muszą opierać się na pojęciach objawienia biblijnego.

Realność

FINCA BETANIA, WENEZUELA, 1991

Ksiądz odprawiający mszę w sanktuarium Matki Bożej przed komunią połamiał dużą hostię na kilka części. Z jednej z nich za-

KS. ROBERT WOŹNIAK:

Rzeczywistość jest bardziej złożona, niż nam się wydaje.

Wiara jest racjonalna, ale to nie znaczy, że wierzymy tylko w to, co potrafi udowodnić rozum.

częła sptywać krew, jednak nie wsiąkając w opłatek. Biskup zlecił laboratoryjne badania. Naukowcy nie byli w stanie wyjaśnić zjawiska. Zbadano natomiast krew: jest ludzka, jej grupa to AB.

Ks. Piotrowski: – Kościół musi wciąż na nowo przemyślać swoją teologię sakramentów, a nie zadowalać się interpretacjami z przeszłości.

Co ma na myśli? – Obowiązująca teologia Katechizmu Kościoła Katolickiego stara się wszystko opisać językiem prawniczym, przywołując ustalenia starych soborów i synodów. A tu trzeba teologii, która będzie miała odwagę opowiedzieć o Eucharystii bez sięgania po niezrozumiałe formuły – wskazuje dogmatyk. – Mówimy, że Chrystus jest obecny w Eucharystii *vere, substantialiter et realiter*, czyli prawdziwie, substancjalnie i rzeczywście. Skoro tak, to wciąż po-

wracać będzie pytanie, dlaczego chora na raka kobieta, matka kilkorga małych dzieci, nie zdrowieje po przyjęciu komunii, mimo że substancjalnie obcuje z Bogiem? Zjedzenie to przecież najwyższy sposób zjednoczenia, wyprzedzający wszystkie akty ludzkiej komunikacji. Tu byłoby miejsce na cud eucharystyczny. Cierpiąca na krwotok kobieta z Ewangelii dotknęła Jezusa i wyzdrowiała, a Kościół uczy, że w Eucharystii jest ten sam Jezus. Jak to rozumieć? Jeśli oczekiwać jakichkolwiek cudów, to nie takich, że coś się stanie z hostią!

Jezus jednak podczas ostatniej wieczerzy mówił: „To jest ciało moje”. Czy to była metafora? Ks. Robert Woźniak: – W swojej wierze eucharystycznej Kościół odrzuca jedynie symboliczne rozumienie tych słów. One mówią o rzeczywistości, o jej metafizycznym wymiarze. Czy rzeczywistość jest zawsze fizyczna? Trzy łacińskie przysłowki z dogmatu o transsubstancjacji nie są pojęciami z fizyki, tylko z metafizyki, czyli mówiącymi o najgłębszej istocie rzeczywistości. Na przykład substancją człowieka jest jego człowieczeństwo. Więc Jezus w sakramencie jest obecny we wszystkim, co stanowi Jego osobę: w uwielbionym człowieczeństwie i w swojej synowskiej boskości. To nie jest taka obecność, która podlega czasowi i przestrzeni. Jest jednak w jakiś sposób materialna, dotyczy bowiem ciała i krwi, ich istoty, która wyraża całe życie osobowe Jezusa wydane za

TYGODNIK
POWSZECHNY

Podkast
Powszechny



„Połóg bez tabu”

To stan traktowany po macoszemu w programach szkół rodzenia, przemilczany w rozmowach z matkami, przyjaciółkami, a nawet lekarzami, gdy zbliża się termin porodu. Dlaczego o tym, co naprawdę czeka kobiety po urodzeniu dziecka, mówi się tak niewiele?

Karolina Przewrocka-Aderet rozmawia z Małgorzatą Frej, lekarką pediatrą, twórczynią grupy wsparcia dla kobiet w ciąży, porożu i wczesnym macierzyństwie „Czułe Matki”.

Teksty o porożu oraz głosy naszych Czytelniczek opisujących swoje doświadczenia znajdziesz na powszech.net/polog

powszech.net/podkast



weź, słuchaj!



TOMASZ PACZOS / FOTONOVA

Procesja przed wystawieniem po raz pierwszy publicznie hostii badanej pod kątem cudu eucharystycznego. Sokółka, 2 października 2011 r.

nas i oddane nam. To jest obecność sakramentalna, jedyna w swoim rodzaju.

Tylko czy w takim razie dosłowna przemiana chleba w ciało nie kłóci się z wypracowaną na soborach doktryną teologiczną? – Kościół nie uprawia fizykalizmu, bo inaczej doszlibyśmy do absurdów typu: nie wolno gryźć konsekrowanej hostii, bo to boli Pana Jezusa – zaznacza ks. Woźniak. – *Realiter* trzeba rozumieć jako fizyczne ciało. Ale nie jesteśmy w stanie pojąć, co to jest za ciało. Starał się to wyrazić św. Paweł w Liście do Koryntian: sieje się zniszczalne, powstaje niezniszczalne, sieje się słabe, powstaje mocne, sieje się zmysłowe, powstaje duchowe. Maria Magdalena słyszy od Chrystusa zmartwychwstałego: „Nie zatrzymuj Mnie”. Ojcowie Kościoła często wyjaśniali te słowa jako: „Musisz się Mnie nauczyć na nowo”. Bo znasz Mnie tylko z życia przed zmartwychwstaniem. Nie znamy fizyki ciała zmartwychwstałego. Jezus przechodził przez zamknięte drzwi, ale też jadł, dało się Go dotknąć. Orygenes uważał, że ciało zmartwychwstałe jest posłuszne woli człowieka i może wyglądać, jak chce. Przystęp do tego właśnie ciała daje nam Eucharystia.

Tajemnica

LOURDES, FRANCJA, 1999

Podczas mszy odprawianej przez francuskich biskupów, w tym kard. Jeana-Marie Lustigera, hostia podczas wypowiedzania

słów konsekracji uniosła się z pateny na ok. 2 centymetry w górę. Uwieczniła to transmitująca wydarzenie telewizja (kiepskiej jakości nagranie można obejrzeć na YouTube).

– Ludzie tak bardzo potrzebują cudownych znaków, że są gotowi sięgać po jakiegokolwiek niezwykle zdarzenie – przestrzega ks. Piotrowski. – Z tej tęsknoty biorą się Matki Kościoła na szybie czy na pniu drzewa. To ma swoje źródło w ludzkiej naturze, obnażonej w Starym Testamencie: chcemy widzieć Boga, chcemy cielca. Wierzyć jest trudno, ale nie szukamy dla wiary podpórek. Na protezach, jakiegokolwiek rodzaju, Kościół na pewno daleko nie zajdzie.

– Problem nie leży w samym cudzie, tylko w tym, co z nim zrobimy – uważa ks. Woźniak. – Możemy podejść do niego jak do fetyszu, zracjonalizować i powiedzieć: oto argument za istnieniem Boga i prawdziwością Eucharystii, drzyjcie, którzy nie wierzycie. Z drugiej strony możemy powiedzieć, że cud jest niemożliwy. Tylko że to też racjonalizowanie tajemnicy, odrzucenie możliwości, że istnieją zjawiska, których nie potrafimy wyjaśnić, zjawiska, które wyzwalały nasze myślenie. W pierwszej perspektywie nie ma już wiary, tylko oczywistość, zwolnienie z konieczności wiary. W drugiej postawie również nie ma wiary, tylko sam rozum, który wyznacza, co Bóg może zrobić.

W obu przypadkach widać brak pogłębionego namysłu, intelektualnej otwartości. Negowanie cudów wynika z tego samego, co afirmacja: wolelibyśmy wiedzieć, niż wierzyć.

Ks. Piotrowski podkreśla, że w dociekaniach teologicznych nie powinno się nadużywać terminu „tajemnica”. – Pojawia się on nierzadko jako teologiczny wytrych. Wytrychy na ogół służą do tego, żeby coś otworzyć, tymczasem w teologii mamy takie, którymi problem się zamyka, kiedy dyskutanci nie mają odwagi, by go podjąć i przynajmniej spróbować rozwiązać. „Nie, to tajemnica”. „Bóg robi, jak chce”. „Trzeba wiary i pokory, i bezwarunkowego przyjęcia autorytetu”... To grozi tym, że myślący krytycznie człowiek XXI wieku z trudem będzie odnajdywał się w Kościele.

Adresaci

WATYKAN, 2010

Podczas mszy sprawowanej przez abp. Johna Bulaitisa komunie przyjęła Julia Kim, Koreanka uważana przez swoich zwolenników za mistyczkę. Kobieta po pewnym czasie otworzyła usta: hostia na jej języku zabarwiła się na czerwono i zaczęła krwawić. Arcybiskup kazał jej przełknąć hostię i przepłukać usta wodą, po czym zbadał jej jamę ustną i stwierdził, że nie ma w niej żadnych zranień. Wydarzenie uwieczniły kamery, nagranie jest dostępne w internecie.

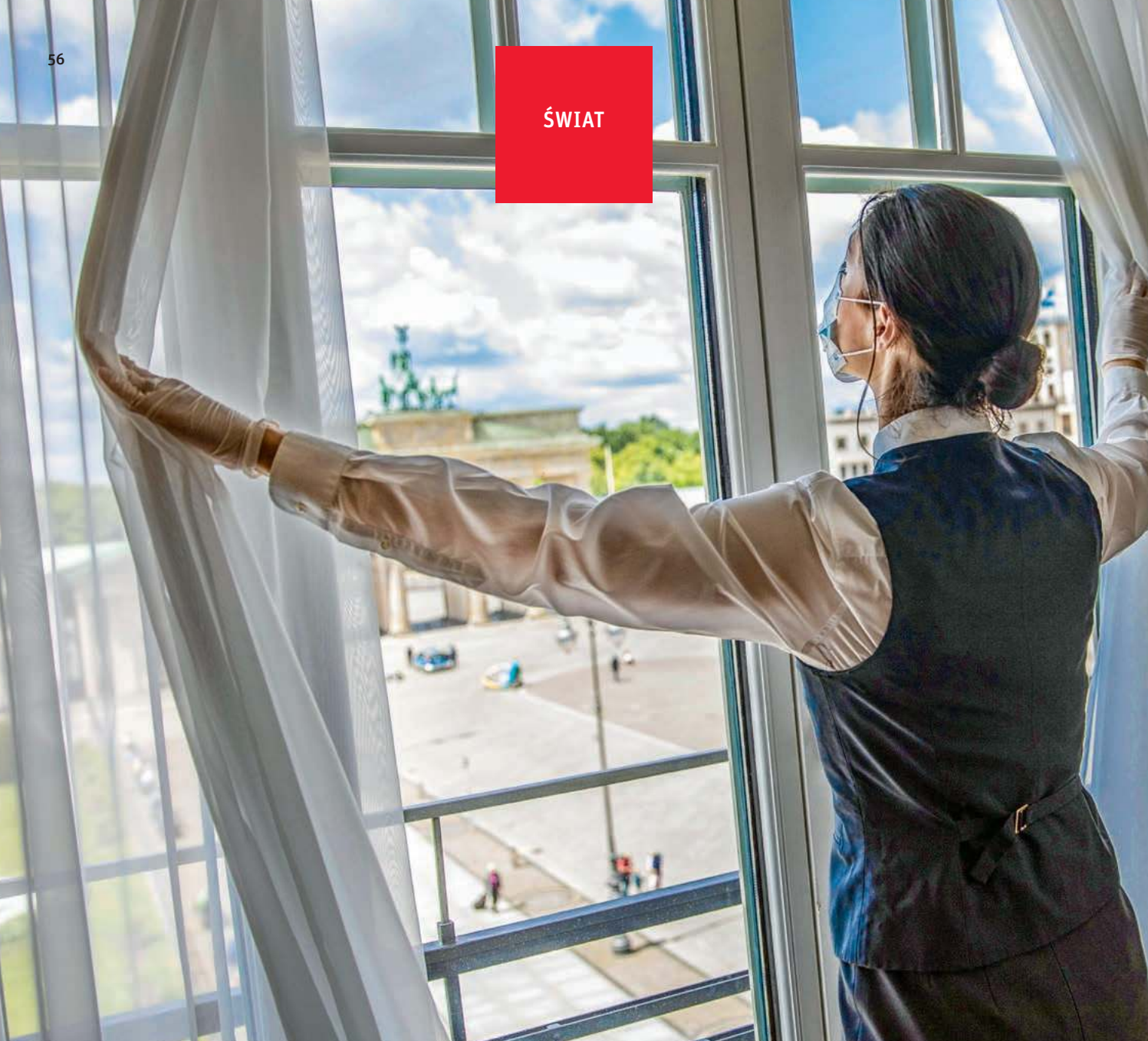
– Kościół nieprzypadkowo nie prowadzi pogłębionej katechezy na temat cudów eucharystycznych – mówi ks. Woźniak. – Paradoksalnie, gdyby zrobił z tego wielki temat, nadałby mu uroczyste znaczenie. A jemu zależy na prostej wierze w sakramentalną obecność Jezusa zmartwychwstałego między nami.

Innymi słowy: Kościół nie zamierza opierać doktryny eucharystycznej na krwawiących hostiach.

Abp Grzegorz Ryś i ks. Łukasz Kamiński, z którymi „Tygodnik” rozmawiał po wydarzeniach w Sokółce i Legnicy, byli zgodni: jeśli cud eucharystyczny Cię gorszy, sprawia, że przewracasz oczami, to znaczy, że nie jesteś jego adresatem. Zignoruj go.

© © MACIEJ MÜLLER

Opisy cudów oparłem na relacjach zgromadzonych w książce Sylwii Palki „Objawiona obecność” i na publikacjach internetowych.



IM MNIEJ ZAKAŻEŃ, TYM WIĘCEJ PROTESTÓW

Na walkę z epidemią Niemcy uruchomiły gigantyczne fundusze.

Organizm państwa radzi sobie dobrze, ale część obywateli okazuje się podatna na dezinformację.

ŁUKASZ GRAJEWSKI Z LIPSKA

Przygotowania do przyjęcia gości w hotelu Adlon Kempinski. Berlin, 26 maja 2020 r.

Wizje rodem z filmu *science fiction* – wygłaszane ze śmiertelną powagą nie w Chinach, gdzie obawa przed totalną kontrolą miałyby uzasadnienie, lecz w kraju uchodzącym za ostoję liberalnej demokracji – to równie osobliwe doświadczenie jak kontrdemonstracja, która rozstawiła się po drugiej stronie rynku. Tutaj z kolei kilkudziesięciu anarchistów i przedstawicieli organizacji lewicowych nawoływało do noszenia maseczek, zachowywania odstępów i do regularnych szczepień. Ci sami anarchiści, którzy na co dzień zwalczają aparat państwa, w to słoneczne popołudnie powtarzali rządowe zalecenia.

Pandemii rzeczywiście wiele rzeczy udało się postawić na głowie.

Krajobraz protestu

Na przestrzeni ostatnich lat, w szczególności we wschodnich Niemczech, było dość jasne, że jeśli w centrum miasta organizowane są antyrządowe protesty, to stoi za nimi albo populistyczna i antyimigrancka Alternatywa dla Niemiec, albo mniej lub bardziej skrajne grupy prawicowe. Ich lejtymotywną była krytyka polityki migracyjnej kanclerz Angeli Merkel, w wyniku której do Niemiec przybyło i złożyło wniosek o azyl około dwóch milionów ludzi, zwykle z krajów, gdzie szaleją wojna i głód.

Tymczasem w ostatnich tygodniach na ulice zaczęły wychodzić nowe grupy, barwniejsze i trudniejsze do zaszukania. W Berlinie, Frankfurtu, Lipsku, Stuttgarcie i wielu innych miastach co weekend protestowali ramię w ramię – żądając zniesienia restrykcji, wprowadzonych dla spowolnienia dynamiki epidemii – przedstawiciele skrajnej prawicy i skrajnej lewicy, a także przeciwnicy szczepień. Jak też zupełnie zwykli obywatele, którzy na skutek restrykcji tracą możliwość zarobku i poczucie bezpieczeństwa.

Aby jeszcze bardziej skomplikować ten obraz: coraz większe tłumy – w Stuttgarcie nawet 10 tys. osób – zaczęły gromadzić się na takich demonstracjach akurat z chwilą, gdy politycy zaczęli znosić najbardziej uciążliwe obostrzenia i przywracać gospodarkę do życia.

Karnawał sprzyja epidemii

Głośne demonstracje przeciw restrykcjom – to pierwszy poważny załamek konfliktu społecznego w Niemczech, które na tle krajów zachodnich dobrze radzą sobie z pandemią.

Wcześniej, poczynawszy od połowy marca, koronawirus zaatakował najludniejsze i najsilniejsze gospodarczo państwo Unii, wykorzystując akurat te nawyki, które wykształciły się w niemieckim społeczeństwie w ostatnich dekadach. Przedstawiciele gospodarki, która swoją siłę opiera na eksporcie, byli w notorycznych rozjazdach po całym świecie – ich biznesowym celem były także liczne chińskie miasta, w tym Wuhan, gdzie COVID-19 zaczął rozprzestrzeniać się pod koniec ubiegłego roku.

W styczniu-lutym wirusowi sprzyjały też społeczne rytuały: huczne i tłumne świętowanie karnawału oraz masowe wyjazdy na ferie do kurortów narciarskich w Austrii i Włoszech. Zarażały się tam głównie osoby młode, co później miało wpływ na mniejszą niż w innych krajach zachodnich liczbę ofiar śmiertelnych: do 27 maja w Niemczech zmarło prawie 8500 osób, co daje około stu zmarłych na milion mieszkańców – podczas gdy np. w Szwecji jest to ponad czterystu, a w Hiszpanii, Włoszech i Wielkiej Brytanii jeszcze więcej.

Jak wszędzie, i tu epidemia zagroziła najbardziej osobom starszym. Jednak pod tym względem społeczne rytuały sprzyjały walce z wirusem: w Niemczech, gdzie 20- i 30-latkowie częściej mieszkają osobno niż ich rówieśnicy z krajów południa Unii, łatwiej ich było odseparować od rodziców i dziadków.

Państwo opiekuńcze na koronasterydach

Obostrzenia, które w połowie marca wprowadziła kanclerz Merkel – w porozumieniu z premierami krajów związkowych – w pierwszej fazie zostały bardzo dobrze przyjęte. Ulice szybko zaczęły świecić pustkami, a obywatele – czasowo pozbawieni pracy – chętnie ubrali wygodne dresy i zabrali się za przeglądanie filmowej oferty w internecie.

Pierwsze ostrzegawcze sygnały ekonomistów, dotyczące negatywnych skutków pandemii, nie dotknęły przeciętnego pana Schmidta (niemieckiego Kowalskiego), bo mimo przymusowej przerwy w pracy, większość nie musiała →

WSOBOTĘ 16 MAJA, PUNKTUALNIE o szesnastej, kilkaset osób utworzyło krąg na rynku w Lipsku. W środku pozostawiono pustą przestrzeń z mikrofonem, do którego w ciągu następnej godziny mieli podchodzić kolejni mówcy.

– Nie mieszkamy w dyktaturze, przy najmniej jeszcze nie, ale koronawirus jest do tego wykorzystywany – zabrzmiął z głośników zaniepokojony głos.

– Przymusowe szczepienia doprowadzą do totalnej kontroli. Wszczepią nam chipy, żeby śledzić każdy nasz krok – przekonywał kolejny mówca, nagrodzony brawami.

⇒ obawiać się o wypłatę. Ponad 750 tys. przedsiębiorstw zgłosiło ok. 10 mln pracowników do programu pracy skróconej (niem. *Kurzarbeit*), w ramach którego Federalna Agencja Pracy na określony czas przejmując wypłatę 60 proc. pensji (a w niektórych przypadkach nawet więcej).

Program ten sprawdził się już w czasach kryzysu finansowego w latach 2008-09. Teraz sprawił on, że początkowo niewielu Niemców miało powody do niezadowolenia: zastopowanie gospodarki nie wiązało się, jak w USA, z masowymi zwolnieniami. To osiągnięcie z nieskrywaną dumą regularnie podkreślają politycy socjaldemokratycznej SPD, którzy w koalicyjnym rządzie Angeli Merkel kontrolują m.in. resorty finansów, pracy i rodziny.

Z równie dużym poparciem spotkał się gospodarczy pakiet pomocowy – w tempie błyskawicznym przeszedł on od ministerialnych biur przez Bundestag do Bundesratu (odpowiednika polskiego Senatu), który już 27 marca zaakceptował ustawę wprowadzającą szereg mechanizmów – pożyczek, gwarancji i ulg podatkowych – o łącznej wartości 750 mld euro. Od tego czasu ministrowie finansów i gospodarki ogłaszali co chwila kolejne dosypywanie miliardów euro z państwowej kasy – np. ostatnio 9 mld „kroplówki” dla Lufthansy. Aby złagodzić kryzys, niemieckie państwo nie tylko uruchomiło skrupulatnie oszczędzane wcześniej środki, ale postanowiło się zapożyczyć – choć wcześniej powodem do chluby polityków Wielkiej Koalicji był fakt, że budżet nie zaciąga nowych długów.

Strumień pieniędzy popłynął też do osób prowadzących jednoosobową działalność gospodarczą i do małych firm. Społeczeństwo nie kryło zdziwienia, że w kraju biurokratów, którzy dotąd opierali się przed pożegnaniem z papierowymi formularzami, można złożyć wniosek online, za pomocą prostego formularza, a pieniądze otrzymać już kilka dni później.

Z czasem okazało się, że z uproszczonych procedur skorzystali też liczni oszuści. Ale rządzącym udało się osiągnąć swój cel: wzbudzić w społeczeństwie poczucie, że model państwa opiekuńczego pozostaje sprawny także w czasie bezprecedensowego kryzysu.

Chwilowa narodowa zgoda

W Niemczech największa fala infekcji zaczęła się w momencie, gdy we Włoszech

brakowało już respiratorów. Dość wcześnie udało się więc zmobilizować służbę zdrowia. Liczbę łóżek na oddziałach intensywnej terapii zwiększono do ponad 30 tys. w całym kraju. W efekcie w tych landach, gdzie infekcji było potem mniej (głównie na wschodzie), lekarze często nie mieli wiele do roboty, pozostając tylko w gotowości do przyjęcia prognozowanej dużej liczby pacjentów. Zresztą – w wielu obszarach Niemcy wprowadzili lubianą i sprawdzoną formułę *sicher ist sicher*, czyli: „lepiej dmuchać na zimne”.

Na co dzień pragmatycznie nastawieni do życia, w obliczu niezananego zagrożenia Niemcy oddali władzę ekspertom – wirusologom. Konferencje prasowe w berlińskim Instytucie Roberta Kocha – głównej instytucji państwowej zajmującej się zwalczaniem chorób zakaźnych – transmitowały nie tylko telewizje informacyjne, lecz wszystkie główne portale internetowe.

Lothar Wieler, szef Instytutu, stał się w pierwszych tygodniach pandemii głosem równie słuchanym, co głos rządzących polityków. Jego briefingi o dziesiątej rano były stałym punktem programu dla wielu Niemców, karnie pozostających w swoich mieszkaniach. Równą popularność i znaczenie uzyskał prof. Christian Drosten, główny wirusolog szpitala Charité w Berlinie. Obaj powtarzali w kółko fachowym monotonnym tonem, że niebezpieczeństwo jest niezbadane, a sytuacja groźna. Politycy nie wychylali się poza linię wytyczaną przez ekspertów.

W poczuciu narodowej zgody większość obywateli stosowała się do restrykcji bez zastrzeżeń. Co przyniosło wymierne efekty: choć od początku pandemii do 27 maja Instytut Kocha zarejestrował w całym kraju prawie 180 tys. infekcji, to 162 tys. (czyli 90 proc.) osób uznano już za wyleczone. Także prawie 8500 zgonów Niemcy uważają raczej za sukces. Bo choć w porównaniu z tysiącem zmarłych w Polsce (mającej dwa razy mniej mieszkańców niż Niemcy) liczba ta wydaje się duża, to Niemcy porównują własne straty do okrutnych statystyk w innych krajach zachodnich czy w Stanach Zjednoczonych.

Teorie alternatywne

Co zatem sprawiło, że w maju na ulice nagle zaczęły wychodzić setki, a w niektórych miejscach tysiące ludzi, aby demonstrować brak zaufania do rządzących?

Możliwe, że część społeczeństwa zaczęła nudzić bądź irytować jednostajne tony, w które wspólnie uderzali eksperci i politycy, i które trafiały potem na czołówki mediów.

– W pierwszych tygodniach pandemii media zatraciły po części swój krytyczny instynkt – tłumaczy w rozmowie z „Tygodnikiem” Stephan Russ-Mohl, medioznawca związany z Wolnym Uniwersytetem w Berlinie i Uniwersytetem w Lugano. Russ-Mohl zwraca uwagę na zbyt częste powielanie przez dziennikarzy komunikatów polityków, bez szerszego kontekstu i krytycznej analizy. Za temat pandemii wzięli się dziennikarze polityczni, a nie naukowcy. Nie potrafiąc ocenić sytuacji, skupili się na skrupulatnym notowaniu oświadczeń prasowych. W efekcie pierwsze strony gazet przez wiele tygodni powielały narrację polityków – podkreśla Russ-Mohl. Słusznie bądź nie, wśród części obywateli umocniło to wrażenie, że mainstreamowe media – czyli główne dzienniki oraz publiczne stacje radiowe i telewizyjne, ale też często stacje prywatne – bezkrytycznie służą interesom polityków. Dodatkowo w czasie pandemii stały się one monotonne i nudne – także z racji obostrzeń, które utrudniły pracę dziennikarzom.

Na ten moment czekali w internecie samozwańczy eksperci, którzy – zamiast przestróg, nakazów i prośb o cierpliwość – zaferowali swym odbiorcom gamę łatwych odpowiedzi na wszelkie wątpliwości.

I tak, dla Xaviera Naidoo (popularnego piosenkarza, którego kanał w komunikatorze internetowym Telegram obserwuje 75 tys. osób) COVID-19 to narzędzie w rękach Billa Gatesa, założyciela Microsoftu, który dąży do zaszczepienia i kontrolowania wszystkich ludzi na świecie. Wtórkuje mu kucharz-celebryta Attila Hildmann, którego kanał śledzi 53 tys. osób. Obaj publikują codziennie po kilkadziesiąt wiadomości, głównie propagujących teorie spiskowe: o masońskim sprzyśiężeniu elit rządzących światem, o planach Gatesa, o chipach instalowanych w ludzkich ciałach pod przykrywką szczepień oraz o umocnionym w te wszystkie praktyki niemieckim rządzie...

Wtórkuje im rosnąca w siłę sieć alternatywnych inicjatyw dziennikarskich, które w kontrze do mainstreamu „mówią, jak jest”. Na pandemii wybił się kanał KenFM byłego dziennikarza me-



ŁUKASZ GRAJEWSKI

Demonstracja przeciwników restrykcji sanitarnych. Lipsk, 16 maja 2020 r.

diów publicznych Kena Jebsena, który z dziennikarską rutyną i powagą podaje do wierzenia mieszankę faktów i teorii spiskowych na temat koronawirusa, będącego rzekomo efektem manipulacji globalnych elit. Jego ostatni program na ten temat w trzy dni osiągnął na kanale YouTube pół miliona wyświetleń.

Radykałowie i zwykli ludzie

W tej sytuacji możliwość ugrania czegoś dla siebie zauważyła populistyczna Alternatywa dla Niemiec.

– Osoby związane z tą partią są widoczne na demonstracjach, a czasami są wśród ich organizatorów – uważa Antonie Rietzschel, dziennikarka „Süddeutsche Zeitung”, która od lat przygląda się antyrządowym protestom we wschodnich Niemczech. – Wcześniej tematem przewodnim byli uchodźcy, dziś są nim rzekomo niepotrzebnie wprowadzone obostrzenia. Co łączy protesty wcześniej i obecnie, to antyrządowe hasła o totalitarnym rzekomo ustroju, który panuje w Niemczech, oraz o braku demonstracji – mówi Rietzschel w rozmowie z „Tygodnikiem”.

Oprócz ludzi wierzących w teorie spiskowe oraz sympatyków Alternatywy dla Niemiec, protesty przyciągają też trzecią grupę – zwykłych obywateli, którzy mimo rządowych programów pomocowych cierpią na skutek restrykcji. To ci, którzy stracili pracę, ludzie kultury pozbawieni możliwości zarabkowania, restauratorzy liczący straty czy rodzice zmęczeni zonglerką między pracą zdalną a zajmowaniem się dziećmi.

Jednak ta trzecia grupa została wrzucona do wspólnego worka z siłami anty-

demokratycznymi. „Gdy radykalni ekstremiści i antysemita używają demonstracji do wzniecania zamieszek i podziałów, każdy powinien utrzymywać od nich odstęp znacznie większy niż półtora metra” – rzucił lekko minister spraw zagranicznych Heiko Maas (z SPD) w rozmowie z dziennikiem „Die Welt”. Również media, które są obiektem krytyki podczas demonstracji, rewanzowały się materiałami o szaleńcach i fanatycznych przeciwnikach szczepień jako o głównych uczestnikach protestów. Co sprawiło, że na kolejnych demonstracjach ci zwykli ludzie zaczęli przynosić transparenty „Jestem zwolennikiem teorii spiskowych”.

Stephan Russ-Mohl uważa, że generalizowanie w sprawie demonstracji to błąd. – Mam duże zrozumienie dla wszystkich demokratów z każdego z obozów politycznych, którzy są zaniepokojeni tym, w jaki sposób restrykcje ograniczają nasze podstawowe prawa – mówi medioznawca. – Media, które dla tych protestów znajdują tylko słowa krytyki, przyczyniają się do powiększania podziałów w społeczeństwie.

Russ-Mohl jest przekonany, że istnieje duża grupa osób, przeważnie o poglądach konserwatywnych, które nie czują się reprezentowane ani przez rząd, ani przez opozycję. Oraz że zbyt łatwo przykleja się tym ludziom etykietę antydemokratów i zwolenników Alternatywy dla Niemiec.

W oczekiwaniu na drugą falę

Podczas demonstracji w Lipsku był moment, który unaoczniał groteskowość postulatów co bardziej radykalnych manifestantów. – Dopóki rządzący nie zniosą wszystkich obostrzeń i nakazu noszenia

masek, dopóty będziemy wychodzić na ulicę – powiedział jeden z mówców, za co otrzymał żywiołowy aplauz. Równie głośny co wcześniejsze ostrzeżenia przed dyktaturą, którą Niemcom gotują pospółu kanclerz Merkel, minister zdrowia Jens Spahn i główny antybohater protestów Bill Gates.

Zarówno mówca, jak i zdecydowana większość z kilkuset demonstrantów nie mieli na twarzach maseczek. Mało kto zwracał też uwagę na zachowanie półtora-metrowego odstępu. Mimo to policja nie interweniowała.

Tymczasem ubywa paliwa, które napędzało protesty. Władze federalne i landowe przedłużyły do początku lipca tylko najbardziej podstawowe obostrzenia. Na kurczącej się liście nakazów pozostaje noszenie maseczek, ale jedynie w publicznych środkach transportu i w sklepach; w mocy pozostają też ograniczenia co do wielkości spotykających się grup. Władze niektórych wschodnich landów, gdzie infekcji jest mniej niż na zachodnich, rozpatrują nawet rychłe zniesienie wszystkich obostrzeń – co jest odczytywane jako ryzykowne ustępstwo wobec uczestników protestów.

Jednak Xavier Naidoo i Attila Hildmann wciąż mobilizują zwolenników, aby nie tracili czujności, bo globalne elity zrealizują swoje plany jeśli nie teraz, to podczas drugiej – jesiennej – fali pandemii. Przed taką przestrzegają wirusolodzy, choć dziś nikt nie jest w stanie przewidzieć, czy do niej dojdzie. Również nadzieja większości ludzi na świecie, że uda się stworzyć szczepionkę, pozostanie wodą na młyn przynajmniej niektórych protestujących.

Politycy muszą się jeszcze liczyć z tym, że skutki kryzysu zachęcą do głośnego wyrażania niezadowolenia zupełnie nowe grupy społeczne, np. nowych bezrobotnych, których rosnącej liczby nie powstrzymają nawet najdroższe interwencje państwowe, albo młodych aktywistów ekologicznych.

Ruch Fridays for Future jeszcze niedawno nadawał w Niemczech ton debacie publicznej. Teraz, gdy pandemia przykryła wszystkie inne tematy, aktywiści tego ruchu z frustracją nasłuchują planów części polityków, którzy chcieli bardziej elastycznie traktować cele klimatyczne – byle tylko ułatwić gospodarce rekonwalescencję po pandemii.

© ŁUKASZ GRAJEWSKI

Putinizm w czasach zarazy

ANNA ŁABUSZEWSKA

Epidemia zmienia Rosję: zaburza relację między władzą a obywatelami, którzy dotąd rezygnowali ze swoich wolności w zamian za pewność jutra. Poparcie dla prezydenta spada do historycznego minimum.

ROSYJSKIM WŁADZOM SPIESZY SIĘ, ABY ogłosić zwycięstwo w wojnie z koronawirusem. Na 24 czerwca zaplanowano przeprowadzenie tego, co odłożono z powodu epidemii: defilady z okazji Dnia Zwycięstwa, a następnie – prawdopodobnie na lipiec – głosowania nad poprawkami do konstytucji.

Choć koronawirus nadal zbiera żniwo – przez cały maj przyrost liczby zachorowań oscylował wokół 10 tys. dziennie, oficjalna liczba chorych przekroczyła 350 tys. osób, a oficjalna liczba zmarłych wyniosła 3633 osoby (dane z 25 maja) – prezydent Władimir Putin jest zdeteminowany, aby dokończyć operację „wieczne trwanie” (dającą mu prawo pozostania na Kremlu) oraz przeprowadzić w Moskwie na placu Czerwonym paradę, którą już okrzyknięto defiladą zwycięstwa nad koronawirusem.

Czy uda mu się zrealizować te plany?

Opowieści z bunkra

Bunkier: tak Rosjanie nazwali pomieszczenie w rezydencji prezydenta w Nowo-Ogariowie pod Moskwą. Siedząc za panelem sterowniczym, Putin łączy się stąd z rządem, gubernatorami, naukowcami, przedsiębiorcami i co kilka dni wygłasza orędzie do obywateli.

Podczas wideokonferencji z ministrami prezentuje się jako zaradny gospodarz, który rozumie sytuację i wie, jakie polecenia wydać, aby wszystko szło

zgodnie z planem. Pokrzykuje na opieszłych urzędników, czasem nawet pięścią uderzy w biurko, palcem pogrozi, iskrami z oczu sypnie. Niech wszyscy widzą i wszyscy wiedzą, że nie będzie litości dla tych, którzy nie wykonują zbawczych poleceń. Niech nikomu w głowie nie poстане, że za tym biurkiem mógłby zasiąść ktokolwiek inny.

Natomiast w wystąpieniach skierowanych do społeczeństwa prezydent wkłada maskę najlepszego ojca, zwraca się do obywateli per „moi drodzy”. Przekonuje, że należy się podporządkować restrykcjom, wytrzymać, nie dać się ponieść emocjom. Obiecuje pomoc finansową rodzinom z dziećmi, zaleca rządowi wprowadzenie programów pomocowych dla biznesu, wyróżnia pochwałami budującą mobilne szpitale armię itd.

Jak zauważa Andriej Kolesnikow, dziennikarz i uważny obserwator: gdy autorytarny przywódca próbuje skracać dystans w stosunkach ze społeczeństwem, znaczy to, że nie czuje się pewnie.

Historyczne minimum

O niepewności na Kremlu świadczył już wybór rozwiązania „problemu 2024”, czyli tego, co miałyby nastąpić po zakończeniu

obecnej kadencji prezydenckiej. Putin długo się wahał, który model wybrać.

Rozważano więc powtórzenie wariantu tandemokracji – może nawet znów z Dmitrijem Miedwiediewem w roli prezydenta, wynajętego na jedną kadencję jako „zastępcę” Putina. Uznano to jednak za wyjście zbyt ryzykowne – zarówno dla osobistej pozycji samego Putina, jak też dla spójności układu rządzącego. Obawiano się, że „zastępcę” może zabrać się za reformy i w rezultacie przyłożyć rękę do demontażu systemu – tak jak kiedyś Michaił Gorbaczow przyłożył się pierestrojką do demontażu Związku Sowieckiego.

Grupa trzymająca władzę doszła do wniosku, że gwarantem utrzymania kontroli nad sytuacją polityczną, przepływami finansowymi i „rentą korupcyjną” może być tylko Putin. Stąd pomysł przeprowadzenia operacji zapewniającej mu wieczne trwanie.

W myśl obowiązujących przepisów w 2024 r. Putin nie miałby już prawa ubiegać się o najwyższy urząd, gdyż obecny zapis w ustawie zasadniczej mówi o sprawowaniu go jedynie przez dwie kadencje z rzędu. Kreml uruchomił więc w styczniu procedurę wprowadzenia poprawek do konstytucji, w tym dającej możliwość





Stacja metra Otradnoje z freskiem przedstawiającym znanych rosyjskich malarzy i kompozytorów. Moskwa, 26 maja 2020 r.

Zakłócona relacja władza–społeczeństwo

Czy władzom uda się teraz zmobilizować społeczeństwo – poturbowane epidemią i jej skutkami – aby ruszyło do urn i wrzuciło kartkę za niezmiennością niemrawych porządków? Wprawdzie Duma Państwowa w błyskawicznym tempie przyjęła ustawę dopuszczającą głosowanie przez pocztę i internet, ale nawet to nie gwarantuje Kremlowi wysokiej frekwencji i powodzenia. Prawne wygibasy umożliwiające Putinowi pozostanie na urzędzie już wcześniej nie cieszyły się powszechnym poparciem – dziś władzy będzie zapewne trudniej uzyskać pożądane wyniki.

Wprawdzie, jak twierdzą komentatorzy „Echa Moskwy”, „Kreml bez problemu narysuje sobie wymagane liczby”, jednak faktem jest, że koronawirus zakłócił obrany przez Kreml kurs i układ odniesień na linii władza–społeczeństwo. „Ludzie są przekonani, że to władze są im coś winne, a nie oni władzom. Reżimy oparte na personalnej władzy lidera trzymają się dzięki umowie społecznej: wymiana części praw i wolności na bezpieczeństwo. W sytuacji zagrożenia społeczeństwo domaga się od przywódcy twardych działań w interesie ogółu, zapewniających spokój, dających pewność jutra. Tymczasem w przypadku Putina ludzie czegoś takiego nie zobaczyli” – pisze politolog Aleksandr Baunow.

Co więcej, Putin zreiterował, przekazując część kompetencji „piętro niżej”, czyli na poziom regionalny. Gospodarze regionów – dotąd uzależnieni we wszystkim od Moskwy – mieli nagle poradzić sobie z zarazą sami. Nie wszyscy sobie poradzili.

W trybie nadzwyczajnym

Zarządzony przez władze *lockdown* sprawił, że ludzie stracili grunt pod nogami, źródła utrzymania, nie zrozumieli pokrętnych mechanizmów rządowych programów pomocowych czy wręcz nie otrzymali pomocy. Bali się zachorować, więc zostali w domach. Poczuli też, że Putin nie zapewnił im bezpieczeństwa w podstawowym zakresie: opieki medycznej.

W ostatnich latach władze prowadziły w całym kraju program „optymalizacji służby zdrowia”, co oznaczało zlikwidowanie wielu przychodni i szpitali. W obliczu epidemii na ratunek wezwano ministerstwo obrony, które w trybie nadzwyczajnym buduje naprędce szpitale dla pacjentów z koronawirusem. Zbudowano ich 16 – od Petersburga po Kamczatkę. Problem w tym, że dla tych placówek brakuje kadr i lekarstw.

Zaimprovizowane szpitale powstały też w Moskwie i pod Moskwą (tutaj od początku epidemii notuje się największą liczbę zakażeń). Jeden z nich urządzono w halach wystawienniczych firmy Crocus Expo, należącej do Araza Agałarowa. To ciekawa postać, ostatnio mówiono o nim dużo przy okazji afer związanych z wyborami prezydenckimi w USA w 2016 r.: Agałarow, jego syn i współpracownicy spotykali się w trakcie kampanii wyborczej z ludźmi z otoczenia kandydata Donalda Trumpa i mieszały w mętnej wodzie. Agałarow plasuje się w pierwszej setce najbogatszych ludzi Rosji, specjalizuje się w budowaniu luksusowych rezydencji dla rosyjskiej wierzchuszki.

Teraz, w czasie epidemii, media zainteresowały się nim, gdy wyszło na jaw, że Agałarow otrzymał kontrakt na urządzenie szpitala w podmoskiewskich halach Crocusa – bez żadnego trybu, z pominięciem konkursu. Hale stoją puste, bo epidemia wyzerowała wszystkie plany na duże imprezy i wstrzymała dochody właściciela. Agałarow „przytulił”, jak twierdzi „Echo Moskwy”, miliard rubli za ustawienie półtora tysiąca łóżek dla chorych na COVID-19.

Świadomość się zmienia

Wracając do polityczno-społecznych skutków epidemii: wiele wskazuje, że figury na szachownicy trzeba będzie rozstawiać od nowa, bo układ się zmienił i nie ma już dawnych pewników, a wcześniejsze mechanizmy nie działają. I chodzi nie tylko o podkopane społeczne zaufanie, ale także o zakręcony kurek z petrodolarami.

Spadki cen na ropę i gaz – podstawowe towary eksportowe Rosji – trwają już długo i zapewne jeszcze potrwają. Putin zapewnia ze swego bunkra, że mimo tych problemów wypłaty zobowiązań socjalnych rządu będą kontynuowane. Nadal nie sięgnął do funduszy zgromadzonych w latach tłustych – to poduszka →

„wyzerowania” kadencji Putina i ponownego startu w wyborach.

Odpowiednia ustawa została przegłosowana przez obie izby parlamentu, przyjęta przez Sąd Konstytucyjny i podpisana przez prezydenta. Poprawki miały przejść jeszcze test społeczny: na 22 kwietnia zaplanowano ogólnonarodowe głosowanie. I tutaj koronawirus wprowadził korektę. Z uwagi na zagrożenie epidemiczne głosowanie przesunięto.

Teraz Kreml wraca do realizacji odłożonego planu. Jak informuje opozycyjna prasa, Centralna Komisja Wyborcza podczas tajnego posiedzenia odblokowała finansowanie kampanii – rusza przygotowanie lokali, kompletowanie komisji, agitacja. W telewizji znowu pojawiły się filmiki zachęcające do oddania głosu za wiecznym trwaniem Putina na urzędzie.

O ile jednak przed epidemią prezydent mógłby liczyć na spokojne przeprowadzenie plebiscytu i zapewnienie sobie odpowiedniego wyniku, o tyle teraz pojawiła się niepewność. Epidemia przyniosła znaczący spadek poparcia dla prezydenta. W maju Centrum Lewady (niezależny ośrodek badawczy) odnotowało historyczne minimum: 59 proc.

⇒ bezpieczeństwa na wypadek, gdyby kryzys potrwał dłużej. Według ekspertów pieniędzy może Putinowi wystarczyć na dwa lata. Prezydent liczy jednak, że po pandemii nastąpi szybkie odbicie i gospodarka stanie na nogi.

To ostrożne korzystanie z odłożonych środków oznacza, że programy oszczędne dla biznesu będą oszczędne, nie wszyscy dostaną wsparcie. Już teraz wiadać, że preferencje mają krewni i znajomi z „otuliny” Kremla, a biznes mały i średni znowu zostanie po uszach. Tymczasem przedsiębiorcy średni i mali to na ogół ludzie niezależnie myślący, aktywni. Putinizm ich nie lubi, bo to krytycy nieruchawego, skorumpowanego systemu. Putinizm woli szefów zwalistych korporacji państwowych, wyłonięnych z grona osób zaufanych. Tych wspiera i wspierać będzie, dopóki będzie miał czym.

Bo choć – jak mówi Gleb Pawłowski, znawca kremlowskich kuluarów – „nie da się wrócić do wiosny”, czyli do stanu sprzed pandemii, to putinizm zrobi wszystko, aby zmian było jak najmniej, i aby mieć nadal decydujące słowo we wszystkim.

Tymczasem politolodzy z Komitetu Inicjatyw Obywatelskich, obserwujący podskórne drgania nastrojów społecznych, zauważają: „Świadomość Rosjan zmienia się – rośnie agresja w stosunku do władz, niemal zniknęło zapotrzebowanie na rządy silnej ręki, obywatele coraz częściej domagają się przestrzegania ich praw”.

Wygląda na to, że w dalekim od idylli życiu społecznym w Rosji przybędzie przemocy.

Kreatywna statystyka

Jedną z niezmiennych metod zarządzania kryzysem przez Kreml jest prowadzenie działań hybrydowych. Jak zauważa publicystka Julia Łatynina, władze nastawione są na to, aby kłamać i w ten sposób osiągać swoje cele.

Nie wszyscy kupują kremlowskie fejki. Weźmy choćby liczby zakażonych koronawirusem i zmarłych, podawane codziennie. Władze podkreślają na każdym kroku, że w Rosji jest najniższy na świecie wskaźnik śmiertelności wśród chorych na COVID-19. Ma to przekonać społeczeństwo o skuteczności poczynań władz i wysokim poziomie medycyny. Moskwa historycznie reaguje na publikacje prasy zagranicznej, które podważają oficjalne dane. Gdy w „Financial Times”

POLITOLOG ALEKSANDR BAUNOW:

Reżimy oparte na personalnej władzy lidera trzymają się dzięki umowie społecznej: wymiana wolności na bezpieczeństwo.

Wobec zagrożenia ludzie chcą działań dających pewność jutra.

W przypadku Putina czegoś takiego nie zobaczyli.

i „The New York Times” ukazały się materiały wskazujące, że Rosja zaniża statystyki zgonów nawet o 70 proc., rosyjskie MSZ zagroziło, że pozbawi akredytacji korespondentów tych gazet.

Skąd taka nerwowa reakcja? Główna linia propagandowa Kremla w sprawie epidemii polega na przeciwstawieniu rzekomo niewydolnego Zachodu – prężnej i pełnej społecznego poświęcenia Rosji. Ponieważ jest to teza fałszywa, wymaga blokady alternatywnych narracji.

Opozycyjna „Nowaja Gazeta” prowadzi rubrykę obnażającą kremlowskie fejki. Dziennikarze wskazują np., że liczbę infekcji zaniżają ci gubernatorzy, którzy mają trudną sytuację gospodarczą i chcą jak najszybszego „odmrożenia” miejscowych zakładów przemysłowych. Porównywane są też statystyki zgonów rok do roku. Na przykład w Moskwie w kwietniu 2020 r. zmarło o 1855 osób więcej niż w zeszłym roku – podczas gdy oficjalnie zgonów z powodu COVID-19 było w stolicy 658.

Dalej: według obliczeń portalu Mediazona do połowy maja w Rosji zmarło na koronawirusa co najmniej 186 osób z personelu medycznego. Jeśli zatem wierzyć oficjalnej statystyce – według której do tego momentu w kraju odnotowano tylko ok. 3 tys. zgonów – co piętnasta osoba, która zmarła w Rosji na COVID-19, to medyk. Byłoby to 16 razy więcej niż w sześciu krajach, w których epidemia przybrała podobne rozmiary jak w Rosji. Mało to prawdopodobne.

Fasada i kulisy

Codziennie z ekranów telewizorów do rosyjskich domów wlewa się szeroka

falą uspokajający komunikat władz, że wszystko jest dobrze, że Putin i rząd doskonale sobie radzą, że w Rosji – w przeciwieństwie do krajów zachodnich, cierpiących na braki w sprzęcie i lekach – wszyscy są doskonale wyposażeni, krzywa zachorowań zaraz się wypłaszczy i będzie można odtrąbić ostateczne zwycięstwo nad koronawirusem.

W przestrzeni publicznej tępione jest więc wszystko, co podważa ten upudrowany urzędowy obrazek. Wprowadzono paragrafy za szerzenie w sieci informacji, które władze uznają za fejki (przylapanym wlepią się wysokie grzywny). Zamyka się usta pracownikom służby zdrowia, którzy mówią, że nie mają rękawic, maseczek, kombinezonów ochronnych, że brakuje respiratorów, że wiele z nich to urządzenia wadliwe (w dwóch szpitalach wybuchły pożary z powodu awarii respiratorów), że medycy nie dostali obiecanych pieniędzy za wytężoną pracę, że w wielu ośrodkach chorzy nie są testowani ani hospitalizowani itd.

Śmiech: lekarstwo i broń

Gdy zbiera się tyle społecznych frustracji, rośnie potrzeba wentylu, który zmniejszyłby napięcie. W sytuacji zagrożenia (a 57 proc. obywateli deklaruje, że boi się zarażenia) Rosjanie znajdują sposób na stres. „Pozbawiona podstaw prawnych dziurawa kwarantanna, zakazy, przepustki, wyczerpanie zasobów finansowych – to nie tylko tematy rozmów i powody do niepokoju. To także źródło dowcipów osławiających niełatwą rzeczywistość i wykpiwających niezborność władz. Śmiech to lekarstwo i broń” – wskazuje w audycji Radia Swoboda kulturoznawczyni Jelena Wołkowa.

Przedmiotem żartów są więc nowe sytuacje bytowe, niekonsekwentne działania władz czy gorliwość policji w wypisywaniu mandatów za złamanie warunków samoizolacji. Ale w centrum zainteresowania pozostaje przywódca. Jemu poświęconych jest wyjątkowo dużo żartów.

Na przykład taki: „Putin wychodzi z bunkra w Nowo-Ogariowie. Pierwszego napotkanego człowieka pyta: – Epidemia koronawirusa jeszcze szaleje?

– Już pięć lat, jak się skończyła – słyszy odpowiedź.

Prezydent pociera czoło: – A na wideo-konferencjach wszyscy twierdzili, że nadal walczymy i odnosimy sukcesy...”

© ANNA ŁABUSZEWSKA



GLEB GARINICH / REUTERS / FORUM

Dzieci surogatek w kijowskim hotelu, zaprezentowane przez firmę reprodukcyjną Biotex, 14 maja 2020 r.

Żywy towar płacze

MONIKA ANDRUSZEWSKA Z KIJOWA

**„Nie uważam, że bycie surogatką to coś złego – mówi Julia.
– Wydaje mi się, że to nawet dobry uczynek, bo można pomóc kobiecie niemającej szans na urodzenie”.**

W KIJOWSKIM HOTELU WENECJA rozbrzmiewa dziecięcy płacz. W wielkiej sali ze sklepieniem opartym na bogato zdobionych półkolumnach stoi 50 łóżeczek z niemowlętami, których biologiczni rodzice nie zdążyli odebrać przed pandemią. Salę, niczym w operze, oświetlają ogromny kryształowy żyrandol i ozdobne kinkiety.

„Są tu dzieci z Ameryki, Włoch, Hiszpanii, Wielkiej Brytanii, Chin, Francji, Niemiec, Bułgarii, Rumunii, Austrii, Meksyku i Portugalii” – wylicza opiekunka na nagraniu wideo, które obiegiło niedawno światowe media, rozgrzewając dyskusję o procedurze zastępczego macierzyństwa, które na Ukrainie jest legalne.

Przy akompaniamencie relaksującej muzyki widzimy, jak kobiety w ochron-

nych maseczkach pielęgnują niemowlęta. Ciepłymi głosami zapewniają, że zdrowie dzieci jest w dobrych rękach pediatrów i opiekunek. „Droży rodzice, jeśli nie możecie przekroczyć granicy i przyjechać na Ukrainę, by odebrać teraz swoje dziecko, nie traćcie nadziei! Niektóre kraje już zaczęły współpracę ze swoimi obywatelami i rozpoczęły procedurę prawną” – głosi komentarz do nagrania.

Bezkarci

Nie wiadomo, ile dzieci rodzi się co roku na Ukrainie w wyniku macierzyństwa zastępczego. Eksperci sądzą, że legalnych narodzin może być ok. 5 tys., ale faktycznej liczby nie zna nikt. Rzeczniczka praw człowieka Ludmiła Denisowa wskazuje, że jeśli ukraińskie granice – zamknięte

dla cudzoziemców w połowie marca – nie zostaną rychło otwarte, liczba dzieci oczekujących na odbiór przez biologicznych rodziców może sięgnąć tysiąca.

Ukraińskie przepisy stanowią, że prawnymi rodzicami dziecka, które urodzi surogatka (matka zastępcza), może zostać jedynie heteroseksualne małżeństwo posiadające medyczne potwierdzenie, że w ich przypadku urodzenie dziecka nie jest możliwe. Dziecko powinno być genetycznie spokrewnione z przynajmniej jednym rodzicem.

– Nasze prawo ma luki, które łatwo obejść. Brakuje ustaw o odpowiedzialności karnej za nadużycia i zapisów co do obowiązków firm, które funkcjonują w tym sektorze. Nie ma możliwości prawnej kontroli nad klinikami, które wyrastają jak grzyby po deszczu – mówi w rozmowie z „Tygodnikiem” Serhij Antonow, ekspert ukraińskiego Centrum Prawa Medycznego i Reprodukcyjnego.

Na przykład działająca legalnie na Ukrainie moldawska firma Biotex – to ona wypuściła nagranie z hotelu – reklamuje się jako jedna z największych klinik „medycyny reprodukcyjnej” w Europie. „Zapewniamy, że całkowita bezpłodność nie istnieje” – głosi baner na jej stronie internetowej. ➔

⇒ – Video z niemowlętami, które stało się tak popularne w sieci, to czysta propaganda – uważa Antonow. – Rzeczywistość nie wygląda tak cukierkowo. Surogatki ostrzegają się nawzajem przed tą firmą. Zarejestrowana pod wieloma nazwami, słynie ona z oszustw. Większość skandali w tej branży dotyczyła właśnie jej. Znam przypadek, gdy małżeństwo Afroamerykanów dostało białe dziecko, choć pobierało spermę ojca – wylicza ekspert.

W lipcu 2019 r. prokuratura generalna oskarżyła Biotex o handel żywym towarem na podstawie przypadku z 2011 r., gdy testy przeprowadzone przez włoską policję nie potwierdziły pokrewieństwa dziecka z parą Włochów. Oznacza to, że kupili oni nie swoje dziecko. Zostało oddane do sierocińca, a małżeństwo oskarżono o fałszowanie dokumentów.

Choć prokurator generalny zapewniał, że to nie jedyna taka sprawa znana ukraińskim śledczym, Biotexowi wszystko uchodzi dotąd na sucho. Dochodzenia wobec firmy magicznym sposobem zawsze cichną.

Ładna, zdrowa, bez nałogów

Mimo pandemii biznes zastępczego macierzyństwa kwitnie. Odkąd dołączyłam do grup dla ukraińskich surogatek na komunikatorze Viber, mój telefon pika co kilka minut, informując o kolejnych ofertach.

Problemem są nie tylko dzieci, których – za sprawą zamkniętych granic – nie mogą dziś odebrać zagraniczni rodzice. Niektóre ambasady europejskie w Kijowie niechętnie wydają dokumenty dzieciom swoich obywateli urodzonym na Ukrainie, pewnie zdając sobie sprawę, jak zostały pozyskane. Dlatego wiele ukraińskich matek zastępczych rodzi w Europie, by ułatwić rodzicom odebranie dzieci.

Teraz, podczas kwarantanny, suroratki utknęły. „Dziewczyny, jestem na Cyprze. Agencja zapewnia mnie i sześciu innym dziewczynom wspólne mieszkanie. Ale mówią, że same mamy kupować jedzenie. Słuchajcie, jakie tu są ceny! Całe honorarium na to wydamy” – pisze jedna.

Z ofert agencji, które widzę w grupie na Viberze, wynika, że kobieta, która nosząc czyjeś dziecko chce zarobić od 14 do 20 tys. dolarów, musi mieć od 20 do 39 lat, być ładna, szczupła, zdrowa i bez nałogów. Niektóre kliniki wymagają notarialnej zgody męża (jeśli kandydatka jest zamężna), inne szukają tylko kobiet nie-

„Robię to, aby zapewnić byt swoim dzieciom” – mówi

Inna z Charkowa. Swoim tzn. tym, których matką jest biologicznie. Bo nosiła pod sercem jeszcze dwoje: bliźniaki dla pary z USA.

zameżnych lub rozwiedzionych. Oferują bonusy: badania, comiesięczne wypłaty, mieszkanie w Kijowie z uwzględnieniem osób towarzyszących od 28. tygodnia ciąży, a nawet niańkę dla czekających w domu własnych dzieci suroratki. Dodatkowe 2-3 tys. dolarów można zarobić, gdy konieczne jest cesarskie cięcie. Albo 200-300 dolarów za „redukcję niepotrzebnych zarodków” w przypadku ciąży mnogich, jeśli biologiczni rodzice życzą sobie tylko jedno dziecko.

W grupie na Viberze dziewczyny wymieniają się też poradami na temat najlepszych firm; wrzucają nawet zdjęcia obiadów oferowanych w klinikach. Rozmawiają o problemach. Jedna pisze, że zaraz po porodzie stała kilka godzin na korytarzu szpitala, bo jej łóżko było opłacone tylko na czas porodu. Gdy zadzwoniła do agencji, by się poskarżyć, że jest słaba i musi się położyć, miała usłyszeć: „Podczas porodu nie umarłaś, to i teraz nie umrzesz”.

Ucieczka przed agencją

– Byłam już zdecydowana – opowiada mi dziewczyna, nazwijmy ją Julia, podczas rozmowy na Skypie. – Wybrano mi parę z Hiszpanii. W agencji powiedzieli, że to ludzie wierzący, tak jak ja, a to jest dla mnie ważne.

Dla pewności, że nikt jej nie rozpozna – gdybym czasem nagrywała naszą rozmowę – Julia założyła duże okulary słoneczne. Widzę tylko, że jest szczupłą szatynką. Mówi, że ma 21 lat i pochodzi z leżącej pod Donieckiem wioski Spartak.

– Naszego domu już nie ma, teraz są tam pozycje rosyjskich separatystów. Jeszcze na początku wojny uciekliśmy z mamą i młodszym bratem. Tam nie dało się żyć, ciągle bomby – opowiada. – Pojechaliśmy do Winnicy, bo mój uniwersytet tam się przeniósł z Doniecka, a chciałam kontynuować studia. Bardzo

potrzebujemy pieniędzy. Mama choruje, z trudem starcza nam na życie. Ogłoszenie znalazłam w internecie, na stronie z pracą dla studentów.

Jej umowa nie była poświadczona notarialnie: – Ale czułam się bezpiecznie, wszyscy byli dla mnie mili. Podpisałam dokumenty, przesłałam badania. Wyznaczono mi datę zapłodnienia.

Potem jednak, jak mówi, zaczęła wszędzie widzieć niemowlęta. Wydawało się jej, że na ulicy mijają place zabaw, że w telewizji leżą jedynie reklamy kaszek i pampersów: – Raz nawet śniła mi się Matka Boska z Dzieciątkiem. Zrozumiałam, że nie poradzę sobie psychicznie z oddaniem dziecka.

Chciała się wycofać. Wtedy pracownicy agencji przestali być mili. Dzwonili po kilkanaście razy dziennie. Mówili, że skoro obiecała, iż da się zapłodnić, to musi wypełnić umowę, bo rodzina z Hiszpanii już czeka. Grozili, że mają jej adres i rozwieszą dookoła domu plakaty z jej zdjęciem i informacją, jakoby sprzedawała dzieci.

Julia: – Ludzie tu są tacy, że jakby ktoś napisał, że jestem prostytutką, to nie byłoby takie straszne jak to. Co by sąsiedzi powiedzieli? Nie dość, że uchodzący z Donbasu, to jeszcze dzieci sprzedają... Czułam się śledzona. Zagroziłam, że pójde na policję. Śmiali się. Powiedzieli, że to oni mogliby iść na policję, bo nie dotrzymuję umowy. Mówili, że zainwestowali w badania, więc muszę oddać wielokrotność tej sumy. Nie miałam takich pieniędzy. Uciekłam na kilka tygodni do przyjaciółki w innym mieście i jakoś się uspokoiło.

– Nie uważam, że bycie suroratką to coś złego – mówi Julia. – Wydaje mi się, że to nawet dobry uczynek, bo można pomóc kobiecie niemającej szans na urodzenie. Po prostu, nie nadaję się do tego. No i nie spędziłam dość czasu, by wybrać dobrą agencję.

Za utratę macicy

– Głównym problemem jest to, że nie wszystkie agencje podpisują z dziewczynami notarialną umowę, zawierającą zapisy o ryzyku i odszkodowaniach. Na przykład teraz pomagamy dziewczynie, której ciąża obumarła, i agencja nie chce jej zapłacić. Twierdzą, że doszło do tego z jej winy – mówi mi Swietłana Burkowska, szefowa organizacji Siła Matek, która wspiera suroratki w egzekwowaniu ich praw.



Pielęgniarka Maryna z trzyletnią Brizzie, sierpień 2019 r.

W ofertach, które przeglądam na Vi-berze, informacje o odszkodowaniach zdarzają się rzadko. Niektóre agencje oferują np. 1160 dolarów w przypadku ciąży pozamaciecznej lub utraty szyjki macicy. Albo 5800 dolarów, jeśli w wyniku komplikacji kobieta straci macicę.

Nie ma informacji o konsekwencjach w przypadku poronienia lub obumarcia płodu. Tylko jedna z agencji podaje odszkodowanie na wypadek śmierci zastępczej matki: dokładnie 11 600 dolarów.

Moje czekają w domu

– Robię to, żeby zapewnić byt swoim dzieciom – mówi Inna z Charkowa. Swoim tzn. tym, których matką jest biologicznie. Bo nosiła pod sercem jeszcze dwoje innych: bliźniaki dla pary z Ameryki.

– To byli dobrzy ludzie. Nie jacyś bogacze – opowiada. – W USA macierzyństwo zastępcze jest legalne, ale kosztuje 200 tys. dolarów. Nie mieli tyle. Na Ukrainie dzięki mnie zrobili to pięć razy taniej. A jak się ucieszyli, że od razu bliźnięta! I ja też, bo dostałam 2 tys. dolarów więcej.

Po czym tłumaczy, jakby chciała się jednak usprawiedliwić: samotnej matce z dwójką dzieci trudno znaleźć pracę.

Co czuła, gdy musiała oddać dzieci po porodzie? – Tylko radość – odpowiada Inna. – Widziałam łzy szczęścia i miłość biologicznych rodziców, to dało mi nie-samowitą satysfakcję. Może dla kogoś, kto rodzi pierwszy raz, jest to trudne psychicznie. Ale ja cały czas starałam się pamiętać, że to nie moje dzieci, bo moje czekają w domu.

– Trochę dziwne, gdy czuje się ruchy nie swoich dzieci – przyznaje. – Gładzi-

łam brzuch, rozmawiałam z małenstwami, gdy bardzo kopały. Mówiłam im: „Niedługo poznacie rodziców, bardzo was kochają”. A rodzice nie dawali o sobie zapomnieć, przez całą ciążę rozmawiałam z nimi przy pomocy Google Translate. Dzięki temu czułam, że nie jestem sama. Chcieli mi niedawno wysłać zdjęcia, ale prosiłam, by tego nie robili. Czasem składają mi życzenia na święta. Zazdroszczę im i współczuję jednocześnie: ja, zdana na siebie samotna matka, mam kochane dzieci. A oni tam w Ameryce kilkanaście lat starali się o dziecko. Cieszę się, że im pomogłam.

Brizzie

Ale jest na Ukrainie dziecko, którego przyjście na świat nikogo nie ucieszyło. To dziewczynka z Zaporozża, urodzona dla pary z USA przez kobietę, która uciekła przed wojną z Doniecka. Coś poszło nie tak, do porodu doszło w 25. tygodniu ciąży. Brat bliźniak zmarł, ale ważąca 870 gramów dziewczynka bardzo chciała, jak widać, żyć.

Nazywa się Bridget Irmgard Pagan-Et-nyre, co personel szpitala skrócił do Brizzie. Imię to jedyne, co dostała od rodziców z USA. Odmówili odebrania dziewczynki. Napisali do agencji reprodukcyjnej: „Jest w stanie wegetatywnym. Szansa, że wróci do normalności i wyjdzie ze stanu nie-możliwiającego codzienne życie, nie istnieje”. Poprosili o odłączenie Brizzie od sztucznego oddychania. To było niemożliwe według ukraińskiego prawa, bo nie stwierdzono śmierci mózgu.

„Nikt nie dawał jej szans. Mówili, że będzie ślepa, głucha, nie da nigdy rady sama

jeść. Ale w pewnym momencie zauważyłam, że reaguje na dźwięk” – opowiadała Maryna, pielęgniarka ze szpitala, w filmie australijskiego kanału ABC News. To ona zaczęła opiekować się Brizzie. Zostawała po godzinach, by ją rehabilitować. Efekty widać na nagraniach, gdzie Maryna bawi się z roześmianą blondyneczką. Dziś czteroletnia Brizzie samodzielnie raczkuje i siada, nuci ulubione piosenki, umie sama jeść. Przeniesiono ją do domu dziecka Słoneczko, gdzie Maryna stale ją odwiedza.

Kobieta, która urodziła Brizzie, nie interesowała się jej losem. Nie ma zresztą do niej praw. Małej nie przysługuje też obywatelstwo USA. Przez pierwsze trzy lata była bezpaństwowcem, dopiero niedawno dostała ukraińskie dokumenty, choć etnicznie nie jest Ukrainką.

Klinika Biotex – ta od sielankowego filmu z hotelu Wenecja – dziś zaprzecza, jakoby Brizzie narodziła się w wyniku ich usług, choć nazwa firmy widnieje w materiałach sprawy.

Maryna pisała do biologicznych rodziców przez sieci społecznościowe, że ich córeczka żyje i się rozwija. Bezskutecznie. „Oni potraktowali Brizzie jak wadliwy produkt do reklamacji, bo się nie spodobał” – mówi w filmie.

Ciąg dalszy trwa

Szef firmy Biotex nie odpowiedział na moje telefony. Moi rozmówcy sugerowali, że popełniłam błąd, zdradzając w rozmowie z sekretarką firmy, że piszę do katolickiego tygodnika.

Julia zapewnia, że nigdy już nie zdecyduje się na kontakt z agencją reprodukcyjną. Chyba że – dodaje – będzie w podbramkowej sytuacji.

Inna chciałaby, jak mówi, brać udział w kolejnych „programach”, dopóki jej dzieci są małe. Martwi się tylko, że większość dobrych agencji nie bierze kobiet, które rodziły więcej niż cztery razy. Pewnie będzie musiała nawiązać kontakt z taką, która nie ma wymagań. Jak Biotex.

Według ukraińskiego prawa Brizzie do piątego roku życia nie może być adoptowana przez obcokrajowców. Szanse na adopcję na Ukrainie są małe. Jeśli nikt się po nią nie zgłosi, w wieku siedmiu lat zostanie przeniesiona do ośrodka dla upośledzonych umysłowo, gdzie może spędzić całe życie. Na razie czeka w domu dziecka, aż ktoś ją pokocha.

© MONIKA ANDRUSZEWSKA



Kukła byłego prezydenta Chun Doo-hwana przewożona na miejsce demonstracji w rocznicę krwawego stłumienia protestów z 1980 r. Gwangju, 16 maja 2020 r.

najpierw na dożywocie, po czym nie minął rok, a ułaskawił go nowy prezydent Kim Young-sam. Posunięcie to miało zjednoczyć kraj w obliczu kryzysu ekonomicznego – Chun wciąż miał licznych zwolenników. Uwolniony, miał jednak zapłacić gigantyczną grzywnę za zdefraudowane fundusze. Do koreańskich politycznych bon motów przeszły jego słowa, że nie może tego zrobić, gdyż zostało mu tylko „290 tys. wonów”, czyli równowartość ok. 1,2 tys. zł. Grzywny nie zapłacił do dziś.

Gdy oglądam karykatury 89-letniego obecnie generała, towarzyszy mi znajome uczucie. W dużych okularach, z lysiną i zaczesanymi do tyłu włosami, przypomina azjatycką wersję Wojciecha Jarużelskiego. Obaj wprowadzili stan wojenny, nawet w podobnym czasie. Jednak Chun Doo-hwan – dziś bodaj najbardziej nienawidzony w społeczeństwie z grona wszystkich dawnych przywódców – był nieporównywalnie bardziej krwawy.

Generał „oczyszcz” Koreę

Do władzy doszedł w wyniku przewrotu wojskowego 17 maja 1980 r. – po tym, jak poprzedni prezydent Park Chung-hee (też generał) został zamordowany przez szefa swoich służb specjalnych. Na mocy stanu wojennego, wprowadzonego po śmierci Parka, zamknięto uczelnie, zakazano działalności politycznej, a prasie narzucono cenzurę. Setki studentów, związkowców, a także duchownych różnych religii trafiły do więzień, wielu torturowano. Los niektórych zapewne na zawsze pozostanie tajemnicą.

Pod hasłem wypłenicia „społecznego zła” Chun przeprowadził też czystkę wśród urzędników, której nie powstydziałaby się Korea Północna: ok. 40 tys. osób wysłano do tzw. obozów reedukacyjnych w Samchung. Program „oczyszczenia” trwał tam cztery tygodnie i był tak brutalny, że doprowadził do śmierci 54 więźniów i uszczerbku na zdrowiu (także psychicznym) wielu kolejnych.

Stan wojenny zakończył się 24 stycznia 1981 r. Wcześniej Chun zdelegalizował wszystkie partie i zapewnił sobie posadę prezydenta: w sierpniu 1980 r., w kontrolowanych przez wojsko wyborach pośrednich (tj. polegających na wyborze

Dyktator kontra ksiądz

ROMAN HUSARSKI Z GWANGJU

40 lat temu w Korei Południowej wojsko zmasakrowało cywilów. Chun Doo-hwan, ówczesny prezydent, dziś ponownie stoi przed sądem.

KOBIETA Z ZAPALEM DEPCZE RYSUNKI na chodniku. Na Placu Demokracji 5.18 (to skrót od daty: 18 maja) w południowokoreańskim mieście Gwangju wymalowano kilkadziesiąt karykatur byłego dyktatora kraju. W pobliżu stała też artystyczna instalacja: klatka, a w niej posąg związanego i klęczącego Chun Doo-hwana. Można bić go po głowie plastikowym młotkiem i ktoś już roztrzaskał posagowi twarz. Plakaty z podobizną generała wiszą w całym mieście.

18 maja 2020 r. na placu wściekli Koreańczycy żądają ukarania „rzeźnika z Gwangju”. Przekaz jest prosty: „Morderca do więzienia!”.

Skąd tak wielkie emocje, po 40 latach?

Najbardziej nienawidzony

Wielu Koreańczyków uważa, że Chun, który rządził w latach 1980-87, nie odpowiedział za swoje zbrodnie. Frustrację odczuwają zwłaszcza mieszkańcy półtoramilionowego dziś Gwangju, którzy stracili najbliższych podczas pacyfikacji w 1980 r. Do dziś historycy spierają się o liczbę zabitych: waha się ona od trzystu do nawet dwóch i pół tysiąca. Uczciwego śledztwa nie sposób było przeprowadzić przez lata, zwłaszcza że pierwsze wolne wybory prezydenckie w 1987 r. – zwiastujące koniec wojskowej dyktatury, trwającej od początku lat 60. – wygrał Roh Tae-woo, przedstawiciel wojskowych elit.

Dopiero w 1997 r. Chun został osądzony. Ale karę śmierci zamieniono mu

elektorów, którzy z kolei wybierali głowę państwa), otrzymał 99,9 proc. głosów. Jeden nieważny głos prawdopodobnie spreparowano na potrzeby wizerunkowe, aby odróżnić Południe od Północy, gdzie Kim Ir Sen zawsze zgarniał 100 proc. poparcia.

Co mówią statystyki zgonów

Stanowcze działania Chuna miały być pokazem siły. Doprowadziły do tragedii, która kulminację miała właśnie w Gwangju, gdzie 18 maja – następnego dnia po ogłoszeniu stanu wojennego – studenci miejscowego uniwersytetu zorganizowali protest.

W większości miejsc w kraju policja skutecznie dławiała opór, stawiany zwłaszcza przez środowiska studenckie. Jednak w Gwangju wydarzenia przebiegły inaczej: brutalność policjantów, którzy użyli m.in. bagnatów, tak rozwścieczyła mieszkańców, że zaczęli masowo dołączać do studentów. Sytuacja wymknęła się spod kontroli. Padły strzały, które jeszcze bardziej rozjuszyły protestujących. Demonstranci ogłosili rewolucję, zarekwirowali broń z komisariatów i arsenału wojskowego, po czym 21 maja przejęli kontrolę nad większą częścią miasta – będącego ważnym ośrodkiem w południowej części kraju. Demonstracje i ataki na przedstawicieli władz objęły całą prowincję Jeolla, której Gwangju jest stolicą. Władze centralne spanikowały i 27 maja do Gwangju wkroczyło regularne wojsko, aby spacyfikować miasto.

Według oficjalnych danych podczas całego zrywu miało zginąć 170 osób

(144 cywilów, 22 żołnierzy i 4 policjantów), a 380 zostało rannych (127 cywilów, 109 żołnierzy i 144 policjantów). Jednak rzeczywista liczba ofiar wśród cywilów była dużo wyższa. Z miesięcznych statystyk zgonów wynika, że w maju 1980 r. odnotowano tu o 2,3 tys. więcej zmarłych niż zwykle. Wiele osób zniknęło już po zduszeniu rewolty. W ostatnim czasie światło dzienne ujrzały historie kobiet zgwałconych przez żołnierzy podczas pacyfikacji.

Brutalność wojska została podsyczona nie tylko rządową propagandą, która przekonywała, że w mieście ma miejsce komunistyczna inwazja, ale też faktem, że żołnierze pochodzili z innych prowincji – a w Korei do dziś silna jest nieufność między regionami.

Papież odwiedza Gwangju

Podczas tamtych demonstracji ksiądz Cho Chul-hyun próbował mediować. Na kolanach błagał cywilów, by odłożyli broń – uważał, że zbrojny opór nie ma szans. Następnie samotnie ruszył naprzeciw wkraczającym żołnierzom, próbując mediacji – skończyło się to jego pobiciem i aresztowaniem. Zanim trafił za kratki, zdążył jednak zaobserwować m.in. helikoptery, z których wojsko strzelało do protestujących.

Cho Chul-hyun przez lata walczył o ujawnienie prawdy na temat tamtych wydarzeń. Do dziś ta kwestia budzi wątpliwości. Kapłan zebrał ok. 20 świadków, znalazł zdjęcia helikoptera i udokumentował ślady po kulach na budynku, który

miał być zaatakowany. Przez lata pojawiał się w mediach, ujawniając również inne świadectwa okrucieństw.

To niejedyny przykład działalności prodemokratycznej Kościoła katolickiego w Korei (dziś ok. 8 proc. mieszkańców to katolicy), który przez lata dawał przestrzeń opozycyjnym środowiskom. Despotie łatwiej było rozprawiać się z rodzimymi religiami, które nie miały kontaktów międzynarodowych. Choć zdarzały się aresztowania kapłanów, nawet biskupa, wszyscy byli szybko zwalniani.

Dla władz wojskowych ważna była kwestia wizerunku za granicą. Chun przygotowywał wszak kraj do olimpiady, zaplanowanej na rok 1988. Otwarty konflikt z Kościołem zniszczyłby opinię o Południu jako o tej części Półwyspu, gdzie panuje wolność religijna. Ponadto Jan Paweł II był postrzegany jako antykomunistyczny autorytet. Pierwszą pielgrzymkę do Korei Południowej odbył w 1984 r., a msza, podczas której kanonizował 103 koreańskich męczenników i cytował Konfucjusza, była wielkim wydarzeniem. Koreańscy duchowni zadbali jednak, aby podczas swojej wizyty papież odwiedził również Gwangju – miejsce masakry. Jego wizytę tutaj odczytano jako gest wsparcia dla ruchów prodemokratycznych.

Temat kontrowersyjny

W wydanych w 2017 r. „Pamiętnikach” (trylogii liczącej 2 tys. stron) Chun nazwał księdza Cho „kłamcą” i „diabłem w masce”. Generał wyparł się też wszelkiej odpowiedzialności za masakrę (nazywając →



Wydanie jubileuszowe na 75-lecie „Tygodnika Powszechnego”

Piszą: Brzeziński, Dukaj, Jagielski, Kuźmiński, Lamża, Lem, Napiórkowski, Ochędowska, Okoński, Prusak, Rabij, Tischner, Turowicz, Żyła

„Raport z przyszłości” dostępny w sklepach z dobrą prasą i jako e-wydanie na powszech.net/raport



→ siebie kozłem ofiarnym), a nawet negocjował jej fakt (stwierdził, że żaden obywatel Korei Południowej nie dopuściłby się takiej zbrodni). Prawie jednocześnie autobiografię opublikowała jego żona Lee Soon-ja – pod tytułem „Nie jesteś sam”, co odebrano jako jej wyznanie pod adresem męża.

Trudno uwierzyć w wersję, którą przedstawia była para prezydencka. Zwłaszcza że to aparat państwowy Chuna kreował propagandową wizję „komunistycznej inwazji” w Gwangju i blokował informacje o masakrze do końca jego rządów. Plotki o ingerencji północnokoreańskich agentów, a nawet o 600 żołnierzach z Północy krążą do dziś wśród radykalnej prawicy południowokoreańskiej. Wprawdzie Północ korzysta na całej sytuacji i do dziś wykorzystuje incydent z Gwangju do atakowania Południa, jednak liczne dochodzenia nie ujawniły bezpośredniej aktywności żadnych „specjalnych oddziałów” z Północy. Z kolei niektórzy sympatycy generała umniejszają masakrę, jej ofiary przedstawiając jako efekt li tylko zamieszek.

Osobom publicznym, które powielają takie teorie spiskowe, na tegorocznych obchodach zdrowo się oberwało: trafili na wystawę karykatur, gdzie przedstawiano ich jako ufoludki, diabły itd. O tym jednak, że społeczeństwo pozostaje wciąż podzielone w opiniach na temat tamtej masakry, świadczy fakt, iż największa wyszukiwarka Naver – zazwyczaj informująca internautów o najważniejszych wydarzeniach – nie zdecydowała się przypomnieć o rocznicy wydarzeń w Gwangju. Platforma tłumaczyła potem, że temat jest zbyt kontrowersyjny.

Pozew w imieniu zmarłego

Ksiądz Cho Chul-hyun nie mógł odpowiedzieć na obelgi generała, gdyż zmarł na rok przed publikacją jego wspomnień. Sprawę o zniesławienie wniósł natomiast Cho Young-dae – bratanek zmarłego i również ksiądz katolicki. To specyfika tutejszego prawa, które pozwala na obronę imienia najbliższych nawet po ich śmierci. Generała uznano winnym w pierwszej instancji, grozi mu do dwóch lat więzienia lub grzywna o równowartości ok. 6 tys. dolarów.

Sprawa ma też wymiar symboliczny. Wcześniej były despotą kilkakrotnie unikał pozwów, broniąc się złym stanem zdrowia i demencją. Jednak dziennikarze śledczy w ostatnich miesiącach



Park Chol-kyu brał wtedy udział w protestach

ujawnili, że to kłamstwa, namierzając Chuna w drogich restauracjach i na polu golfowym. W ten sposób proces mógł się rozpocząć – i to w mieście, gdzie wniesiono pozew. W marcu Chun musiał pojawić się więc w Gwangju – po raz pierwszy od momentu, gdy dokonał tu przejęcia wojska po stłumieniu protestów. Towarzyszyła mu żona i adwokat.

Jednocześnie, w ramach obchodów rocznicy i z poparciem rządu w Seulu, powołano nową komisję śledczą. Skład ma dwa lata (z możliwością przedłużenia dochodzenia o kolejny rok) na to, aby przedstawić swój raport.

Tymczasem w przestrzeni publicznej pojawiają się informacje, że generał był rzekomo w mieście podczas starć. Miał przylecieć helikopterem i osobiście wydać zgodę na użycie ostrej amunicji. Przez lata Chun nie tylko odżegnywał się od tego (argumentując, że nie wiedział o działaniach wojska), ale firmował pokazowe procesy rzekomo winnych masakry. W 1981 r. na karę śmierci (zamienioną na więzienie) skazano twarz opozycji Kim Dae-junga, który rzekomo wzywał do protestów (w 1998 r. został on prezydentem, a dwa lata później laureatem pokojowego Nobla).

Tu pojawia się kolejny papieski wątek: poinformowany przez koreański episkopat, Jan Paweł II dwukrotnie – w roku 1980 i 1981 – słał listy do Chuna, z prośbą o ułaskawienie Kim Dae-junga i zmianę kary śmierci (zamieniono mu ją na dożywocie, a w 1982 r. pozwolono wyjechać do USA, skąd wrócił w połowie lat 80., by włączyć się w proces demokratyzacji).

Miasto demokracji

Jeśli komisji śledczej uda się dowiedzieć, że Chun osobiście wydał rozkaz strzelania, będzie grozić mu ponownie wysoka kara.

Wielu obecnych w tych dniach na Placu Demokracji marzy się nawet wyrok śmierci. Inni są bardziej stonowani. – Nie chodzi mi o to, aby go powiesili czy skazali na więzienie. Co to dziś da? Chciałbym tylko, aby Chun przestał udawać i przyznał się do błędu – mówi mi Park Chol-kyu, uczestnik obchodów. Z dumą prezentuje legitymację poświadczającą, że brał udział w demonstracjach. Miał wtedy 23 lata. – Byłem przy tym samym zegarze, który widzisz dziś na placu. Byliśmy wściekli. Nie wierzyłem, że mamy szansę, ale to była chwila wolności – mówi Park Chol-kyu.

W Gwangju pamięć o tamtych wydarzeniach widoczna jest niemal na każdym kroku. W mieście stoi dziś aż 29 pomników odnoszących się do wydarzeń z tych dziesięciu majowych dni 1980 r. Są tu również trzy muzea poświęcone wyłącznie masakrze. Zdjęcia w nich się powtarzają, to nieuniknione.

Fotografii byłoby jeszcze mniej, gdyby nie odwaga Jürgena Hinzpetera, dziennikarza zachodnioniemieckiej telewizji ARD. Miał on 42 lata, gdy ryzykując życiem dostał się z kamerą do Gwangju. W 2017 r., rok po jego śmierci, historię Hinzpetera przeniósł na ekran koreański reżyser Jang Hoon. W samej Korei Południowej film „A Taxi Driver” obejrzało w kinach 12 mln ludzi. W specjalnym pokazie udział wzięł sam prezydent i wdowa po zmarłym dziennikarzu. Tytułowy taksówkarz to postać autentyczna: nazywał się Kim Sa-bok (w filmie: Kim Man-seob) i zawiózł dziennikarza z Seulu do Gwangju. Jego tożsamość została odkryta dopiero po premierze filmu, kiedy do koreańskiej prasy zgłosił się syn bohatera kierowcy. Prawdziwy Kim Sa-bok zmarł w 1984 r.

W jednym z tutejszych muzeów (nosi ono nazwę „Archiwum 5.18”) znajduje się wystawa pokazująca oddolne protesty w różnych częściach świata. Ekspozycję otwiera Solidarność – z kopią słynnych 21 postulatów, które gdańscy stoczniowcy wysunęli wobec komunistycznych władz w sierpniu 1980 r.

– Jesteśmy dumni z tej kopii eksponatu – mówi przewodniczka. – Niezależnie od narodowości, każdy marzy o lepszym jutrze.

© ROMAN HUSARSKI



Kabul, marzec 2020 r.

Siedem tysięcy kilometrów na marne

TEKST I ZDJĘCIA: **PAWEŁ PIENIAŻEK** Z KABULU

Afgańczycy, którzy dotarli nielegalnie do krajów Europy, są z nich systematycznie deportowani – mimo zagrożeń, które czekają na nich w ojczyźnie.

MURTAZA MIESZKA NA OBRZEŻACH afgańskiej stolicy. Wiedzie tu kiepska droga gruntowa. Dzieci biegają po placu przed meczetem, wokół świątyni stoją skromne domy.

22-letniego Murtazę deportowano ze Szwecji w pierwszej połowie 2019 r. Jego wniosek o azyl odrzucono, jak twierdzi, nie podając powodu.

Podobnie jak setki tysięcy ludzi, Murtaza wyruszył w drogę do Europy podczas kryzysu migracyjnego pięć lat temu. Trasa dobrze znana: Iran, Turcja, Grecja,

Macedonia, Serbia, Chorwacja, Słowenia, Austria, Niemcy i ostatecznie Szwecja. Jakieś siedem tysięcy kilometrów.

W drogę wybrał się z dziewięcioma znajomymi z prowincji Wardak, z której pochodzi (sąsiaduje ona z prowincją stołeczną). Mówi, że w Afganistanie nie widział dla siebie wielu możliwości. I wciąż nie widzi: bezrobocie przekroczyło 40 proc., a z powodu kryzysu wywołanego epidemią COVID-19 jeszcze trudniej jest wiązać koniec z końcem. Jakby wcześniej było łatwo. Murtaza od niemal

roku siedzi w domu, nie ma pracy ani pomysłu, co ze sobą zrobić. Czas upływa mu na bezczynność.

W Szwecji był cztery lata, ale nie zarobił ani grosza. Jak mówi, zamknięto go w obozie, nie mógł pracować ani się uczyć. Nie robił nic, przeczytał tylko trochę książek. Twierdzi, że choć przed deportacją Szwedzi obiecali mu pomoc, to przed wejściem na pokład samolotu do Kabulu dali tylko sto dolarów. – Wróciłem do Afganistanu z pustymi rękami i czułem wstyd – przyznaje.

A przecież jego plan wydawał się możliwy do osiągnięcia: w Europie chciał znaleźć pracę, zarabiać na siebie i jeszcze wysłać pieniądze rodzinie, by ich życie uczynić łatwiejszym. Jednak podobnie jak ok. 20 tys. Afgańczyków, którzy od 2015 r. zostali deportowani z Europy do ojczyzny, Murtaza musi o tym zapomnieć. Przynajmniej na razie.

Kosztowna wyprawa

Murtaza opowiada, że pierwsze problemy pojawiły się niemal na samym początku ich drogi do Europy. Najpierw przy granicy z Iranem złodzieje ukradli →

→ rzeczy należące do niego i jego towarzyszy podróży. Potem strzelali do nich pogranicznicy. Gdy przedzierał się przez góry do Turcji, trzech jego przyjaciół spadło w przepaść – Murtaza i reszta nie byli w stanie im pomóc. Ciało przyjaciół pozostało gdzieś na irańsko-tureckim pograniczu. Potem z trudem przepłynął przez morze do Grecji.

– Kilukrotnie żałowałem, że wyruszyłem w tę trasę, ale nie miałem drogi powrotu – przyznaje dziś. Powody były dwa: droga powrotna byłaby tak samo ryzykowna, co brnięcie dalej. Po drugie, wyprawa kosztowała zbyt wiele pieniędzy, aby ją ot tak przerwać. Murtaza mówi, że wydał na nią 8 tys. dolarów, a rodzina zadłużyła się, by wysłać go do Europy (pożyczki do tej pory nie spłaciła). Jego ojciec jest sklepikarzem, zarabia 300 afgani dziennie – to równowartość czterech dolarów. Zakładając, że cała rodzina nic by nie jadła i nie miałaby żadnych wydatków, na uzbieranie takiej kwoty potrzebowalby pięciu lat i sześciu miesięcy.

W Kabulu bez większych problemów można znaleźć deportowanego. Nawet teraz, w trakcie rozmowy z Murtazą, podchodzi do nas jego sąsiad Muzafar. Też ma 22 lata i również został deportowany – pół roku temu, z Turcji. Wcześniej mieszkał przez kilka lat w Iranie. Oповіда, że już w wieku 14 lat postanowił opuścić dom, bo wiedział, że nie może na wiele liczyć w rodzinnym kraju.

Dobrowolnie i przymusowo

Abdul Ghafur ma skromne biuro w zachodniej części stolicy, niedaleko Uniwersytetu Kabulskiego. Siedzi przy biurku w niebieskiej koszuli i okularach korekcyjnych z dużymi oprawkami. Do jego biura przychodzą Afgańczycy, których deportowano z Europy. Ghafur jest założycielem Afgańskiej Organizacji Doradztwa i Wsparcia Migrantom, która od siedmiu lat pomaga osobom nagle wracającym do kraju.

Od 2016 r. Ghafur ma więcej pracy. Wtedy między Afganistanem a Unią Europejską zostało zawarte porozumienie, o dość dziwnej zresztą nazwie: „Wspólna Droga Naprzód”. Na jego podstawie władze w Kabulu zobowiązały się do przyjmowania każdego Afgańczyka, który nie uzyskał azylu w Europie. Zgodnie z umową do kraju miały wrócić dziesiątki tysięcy ludzi; mówiło się o przynajmniej 80 tys. osób.



MURTAZA ma 22 lata. Niemal rok temu został deportowany ze Szwecji. Od tego czasu jest bezrobotny, a jego ojciec nie może wyjść z długów. Kabul, marzec 2020 r.

Z przecieków, które trafiły do obiegu publicznego, wynika, że przedstawiciele Unii uzależniali dalszą pomoc dla Afganistanu od zaakceptowania tej umowy. Afgańscy politycy nieoficjalnie przyznawali, że nie mieli wyboru: kraj jest uzależniony od pomocy zagranicznej. Według pozarządowego Instytutu Biruni od 40 do 60 proc. budżetu państwa pochodzi właśnie ze środków zewnętrznych. Dlatego sprawa była z góry przesądzona.

Od momentu podpisania tej umowy samoloty czarterowe z deportowanymi zaczęły latać z europejskich lotnisk częściej niż wcześniej – z niektórych krajów nawet co tydzień.

Umowa z Kabulem była częścią większego planu, który Unia wypracowała po kryzysie migracyjnym z 2015 r., a którego celem było powstrzymanie dalszego napływu uchodźców i migrantów. Afganistan był tutaj istotnym elementem: byli drugą po Syryjczykach największą grupą narodowościową, która docierała do Europy. W roku 2015 było to 213 tys. osób.

– Od 2016 r. liczba deportacji dramatycznie wzrosła – przyznaje Abdul Ghafur.

Potwierdzają to dane Eurostatu. W 2015 r. liczba wracających dobrowolnie lub przymusowo wynosiła 3290 osób, a w kolejnym roku – już 9480 osób. Łącznie od początku kryzysu migracyjnego państwa członkowskie Unii deportowały

ok. 20 tys. Afgańczyków. Ponad połowa z nich wróciła dobrowolnie – niektóre państwa oferują za to pieniądze, są to kwoty od kilkuset do ponad 2 tys. euro.

Z Europy na wojnę

Według unijnych urzędów Afganistan jest do pewnego stopnia bezpiecznym krajem. Stąd zdarza się, że starający się o azyl słyszą, że nawet jeśli w ich okolicy toczą się działania wojenne, to zawsze mogą udać się do spokojniejszych miast – jak Kabul, Herat czy Mazar-i Szarif.

Ghafur mówi, że ten spokój jest bardzo umowny. – Obecnie sytuacja w Afganistanie ze złej stała się bardzo złą – twierdzi. W prowincji Balch (ze stolicą w Mazar-i Szarif) na północy kraju oraz w prowincji Herat na zachodzie armia walczy z talibami. Natomiast sytuacja w Kabulu pogorszyła się po tym, jak na początku 2015 r. w kraju zaczął działalność lokalny odłam Państwa Islamskiego, występujący pod nazwą Państwa Islamskiego Prowincji Chorasana.

Organizacja ta – konkurencyjna wobec talibów i przez nich zwalczana – przeprowadziła dziesiątki zamachów. Ich celami były często obiekty cywilne, jak szkoły, sale weselne czy świątynie. Najczęściej dochodziło do nich w stolicy. Wprawdzie pod koniec 2019 r. organizacja utraciła kontrolowane terytoria i została znacząco osłabiona, ale wciąż jest aktywna. W marcu 2020 r. przeprowadziła dwa zamachy w Kabulu na przedstawicieli mniejszości religijnych, w których zginęło ponad 50 osób.

Szczególnie krwawym dniem okazał się 12 maja. W zachodniej części Kabulu zamachowcy zaatakowali szpital położniczy: zginęły 24 osoby, w tym dwa noworodki, a 16 raniono. W prowincji Nangarhar, we wschodniej części kraju, zamachowiec wysadził się podczas pogrzebu (bilans: 32 zabitych i 103 rannych). Żadne ugrupowanie nie przyznało się do tych dwóch ataków. Z kolei w prowincji Paktia talibowie wysadzili ciężarówkę z materiałami wybuchowymi: zginęło pięć osób, a 19 raniono, w większości cywilów.

W odpowiedzi na te zamachy prezydent Aszraf Ghani zapowiedział ofensywę armii afgańskiej przeciw talibom (w ostatnich tygodniach armia nie prowadziła działań zaczepnych z powodu trwających negocjacji, które zakończyły się podpisaniem 29 lutego porozumienia między USA i talibami, przewidy-

jącego stopniowe wycofanie obcych wojsk z kraju). Talibowie uznali słowa Ghaniego za „wypowiedzenie wojny” i szybko odpowiedzieli: 18 maja ich zamachowiec samobójca wysadził się w pobliżu bazy rządowych tajnych służb w mieście Ghazni, zabijając siedem i raniąc ok. 40 osób. Jak zwykle w takich wypadkach, prędzej lub później można się było spodziewać ciągu dalszego...

– Zachodnia część Kabulu jest zamieszkała głównie przez Hazarów i szyitów. Do 2015 r. była najbezpieczniejsza, ale od pojawienia się Państwa Islamskiego stała się jedną z najbardziej niebezpiecznych – mówi Ghafur. Hazarowie to jedna z grup etnicznych zamieszkujących Afganistan.

Postrzeganie Afganistanu przez Unię jako państwa rzekomo relatywnie bezpiecznego zmienił – na krótko – właśnie jeden z zamachów. W 2017 r. bomba wybuchła w pobliżu ambasady Niemiec, zginęło ponad 150 osób. Wówczas państwa unijne chwilowo wstrzymały deportacje, potem jednak szybko do nich wróciły.

Znieść powrót do domu

Wielu deportowanych spotyka podobny lub gorszy los niż Murtazę. Trudno im znaleźć pracę, odnaleźć się, zacząć życie od nowa.

Wśród osób, z którymi pracował Ghafur, są takie, które podczas pobytu w Europie zdążyły zerwać więzi łączące je z Afganistanem. Do tego ze strony państwa nie przysługuje im żadne wsparcie.

– Ci, którzy trafili do krajów skandynawskich, nie przebywali w nich długo. W większości dotarli do nich podczas kryzysu uchodźczego, często rozpoczęli tam studia, a mimo to zostali deportowani – przyznaje Ghafur. – Z kolei ci w Niemczech byli tam zwykle znacznie dłużej, lepiej się zintegrowali, pracowali, mieli już swój własny dach nad głową i płacili podatki.

Niektórzy wracają do kraju, który opuścili nawet dekadę temu. Byli tacy, którzy urodzili się nie w Afganistanie, lecz w sąsiednim Iranie, gdzie przebywa ok. 2 mln Afgańczyków (niektórzy jeszcze od czasu sowieckiej inwazji w 1979 r.). Nie mają tu rodzin ani przyjaciół – nikogo, do kogo mogliby się zwrócić. Nagle trafiają do kraju, w którym od ponad 40 lat trwa wojna, w jej kolejnych odsłonach. Często mają przy sobie tylko trochę pieniędzy.

– Wielu z chłopców, którzy do mnie przychodzą, jest zagubionych. Płaczą,



MUZAFAR ma tyle lat co Murtaza, są sąsiadami. Został deportowany z Turcji. Kabul, marzec 2020 r.

chcą zrozumieć, co dalej będzie się z nimi działo – mówi Ghafur.

Były przypadki prób samobójczych; Ghafur wie o jednej, która się powiodła. Niektórzy uciekają w narkotyki. Były też pojedyncze osoby, które zostały zrekrutowane przez talibów albo Państwo Islamskie.

Mało kto zostaje

Ghafur uważa, że deportacje powinny zostać wstrzymane, dopóki w Afganistanie nie będzie bezpiecznie. Drugi powód ma charakter praktyczny: deportacje często nie odnoszą zamierzonego skutku. Większość osób, z którymi pracował Ghafur, po deportacji ponownie wyemigrowała do Europy.

– Problemem jest to, że w Afganistanie nie ma warunków, które zachęciłyby ich do pozostania. Otrzymują trochę pieniędzy i nic więcej – stwierdza doradca migrantów. – Dlatego decydują się ponownie narażać życie i wydać dużo pieniędzy. Ostatecznie więc różnica jest taka, że jeśli kogoś deportowano np. ze Szwecji, to teraz pójdzie do Niemiec.

Przykładem problemu, o którym mówi Ghafur, jest historia 35-letniego Mohammada. Wyjechał on z Afganistanu, bo nie miał szans na dobrą pracę. Został deportowany z Norwegii w 2014 r. Wcześniej spędził tam półtora roku bez pozwolenia na pracę. Nie przyznano mu azylu, usłyszał: „Jeśli twoja prowincja jest niebezpieczna,

możesz zamieszkać w Kabulu czy Mazar-i Szarif”. Mohammad wcześniej żył w Iranie – tam mieszka również jego ojciec – oraz w Turcji. Był krawcem. Nie mógł liczyć na wsparcie rodziny. Łącznie na emigracji upłynęło mu 10 lat.

– Nie zaakceptował mnie żaden kraj – mówi Mohammad.

Na pytania odpowiada przez telefon, bo nie można spotkać go w Kabulu ani nigdzie indziej w Afganistanie. Chociaż po deportacji nie zamierzał nigdzie wyjeżdżać: kupił maszynę do szycia i całe niezbędne wyposażenie, otworzył zakład krawiecki. Prowadził go przez dwa lata, ale – jak mówi – nie dało się z tego utrzymać. Wrócił do Iranu, gdzie znów pracował w swoim fachu. Ale także tu było ciężko, z powodu pogarszającej się sytuacji gospodarczej w Iranie.

Pewnie Mohammad byłby teraz znowu w drodze, gdyby nie powstrzymała go pandemia, która zablokowała granice. Ma plan, by szczęścia i akceptacji szukać we Francji, gdy tylko podróż będzie możliwa. O powrocie do Afganistanu nie myśli.

Historia jak własna

Prawdopodobnie Abdul Ghafur jest najodpowiedniejszym człowiekiem, by rozmawiać się wracającymi do kraju, bo świetnie ich rozumie: założył Afgańską Organizację Doradztwa i Wsparcia Migrantom po tym, jak sam został deportowany z Norwegii w 2013 r. – Zaczęłam im pomagać, bo wiem, jakie to uczucie – przyznaje.

Mimo trudności pozostał w kraju. Stwierdził, że tu może się bardziej przydać niż gdzieś za granicą. Wówczas w Afganistanie nikt nie zajmował się deportowanymi, nie pomagał im ani nie doradzał.

Od momentu założenia organizacji Ghafur wiele razy był w Europie: jeździł na różne konferencje i dyskusje. Nie na wszystkie dostał jednak wizę, bo po deportacji dostaje się zakaz wjazdu na kilka lat.

Mówi, że ani razu nie pomyślał, aby skorzystać z okazji i zostać w Europie. Nie myśli o tym również teraz. Choć nie wyklucza, że kiedyś znowu będzie od tego zmuszony. Kiedyś – czyli wówczas, gdy sprawy w ojczyźnie przybiorą zbyt zły obrót, aby w niej pozostać.

© PAWEŁ PIENIAŻEK

Współpraca ALISZER SZACHIR

ZACHÓD OD WSCHODU

W polityce i mediach straszenie, oburzenie i niekończące się spory o wartości zastępują analizy danych. A przecież rozumowanie oparte na metodzie naukowej było zawsze najpotężniejszą bronią Zachodu.

MARCIN NAPIÓRKOWSKI

WSTRZĄSNĄŁ ZACHODEM DWA LATA TEMU, PRZEBÓJEM wdzierając się na listy najbardziej wpływowych intelektualistów świata. Do Polski jego sława jeszcze nie dotarła, ale nadarza się okazja, żeby to nadrobić. Właśnie ukazała się jego nowa książka poświęcona zmianom globalnego układu sił. Tak, to jest o nas.

Imię i nazwisko: Kishore Mahbubani
Data urodzenia: 24 października 1948 r.

Gdyby przyszedł na świat rok wcześniej, byłby jednym z opisywanych przez Salmana Rushdiego dzieci północy narodzonych dokładnie w momencie odzyskania przez Indie niepodległości i podziału państwa według granic nakreślonych przez kolonizatorów. Jego rodzice byli wśród ponad 10 milionów przesiedleńców. Jako wyznawcy hinduizmu musieli uciekać z terenów, które przypadły w udziale muzułmańskiemu Pakistanowi.

Miejsce urodzenia: Singapur

Mahbubani utożsamia się z tym „małym państwem” (to określenie niedawno przysporzyło mu nieco wrogów wśród rodaków) i długą drogą, jaką przebyło za jego życia. Z dzieciństwa pamięta Singapur jako biedną brytyjską kolonię. PKB na głowę mieszkańca wynosiło wówczas (w przeliczeniu na obecną wartość dolara) mniej niż 400 dolarów. To dzisiejszy poziom najuboższych krajów Afryki.

Młodość upływała mu w cieniu wojny, Azja Południowo-Wschodnia była bowiem areną kolejnych konfliktów dwóch zimnowojennych potęg. Dziś Singapur jest wśród dziesięciu najzamożniejszych państw świata z PKB na głowę mieszkańca ponad 64 tys. dolarów.



Choć Mahbubani – mimo licznych dłuższych i krótszych pobyków zagranicznych – nigdy na stałe się stąd nie wyprowadził, można śmiało powiedzieć, że mieszkał w kilku zupełnie różnych krajach. To doświadczenie sprawiło, że myśli o świecie w kategoriach zmiany.

A jednak powiedzieć po prostu, że urodził się w Singapurze, to odciąć istotną część jego tożsamości. Mahbubani podkreśla bowiem swoje przywiązanie do regionu oraz więzy, które łączą go z całym Wschodem. Choć rodzice Mahbubaniego byli wyznawcami hinduizmu, w dzieciństwie uczęszczał z matką do świątyni buddyjskich. Jego nazwisko jest pochodzenia arabsko-perskiego, a edukację odebrał w środowisku zdominowanym przez etnicznych Chińczyków.

Ale i na tym nie koniec. Choć Mahbubani często odwołuje się do wspólnoty kulturowej łączącej „mieszkańców krajów między Teheranem a Tokio”, nie chce być wyłącznie głosem Azji. Zamiast tego zwracając się do mieszkańców Zachodu pozycjonuje się jako człowiek nie-Zachodu, stosując podział na „Zachód i całą Resztę”. Mahbubani jest bardzo przekonującym głosem Reszty – różnorodnej, pełnej życia, a przede wszystkim olbrzymiej.

Unia Europejska i USA to łącznie zaledwie 850 milionów ludzi – nieco więcej niż dziesiątą część mieszkańców globu. Ta dziesiąta część nadal lubi sobie wyobrazać, że



NICOLAS ASFOURI / AFP / EAST NEWS

Godziny szczytu w Pekinie, 22 maja 2020 r.

jest całym światem. Że jej problemy są problemami globu, jej historia – całą historią, jej los jedynym zmartwieniem, jej wartości i idee – jedynymi godnymi podtrzymania. Mahbubani grzecznie, acz stanowczo budzi zachodniego czytelnika z tego przyjemnego snu.

Światowy rozgłos zdobył stosunkowo niedawno. Po wielu latach dyplomatycznej kariery – pełnił m.in. funkcję ambasadora przy ONZ – swoje doświadczenie i przemyślenia zaczął przelewać na papier. Punktem zwrotnym była wydana dwa lata temu książka „Has the West Lost It?” („Czy Zachód przegrał?”). Stała się bestsellerem. Zrobiła karierę wśród polityków, dyplomatów i biznesmenów. Dla mnie jest to jednak przede wszystkim niezwykła rozprawa o wyobraźni. O tym, jak bardzo nasz obraz świata bywa wypaczony, a podejmowane działania – nieadekwatne do sytuacji.

Ulubione powiedzenie: „Przyszli historycy z pewnością będą się dziwić, że...”

Mahbubani powtarza je tak często, że miejscami przynosi to wręcz efekt komiczny. Ale to coś więcej niż tylko uporczywa maniera. Pewne kwestie nabierają jasności, jeżeli spojrzymy na nie w perspektywie nie kadencji, lecz pokoleń. Punktem wyjścia jest wykres przedstawiający względne rozmiary gospodarek. Nie ten znajomy, obejmujący kilka dekad, lecz rozciągnięty na pełne dwa tysiące lat. Na wykresie widać wy-

rażnie, że to Chiny i Indie były zawsze największymi gospodarkami świata. Ostatnie 200 lat, mówi Mahbubani, to zaledwie krótkotrwałe zakłócenie, które właśnie dobiega końca.

Drugi wykres, do którego Mahbubani powraca wielokrotnie, przedstawia zmianę dochodów przeciętnego Amerykanina. A raczej brak zmiany, bo przez ostatnie trzy dekady, mimo wzrostu gospodarczego, wynagrodzenia uboższych 50 proc. obywateli USA praktycznie nie drgnęły. Zestawienie z dokonującym się w tym samym czasie azjatyckim cudem prowadzi do niepokojących wniosków.

Dominujący dziś na Zachodzie pesymizm jest zrozumiałą reakcją. Wybór Donalda Trumpa, gorączka brexitu, a zapewne także – tu dodaję już od siebie – to, co dzieje się w wielu innych krajach Europy, są wyrazem paniki związanej z poczuciem zmierzchu Zachodu. Gdy grunt usuwa się spod nóg, głosujemy na tych, którzy przywracają poczucie bezpieczeństwa i dumy; objaśniają nowy, niezrozumiały świat w prostych kategoriach.

Rozgorączkowana wyobraźnia podsuwa nam różne scenariusze. Niestety, większość z nich to mylne tropy oparte na uprzedzeniach, ignorancji oraz na przekonaniu o własnej wyższości i moralnej racji. To ironia, bo, jak przekonuje Mahbubani, to właśnie rozumowanie oparte na metodzie naukowej było zawsze najpotężniejszą bronią Zachodu.

Charakter: realistyczny optymistą

Mahbubani odczuwa wobec Zachodu szczerą sympatię. Z wdzięcznością pisze o „darze”, jakim Zachód obdarzył resztę świata. Była nim nowa forma rygoru myśli – rozumowanie naukowe, które przyczyniło się do wyjścia z głodu i ubóstwa w toku trzech „cichych rewolucji”. Rewolucja polityczna polegała na odrzuceniu feudalizmu, odkryciu „zwykłych ludzi” i przyjęciu za cel poprawy warunków ich życia. Rezultatem tego była rewolucja psychologiczna. Zachodnie podejście do eksperymentów uwolniło miliardy ludzi z tyranii wiary w przeznaczenie, sprawiając, że uwierzyli, iż mogą wziąć los we własne ręce, a ich przyszłości nie determinuje kasta, klasa czy narodowość. Trzecia rewolucja dotyczy zarządzania jako sztuki takiego dysponowania zasobami, by przynosiły zmianę na lepsze.

Istotą wszystkich tych rewolucji była wiara w to, że rzeczywistość można zmieniać. W nowoczesności nie chodzi już o to, by podtrzymywać kopułę nieboskłonu i wspierać kosmos w nieustanej walce z chaosem. Celem staje się lepsze jutro. Raj przesuwają się z planu eschatologicznej obietnicy w konkretną przyszłość, precyzyjnie opisaną liczbami i odmierzoną wykresami.

Mahbubani kocha Zachód, lecz jest to uczucie zaprawione goryczą. Bo Zachód, który jako pierwszy zdobył i wdrożył tę nową mitologię, wykorzystał ją natychmiast do zniewolenia reszty świata, ustanawiając globalny porządek kolonialny oparty na wyzysku. Paradoksalnie więc reszta świata mogła skorzystać z „mądrości Zachodu”, dopiero zrzucając z siebie jarzmo jego dominacji.

Tego właśnie jesteśmy świadkami. Historia Singapuru to doskonały przykład, ale podobną drogę przechodzą właśnie Chiny, Indie czy Indonezja. Poza naszym małym, dziesięcioprocentowym podwóreczkiem spora część świata błyskawicznie staje się coraz zamożniejsza i bezpieczniejsza. ➔

→ Nie dziwne więc, że nie brakuje tam optymizmu, który właśnie wyczerpuje się na Zachodzie.

Motorem tego optymizmu staje się nowa, światowa klasa średnia. W 2009 r. zaliczało się do niej 1,8 mld ludzi, w roku 2020 to już 3,2 mld, w 2030 r. będzie to oszałamiające 4,9 mld. Licząc dziesiątki milionów klasa średnia z charakterystycznym stylem życia pojawia się w Pakistanie czy Bangladeszu – krajach, które kojarzymy z biedą i chaosem. Największa rewolucja w tym zakresie dokonała się jednak w Chinach, gdzie PKB na mieszkańca (według parytetu siły nabywczej) wzrosło w ciągu ostatnich trzech dekad dwudziestokrotnie i wynosi dziś 18 tys. dolarów. Oznacza to, że przeciętny Chińczyk jest dziś mniej więcej tak zamożny jak przeciętny Polak w 2010 r.

„Wyłania się nowa, szczęśliwsza ludzkość – podsumowuje Mahbubani. – Nie przesadzam, kiedy mówię, że stoimy na granicy utopii. Dlaczego nie zaczęliśmy świętować?”. No właśnie.

Zawód: dyplomata

Zachód przespał przebudzenie gigantów ukołyszany pomyslnym końcem zimnej wojny. Tak mocno uwierzyliśmy w szczęśliwy koniec historii, że albo w ogóle nie dostrzegamy zmian, albo jesteśmy w stanie dostrzec w nich jedynie dogrywkę do konfrontacji z ZSRR, w której – jako mający rację – jesteśmy skazani na sukces.

Zamachy z 11 września 2001 r. wyznaczyły nowy kurs polityki międzynarodowej Zachodu, był to jednak kurs oparty na gniewie i frustracji, nie na racjonalnej analizie interesów. Zamachy nastąpiły w roku wstąpienia Chin do Światowej Organizacji Handlu, przysłaniając to najważniejsze według Mahbubaniego wydarzenie ekonomiczne i geopolityczne ostatnich dekad.

Ale są i głębsze przyczyny. Przede wszystkim nikłe zainteresowanie resztą świata i przekonanie o własnej wartości. Zachodnie elity mówią o wszystkim z wielkim przekonaniem, tymczasem ich rzeczywista wiedza o reszcie świata jest znikoma.

W dodatku, jak pokazuje Mahbubani, istnieją konkretne grupy interesu świadomie podtrzymujące politykę opartą na sile bezwładności. Na przykład amerykański przemysł zbrojeniowy. Niewyobrażalne wręcz kwoty, jakie USA co roku wydaje na wojsko, związane są często nie tyle z konkretnym planem strategicznym, ile ze sprytem lobbystów, którzy umieścili fabryki w kluczowych okręgach wyborczych. A skoro już kupiło się te wszystkie myśliwce, drony, rakiety i lotniskowce, to głupio nie zrobić z nich użytku. Wiele miejsc na świecie mogłoby dziś wyglądać zupełnie inaczej, gdyby Amerykanie inwestowali w dyplomację zamiast wojska. Jak mówi przywoływane przez Mahbubaniego przysłowie: „Dla kogoś, kto ma tylko młotek, wszystko wydaje się gwoździem”.

Zachód – jak ujmuje to Mahbubani – „leci na autopilocie”. „Kluczowe przesłanie tej książki jest takie – czytamy w „Has the West Lost It?” – że dla Zachodu jest lepsze rozwiązanie, do którego dojść można z pomocą analizy i rady oferowanej w geście przyjaźni przez Resztę Świata”.

Warto zastanowić się chwilę nad pozycją, z jakiej Mahbubani wypowiada te słowa. To głos pełen paradoksów. Nasz, bo pełen podziwu dla filozofii i osiągnięć Zachodu,

ale zarazem wyraźnie obcy. Przemawiający z pozycji pokornej, nawet unizonej, a jednocześnie z wyraźnym poczuciem wyższości, a nawet nutą groźby. Minęły już czasy, gdy Reszta wyczekiwała tylko pomocy Zachodu. Teraz to Zachód będzie potrzebował współpracy i pomocy Reszty. Na początek w tym, by uświadomić sobie realistycznie własną pozycję.

Kluczowa kategoria: interesy

Miarą problemów zachodniej wyobraźni jest nasz stosunek do Chin, który Mahbubani analizuje w swojej nowej książce „Has China Won?” („Czy Chiny zwyciężyły?”). Pokazuje, że Zachód działa wiedziony pragnieniem eksportowania swojej ideologii. Przywołuje badania potwierdzające, że mieszkańcy USA są przekonani, iż żyją w najlepszym kraju na świecie, że inni powinni żyć tak jak oni, że Amerykanie dysponują uniwersalnym systemem wartości, który powinien przyjąć cały świat.

Amerykańscy politycy i opinia publiczna wciąż kierują się starym scenariuszem, na nowo odgrywając sceny z zimnej wojny. Tymczasem Chiny – inaczej niż ZSRR – w ogóle nie są zainteresowane eksportem swojego modelu ideologicznego, twierdzi Mahbubani. Kluczową kategorią pozwalającą zrozumieć współczesną chińską politykę jest *luàn*, co można by przełożyć jako chaos. Przez ponad dwa tysiące lat scalania, rozpadu i okresów wewnętrznego zamętu Chińczycy nauczyli się cenić stabilność rządów znacznie wyżej niż wolność jednostki.

A co z demokracją? Mahbubani także na to zagadnienie każe nam spojrzeć z innej strony. Czy naprawdę chcielibyśmy, żeby Chiny były demokratyczne? Otóż w demokratycznych Chinach, po doświadczeniu stulecia upokorzeń rozpoczętych wojnami opiumowymi, a zakończonego krwawym horrorem japońskiej okupacji, z pewnością zwyciężyłby „smok chińskiego nacjonalizmu”. Demokratyczne Chiny wybrałyby sobie za przywódcę chińskiego Trumpa. Tymczasem, na nasze szczęście, dla Chińskiej Partii Komunistycznej zarządzanie okazuje się znacznie ważniejsze niż polityka.

Ulubiony filozof: Machiavelli

Przy czym Mahbubani od razu przypomina, że jego popularny obraz jest niesprawiedliwą karykaturą. Machiavelli nie był piewcą cynizmu, lecz filozofem dobrego zarządzania państwem. Bo też wiele z tego, co pisze Mahbubani, wywołuje sprzeciw zachodniego czytelnika. Musi niepokoić łatwość, z jaką bagatelizuje naszą gotowość do walki o prawa człowieka. Miałbym przyzwalać na więzienie dysydentów w Chinach? Na horror religijnego fanatyzmu w rodzaju tzw. Państwa Islamskiego? Na zbrodnie dyktatorów?

Mahbubani delikatnie przypomina o tym, że to USA jest niekwestionowanym światowym liderem, jeżeli chodzi o liczbę więźniów. Z ponad dwoma milionami obywateli za kratami ma współczynnik inkarceracji pięciokrotnie wyższy niż Chiny. Na marginesie wspomina też o amerykańsko-europejskiej sieci miejsc tortur, mającej na celu skuteczne pozyskiwanie strategicznych informacji od pojmanych terrorystów. Ale sedno jego argumentacji opiera się nie na wytykaniu zachodniej hipokryzji, lecz na wskazaniu poważniejszego problemu.

Prawdziwą miarą wartości rządu jest dla Mahbubaniego zarządzanie (*governance*), a nie polityka (*politics*). Nie wartości, którymi się kieruje władza, lecz jej skuteczność w poprawie warunków życia obywateli. Dobry rząd poznajemy po wymiernych skutkach, a nie po dobrych chęciach. To właśnie dobre chęci okazują się największym problemem Zachodu.

Interwencję w Iraku trudno usprawiedliwić, ale już zaangażowanie w Syrii rzeczywiście było reakcją na zbrodnie reżimu Baszara al-Asada. Niezależnie od dobrych intencji skutkiem kolejnych zachodnich interwencji na Bliskim Wschodzie nigdy nie była poprawa dobrobytu jego mieszkańców, lecz chaos, śmierć i nędza. A najgorsze jest to, że od początku wiadomo było, że to się tak skończy. Mahbubani przypomina, że i przed Irakiem, i przed Syrią w ONZ rozbrzmiał niemal jednołośny chór uprzedzający USA i jego sojuszników przed takim scenariuszem, jaki się zrealizował. Na Zachodzie uwielbiamy opowieści o tym, jak to ONZ jest nieskuteczne, pełne chaosu lub blokowane przez „złe” państwa takie jak Rosja i Chiny. A co, jeżeli to my – jak sugeruje Mahbubani – jesteśmy tymi złymi, którzy wbrew rozsądnym głosom całej reszty destabilizują świat?

Czy zatem Mahbubani proponuje, by zamknąć oczy na zło? Otóż nie. Cały świat musi współpracować, by poradzić sobie z „jednym z największych egzystencjalnych zagrożeń, z jakimi mierzy się dziś ludzkość”. Czy jest nim terrorizm? Nie wprost. „Tym wyzwaniem są wysiłki podejmowane przez 1,3 miliarda muzułmanów, by unowocześnić się i stworzyć taki sam rodzaj wygodnego i bezpiecznego życia według standardów klasy średniej, jakim cieszy się już większość obywateli amerykańskich i chińskich”. Jeżeli Europa chce uniknąć terroru, fali uchodźców i związanych z tym tragedii – jest tylko jedno rozwiązanie. Zadbać o szybki rozwój ekonomiczny Afryki i Bliskiego Wschodu. A na początek – przestać zrzucać bomby. Bo muzułmanie, pisze Mahbubani doskonale znający Malezję czy Indonezję, świetnie radzą sobie wszędzie tam, gdzie Zachód przestał się wtrącać. Jeżeli chodzi o terrorizm, nasze działania przez ostatnie 200 lat nie były częścią rozwiązania. Były źródłem problemu.

Prawdziwa walka toczy się z biedą, głodem i chorobami. A także ze zmianami klimatu spowodowanymi dwoma stuleciami zachodniej chciwości. Mahbubani przypomina, że efekt cieplarniany wywołują nie gazy emitowane na bieżąco każdego roku, lecz te skumulowane w atmosferze od początku rewolucji przemysłowej. Gdy weźmiemy pod uwagę tę całkowitą emisję i jeszcze przeliczymy ją na głowę mieszkańca, zrozumiemy, jak oburzające jest zrzucanie odpowiedzialności przez bogaty Zachód na Chiny czy Indie.



ZURICH INSURANCE / MATERIAŁY PRASOWE

KISHORE MAHBUBANI:

Chiny i Indie były
zawsze największymi
gospodarkami świata.
Ostatnie 200 lat to zaledwie
krótkotrwałe zakłócenie,
które właśnie dobiega końca.

Miejsce urodzenia jeszcze raz: świat

Mahbubani często porównuje świat do statku wycieczkowego podzielonego na 193 kajuty-państwa. Kajuty mają różne standardy. Możliwe są przeprowadzki i rearanżacje. Każda kajuta ma też dowódcę wyłanianego w wyborach albo dziedziczącego swoją pozycję. Ale czy ktoś troszczy się o kurs całego statku?

Podział na Zachód i Resztę to granica, która istnieje tylko w naszych głowach. Bardziej niż kiedykolwiek w historii jesteśmy dziś mieszkańcami jednej planety. Mahbubani nazywa ten nowy świat „światem konwergencji”. Zamiast zapowiadanego przez zachodnich mądrali „zderzenia cywilizacji” obserwujemy raczej „fuzję cywilizacji”. Zachód odegrał w niej ważną rolę i zamiast pograżać się w pesymizmie, powinien się cieszyć, że cały świat przejął do pewnego stopnia kulturę opartą na filozofii oświeceniowej i aspiracje zachodniej klasy średniej.

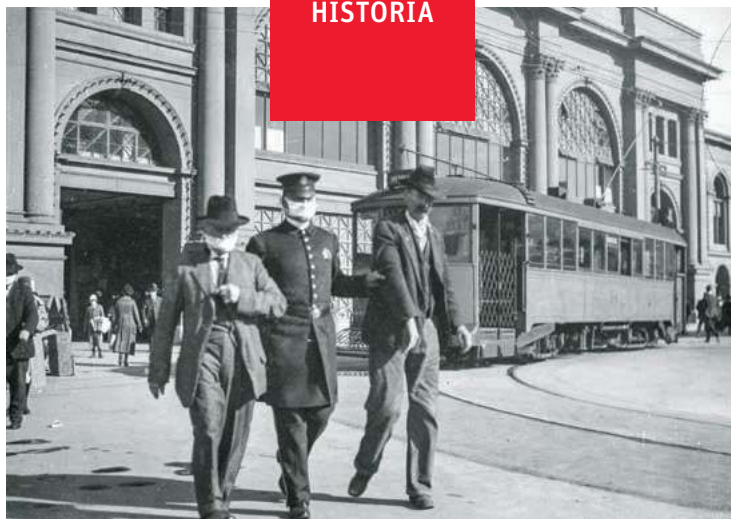
Żyjemy w globalnym świecie. Nie oznacza to – jak dawniej – że zwycięzca będzie panował nad całym światem, lecz że wyzwania, jakie stają przed nami, dotyczą całej planety: „Jeżeli zmiana klimatu stopniowo uczyni planetę niemożliwą do zamieszkania, to i Amerykanie, i Chińczycy staną się wkrótce współpasażerami na tonącym okręcie. Brzmi to banalnie, ale głupotą jest przedstawianie leżaków na pokładzie Titanica. A jednak właśnie do tego sprowadza się dziś spór Chin i USA o geopolityczne różnice, przysłaniający wspólny interes, jakim jest ocalenie planety”. Czy siły rozumu zwyciężą, przenosząc naszą uwagę z polityki na zarządzanie, z emocji na rzeczywiste interesy?

Niesławne prawo nagłówków Betteridge’a mówi, że słabe dziennikarstwo można poznać po tym, że odpowiedź na pytanie zadane w tytule jest zawsze negatywna. Dla kiepskiego dziennikarza znak zapytania jest tylko ucieczką od odpowiedzialności za własne słowa, pretekstem do prowokacji niepopartych argumentami. Dobry analityk rzeczywistości postępuje inaczej. Znak zapytania jest dla niego symbolem rzeczywistej ciekawości, oznacza gotowość do podjęcia wyzwania. Sądzę, że Mahbubani zalicza się do trzeciej grupy – mniejszej i pod wieloma względami jeszcze cenniejszej. To ci, którzy nie tylko poszukują odpowiedzi, ale też starają się głęboko przemyśleć sens pytań – rzucając tym samym wyzwanie nie tylko niewiedzy, ale też i temu, co powszechnie uznaje się za oczywiste.

„Czy Zachód przegrał?”, „Czy Chiny zwyciężyły?”. Mahbubani nie odpowiada na zawarte w tytułach pytania, lecz pokazuje, że są one po prostu złe sformułowane. Myślenie w kategoriach zwycięstwa i porażki jest bez sensu. Musimy czym prędzej zmienić optykę. Na początek warto spojrzeć ze wschodu na zachód.

© MARCIN NAPIÓRKOWSKI

HISTORIA



HAMILTON HENRY DOBBIN / CALIFORNIA STATE LIBRARY

Policjant aresztuje mężczyzn za nieprzestrzeganie przepisów sanitarnych.
Dworzec kolejowy w San Francisco, 1918–1919 r.



NATIONAL ARCHIVES

Fryzjer na wolnym powietrzu. Uniwersytet Kalifornijski, Berkeley, 1919 r.

DRUGA FALA W ZATOCE

Gdy sto lat temu w San Francisco wybuchła epidemia grypy hiszpanki, nie każdemu spodobały się restrykcje. Presja na ich zniesienie była skuteczna – i miała fatalne skutki.

JAKUB MEJER

BYŁ 27 STYCZNIA 1919 ROKU, GDY NIEJAKA PANI Harrington przedstawiła władzom miejskim San Francisco szczególny dokument. „Prosimy o wycofanie tak zwanego Zarządzenia nr 4758, znanego jako »maskowe«. Żarliwie modlimy się, aby ludziom dana była szybka ulga, gdy idzie o ten jakże problematyczny przepis” – głosił tekst rezolucji. Pani Harrington poinformowała również władze miejskie, że dwa dni wcześniej kierowana przez nią Liga Antymaskowa zebrała się w liczbie 4,5 tys. członków na lodowisku Dreamland.

Odnosząc się do petycji, burmistrz James Rolph mówił: „Zaskakuje mnie, że nikt inny się na to nie skarży. Jak dla mnie, mieszkańcy San Francisco cieszą się, że grypa zanika. Wierzę, że maski miały na to jakiś wpływ. Dziś mamy informację o tylko dwunastu nowych przypadkach. Nikomu z powodu masek nie stała się krzywda. Myślicie, że zignoruję opinie 99,5 proc. lekarzy, przedstawicieli armii i marynarki? Ludzie poczułi wielką ulgę z powodu maseczek. Powinniśmy zająć się ważniejszymi sprawami niż niewielkie nieprzyjemności z powodu masek, np. znalezieniem pracy dla chłopców wracających z wojny”.

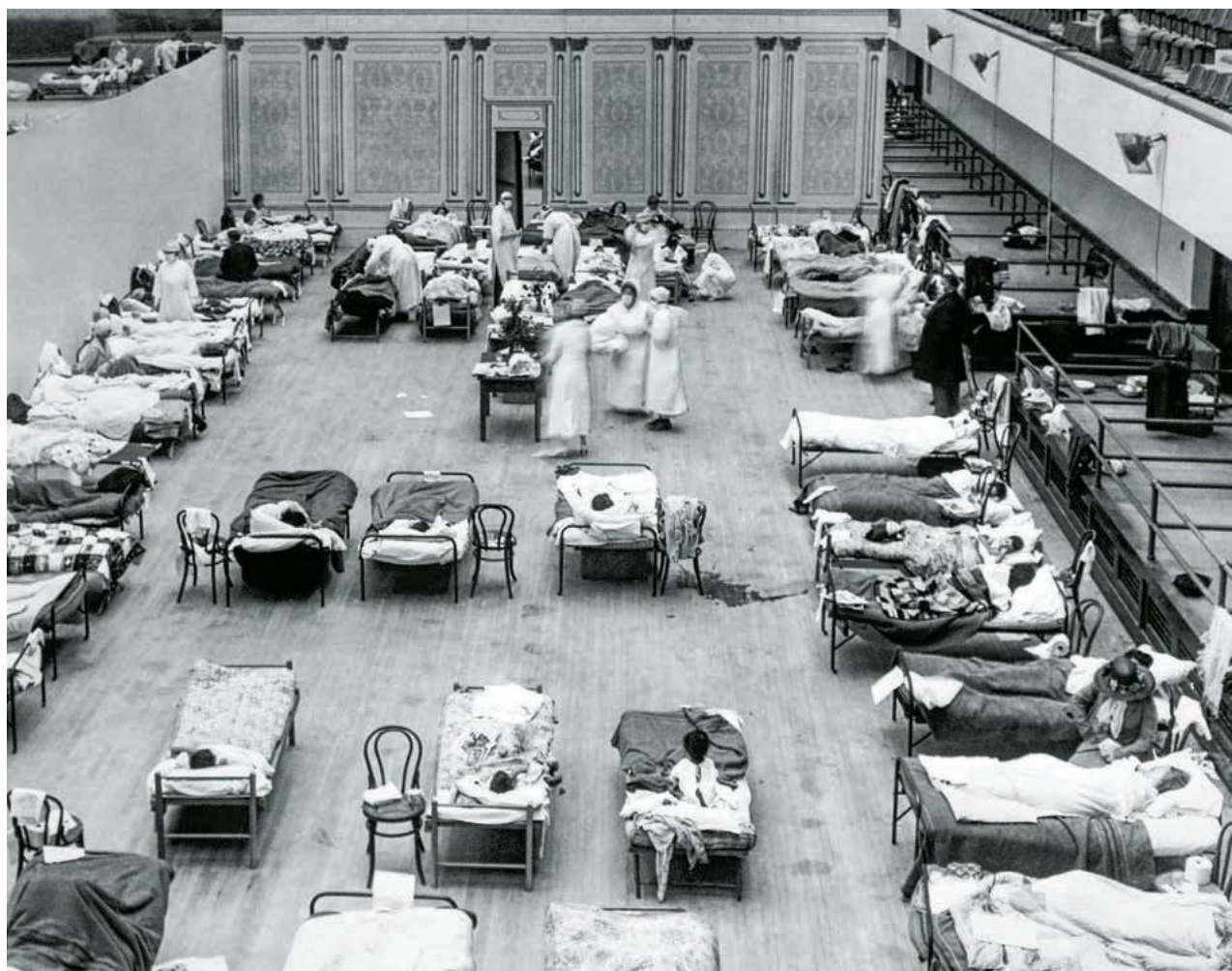
Na paradę i do kościoła

Mijał wtedy już trzeci miesiąc, odkąd mieszkańcy San Francisco musieli (z przerwami) nosić maseczki. Zrobione były najczęściej z gazy. Oglądali w nich mecze baseballu, uczestniczyli w nabożeństwach, szli w parady z okazji zakończenia I wojny światowej oraz głosowali w wyborach.

Epidemia grypy H1N1, dziś popularnie nazywanej hiszpanką, zaczęła się w USA wiosną 1918 r., a do San Francisco – półmilionowego wtedy kalifornijskiego miasta – dotarła na dobre pod koniec września tegoż roku. Początkowo była ignorowana: dalej odbywały się patriotyczne wiece na rzecz wysiłku wojennego, ludzie tłoczyli się w fabrykach, a dziennik „San Francisco Chronicle” twierdził, że „hiszpańska grypa jest mniej niebezpieczna niż niemiecka propaganda”. Jednak gdy w połowie października w mieście odnotowano ponad 2 tys. zachorowań, postanowiono wydać jedne z najsurowszych restrykcji w całych Stanach.

Najpierw władze miejskie poprosiły mieszkańców o dbanie o higienę i unikanie tramwajów (miały one jeździć z otwartymi oknami, jeśli tylko nie padało). Szpitale miały przyjmować pacjentów z innymi schorzeniami tylko w pilnych przypadkach, a pracownicy służby zdrowia, gdy pracowali z zakażonymi, mieli obowiązkowo nosić maseczki (wtedy nie było to standardem).

Następnie zamknięto szkoły, teatry, kina i tancbudy, zakazano publicznych zgromadzeń. Otwarte pozostały kościoły, choć nabożeństwa miały odbywać się na zewnątrz. Maski najpierw zalecano – jednocześnie apelując do kobiet, aby szyły je w domach. Potem zaczęły pojawiać się nakazy – najpierw dla golibrodów, potem dla pracowników hoteli i lokajów, aptekarzy, sprzedawców i pracowników banków.



EDWARD A. „DOC” ROGERS / OAKLAND PUBLIC LIBRARY

Audytoryum ratusza w Oakland nad Zatoką San Francisco, przekształcone w szpital Czerwonego Krzyża w czasie pandemii grypy w 1918 r.

22 października 1918 r. w lokalnej prasie pojawiło się całostronicowe ogłoszenie rady lekarskiej San Francisco: „Noś maskę i uratuj swoje życie. 99-procentowa skuteczność przeciwko grypie!”. Trzy dni później już wszyscy mieszkańcy musieli je nosić w miejscach publicznych – oraz wszędzie tam, gdzie przebywały więcej niż dwie osoby. Wyjątkiem był moment posiłku.

W tym czasie miasto zanotowało najwięcej nowych infekcji w historii tej epidemii: prawie 9 tys. w ciągu jednego tygodnia.

Sukces usypia czujność

Maski dystrybuował m.in. lokalny oddział Czerwonego Krzyża – w cenie 10 centów za sztukę (była to równowartość bochenka chleba). Uliczni sprzedawcy oferowali je za pół dolara (czyli tyle, co za pół kilo boczku). Produkcją była m.in. lokalna firma Levi Strauss and Company, słynąca z szycia dżinsów.

Początkowo noszenie maseczek traktowano jak patriotyczny czyn społeczny,

do których Amerykanie przyzwyczaili się podczas wojny. W pilnym przestrzeganiu nakazu – a według szacunków zastosowało się do niego 80 proc. mieszkańców – pomagała surowość policji: mandaty za brak masek wynosiły nawet sto dolarów, czyli równowartość dwutygodniowej pensji wykwalifikowanego robotnika.

Dzięki restrykcjom liczba nowych zakażeń zaczęła szybko spadać – w przedostatnim tygodniu listopada było ich dokładnie 164, a do San Francisco przyjeżdżali eksperci z Waszyngtonu, aby uczyć się, jak zwalczać epidemię.

Jednocześnie z szeroko komentowanymi sukcesami w walce z wirusem hiszpanki zaczęła jednak spadać motywacja mieszkańców San Francisco, aby stosować się do obostrzeń. Można było usłyszeć znane również dzisiaj argumenty: że maseczki są niewygodne, że parują przez nie okulary, że nakaz ich noszenia łamie wolności obywatelskie.

Policja robiła regularne naloty na hotele, w których odbywały się imprezy bez zachowania obowiązujących zasad.

Ich uczestnicy, lądując w aresztach, tłumaczyli się, że maski zdjęli przed chwilą, żeby zapalić.

Podczas gali boksu dziennikarze przyłapali bez masek ludzi z miejscowej elity: kongresmena, sędziego, admirała, a nawet burmistrza i przewodniczącego rady lekarskiej dr. Williama Hasslera, odpowiadającego za walkę z grypą w mieście. Ten ostatni na miejscu zapłacił pięć dolarów kary, tłumacząc się, że maseczka spadła mu w trakcie palenia cygara. Natomiast do burmistrza kilka dni później pofatygował się osobiście szef miejskiej policji – ze zdjęciem zrobionym podczas gali oraz z mandatem. Burmistrz musiał zapłacić 50 dolarów grzywny.

Jaki to ma sens?

W samo południe 21 listopada 1918 r. zażyły syreny, dzwony i gwizdki, a mieszkańcy San Francisco uroczyście zdjęli maski.

Sukcesem w walce z epidemią cieszyli się jednak krótko. Choć pod koniec miesiąca zanotowano tylko 57 nowych

→ przypadków grypy w ciągu siedmiu dni, szybko doszło do drugiej fali zachorowań. Wiązano to głównie z powrotem weteranów wojennych z Europy. Już 7 grudnia władze miasta wydali zalecenie (ale nie nakaz) ponownego założenia maseczek. Tym razem obywatele byli znacznie mniej posłuszni, a atmosfera była daleka od tej sprzed kilku tygodni – gdy domino wało poczucie, że spełnia się patriotyczny obowiązek.

Koalicja przeciwko maseczkom była bardzo eklektyczna: dominowali przedstawiciele Stowarzyszenia Chrześcijańskiej Nauki (wyznania odrzucającego współczesną medycynę na rzecz leczenia modlitwą, wówczas jednego z najmodniejszych w Stanach) i libertarianie (którzy uznawali to za pogwałcenie ich wolności). Reprezentowani byli przedsiębiorcy, obawiający się niższych przychodów przed świętami Bożego Narodzenia. Przychylna była też prasa; dziennik „San Francisco Chronicle” pytał 20 grudnia: „Jaki to ma sens?”. I przytaczał historię rodziny, która zachorowała mimo zaszczepienia się na grype i noszenia masek.

Na debacie nad wprowadzeniem ponownego obowiązku noszenia masek, 16 grudnia, zjawily się setki mieszkańców. Dyskusja trwała cztery i pół godziny, a trzy dni później władze miejskie ostatecznie odrzuciły projekt. „Dolar był ważniejszy od zdrowia” – spuentował wynik głosowania doktor Hassler.

Jednak wśród krytyków noszenia masek byli też lekarze – rada lekarska stanu Kalifornia stwierdziła 18 grudnia, że sytuacja nie jest na tyle poważna, żeby je nosić. Tego samego dnia przed jednym z budynków w San Francisco znaleziono paczkę zaadresowaną do Hasslera. W środku był czarny proch, śrut, potłuczone szkło i detonator, który na szczęście nie zadziałał.

Druga fala

Temat obowiązkowych masek wrócił w styczniu 1919 r.: nakazano je nosić nauczycielom i uczniom w publicznych szkołach.

10 stycznia ponownie na ten temat debatowały władze miejskie. Spotkanie zaczęło się od wysłuchania mieszkańców i ich pomysłów na walkę z wirusem. Padły argumenty, że od masek skuteczniejsza jest pozytywna myślenie albo rosyjska kuchnia. Hassler informował, że no-



RAYMOND COYNE / MILL VALLEY PUBLIC LIBRARY

Mieszkańcy Mill Valley. Kalifornia, listopad 1918 r.



HAMILTON HENRY DOBBIN / CALIFORNIA STATE LIBRARY

Personel szpitala z chorymi dziećmi. San Francisco, 1918 r.

wych przypadków jest już prawie 3 tys. tygodniowo, a przedstawiciel marynarki wojennej przekonywał o skuteczności masek. Jeden z członków rady twierdził wprawdzie, że zdecydowana większość mieszkańców jest przeciwna ponownemu obowiązkowi ich noszenia, jednak nie przekonało to innych – rada ponownie nakazała zasłanianie twarzy.

To właśnie było bezpośrednią przyczyną powstania pod koniec stycznia Ligi Antymaskowej. Jej aktywiści szybko podzielili się na frakcje – na spotkaniach wybuchały kłótnie między umiarkowanymi, którzy chcieli zbierać podpisy pod petycją o zniesienie nakazu, a radykalami, którzy chcieli odwołania Hasslera. Dziś historycy uważają, że koniec końców skuteczność Ligi okazała się nie-

wielka – powstała za późno (dopiero pod koniec drugiej fali), aby jej aktywność wpłynęła na politykę kryzysową władz wobec epidemii.

Ostatecznie 1 lutego burmistrz zdecydował się na ponowne zniesienie nakazu, uznając, że druga fala jest zakończona.

Jej bilans był fatalny. Znosząc w listopadzie restrykcje, doktor Hassler twierdził, że maski zapobiegły 20 tysiącom zakażeń i 1500 zgonom. Teraz okazało się, że była to prognoza prorocza: druga fala przyniosła niemal tyle ofiar: 16 tys. zakażeń i 1453 zgony (małą pociechą mógł być fakt, że liczba zachorowań była dwukrotnie niższa niż podczas pierwszej fali). Szczyt drugiej fali przypadł na trzeci tydzień stycznia, gdy w mieście zmarło 310 osób i było 3,5 tys. nowych zachorowań.

Choć hiszpankę w San Francisco kojarzy się głównie z konfliktem wokół masek, historycy uważają dziś, że większe znaczenie dla ponownego wybuchu epidemii miało zniesienie innych obostrzeń – pod koniec listopada mieszkańcy wrócili też do szkół i miejsc rozrywki. Pełne były teatry – gdzie występował także kolega burmistrza i jedna z pierwszych gwiazd Hollywood „Fatty” Arbuckle (który pomógł się wybić Charliemu Chaplinowi i Busterowi Keatonowi) – a także trybuny na wyścigach konnych; regularnie odbywały się walki bokserskie. Wraz z nawrotem epidemii władze miejskie ograniczyły się do ponownego nakazu noszenia masek – nie zdecydowały się na ponowne zamknięcie miejsc, gdzie tłoczą się ludzie.

Historyk z Harvardu Alfred W. Knopf w swojej książce „America's Forgotten Pandemic: The Influenza of 1918” („Zapomniana amerykańska epidemia: grypa roku 1918”) napisał o przebiegu epidemii w San Francisco, że była to „antyteza jedności, makabryczna komedia”.

Wielec niż na wojnie

Departament Zdrowia USA podaje, że w całych Stanach epidemia hiszpanki zabiła 675 tys. osób (0,65 proc. populacji) – czyli prawie sześć razy tyle Amerykanów, ilu zginęło podczas I wojny światowej (armia amerykańska straciła na jej frontach 114 tys. żołnierzy).

W półmilionowym San Francisco odnotowano wtedy oficjalnie 45 tys. chorych i ponad 3 tys. zgonów. Zaraz po wygaśnięciu epidemii miejscowe media twierdziły, że były to najgorsze wskaźniki wśród wszystkich dużych miast w Stanach. Dziś wiemy, że nie było aż tak źle: w San Francisco z powodu grypy odnotowano 673 „nadliczbowe” zgony na 100 tys. mieszkańców, czyli gorzej niż w Los Angeles (494) lub Nowym Jorku (452), ale mniej niż w Pittsburghu (807), Filadelfii (748) i Bostonie (710).

Jednak doktor Hassler z pewnością nie miał być z czego dumny, chociaż początkowo wszystko wskazywało, że jego miasto będzie wzorem dla innych.

© JAKUB MEJER

Korzystałem z książki Alfreda W. Knopfa „America's Forgotten Pandemic: The Influenza of 1918”, z Archiwum Grypy (opracowanego przez Uniwersytet w Chicago) oraz z ówczesnych artykułów prasowych i dokumentów urzędowych.

Księga jak członek rodziny

KAROL FRYTA Z ERYWANIA

Ormianie ze szczególną czułością traktują słowo. Rękopisy chronią w miejscu, które może wytrzymać atak jądrowy.

ARMENIA KILKAKROTNIENIE ZNIKAŁA z mapy i się odradzała. Władano nią Cesarstwo Rzymskie, Bizancjum, Persja, Arabowie, Imperium Osmańskie, Rosja. Setki lat niewoli nie złamały jej ducha, bo Ormianie jak ostatniej deski ratunku uchwycili się swojej tożsamości. Historyczne dziedzictwo zaś spisywali pod postacią pergaminowych rękopisów, a po wynalazku Gutenberga – drukowali. Ponad 1500 lat tradycji piśmienniczej zaowocowało kultem, jakim otoczyli książkę.

Ze strachu przed utratą swojej spuścizny wykuli w skale literacką świątynię: Matenadaran, który pełni funkcję Muzeum Starych Rękopisów i instytutu badawczego.

Miejsce święte

Budynek znajduje się w sąsiedztwie słynnych kaskad erywańskich i pod czujnym okiem Matki Armenii – pomnika wysokiego na kilkadziesiąt metrów. Bez względu na porę roku jest tłumnie odwiedzany. Już samo wejście do budynku jest monumentalne: to głęboko osadzone, masywne drzwi. Brama do świętego miejsca nie może być licha.

Ormianie są dumni z Matenadaranu. Zapraszają tu wszystkie głowy państw, które postawią nogę w ich kraju. W magazynach mogących wytrzymać atak jądrowy przechowują ponad 11 tys. rękopisów z różnych dziedzin: matematyki, literatury, filozofii, historii, geografii, astronomii, medycyny, prawa. To największy zbiór ormiańskich rękopisów na świecie (drugi pod względem wielkości jest w Jerozolimie – tam zgromadzono 4500 rękopisów). Dla oczu zwiedzających udogodnionych jest tu zaledwie kilkakrotnie egzemplarzy.

W Matenadaranie naukowcy opracowują zbiory, tłumaczą je na współcze-

sny ormiański i języki obce. Chcą, by z ich dziedzictwem zapoznał się świat. Zbiór stale rośnie, bo prywatni darczyńcy, w tym liczna diaspora, chętnie przekazują darowizny (po świecie rozsianych jest 8 mln Ormian, podczas gdy Armenia liczy tylko 3 mln obywateli). Sponsorzy są honorowani, ich imiona widnieją przy opisach zabytków.

– Przechowujemy tu nie tylko zabytki kultury ormiańskiej, ale także dzieła o znaczeniu światowym. Wśród nich takie, które nie zachowały się w oryginale – mówi dr Piruz Mnacanian, specjalistka ds. piśmiennictwa Ormian w dawnej Polsce, pracująca w erywańskim instytucie. – Przykładem „Kronika” Euzebiusza z Cezarei, chrześcijańskiego historyka i teologa, żyjącego na przełomie wieków III i IV. Opisuje ona dzieje chaldejskie, hebrajskie, egipskie i rzymskie do roku 325. Jej współczesne tłumaczenia są możliwe dzięki temu, że przetrwał jedyny całościowy przekład ormiański – wyjaśnia badaczka.

W zbiorach Matenadaranu zachował się np. traktat twórcy stoicyzmu Zenona z Kition „O przyrodzie” czy odpisy dzieł ze słynnej Biblioteki Aleksandryjskiej (uchodząca za największą bibliotekę starożytności, została zniszczona przez Rzymian).

Z punktu widzenia samych Ormian najcenniejszy jest ewangelista Matki Katolikosa z VII w. Natomiast najstarszym zabytkiem ormiańskiego piśmiennictwa jest pochodzący z V w. palimpsest (rękopis na używanym wcześniej materiale, z którego usunięto poprzedni tekst). Odnaleziono go w okładce X-wiecznego Ewangelia z Sanasarian.

Przechadzam się między salami, jest ich kilkanaście. Wewnątrz drewniane

→ i brązowe regały, w których wyłożono najciekawsze zabytki piśmiennicze. Obok jednej z gablot spotykam wycieczkę szkolną. Przyglądają się XVII-wiecznemu ewangeliarzowi, подарowanemu przez byłego prezydenta Armenii Serża Sarkisjana. Żadne z dzieci nie rozmawia, wszyscy stoją zaszłuchani.

Alfabet jak narzędzie

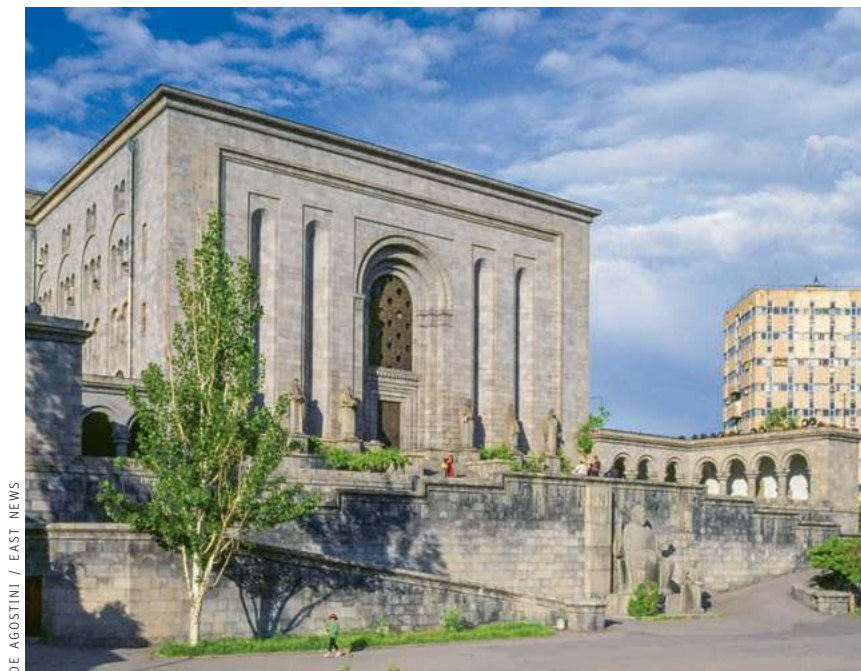
Rozwój ormiańskiej literatury nie byłby możliwy bez mnicha Mesropa Masztoca, który stworzył ormiański alfabet i zapoczątkował falę tłumaczeń literatury światowej.

Urodził się w roku 361 lub 362 i odebrał staranne wykształcenie, znał grecki i perski. Na dworze króla Armenii pełnił funkcję pisarza i sekretarza. Z czasem zaczął rozważać życie monastyczne. Koriun, jego przyszły uczeń i pierwszy ormiański dziejopis, notuje w „Żywocie Mesropa”: „Poddał się wszelkim rodzajom dyscypliny duchowej – samotności, zamieszkaniu w górach, głodowi, pragnieniu. Karmił się ziołami, ubrany w wór żył w ciemnych celach, podłoga służyła mu jako łóżko”.

W 406 r. Masztoc zaprojektował 36 fi-nezyjnych liter ormiańskiego alfabetu. Pi-sze o tym inna znana postać tamtej epoki, uczeń Masztoca – Mojżesz z Chorenu, uznany za ojca ormiańskiej historiografii. Kronikarz wspomina, że impulsem do wymyślenia alfabetu była trudność w głoszeniu chrześcijańskiej nauki – Armenia od 301 r. była pierwszym krajem świata, w którym chrześcijaństwo stało się religią państwową – gdyż nauki dla ludu były odczytywane z języka greckiego lub syryjskiego i przekładane ustnie na ormiański. Jeśli nie było tłumacza, wierni nic nie rozumieli. Praca Masztoca przetrwała do dziś w postaci niemal niezmienionej (w XII w. Ormianie dołożyli tylko do alfabetu literę „p”, a potem dwie kolejne).

Masztoc był świadom, że alfabet to pierwszy krok, narzędzie, a jego sens ujawni się, gdy powstanie literatura w nim pisana. Na przeciwieństwo swego odkrycia wziął Biblię. Zaczął od Księgi Przysłów, zawierającej krótkie zdania. Pierwsze zapisane zdanie w ormiańskim alfabecie brzmiało: „By mądrość osiągnąć i karność, pojąć słowa rozumne” (Prz 1, 2).

Prekursor ormiańskiej literatury zaczął wysyłać swoich uczniów na studia do Syrii i Grecji, by na miejscu tłumaczyli ważne teksty i z gotowymi przekładami



DE AGOSTINI / EAST NEWS

Muzeum Matenadaran w Erywanii. Armenia, 2017 r.



MATENADARAN / MAT. PRASOWE

Miniatura Torosa Roslina

wracali do ojczyzny. Wysłannicy zabrali się tak żarliwie do pracy, że przekładali niemal wszystko. Translatorska gorączka między wiekiem V a XVIII doczekała się terminu „ruch tłumaczy”. Przy wielu klasztorach powstały specjalistyczne skrytoria, w których mnisi kopiowali i iluminowali rękopisy, produkując też pergamin i farby naturalne.

Ryszard Kapuściński w „Imperium” pisał: „Już w VI wieku [Ormianie] przetłumaczyli na ormiański całego Arystotelesa. Do X wieku przetłumaczyli większość filozofów greckich i rzymskich, setki tytułów literatury antycznej. (...) Kiedy Arabowie podbili Armenię, przetłumaczyli całych Arabów. Kiedy najechali na Armenię Persowie, przetłumaczyli Persów! Byli w sporach z Bizancjum, ale co się tam ukazało na rynku, też brali i tłumaczyli”.

– Myślę, że ten pęd do tłumaczenia wynikał z naszej natury, bo lubimy wiedzieć więcej – mówi Piruz Mnacakanian.

W głównej sali znajduje się eksponat szczególnie. To kamienna tablica, fragment kościoła. Napis głosi, że budownicz dedykuje swoje dzieło najbliższemu, a jeśli ktoś zniszczy tę inskrypcję, to nie zazna litości Boga. Ktoś, kto zniszczył świątynię, wystraszył się kary wyrytej w kamieniu ormiańskim alfabetem.

Wykupić księgę z niewoli

Od początku rękopis traktowany był z nabożeństwem. Przykładem XIII-wieczny homiliarz z Muszu. To największa ormiańska księga z pergaminu: waży ok. 30 kilogramów, a do jej wykonania zużyto ponad 600 cielęcych skór.

Jej nazwa bierze się stąd, że na początku XIII w. mnisi z klasztoru w Muszu dowiedzieli się, iż turecki urzędnik wystawia na sprzedaż cenny ormiański rękopis; był to właśnie ów ewangeliarz. Podanie głosi, że mnisi jeździli po wsiach, zbierając pieniądze na jego wykupienie. Udało się – i do 1915 r. księga była przechowywana w klasztorze Musz. Uciekając z tureckiej rzezi, Ormianie uratowali także tę księgę.

Zdarzało się, że również inne rękopisy znajdowały się w „niewoli” – bo tak traktowano księgi, które trafiły do rąk niechrześcijańskich, np. żydowskich czy muzułmańskich. Wtedy Ormianie robili wszystko, by je „uwolnić”, także płacąc okup. Część rękopisów w Matenadara-



ASATUR YESAYANTS / EAST NEWS

W Instytucie Matenadaran. Erywań, Armenia, 2015 r.

nie ma ślady krwi, inne były rozczłonkowane, by łatwiej było je przenosić, jak w przypadku homiliarza z Muszu. Niektóre były tak zniszczone, że ich rekonstrukcja trwała latami. W jednej z gablot Ormianie pokazują egzemplarz takiego manuskryptu przed i po renowacji. Az trudno uwierzyć, że go odratowali. „Wyglądają [rękopisy] jak żołnierze po ciężkich bojach” – pisał o nich Wojciech Górecki, reporter i znawca Kaukazu, nawiązując do ormiańskiej historii.

Wśród tych zabytków piśmienniczych są cuda. Najmniejszy, z 1434 r., ma rozmiar trzy na cztery centymetry i waży niecałe 20 gramów. To Rubrycel, kalendarz świąt religijnych, skopioną na Krymie i przeznaczoną dla wędrownego ormiańskiego kupca. Rozrzut między najmniejszym a największym ormiańskim zabytkiem piśmienniczym jest frapujący – w muzeum ktoś wpadł na pomysł, aby zestawić oba w jednej gablocie.

Najpiękniejsze rękopisy pochodzą z czasów Ormiańskiego Królestwa Cylicji. W tamtejszych klasztorach powstały strony pokryte złotem, a oprawy ksiąg skrzyły się szlachetnymi kamieniami. Księgi wypełniały też piękne obrazy, miniatury. Najslawniejszym przedstawicielem cylicyjskiej szkoły iluminowania rękopisów był Toros Roslin, który doprowadził swój fach do perfekcji.

Miniatury ormiańskie są nie tylko ilustratorskimi dziełami sztuki – niekiedy na kilkumilimetrowej powierzchni twa-

rzy specjaliści potrafili oddać emocje – ale też skarbnicą wiedzy o czasach, w których powstały. Na jednej z takich miniatur, z roku 1166, widać przyrząd przypominający długopis z kołem – to prawdopodobnie pierwsze wieczne pióro. Z kolei miniatury na śpiewniku z XIII-XIV w. pozwalają odtworzyć instrumenty muzyczne.

W głównej sali możemy obejrzeć prawdziwe dzieło sztuki (o ile takie stopniowanie ma tu sens). To precyzyjnie tłoczona i bogato ozdobiona srebrna okładka X-wiecznego ewangeliarza.

Niezmienne cenne są tzw. kolofony – ręczne adnotacje nanoszone przez twórcę rękopisu. Czasem można z nich wyczytać bogatą informację na temat procesu powstawania księgi, warunków, w których pracował kopista, współczesnych mu wydarzeń. Także z takich „puzzli” badacze próbują odtworzyć historię Armenii.

Pod koniec wizyty w Matenadaranie wracam jeszcze do gabloty z ciekawostkami: XIV-wieczną księgą medyczną, XII-wieczną księgą natury ludzkiej czy XVI-wiecznym podręcznikiem do nauki wytapiania złota. Rzeczywiście, Ormianie tłumaczyli wszystko.

Prezent na urodziny

Zdawałoby się, że wynalezienie druku w połowie XV stulecia zrewolucjonizuje piśmiennictwo Ormian. Jednak w ciągu

tysiąclecia najwyraźniej tak przywiązali się do rękopisu, że do nowego wynalazku przekonywali się powoli. Pierwsza drukowana książka w języku ormiańskim ukazała się w 1512 r. w Wenecji. Ponad sto lat później, w 1616 r., w ormiańskiej drukarni we Lwowie (gdzie mieszkała liczna ich społeczność) wyszła dopiero czwarta ormiańska książka.

Do XII w. literacka spuścizna Ormian zapisywana była w języku starormiańskim; to język elegancki, literacki. Jednak rzeczywistość jest plastyczna, a język mówiony nie tak sztywny, jak ten klasyczny – stąd w XII w. na terenie Ormiańskiego Królestwa Cylicji kształtuje się język świecki (aszcharabar). Od połowy XVI w., po kolejnym rozbiórce ziem Armenii między dwa mocarstwa – Persję Safawidów i osmańską Turcję – aszcharabar ewoluje. Pod panowaniem Osmanów rozwinął się język zachodnioormiański (mówi nim głównie diaspora), natomiast pod panowaniem Persów – wschodnioormiański (mówi się nim dziś w Armenii).

Minęło ponad 1600 lat od czasu, gdy Masztoc stworzył ormiański alfabet. W Armenii, jak wszędzie, tradycyjną książkę wypierają e-book i internet. Choć dla wielu Ormian wciąż pozostaje ona rzeczą ważną, podstawą ich tożsamości. Stąd też popularność Matenadaranu.

– Zawsze mieliśmy do słowa pisanego szczególne podejście, książkę traktowaliśmy jak człowieka. W naszej kulturze można znaleźć wzmianki, że gdy para nie mogła mieć dzieci, to zamawiała rękopis, najczęściej ewangeliarz lub Piśmo Świete, „adoptując” je. To było jej duchowe dziecko – mówi Piruz Mnacakanian.

– W czasach Związku Sowieckiego w dobrym tonie było kupowanie ważnych nowości z księgarni, dzieł znanego historyka czy literatury zachodniej, bo była to oznaka prestiżu – wspomina Mnacakanian. – W roku moich urodzin na rynku ukazało się jedenaście tomów prac ormiańskiego historyka Raffiego, więc przyjaciółka naszej rodziny postanowiła przekazać mi w prezencie to dzieło, choć nie miałam nawet miesiąca. Książki zachowałam do dziś. Czasem żartuję, że zostałam historykiem, bo pierwsze, co otrzymałam, to właśnie dzieła historyka.

© KAROL FRYTA

NAJLEPSZY ZE ŚWIATÓW

Trzęsienie ziemi połączone z tsunami
i pożarami w Lizbonie w 1755 r.
było katastrofą, która zmieniła obraz Boga,
świata i metafizycznego porządku.

MAREK BIEŃCZYK

WALKĄ Z PANDEMIĄ TO TAKŻE WALKĄ O LICZBĘ STRON w podręcznikach historii za sto lat. Im bardziej się uda, tym mniej będzie się pisało o COVID-19 w wieku XXII. Ale już teraz dobrze widzimy, że idziemy nie na kilkadziesiąt zdań, lecz na dwa-trzy rozdziały co najmniej.

Rozerwać czas ludzki

To, co wiemy o trzęsieniu ziemi w Lizbonie w roku 1755, wiemy już o pandemii z roku 2020. Tamten kataklizm – najistotniejsza światowa katastrofa naturalna do chwili pojawienia się obecnego wirusa – obrósł tyloma tekstami we wszystkich możliwych gatunkach, że uznając ogrom katastrofy dzisiejszej, łatwo możemy przewidzieć na sto lat do przodu podobną, jej poświęconą, literaturę.

Wybuch wulkanu Tambora w Indonezji w 1815 r., epidemia hiszpanki po I wojnie światowej, tsunami w 2004 r. w Indonezji, trzęsienie ziemi na Haiti w 2010 r. zabiły o wiele więcej ludzi; Czarnobyl i zniszczenie centrali w Fukushima wywołały groźniejsze skutki, ale też nie z powodu liczby ofiar i zakresu zniszczeń trzęsienie ziemi w Lizbonie przedarło się na pierwszą linię dziejów. Warto je przypomnieć, gdyż jego znaczenie wykroczyło daleko poza materialny, wówczas niewyobrażalny wymiar kataklizmu.

Wielkość zdarzenia lizbońskiego mierzy się przede wszystkim skutkami w refleksji filozoficznej, teologicznej,

społeczno-politycznej, tłumnie stawianymi pytaniami o los ludzkości, miejsce w nim zła, istnienie Boga, słowem o redefinicję – której konieczność odczuwamy tak mocno w czasie pandemii – istnienia na ziemi. Pół wieku później pani de Staël będzie mówiła o „moralnym trzęsieniu ziemi”, inni o tym, że gdy w wyniku katastrofy otworzyła się ziemia, zapadła się dotychczasowa wizja świata.

Chodzi o zdarzenie nie tyle powodujące ogromne zniszczenia, co wymykające się spod kontroli danej zbiorowości. Społeczne i kulturowe, gdyż stanowi ono radykalne zagrożenie dla porządku rządzącego życiem zbiorowym. Jak to określał Krzysztof Pomian, „katastrofa jest negatywną zmianą, która kładzie kres ciągłości lub grozi położeniem jej kresu. Katastrofa rozrywa czas ludzki, otwiera przepaść między przeszłością a przyszłością”, przynosi poczucie, że „świat wypadł z kolein”. Wyznacza granicę, po której przekroczeniu społeczeństwo nie mogłoby już odtwarzać istniejącego wcześniej porządku zbiorowego, mówić o sobie według tych samych co niegdyś wzorów.

Rozbicie się w Mirosławcu wojskowej casy czy 11a-62 w Lesie Kabackim byłyby w tym rozumieniu tragicznym wypadkiem lotniczym, lecz nie katastrofą. Natomiast katastrofą byłby wypadek lotniczy w Smoleńsku w kwietniu 2010 r.: jego następstwa przeorały polskie życie polityczne, społeczne, kulturowe, wszelkie. Siła rażenia tej katastrofy sięga dnia dzi-





NACHO DOCE / REUTERS / FORUM

Graffiti portugalskiego artysty Odeitha upamiętniające trzęsienie ziemi w 1755 r. Dzielnica Damaia na przedmieściach Lizbony, lipiec 2009 r.

siejszego i jest tak wielka, że to narzędziami, która ona wytworzyła, traktuje się nową katastrofę, jaką jest pandemia.

I wreszcie charakterystyka ostatnia: katastrofa jest łącząca, to znaczy jest wydarzeniem tak wysoce krytycznym, że prowadzącym do tworzenia się nowych zbiorowych tożsamości i wysnucia projektów nowej rzeczywistości.

Nie komety i nie gwiazdy

„Trzęsienie ziemi w Lizbonie wystarczyło, aby uleczyć Woltera z Leibnizowskiej teodycei, a ta łatwa do ogarnięcia katastrofa pierwszej natury była niczym w porównaniu z drugą, społeczną, której ludzka wyobraźnia nie ogarnia, ze zgotowanym z ludzkiego zła realnym piekłem. Zdolność do metafizyki została sparaliżowana, ponieważ to, co się stało, rozbiło podstawę ewentualnego pogodzenia spekulatywnej myśli metafizycznej z doświadczeniem” (przeł. Krystyna Krzemieniowa). To cytat z podrozdziału „Po Oświećmiu” w „Dialektyce negatywnej” Theodora Adorna.

W jednym miejscu Adorno przywołuje oba fakty – lizbońskie trzęsienie ziemi i Zagładę – by mówić o skutkach katastrofy. Oczywiście Adorno nie porównuje niczego, lecz tylko wskazuje na metafizyczną zapaść, która staje się skutkiem wydarzenia radykalnego: była nim Lizbona, a co dopiero mówić o jeszcze bardziej dewastującym dla filozofii Oświećmiu.

Tamtej niedzieli 1 listopada 1755 r. zadrżała cała Europa Zachodnia i północna Afryka. Pod koniec listopada wiadzano już więcej dzięki kurierom i listom pisany przez świadków („z miejsca, w którym była kiedyś Lizbona”); wielkie poruszenie wywoływała informacja, że kataklizm zdarzył się, gdy kościoły wypełnione były z okazji święta. Była 9.50 rano; epicentrum znajdowało się 200 km od brzegu; siła trzęsienia wynieść mogła blisko 9 stopni w skali Richtera.

Jeden ze świadków pisał: „Ziemia, która otworzyła się pod fundamentami domostw, wyrzucała z siebie smoliste i śmierdzące siarką materię, które zapalając się stopniowo w szczelinach i otworach wydzielaly miazmaty, od których drżały serca najdzielniejszych wśród nas”.

Fala interpretacji ruszyła natychmiast po zdarzeniu; wszędzie padały komentarze o gniewie bożym i karze, która spadła na ludność lizbońską za jej grzechy. Tylko jeden cytat z głośnego dzieła jezuita Gabriela Malagridy pięknie zatytułowanego „Podanie prawdziwej przyczyny trzęsienia ziemi w Lizbonie 1 listopada 1755 roku”: „Wiedz, Lizbono, że destruktorami tyłu domów i pałaców, tyłu kościołów i klasztorów, śmierci tyłu ludzi i pożarów, który pochłonęły tyle skarbów (...) nie są komety, nie są gwiazdy, nie są wyziewy i miazmaty, nie są zdarzenia naturalne, lecz tylko i wyłącznie nasze grzechy”.

→ Jezuita zginie na stosie z polecenia Inkwizycji podczas ostatniego *auto da fé* lisbońskiego w 1761 r. Też Inkwizycją, którą z kolei w dziele z roku 1756 (pięć wydań w 10 miesięcy), „Poważne myśli wywołane trzęsieniem ziemi w Lizbonie”, przewielebny John Wesley, założyciel ruchu metodystów, oskarży o wywołanie gniewu Boga swoimi niecnymi postępkami.

W samej Lizbonie po dwóch tygodniach zorganizowano pierwszą wielką procesję, w której uczestniczyła rodzina królewska, duchowieństwo i lud lisboński, „aby błagać ze skrucą wybaczenia za nasze grzechy i prosić Boga, by w swym nieskończonym miłosierdziu zaniechał karności miasta i królestwa”. Ogląd kataklizmu jako efektu boskiej interwencji był tak silny, że Immanuel Kant w naukowym przeciwieństwie na jego temat czuł się zobligowany przypomnieć, że błędem byłoby uznawać za boską karę takie wydarzenia jak lisbońskie i że interpretowanie wyroków boskich na własną rękę równałoby się skrajnej impertynencji.

Motyw grzechu i kary łączy się z katastrofami trwale; tam gdzie one, tam i on. W postaci religijnej przede wszystkim (ale też – jak pokazuje obecna pandemia – świeckiej, kiedy interpretuje się COVID-19 jako karę natury za antropocen i globalizację). W końcu Posejdon karał swych wrogów trzęsieniami ziemi; a np. w 382 r. biskup Brescii na liście 152 herezji umieścił błędne rozumienie przyczyn kataklizmów: „Herezją jest wiara, że trzęsienie ziemi wynika nie z woli i oburzenia Boga, lecz z samej natury żywiołów”.

Pamiętam też, jak krótko po zamachu na World Trade Center ujrzałam na Krakowskim Przedmieściu orszak prowadzony przez Antoniego Macierewicza; śpiewano pieśni religijne i niesiono tablicę z napisem „Oto kara za świat bez Boga”; miałem przez chwilę wrażenie, że na mych oczach defiluje dwa tysiące lat.

Po katastrofie pytania o miejsce Boga w świecie katastrofy stały się kwestią aktualną, gorącą, a nie tylko karmą dla filozofów. Johann Wolfgang Goethe wspomina, jak wielkie wrażenie wywarły na nim w dzieciństwie porażające wieści z Lizbony: „Bóg, stwórca i opiekun nieba i ziemi, który jawi mu się (...) jako mądry i łaskawy ojciec, skazuje na zagładę zarówno sprawiedliwych, jak i niesprawiedliwych. Daremnie młody umysł chłopca starał się bronić przed tymi wrażeniami, tym bardziej, że nawet mędrcy i uczeni w Piśmie nie mogli jak należy wyjaśnić zjawiska” (przeł. Aleksander Guttry).

Smutna prawdy

Rozemocjonowany Wolter chwycił natychmiast za pióro, lecz dopiero cztery miesiące później ukończył „Poemat o zagładzie Lizbony”. Fragmenty podpisał wcześniej różnym korespondentom, prosząc o opinie na temat wyrotowości utworu. W tym czasie Kant kończył własne, głównie geologiczne rozważania po lisbońskiej katastrofie, a Jan Jakub Rousseau czekał złośliwie na to, co powie Wolter.

Dla Woltera wiara w interwencję boską miała być oczywistym celem jego ataku: Opatrzność nie ma z katastrofą nic wspólnego. Pytał: „Czy Lizbona bardziej zgrzeszyła niż bezbożny Paryż lub Londyn? Czy śmierć niewinnych dzieci może być wynikiem sprawiedliwej kary?”.

I jeszcze: „Jak można pojąć Boga, to czyste dobro, który dzieciom ukochanym rozdał swoje włości i tyloma krzywdami je potem obdarzył. Jakie spojrzenie przeniknie jego tajemnice i głębokie zamiary / Z Istoty tak doskonałej żadne zło nie powinno się zrodzić (...). A przecież zło istnieje. Ach smutne te prawdy, ach dziwne pomieszanie tylu sprzeczności” (przekład filologiczny).

W poemacie powracają dwie formuły, z którymi Wolter polemizuje i które chcąc nie chcąc rozsławił. Bo też Lizbona uprzytomniła Wolterowi wyraźniej, jak bezradna jest bliska mu wcześniej tzw. filozofia optymizmu. A zwłaszcza filozofujący poeta Alexander Pope, do którego teraz się odnosi, krytykując jego sławne „wszystko co jest, jest dobre”, oraz Leibnizowska teodycea skwitowana frazą „żyjemy na najlepszym ze światów”.

Niedawno papież Franciszek w homilii wielkanocnej użył sformułowania, które w istocie rzeczy powtarza rozpoznanie zasady istnienia Boga i świata, jak formułowali je filozofowie optymizmu: „Siła Boga polega na przeobrażaniu w dobro wszystkiego, co nam się zdarza, nawet rzeczy złych. W nasze burze wnosi pogodę, gdyż przy Bogu życie nigdy nie umiera”. Dla Woltera podobne stwierdzenia w świetle tragedii lisbońskiej są nie do utrzymania; nie do utrzymania jest teodycea Leibniza, godząca istnienie Boga i zła. Głosząca, że dobrem jest życie tym, co jest dane, że cierpienie i zło są wpisane w przedustawną harmonię świata. Jeśli zdarza się cierpienie, to w planie Boga leży, by człowiek tym lepiej mógł odczuć później dobro. Bo też nic się nie zdarza bez przyczyny. Wolter wszystko to odrzuca; nie może przyjąć tezy, że cierpienie jednostkowe może wzmacniać dobro powszechne.

Pytając o to, jaki jest sens cierpienia, Wolter widzi, że nie ma sposobu, by je pogodzić z przekonaniem o wszechmocy i nieskończonym miłosierdziu Boga. O Bogu nie da się powiedzieć nic, tym bardziej nie da się określić celowości ludzkiego losu. Nigdy nie będziemy wiedzieli, pisze, „skąd przychodzimy i dokąd idziemy”.

Na ogół uważa się, że Wolter przedstawia skrajnie tragiczną koncepcję istnienia. Czy jednak posuwa się do najdalszych granic? Zastrzega przecież, że „szanuje Boga” (nie dajcie się nabrać, powie na to Rousseau). „Szanuję Boga, lecz kocham świat”. W słowie „lecz” mieści się ogrom jego wątpliwości. W istocie ma na myśli dwa byty rozłączne. I żaden z nich nie jest zadowalający; Stwórca jest na los ludzki całkowicie obojętny, a człowiek to istota godna współczucia, poddana przypadkowi.

Czy zatem tragizm losu jest rzeczywiście nie do ruszenia? Pod koniec poematu padają słowa, które jedni interpretatorzy będą określali jako dopisek zmniejszający tragiczne rozpoznanie, a inni jako *credo*, które katastrofa lisbońska pozwoliła sformułować:

„Pewnego dnia wszystko będzie dobrze, oto nasza nadzieja;
Wszystko jest dobrem dzisiaj, oto jest złudzenie”.

Zinterpretujmy to na korzyść Woltera: podstawą dla jedynej możliwej postawy filozoficznej jest przekroczenie tego, co osiągnięte; niezłomne wyczekiwanie zmian. Tu i teraz Dobra nigdy nie będzie, jakkolwiek by to ludziom wmawiać, natomiast możliwe jest stałe poprawianie naszej sytuacji. Dobro



GRANGER HISTORY COLLECTION / FORUM

Trzęsienie ziemi w Lizbonie w 1755 roku. Drzeworyt niemiecki z XVIII w., współcześnie pokolorowany

immanentne, oznaka myślenia, rzeklibyśmy dzisiaj, autorytarnego, jest bowiem wrogiem Lepszego, czyli nieskończonego procesu kształtowania przyszłości; jego efekty nigdy nie staną się ustaloną raz na zawsze Prawdą. W ten sposób odrzucając filozofię optymizmu i wiarę w opatrnościową zapobiegliwość i dystansując się zarazem od własnego tragicznego oglądu ludzkiej kondycji Wolter zwiastowałby trzecią drogę.

Opowie o tym dokładnie w powiastce „Kandyd, czyli optymizm” (1759). Ograniczę się do przypomnienia Panglossa, filozofa optymizmu głoszącego, że cokolwiek się zdarza, zdarza się szczęśliwie, i będącego karykaturą Leibniza i Pope’a razem wziętych. Czym jest jego optymizm? „Optymizm to obłęd dowodzenia, że wszystko jest dobrze, kiedy wszystko jest złe”. Po drugiej zaś stronie mamy Marcina, manichejczyka snującego najtragiczniejsze wizje świata: (...) Nie widziałem miasta, które by nie pragnęło zagłady sąsiedniego miasta; rodziny, która by nie chciała wygubić innej”.

Ostatecznie Kandyd, dystansując się od obu skrajnie odmiennych poglądów, wybierze to, co nazywam drogą trzecią, symbolizowaną słynnym zdaniem „trzeba uprawiać własny ogródek”: z daleka od pokus wszelkich dogmatów stawiać twarzą w twarz wobec rzeczywistości i jej codziennych, praktycznych wymagań.

Niedorzeczność tej nauki

Rousseau, który z Wolterem dągał się przez całe życie, ruszył od razu do ataku, pisząc do adwersarza „List o Opatrzności”. Później w „Wyznaniach” wspominał, że szlag go trafił, gdy widział, jak narzeka na świat ktoś, kto opływa w dostatki: „Bi-

jąca w oczy niedorzeczność tej nauki oburzająca jest zwłaszcza u człowieka, który, spoczywając w puchach szczęścia, stara się doprowadzić do rozpacz swych bliźnich za pomocą strasznego i okrutnego obrazu wszystkich klęsk, od których on jest wolny” (przeł. Tadeusz Boy-Żeleński). A poemat Woltera streszczał w ten sposób: „Co mi mówi Pański poemat? Będziesz cierpiał do końca. Jeśli istnieje Bóg, który Cię stworzył, a zatem istota wszechpotężna, to mógł chociaż zapobiec cierpieniom: nie miej jednak nadziei, że się kiedyś one skończą, gdyż trudno sobie wyobrazić, że istniejesz dla czegoś innego niż cierpienie i śmierć”.

Wolter i Rousseau wyznaczyli dwie drogi interpretacji katastrof aktualne do dzisiaj. O ile droga wolteriańska jest pasywna, pesymistyczno-konserwatywna (katastrofy się zdarzają, bo taki jest świat od zarania i nic się nie da zrobić, można co najwyżej walczyć z własną melancholią), o tyle droga Rousseau jest aktywna (człowiek ma swój udział jeśli nie w samych przyczynach, to przynajmniej w skutkach katastrofy) i dzisiaj moglibyśmy ją uznać za „ekologiczną” czy „lewicową”.

U Rousseau wkraczamy bowiem na teren praktyki. Opatrzności Rousseau nie ma nic do zarzucenia. Ale odpowiedzialność ludzka interesuje go bardziej w kategoriach społecznych i politycznych niż metafizycznych. Wołałby się skupić na poczynaniach człowieka, gdyż to on powoduje większość materialnych szkód, więc i zło fizycznego nieszczęścia. W wypadku Lizbony wina ludzka polega na fatalnym projekcie miasta: postawieniu go we wrażliwym miejscu naprzeciw oceanu, niezwykle gęstej zabudowie, ścieśnieniu mieszkańców na małej przestrzeni. I na dodatek lizbończy, wracając



→ do domostw po kosztowności, zwiększyli liczbę ofiar.

Spośród wszystkich wielkich – Wolter, Rousseau, Kant, Goethe – tylko Diderot, już teraz ateista, stawiał rzecz brutalnie prosto: skoro doszło do Lizbony i zginęły tysiące niewinnych dzieci, Boga być nie może; istnienie zła na ziemi to wyklucza. Wszystko jest zapisane na górze w Wielkiej Księdze, powtarza u Diderota Kubuś Fatalista (jego brat zginie w Lizbonie), lecz nie ma przecież żadnej Wielkiej Księgi stworzonej przez Boga czy Los, są tylko książki, które może pisać człowiek.

Anioł Stręściciel

Chciałbym wspomnieć o jednej jeszcze interpretacji, ciekawej tak ze względu na treść, jak jej autora, którego nazwiska nie znajdziemy w żadnych podręcznikach. Kogoś o pięknym imieniu Anioł (Ange). Anioł miał na nazwisko Goudar, w latach 1752-54 przebywał w Lizbonie, w rok po kataklizmie wydał tom zatytułowany „Relacja historyczna o trzęsieniu ziemi”.

Jego opracowanie służyło historykom do szacowania strat. Ange Goudar dokładnie wylicza zniszczone budynki na poszczególnych ulicach i podaje wartość pieniężną szkód. Podaje też wiele danych pomocnych dla liczenia ofiar. Dzisiaj historycy mówią na ogół o 20 tysiącach ofiar na 260 tysięcy mieszkańców; wcześniej miało to być sto tysięcy.

Ale książka Goudara tym się wyróżnia, że odsuwając na bok kwestie teologiczne i metafizyczne, stawia kwestię korzyści płynących z katastrofy.

Wolter pytał w poemacie: „Czy smutni mieszkańcy zniszczonego miasta zostaliby w swych nieszczęściach pocieszeni, gdyby ktoś im powiedział: umierajcie w spokoju; dla szczęścia tego świata zniszczono wam domostwa, inne ręce zbudują spalone pałace, inny ludy narodzą się wśród zwalonych murów?”.

Goudar odpowiada: tak, owszem, można mówić o pocieszeniu; natura wystawiła ludzi na ryzyko i zniszczenie, lecz zarazem dała szansę prawdziwej odnowy, która w innym przypadku by się nie dokonała. Goudar twierdząc, że zło się ostatecznie opłaca, mówi pozornie jak Leibniz, tyle że jest to myślenie nieodwołujące się do planów boskich, lecz oparte na analizie konkretnego codzienności. Kataklizm zatem może okazać się pożyteczny, gdyż „ziemia otwarła się i pochłonęła tych, którzy ją pochłaniali”.

Kogo zatem? Wraz z ludem lizbońskim kataklizm zniszczył angielską obecność w Portugalii. Anglicy w opinii Goudara byli jako beneficjenci bogactw Portugalii jej największym zagrożeniem, przeszkodą w rozwoju kraju. Ich ekonomiczna dominacja hamowała rozwój portugalskiej państwowości. Portugalia była doczepiona do pojazdu polityki angielskiej i nie mogła rozwinąć prawdziwej niezależności. Bo też państwo, nad którym ciąży inne państwo, nigdy nie ma dość siły, by się podnieść. Wniosek Goudara brzmi zatem: „ziemia musi się niekiedy otworzyć i pochłonąć miasta, aby wykazać ślepotę narodów i oświecić je co do ich prawdzi-

Po zamachu
na World Trade Center
ujrzałem na Krakowskim
Przedmieściu orszak
prowadzony przez
Antoniego Macierewicza.

**Na mych oczach
defilowało dwa tysiące lat
w kondukcje.**

wych interesów”. I to jeszcze: „ekscesy natury bywają konieczne, by powstrzymać systemy dążące do panowania nad światem”.

Goudar jest przekonany, że bieg dziejów wyznacza wojna wszystkich z wszystkimi i że „prawo mocniejszego zawsze będzie rządziło światem”. Kataklizm byłby zatem punktem wyjścia do myślenia o strategiach politycznych na przyszłość. Co teoretycy czynią dzisiaj, w czasie pandemii, z zapalem kreśląc możliwe scenariusze politycznego rozgrywania obecnej katastrofy, tworząc różne modele przyszłości. W tym sensie interpretacja Goudara wydać się może najbardziej nowoczesna, najbliższa w swych założeniach różnym teoriom przebudowy świata i przewidywaniu nowych układów sił po zakończeniu pandemii.

Wspominałem, że nie tylko sama książka zasługuje na naszą uwagę, także postać autora. Na parę miesięcy przed katastrofą Goudar musiał opuścić Portugalię z powodu oszustw w grach karcianych. Znał się na tym: i na ucieczkach, i na samej grze, której poświęcił inną księgę. A dokładniej oszustwom karcianym w dawnej Grecji. Tytuł brzmiał „Historia Greków, czyli tych, co korygują w grach przypadki losu”. Niby nic wspólnego z jego oglądem tragedii lizbońskiej, a jednak.

Goudar był urzędnikiem wyższego stopnia, jeździł z misjami po Europie; pojawiał się, zajmował stanowisko, robił zamęt i dawał nogę. Był tajnym agentem; napisał serię powieści o szpiegach. Znał się na ekonomii i polityce, poświęcił im kilka traktatów. Starał się o przyjaźń z encyklopedystami; nie został przyjęty do towarzystwa.

Przez całe życie trudnił się stręczycielstwem. W Londynie poznał Casanovę; służył mu jako tłumacz i doradca w podbojach; Casanova podziwiał jego inteligencję i niecnotę. Goudar pisze w tym czasie najbardziej znaną powieść „Szpieg chiński”, bezpardonowy atak na władzę, w którym nie oszczędza królów i ministrów. Jak Casanova, zna życie od podszewki; żadnych złudzeń. I jak markiz de Sade, którego poznaje we Włoszech i z którym koresponduje.

Z Neapolu musi Goudar uciekać za wydany tam przewodnik (jego nakład uroczyście spalono) po miejscowych domach schadzek. Sade’owi nastręcza własną żonę Sarę, również wybitną awanturnicę, którą wcześniej obdarował Ferdynanda II, króla Obojga Sycylii. I tak dalej, i dużo więcej.

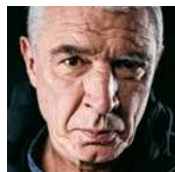
Podoba mi się, że może najciekawszą książkę o katastrofie lizbońskiej napisał ktoś, kto miał takie burzliwe życie (pod tym względem anty-Wolter). Ale też mówię o Aniele dlatego, że ostatecznie najgorsze nawet wydarzenie włącza się w nasze dzieje, zostaje uwewnętrznione przez kulturę czy spacyfikowane wówczas, gdy z historii zbiorowej zaczynają wyskakiwać jednostkowe historie. Anegdoty, które po dziesięcioleciach wypływają na wierzch, odrywają się niejako od katastrof, przystosowują do życia w czasie między nimi. I ostatecznie mówią, że opowieść to najwięcej, co mamy na najlepszym ze światów.

© MAREK BIEŃCZYK

ANDRZEJ

Stasiuk:

Do czego służy okno



GDY WYBIERAŁEM MIEJSCE POD NIEWIELKĄ pracownię, szukałem przede wszystkim widoku. Znalazłem go na wzniesieniu nad domem, w którym mieszkamy. Gdy siadam do pracy, przez szerokie okno widzę dolinę zamkniętą w oddali lesistym szczytem Uherca. W krajobrazie dominuje samotny stary jesion. Wydaje się, że rósł tu od zawsze. Nie ma żadnych zabudowań. Niemal nigdy nie zjawiają się ludzie. Czasami zwierzęta. Krowy sąsiada, moje owce, sarny. Raz o świcie widziałem przemykającego samotnie wilka.

Zmieniają się pory roku, światło i pogoda. Nieruchomy, wydawałoby się, pejzaż zmienia się nieustannie. Nie ma dwóch takich samych poranków, nie ma dwu identycznych zmierzchów. Tylko brak uwagi, utrata czułości albo lenistwo sprawiają, że odczuwam coś w rodzaju nudy. Ale przecież nie jest to wina świata, który przypomina węża nieustannie zmieniającego skórę.

Podwójne, szerokie okno wychodzi na wschód. To bardzo ważne: widzieć, jak wstaje dzień. Jak wszystko się zaczyna. Jak podnosi się światło, jak wstaje zza krzywizny Ziemi. Nawet w pochmurne, zimowe dni. Nawet wtedy widać szary blask, który powoli wydobywa z ciemności kształty. Grzbiety wzgórz, zarysy lasu, pojedyncze drzewa. Wstaje zza Uherca – najpierw purpurowe, czerwone, jakby unosiła się powieka świata. Potem złote, coraz wyższe i rzeczy zaczynają rzucać czarne cienie. Każdy szczegół, każde źdźbło zeszłorocznej trawy rzuca cień. Pod sunącym ostrzem blasku znika szron. Poza całym niezgrabnym panteizmem, któremu próbuję tutaj dać wyraz, dobrze jest mieć okno od wschodu, ponieważ wcześniej się wtedy wstaje. W pewnym wieku dostrzega się, że życia jednak ubywa, ale tę stratę można nieco nadrobić, przedłużając sobie dzień.

Piję pierwszą kawę i czekam, aż zza lesistego grzbietu zacznie wstawać słońce. Gdy ma się dość cierpliwości, można dostrzec jego ruch. Wynurza się z ciemnego lasu i zaczyna toczyć łagodnym, wznoszącym się łukiem w prawo, na południe. Oświetla niezmienny krajobraz i zarazem go odmienia. Formując cienie, ponaglaając roślinność, wabiąc ptactwo na coroczne gody. Zięby jak niebiesko-rude płomyki, czyżby jak złotawe błyski, smoliste kosy.

Gdy robi się ciepło, przeniosę się ze spaniem na werandę, która też jest od wschodu. Zagrzebany w śpiwór będę czekał o świcie, aż ogrzeje mnie słoneczny blask. Będę sobie wyobrażał, że słońce budzi mnie na stepie albo gdzieś na Gobi. Od lat niemal co roku wyruszałem latem na wschód. Po prostu pakowałem auto i o świcie ruszałem, by po ośmiu-dziesięciu dniach rozbić obóz w zachodniej Mongolii. Albo na Altaju. Albo w Pamirze. Albo właśnie na Gobi. W tym roku wszystko wskazuje na to, że nie pojedę. Wszyscy tego roku dokąds nie pojedziemy. Miałem zamiar rozpałcić ognisko gdzieś tam, na wschodzie, i samotnie obejść swoje sześćdziesiąte urodziny. Dość ekstrawagancki pomysł, przyznaję. Ale dziesiątki razy rozpałcałem ogień na pięknych pustkowiach. Na stepie, wśród skał, w zakolach rzek, nad jeziorami, gdzie jak okiem sięgnąć nie było ani żagla, ani domu. Rozpałcałem ogień z wyrzuczonego przez wodę drewna albo wielbłądziejego nawozu, siedziałem przy nim, a potem wchodziłem do śpiwora i zasypiałem. Rano budziło mnie słońce. Szczepnie mówiąc, spanie na ziemi przy ogniu w Azji Centralnej jest moim ulubionym sposobem spędzania czasu. Możecie Państwo myśleć o tym, co chcecie. W każdym razie będzie mi tego brakowało w tym roku, gdy wielu z nas dokąds nie pojedzie.

Ale zawsze pozostaje okno na wschód. Ekran świata. Wyglądam przez nie wskroś nieruchomego krajobrazu, wskroś teraźniejszości i widzę obrazy, które niegdyś oglądałem. Dziś o poranku światło jest srebrzyste i rozproszone i wyobrażam sobie, że mój wzrok sięga dalekich miejsc, w których doznawałem zachwyty. Mam pewność, że się nie zmieniły, ponieważ składały się głównie z olśniewającej pustki. Jestem pewien, że wyobrażając je sobie, w istocie na nie patrzę. Patrzę na wszystko, co wydarzyło się wcześniej. Być może patrzę na całe swoje życie, które rozplynęło się przecież w nieruchomym krajobrazie, stając się jego niewidzialną częścią. Tak jak kropla wody staje się częścią oceanu. Żeby to dostrzec, potrzebne jest okno. Tak mi się wydaje. ©

TP W NASTĘPNYM WYDANIU „TYGODNIKA POWSZECHNEGO” W ŚRODĘ 17 CZERWCA DODATKI:

NASZA NOWA EUROPA

a w nim:

- Dlaczego Unia potrzebuje nowego mitu założycielskiego?
- Jak odbuduje gospodarkę po pandemii?
- W czym wyprzedzi Amerykę i Chiny?



Te pytania zadamy ekspertom – reporterów wyślemy w Polskę w poszukiwaniu „Unii na co dzień”.

PARTNEREM DODATKU JEST PRZEDSTAWICIELSTWO KOMISJI EUROPEJSKIEJ W POLSCE

CONRAD

a w nim:

program tegorocznej edycji Festiwalu Conrada – motywy przewodni, goście, spotkania.



NAUKA



TAJEMNICE ZAPYLANIA

JONATHAN DRORI, POPULARYZATOR BOTANIKI:

Rośliny przystrajają się w kolory, zapachy, zmieniają smak nektaru, a nawet temperaturę, by zwabić nadlatujących zapylaczy. Mówią im: „Patrz, tutaj jestem, wyróżniam się!”.

MARIA HAWRANEK: Pyłek, co to takiego?

JONATHAN DRORI: Żeby odpowiedzieć na to pytanie, muszę się trochę cofnąć. Obawiam się, że ta opowieść zaczyna się od seksu.

To świetny początek!

A seks w świecie roślin jest często rozwiązany przypadkowo. Aby jakikolwiek organizm – człowiek, zwierzę, drzewo, roślina – miał przyszłość, musi potrafić mieć dzieci. Istnieją na to dwa sposoby: płciowy, który znamy z doświadczenia, i bezpłciowy – niektóre organizmy się klonują. My też możemy je rozmnażać – np. gdy ucinamy fragment rośliny i go sadzimy. W efekcie urośnie roślina genetycznie identyczna ze swoim rodzicem. Takie rozwiązanie jest bardzo szybkie, problem polega na tym, że jeśli każde z twoich dzieci jest dokładnie takie samo jak ty i pojawia się choroba albo szkodnik, każde ucierpi tak samo. W USA i w Europie wiązy, które zwykle rozmnażają się bezpłciowo, są przez to bardzo podatne na tzw. holenderską chorobę wiązów.

Istnieje lepszy sposób, który zapewnia genetyczną różnorodność.

Seks.

Właśnie. Ale on z kolei wymaga więcej wysiłku: trzeba sprawić, by żeńskie i męskie komórki rozrodcze się spotkały. Wiemy, jak radzą sobie z tym ludzie i zwierzęta. Rośliny używają do tego pyłku. Pyłek zawiera męskie komórki, a zadaniem rośliny jest dostarczyć je do innej rośliny w miejsce, gdzie znajdują się komórki żeńskie.

Czyli żeńskie komórki zawsze czekają na męskie?

Tak jak u ludzi. Roślina ma dwa sposoby, by pyłek, zawierający męskie komórki rozrodcze, dostarczyć do innej rośliny. Pierwsza strategia to wyprodukowanie ogromnej ilości pyłku i wyrzucenie go na wiatr z nadzieją, że wyląduje we właściwym miejscu. Robią tak np. brzozy, wszystkie trawy, w tym zboża uprawne: pszenica, żyto, owies, jęczmień. To przez

nie dostajemy kataru sienne, bo pyłek to substancja niezwykle aktywna biologicznie. Ta metoda wyrzucania pyłku na wiatr jest jednak bardzo nieefektywna.

Na drodze ewolucji rośliny stworzyły więc lepszą?

Używanie pośrednika, który zabiera pyłek z męskiej części kwiatu i przenosi go do żeńskiej części innego kwiatu. Jak listonosz – od drzwi do drzwi.

Jak sprawić, żeby do nich zapukał?

Zaoferować coś w zamian. Rośliny produkują nektar. Stworzenie tych wszystkich pięknych, kolorowych kwiatów o niezwykłych kształtach, a do tego produkcja nektaru, to niezwykle obciążający dla rośliny proces, który angażuje mnóstwo jej zasobów. Ale taki jest układ – zamiast produkować masy pyłku i wyrzucać je na oślep w powietrze, wytwarzają tylko trochę pyłku, jednak muszą się namęczyć, by zwabić pośrednika.

Kto nim może być?

Najbardziej oczywista jest pszczoła – odwiedza kwiat i od razu leci do następnego kwiatu tego samego gatunku i go zapyla. Ale jest wiele innych zapylaczy: baobaby używają nietoperzy, które są w stanie przelecieć i 20 km, by napić się ich pysznego nektaru. W Indonezji potężne i niezwykle kwiaty raflezji, która jest mięsożerna, do zapylania używają much. Istnieje gatunek akacji (*Acacia nigrescens*), która wykorzystuje m.in. żyrafy – kiedy się zajądają jej liśćmi, a czasem i kwiatami, trochę pyłku osiada na ich wargach. Kiedy zbliżają się do kolejnego kwiatu, następuje zapylanie.

Nektar nie służy roślinom w żaden inny sposób?

Nie. Mało tego, niektóre rośliny mogą zmieniać skład nektaru tak, by przyciągnąć różne owady. Mówią sobie: dziś „robimy” pszczoły, a kolejnego dnia: czas na motyle. Dodają więc różne ilości chemicznych substancji do nektaru, tak by był atrakcyjny akurat dla danego gatunku. Niektóre rośliny potrafią w ciągu minuty odpowiedzieć na dźwięk wydawany przez konkretnego owada, ton jego bzyczenia. Jeśli jest odpowiednio blisko, roślina zmieni skład nektaru. Na razie wiadomo, że robią to niecierpki.

Rośliny mogą słyszeć?

Reagują na wibrację. Potrafią to robić nawet zwyczajne pomidory. Trzymają pyłek w tubce i uwalniają go tylko wtedy, gdy dźwięk rezonuje na konkretnej częstotliwości odpowiadającej skrzydłom trzmiele. Dlatego w szklarniowych uprawach pomidorów trzyma się trzmiele.

W swoim wystąpieniu na TEDx opowiadasz o filodendronach z Brazylii, które nagrzewają się nawet do 44 stopni Celsjusza, by przyciągnąć żuki na seks. Zastanawiam się, czy te owady mogą się rozmnażać poza kwiatem?

Nie jestem pewien, ale wiem, że te żuki (*Cyclocephala atricapilla*) wolą robić to w roślinie (*Philodendron bipinnatifidum*). Może podobnie jak my szukają przyjemnych, ciepłych miejsc? Inna roślina, która się nagrzewa, by przyciągnąć żuki albo muchy, to piękny kwiat Dalekiego Wschodu – lotos. Jest w stanie utrzymać stałą temperaturę około 36 stopni, nawet jeśli na zewnątrz robi się znacznie chłodniej. To klasyczny mechanizm: kwiat się otwiera, żuki wlatują, kwiat zamyka się na noc i wypuszcza je dopiero kolejnego dnia. Odlatują pełne pyłku.

Czemu zostają na noc?

Może żukom jest miło spędzić noc w ciepłku. A rośliny mają dzięki temu pewność, że żuki opuszczą ich kwiaty odpowiednio umoczone w pyłku.

Istnieją zwierzęta, bez których dany gatunek rośliny by nie przeżył. Karol Darwin na podstawie obserwacji pewnego szczególnego storczyka na Madagaskarze przewidział istnienie nieodkrytej wówczas ćmy.

Zaobserwował, że u storczyka *Angraecum sesquipedale* ostroga, czyli tuba, która prowadzi do nektaru, jest wyjątkowo długa, a nektar znajduje się na samym dole. Doszedł więc do wniosku, że musi istnieć zwierzę, które będzie w stanie tam dosięgnąć, inaczej wysiłek rośliny nie miałby żadnego sensu. Przewidział więc, że jakiś owad będzie miał niesamowicie długą trąbkę ssącą. Zrobił to w 1886 r. Ćmę opisano dopiero w 1906 r. i nadano jej nazwę *Xanthopan morgani praedicta*, *praedicta* – czyli przewidziana.

Znasz inne podobne duety?

Jest wiele przykładów takiego mutualizmu, kiedy organizmy zależą od siebie. →

Przyciągający wzrok czerwony kolor i słodki nektar – tak rośliny z gatunku Psychotria elata wabi zapylaczy, samice brylantnika niebieskogardłego (Heliodoxa jacula). Kostaryka, 2019 r.

→ Również na Madagaskarze rośnie pielgrzan madagaskarski (*Ravenala madagascariensis*). Wygląda jak szalony, wysoki wachlarz. Jego kolczaste kwiaty są wielkości przedramienia i przypominają broń. Kiedy na nie patrzysz, zastanawiasz się: co u diabła może je otworzyć, by wziąć nektar? Odpowiedź brzmi: lemur. Jeśli coś by mu się stało, drzewo nie będzie w stanie się rozmnażać. Całkowicie zależy od lemura, który może odżywiać się też innymi rzeczami.

Niektóre rośliny są leniwe i nie produkują nektaru, a jednak rozmnażają się dzięki zapylaczom. Jak to działa?

Załóżmy, że wszyscy w twoim sąsiedztwie sprzedają lemoniade przed domami. A system jest taki, że przechodzień z każdego domu po drodze nalewa trochę lemoniady do swojego kubka. Możesz więc stwierdzić: po co wydawać pieniądze na cukier, skoro i tak nikt nie dojdzie, że to moja lemoniada nie była słodka. I niektóre rośliny wychodzą z takiego samego założenia: jeśli będę wyglądała tak jak tamta, która produkuje pyszny słoziutki nektar, pszczoła odwiedzi mnie tak czy siak. Zanim się zorientuje, że go nie mam, będzie za późno – i tak cała będzie w moim pyłku i polecie dalej szukać nektaru.

Jest mnóstwo przykładów roślin, które są „pasażerami na gapę”, szczególnie wśród storczyków. Oczywiście taka strategia może działać tylko wtedy, jeśli stosują ją niektóre rośliny. W każdym społeczeństwie możesz mieć tylko pewien procent oszustów, wśród orchidei jest to jakieś 10 proc. Inaczej cały system by się załamał, a rośliny musiałyby wyewoluować w inną stronę.

Co jeszcze robią rośliny, by zwabić pośredników?

Krzyczą „hej, jestem tutaj!”, ale krzyczą tak, by przyciągnąć konkretnego osobnika. Wydzielają różne zapachy, ubierają się w różne kolory. Niektóre odwołują się tylko do jednego zmysłu. Na przykład jagodlin wonny (*Cananga odorata*) w Malezji ma bardzo nieefektywne, zielonkawe kwiaty, ale obłędny zapach. Inne rośliny udają owady – wyglądają tak, jakby na ich płatkach wylądowała właśnie samica, więc mucha od razu przyleci i będzie chciała uprawiać seks, a przy okazji cała pokryje się pyłkiem. Robi tak kwiat



ADOBE STOCK

PIELGRZAN MADAGASKARSKI rozmnaża się dzięki **LEMUROM** – tylko one potrafią wybrać nektar z kolczastych kwiatów drzewa.



THOMAS DRESSLER / BEW

ŻYRAFY zjadają liście **AKACJI**, ale przenoszą także jej pyłek.



CHARLES MELTON / EAST NEWS

NIETOPERZE MEKSYKAŃSKIE również są zapylaczami m.in. **AGAWY**.

Gorteria diffusa, który należy do tej samej rodziny co stokrotka, rośnie w Afryce Południowej.

Pewien storczyk z rodzaju motylnik (*Oncidium*) upodobił się do jednego gatunku agresywnej pszczoły (z rodzaju *Centris*). Pszczoła ma wrażenie, że oto inny osobnik rozpanoszył się na jej terytorium, więc podlatuje i uderza w kwiat głową. Wychodzi z tej walki cała wysmarowana pyłkiem.

Storczyki w ogóle są w tym świetne. Nie tylko potrafią wyglądać jak owady, ale sprawiają, że i czuć je podobnie w dotyku. Jeśli spojrzysz na nie pod mikroskopem elektronowym, zobaczysz, że ich powierzchnia ma wypukłości. Kiedy owad ląduje na płatkach, czuje się tak, jakby nogami dotykał innego.

Bardzo sprytnie.

To efekt ciągłego próbowania i błędzenia, ewolucji po prostu. Ktoś robi coś odrobinę lepiej niż inni, więc rozmnaża się skuteczniej, a jego geny, cechy i strategię rozrodczą utrwala się w kolejnych pokoleniach. Nie ma w tym oczywiście świadomych decyzji i wyborów – na podstawie samych opisów mogłoby się tak wydawać, ale ten język wynika tylko z naszej wygody i z przyzwyczajęń.

Nie wszystkie kwiaty pachną dla nas ładnie, prawda?

Te, które nam ładnie pachną, są zwykle zapylane przez motyle lub pszczoły. Ale np. niektóre gatunki much lubią inne niż my aromaty. Chcą składać jajka w zgniłym mięsie, którego zapach jest dla nas obrzydliwy. Jest taka roślina, *Helicodiceiros muscivorus*, rośnie na Balearach, Sardinii i Korsyce i wydziela nieznosny zapach padliny. Gdy pracowałem w Królewskich Ogrodach Botanicznych Kew, to mieliśmy jeden egzemplarz w szklarni. Kiedy ludzie go mijali, spoglądali na podszwy butów, by sprawdzić, czy w coś nie wdępnęli.

Rośliny tworzą też wzory niedostrzegalne dla naszych oczu.

Większość owadów nie widzi czerwonego. Dlatego jeśli masz na działce gniazdo os i chcesz się go pozbyć, najlepiej zrobić to nocą przy pomocy latarki z czerwonym filtrem – ty możesz widzieć osy, a one ciebie nie. Uwaga, gdy tylko ściągniesz filtr, ruszą do ataku wprost na ciebie!

Owady widzą za to niedostrzegalny dla nas ultrafiolet. Jeśli spojrzysz na niektóre kwiaty przez filtr ultrafioletowy, możesz mieć wyobrażenie efektu, jaki robi na pszczołach. Na przykład mniszek lekarski, który dla nas właściwie cały jest żółty, przy ultrafioletowym filtrze ujawnia wyraźny środek, jak tarcza. Pięciornik ma na płatkach piękne wzory widoczne tylko dla owadów.

Skoro owady nie widzą czerwonego, to dlaczego w tropikach tyle jest czerwonych i pomarańczowych kwiatów?

Bo nie próbują przyciągnąć pszczoł, tylko ptaki lub te owady, które czerwien akurat widzą, np. motyle. Jeśli są zapyłane przez ptaki inne niż kolibry, zapewniają im też często jakiś drażek, na którym mogłyby sobie przysiąść. Przykładem jest płomień Afryki (*Delonix regia*) rosnący na Madagaskarze.

Podobno gdy zniknie ostatnia pszczoła, człowiekowi pozostaną cztery lata życia. To prawda?

Na świecie są już miejsca, gdzie ludzie musieli przejść rolę zapyłaczy. W sieci są zdjęcia Chińczyków, którzy wspinają się na drzewa uprawne z pędzlami w dłoniach, by zapylić kwiaty drzew uprawnych: migdałowców, śliw. W okolicy nie ma już odpowiedniej liczby owadów, które mogłyby się tym zająć. Nie jestem w stanie ocenić, jak szybko byśmy zginęli bez roślin owadopylnych. Ale bez wiatropylnych – bardzo szybko. Zaledwie 12 roślin uprawnych zapewnia 85 proc. naszego pożywienia, a trzy z nich: kukurydza, ryż i pszenica, zapewniają 50 proc. Wszystkie rozmnażają się przy pomocy pyłku. Pamiętajmy, że całe życie na Ziemi zależy od roślin. Tylko one mają zdolność fotosyntezy i tworzenia skomplikowanych cząsteczek z prostych. Bez nich wszystko umiera.

Przed wywiadem oglądałam zdjęcia pyłków i byłam zaskoczona – wyglądają jak asteroidy lub meteoryty.

Jedną z rzeczy, które kocham w pyłkach, to fakt, że stanowią jeden z tych ukrytych światów. Nie jesteśmy w stanie dojrzeć ich gołym okiem, a kiedy patrzysz na nie pod mikroskopem elektronowym, objawiają ci się piękne kształty. Lubię te, które mają takie niby-rzepy, haczyki, by przyczepić się do zapyłacza.

Na przykład zwykły irys czy prawoślaz mają zachwycające pyłki. A jakie są różnorodne! Każdy pyłek odpowiada innemu gatunkowi. Ich kształt jest zależny od zadania, jakie mają – te, które wyewoluowały, by przyczepić się do pośrednika, są chropowate, a te, które mają za zadanie latać, są bardziej opływowe, gładkie. Pyłek sosny kalifornijskiej ma nawet maciupeńkie pęcherzyki lotne, by mógł się nieść jeszcze dalej. Ciekawe jest też to, że każde miejsce ma swój własny pyłkowy podpis.

Jak to?

Gdy spojrzysz na próbkę z danego miejsca pod mikroskopem elektronowym, zobaczysz różne pyłki, które oddadzą charakterystyczny dla tego miejsca zestaw roślin. Na przykład jeśli na kawałku materiału widzisz 40 proc. pyłków tej rośliny, 30 proc. innej, a jeszcze trochę tej i tamtej, dostajesz lokalizację. Tych informacji używa się w medycynie sądowej, to tzw. palinologia kryminalistyczna (palinologia to dziedzina nauki zajmująca się badaniem ziaren pyłku). W sądach na podstawie dowodów palinologicznych skazywano lub uwalniano ludzi, bo można było udowodnić, czy byli lub nie na miejscu przestępstwa.



ARCHIWUM PRYWATNE

JONATHAN DRORI z wykształcenia jest elektronikiem, z zamiłowania – botanikiem. Popularyzator nauki i edukator, przez dziewięć lat zarządzał Królewskimi Ogrodami Botanicznymi Kew, teraz zasiada w zarządach Ogrodów Botanicznych Cambridge University i The Eden Project – największego lasu równikowego pod kopułami. Autor książki „Around the World in 80 Trees”.

Jak długo pyłek może przetrwać?

Na materiale – na pewno wytrzyma kilka prań, a jeśli jest z tych czepliwych, to i dłużej. Pyłek w ogóle jest w stanie przetrwać niewyobrażalnie długo – naukowcy wykopują pyłki sprzed setek tysięcy lat i wciąż są całkowicie identyfikowalne. To istotny sposób odkrywania tego, jak wyglądało życie przed epoką lodowcową. Dzięki temu wiemy m.in. że w okolicy Londynu 55 milionów lat temu rosło mnóstwo namorzynów.

Jesteś palinologiem?

Nie zajmuję się tym naukowo, jestem pasjonatem. Dawno temu zacząłem się interesować biologią. Z wykształcenia jestem inżynierem elektronikiem, ale prawdopodobnie więcej czasu spędziłem na studiowaniu botaniki, niż gdybym zabiegał o stopień naukowy. Długie lata zajmowałem się produkcją programów telewizyjnych, głównie dokumentów naukowych dla BBC. Ze względu na moje doświadczenie z technologią i mediami wylądowałem w zarządzie Królewskich Ogrodów Botanicznych Kew, nieopodal których dorastałem.

Co takiego spodobało Ci się w roślinach?

Pociąga mnie, kiedy coś jest wokół nas, ale ukryte. To jak podniesienie pokrywki: nagle widzisz, o rety, to niesamowite! Moi rodzice fascynowali się roślinami. Ojciec był inżynierem, ale studiował też botanikę. Wciągnął mnie i brata w świat roślin przez opowiadanie historii. Często nas nimi karmił. Niektóre oczywiście były smaczne, ale inne dość trujące. Pamiętam, jak opowiadał nam o opium i odciął kawałek makówki, pociekl sok, odrobinę położył nam na języku. Straciłem w nim na chwilę czucie. Pamiętam też taką roślinę doniczkową: difenbachia.

Moja mama miała ją w sypialni. Zabraniała mi dotykać jej wielkich liści.

Można ich dotykać, ale nie powinno się ich jeść. Mój ojciec wziął kawałeczek i włożył nam go do ust. Opowiedział przy tym historię o tym, jak w czasach niewolnictwa w USA wkładano ją do ust niewolnikom jako karę. Sprawia, że całe puchną, nie możesz mówić, to bardzo bolesne. Oczywiście tato dał mi tylko odrobinę, ale mogłem to poczuć. Tę lekcję o niewolnictwie będę zawsze pamiętał.

© Rozmawiała MARIA HAWRANEK

Myślenie rzeczami

PAWEŁ GWIAŹDZIŃSKI

Koncepcja rozszerzonego poznania fascynuje filozofów od ponad dwóch dekad. Trwają jednak spory, czy ma ona istotne empiryczne zastosowania.

PRZEPROWADZMY EKSPERYMENT. Wyobraź sobie osobę siedzącą przed ekranem komputera. Ma do wykonania proste zadanie: dopasowanie porozrzucanych figur – widocznych po prawej stronie – do odpowiedniego otworu, widocznego po lewej. Przy pomocy podobnej zabawy uczy się niemowlęta podstawowych kształtów. Eksperyment będzie miał trzy wersje.

W pierwszej osoba badana po prostu patrzy nieruchomo na ekran i ocenia, czy figura pasuje do otworu. Ponieważ figury są ustawione w różnych pozycjach, aby wykonać zadanie, trzeba nimi obracać „w głowie”.

W drugiej wersji uczestnik badania ma nieco więcej swobody. Tym razem może albo obrócić klocek w wyobraźni, tak jak poprzednio, albo nacisnąć przycisk, który obróci go na ekranie, niczym w grze „Tetris”.

Trzecia wersja wybiega trochę – ale tylko trochę – w cyberpunkową przyszłość. Tym razem uczestnik naszego eksperymentu ma wszczepiony w mózg chip, który pełni funkcję interfejsu mózg–komputer. Kontrolując chip przy pomocy swoich myśli, może obracać figury – podobnie jak przy użyciu przycisku. Może też poprzestać jedynie na swojej wyobraźni.

W pierwszej i trzeciej wersji eksperymentu wykonanie zadania wymaga wykorzystania jakiegoś rodzaju „zasobów wewnętrznych” – czy to części mózgu odpowiedzialnych za wykonanie rotacji w wyobraźni, czy implantu. W obu przypadkach zaangażowane będą także pamięć i uwaga. Pod tym względem obie wersje są podobne. Różnica polega na tym,

że zamiast wizualizować sobie obroty klocka, można je faktycznie zobaczyć na ekranie. Zastanówmy się teraz, jak bardzo druga wersja różni się od trzeciej? Czy naciśnięcie przycisku to coś radykalnie innego od wykorzystania implantu?

Autorzy tego klasycznego już eksperymentu myślowego (pochodzącego z 1998 r.) – filozofowie Andy Clark i David Chalmers – przekonują, że w istocie każda z tych trzech sytuacji jest analogiczna. Oczywiście przycisk, w przeciwieństwie do implantu i naszego mózgu, znajduje się poza naszym ciałem. Jednak zdaniem Clarka i Chalmersa, skoro przy jego pomocy możemy rozwiązać postawiony przed nami problem tak samo, jak przy pomocy naszego mózgu, to także przycisk (oraz inne zewnętrzne narzędzia) należy traktować jako elementy naszego systemu poznawczego. W takich sytuacjach możemy mówić o „poznaniu rozszerzonym”.

Mózg, ciało i aplikacje

Platon i Arystoteles procesy umysłowe zasadniczo umieszczali w ciele – choć bardziej w sercu niż w głowie. Rolę mózgu w myśleniu zaczęli doceniać późniejsi myśliciele, tacy jak Herofilos z Chalcedonu i Galen (Claudius Galenus). Dziś trudno sobie wyobrazić jakkolwiek dyskusej na temat umysłu, która pomijałaby znaczenie mózgu. Cała psychologia, dzięki osiągnięciom badań nad anatomią i neuropatologiami, opiera się na założeniu, że umysł to efekt działania mózgu. Dopiero takie nurty badań jak psychologia gestalt, fenomenologia, a w końcu poznanie ucieleśnione w kognitywistyce przyniosły istotne modyfikacje przekonania o tym, że umysł to coś, co znajduje się wewnątrz czaszki. Poznanie ucieleśnione akcentuje rolę całego ciała dla procesów poznawczych oraz podtrzymywania umysłu i świadomości. Zwolennicy tego podejścia podkreślają choćby, że w inny sposób myślelibyśmy o świecie i kategoryzowali rzeczywistość, gdyby nasze ciała zbudowane były inaczej. Przesunięcie lokalizacji umysłu z mózgu do ciała jako całości samo w sobie jest radykalnym ruchem. Koncepcja rozszerzonego poznania to jeszcze jeden krok dalej.

Sytuacji, w których wspomagamy umysł przy użyciu zewnętrznych narzędzi, jest wiele. Jeśli grasz w „Scrabble”, to pewnie próbujesz ułożyć jakiś wyraz, przesuwając klocki palcami, a nie wyobrażając sobie wszystko jedynie w gło-

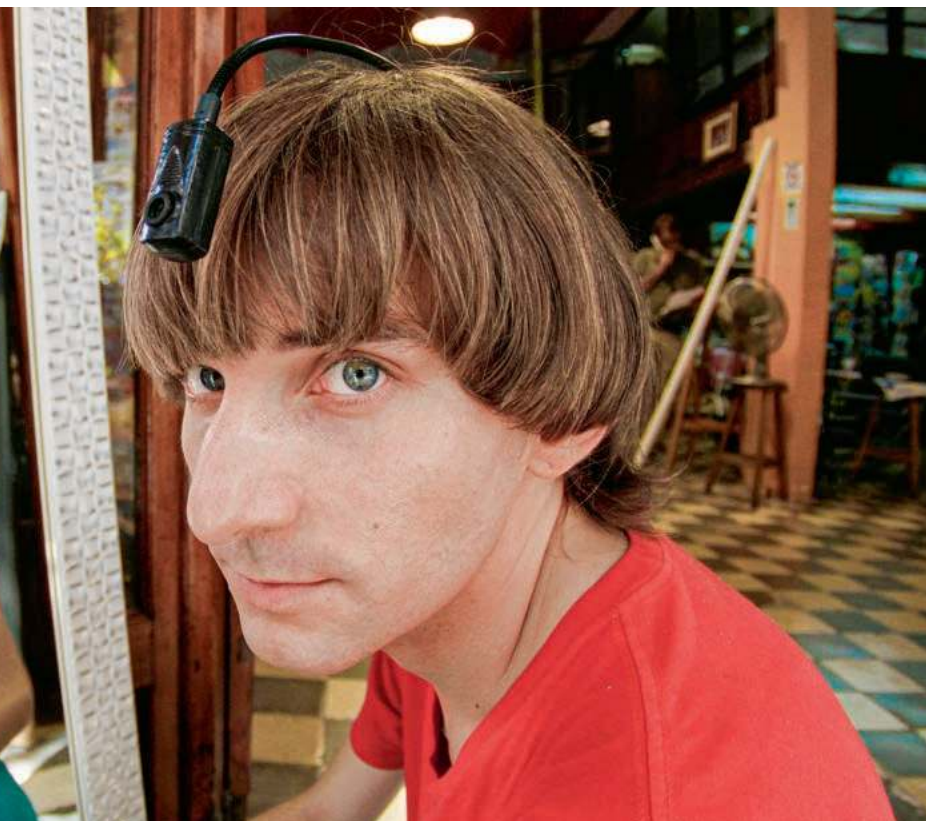


wie. Innym przykładem może być dodawanie pisemne czy posługiwanie się prezentacją podczas wykładu. W podręcznikach do geometrii podobną rolę odgrywają rysunki – bez nich zrozumienie jakiegoś zagadnienia byłoby wręcz niemożliwe. Niektórzy teoretycy twierdzą nawet, że elementami naszego myślenia możemy uczynić drugą osobę – np. gdy poprosimy ją o przypomnienie, jak ma na imię dawno niewidziany znajomy. Z tego powodu Celia B. Harris nazywa wieloletnie pary, które świetnie się znają i uzupełniają, „społecznie rozdyskrebowanymi systemami poznawczymi”.

Koncepcja rozszerzonego poznania narodziła się jeszcze przed rewolucją, jaką przyniósł powszechny dostęp do internetu za pośrednictwem urządzeń mobilnych. Dziś jesteśmy wręcz osaczeni rozmaitymi protezami naszego umysłu – orientację w przestrzeni zapewniają nam GPS i mapy Google’a, a magazynem wspomnień stają się filmy i zdjęcia przechowywane w chmurze. Chalmers żartował kiedyś, że kradzież telefonu komórkowego jest niesłychanie okrutnym czynem – w pewnym sensie złodziej okrada nas z części naszego umysłu.

Rusztowania umysłowe

Nieco inną interpretację zagadnień przedstawianych przez zwolenników teorii



ENRIQUE CALVO / REUTERS / FORUM

Neil Harbisson, brytyjski muzyk, performer, cyborg i aktywista, Palma de Mallorca, wrzesień 2011 r.

W świecie cyborgów

Innym ciekawym zagadnieniem są cyborgi. Neil Harbisson urodził się jako achromatopcyk – nie dostrzegał żadnych kolorów. Wszczepił sobie jednak w tył głowy antenę, do której przymocowana jest kamera zwisająca na linii jego wzroku. Kamera przetwarza informacje o kolorach wizualnej sceny, na którą użytkownik obecnie patrzy, i przesyła ją w formie dźwięku do ucha środkowego, za pośrednictwem przewodnictwa kostnego. Urządzenie jest na stałe przymocowane do głowy Harbissona. Kiedy w 2004 r. Urząd Paszportowy Wielkiej Brytanii odrzucił jego wniosek o wydanie paszportu, ze względu na widoczne na zdjęciu urządzenie, Harbisson odwołał się od tej decyzji. Argumentował, że antena nie jest gadżetem, ale częścią jego ciała, cybernetycznym zmysłem, który pozwala mu odbierać kolory (również te niewidoczne dla ludzkiego oka). Ostatecznie przyznano mu rację, a media od tego czasu nazywają go pierwszym cyborgiem.

W niedalekiej przyszłości możemy mieć wokół siebie więcej ludzi nie tylko korzystających w każdej chwili ze smartfonów, ale także dobudowujących nowe, nieznane wcześniej człowiekowi zmysły czy instalujących sobie urządzenia w jakiś inny sposób rozszerzające kompetencje poznawcze. Będziemy wreszcie zmuszeni odpowiedzieć sobie na szereg pytań, które krążą wśród filozofów od czasów pierwszej publikacji Clarka i Chalmersa na ten temat.

Jeżeli umysł nie kończy się na czaszce, ale rozszerza się lub zasadza na świecie zewnętrznym, to jak powinna wyglądać praktyka badawcza w psychologii i neuronaukach? Jakie ma to znaczenie dla leczenia chorób psychicznych? Czy wyrywanie osoby chorej z jej środowiska i zamykanie jej w odosobnionym miejscu nie jest ograniczaniem jej zdolności poznawczych, okaleczaniem jej umysłowości? Co z karą izolacji w więzieniowie? Jaki wpływ na nas będą miały nowe technologie, które będą za nas wykonywać coraz większą ilość funkcji poznawczych? I wreszcie: czy jeżeli mamy bałagan na biurku, to mamy go również w głowie? ©

umysłu rozszerzonego zaproponował Kim Sterelny. W pracy z 2010 r. stwierdził, że umysły nie rozszerzają się na świat zewnętrzny, ale raczej są „wspierane przez środowisko”. Organizmy kształtują swoje środowiska w taki sposób, aby zoptymalizować swoje funkcjonowanie – bobry budując tamy, zmieniają bieg rzeki, termity i inne owady społeczne formują wielkie konstrukcje, w których żyją i rozmnażają się, a gryzonie mogą kopać rozwinięte sieci tuneli.

Człowiek także kształtuje swoje otoczenie zgodnie ze swoimi potrzebami. Wyróżnia nas coś, co Sterelny nazywa „rusztowaniami umysłowymi”. Nie tylko budujemy domy, ulice i teatry, żeby nam się wygodniej żyło. Kształtujemy również nasze otoczenia tak, żeby łatwiej się nam w nich myślało. Trzymanie przy komputerze rozpiski najpopularniejszych komend w Excelu czy noszenie przy sobie zawsze komórki to przykłady takich rusztowań umysłowych. Giovanna Colombetti i Joel Krueger twierdzą, że możemy budować nie tylko rusztowania, które pomagają nam myśleć, ale także „afektywne rusztowania”, wspierające nasze stany emocjonalne. Colombetti, Włoszka, w swoich wykładach jako przykład „czucia” opartego na świecie zewnętrznym opowiada o weekendowym rytuale pieczenia pizzy, pod-

czas którego cały dom wypełnia się zapachem drożdży. Takie afektywne rusztowanie pomaga utrzymać przyjemny stan emocjonalny jej i jej bliskim. Ja sam pisząc ten artykuł, słucham ambientowego jazzu, kiedy pójdę na siłownię, będę słuchał czegoś bardziej dynamicznego, wieczorem dla wyciszenia być może zapalę świecę. To kolejne przykłady rusztowań afektywnych.

Sceptycy mogliby powiedzieć, że rozważanie relacji pomiędzy środowiskiem a umysłem jest zajęciem w gruncie rzeczy jałowym – ponieważ chodzi o czysto filozoficzne spekulacje. Można jednak dyskutować, na ile uzasadniony jest to zarzut. Zwolennicy rozszerzonego poznania powiedzą, że stanowi ono m.in. nowy paradygmat w robotyce.

Andy Clark od dawna twierdził, że powinniśmy przestać myśleć o budowaniu robotów jako „chodzących encyklopedii”. Główna, tytułowa idea jego pracy „Being There” (Bycie tam) oznacza, że funkcją umysłów nie jest myślenie, ale raczej nakierowanie się na wykonywanie zadań w zewnętrznym świecie, w realnym czasie. Co więcej, roboty nie muszą wykonywać zadań pojedynczo – dziś już wiemy, że wiele zadań jest lepiej realizowanych przez „roje robotów”, które działają wspólnie jak jeden rozszerzony i rozproszony system poznawczy.

JA, DIDŻEJ

WOJCIECH MANN:

Dzisiaj nikt na niższym stopniu zarządzania bez konsultacji z wyższym nic sam nie powie. Są jak roboty. Myślenie zostawiają w sejfie.

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Dlaczego nie odszedł Pan z Trójki wcześniej?

WOJCIECH MANN: Ze względu na słuchaczy.

Tylko?

Aż boję się mówić, bo ci słuchacze stali się dla niektórych, a szczególnie dla nieprzyjaznych obserwatorów, wygodnym alibi. Ci, którzy chcieliby dopiec mnie i kolegom, którzy w różnych momentach odchodzili, mają parę koronnych argumentów: że ciężko było się oderwać od żłobu, że wycisnęli, ile się dało, aż wreszcie dostali lepsze propozycje itd.

A jak było?

Ktoś, kto nie pracuje w radiu, tak z całego serca, to nie rozumie tego, że odpowiedzialność wobec słuchaczy, chęć kontaktu z nimi może być ważnym powodem. A szczególnie w okresie, kiedy już naprawdę większość rzeczy graliśmy na żywo. Może to nie jest porównywalne z teatrem, gdzie aktor nie przyjdzie na spektakl dopiero jak umrze, ale punktem stycznym jest ten kontakt i świadomość, że właśnie w tej chwili słuchają mnie anonimowi ludzie w Polsce. Audycje w piątki rano były szczególne, kiedy już wiedziałem, kto się o której godzinie odezwie. To było tak, jakbym postanowił nagle zerwać kontakty z grupą bardzo bliskich znajomych i to bez ich winy.

Być może teraz mistycyzuję, ale dla mnie to było niesamowicie ważne. Miałem regularnych słuchaczy, których lubiłem, regularnych słuchaczy, którzy

mnie wkurzali, ale to była część mojego codziennego krajobrazu.

Ale słyszał Pan zarzuty, że trwanie w niszczonej Trójce było przejawem Pańskiego oportunizmu?

To pułapka bez wyjścia. Dlaczego tyle trwałem, skoro mi się nie podobało? Dlaczego odszedłem tak późno, a nie wcześniej? Gdybym został, to dlaczego krytykuję? Wszystko jest źle, jak ktoś chce znaleźć powód, żeby przyłożyć. To nie jest decyzja taka, jak zakup nowego sweterka. Rany boskie! Przecież to ponad pięćdziesiąt lat życia. Podjąć definitywną decyzję, która przecina całkowicie to wszystko, to może dla jakiejś nieskomplikowanej osobowości nie wymaga specjalnego wysiłku. Ja się z tym męczyłem.

A jak już Pan zdecydował, to ulga?

Chyba się przygotowywałem mentalnie, żeby nie biadolić, bo gdybym rozdzubił patykiem tę ranę i doprowadził, żeby ona się nie goiła i ciągle bolała, tobym się wykończył.

Biadolić publicznie czy biadolić wewnętrznie?

I publicznie, i wewnętrznie. Oczywiście, publicznie jestem jak najdalszy, bo mam raczej introwertyczny charakter. Ale nawet w domu zatruwanie najbliższym życia bezustannym biadoleniem to jest tragedia, bo sam się człowiek wpędza w otchłań nieszczęścia. Musiałem być w głowie przygotowany, że skoro podjąłem decyzję, to dobra, teraz zajmę się

czymś innym. Chociaż wracają takie fale, moja żona co pewien czas słyszy moje biadolenie: popatrz, jaka fantastyczna płyta, mogłem ją nadać! A to bym chętnie puścił ludziom, żeby sobie posłuchali, jakie to jest. A tu mam pomysł na żart do opowiedzenia. To siedzi wrośnięte w człowieka.

A Pana pozycja w Trójce od roku 2016, kiedy już Paulina Stolarek-Marat objęła dyrektorskie stanowisko po Magdalenie Jethon?

Miałem bardzo komfortową sytuację. Tak zwykle jest, że jak w stadzie jakiś bawół dorośnie do wieku, w którym właściwie nie powinien żyć, to się go zostawia, bo nie ma go co dobijać. Nawet jak bryknę na antenie i powie coś, co się jakimś kierownikowi nie spodoba.

Jak wtedy, gdy premiera Morawieckiego za pośrednictwem piosenki „Neanderthal Man” zespołu Hotlegs porównał Pan do neandertalczyka? →

WOJCIECH MANN (ur. 1948) jest dziennikarzem muzycznym, didżejem, legendą Programu III Polskiego Radia (m.in. audycje „Zapraszamy do Trójki”, „W tonacji Trójki”, „Radio Mann”). Związany ze stacją od końca lat 60., odszedł w marcu 2020 roku w geście solidarności z Anną Gacek. Jesienią ukaże się nakładem Znaku książka „W tonacji Manna” – rozmowy z Wojciechem Mannem prowadzone przez Katarzynę Kubisiowską.





JACEK DOMIŃSKI / REPORTER

Wojciech Mann, dziennikarz III Programu Polskiego Radia. Warszawa, 1990 r.

⇒ Na przykład. On się dwa razy zastanowi, czy warto rozrabiać, bo tego ba-woła już tyle pokoleń słuchało, że nawet jak go nie lubią, to jakoś do niego przywykli. A jak ktoś jest młody, to go sto razy łatwiej przestraszyć. Mnie nie przestraszą tym, że mi odbiorą audycję, bo nie mam małego dziecka, niepracującej żony i mieszkania w kredycie frankowym, które stracę, jak nie zapłacę raty. Nie ma straszków, że mi pogrożą palcem. Zresztą parokrotnie próbowali, opierając się na nieprawdziwych informacjach.

Chodzi o reklamę sieci sklepów Saturn?

Wydawało im się – wygodny pretekst: napadli mnie za to, że występuję w reklamie bez zgody stosownych władz radia. Właściwie chcieli mnie przestraszyć, bo stan faktyczny był taki, że byłem emerytem, co mnie zawsze śmieszy, ale już wówczas nie miałem etatu, tylko wyłącznie umowę o współpracy. Słowem, nie byłem ograniczony żadnymi rygorami pracownika etatowego. A poza tym ja zawsze odruchowo eliminowałem propozycję reklam czy wypowiedzi, które komuś by uwłaczały albo nie podobały mi się ze względu na swoją rangę. A to była zwykła reklama sieci sklepów ze sprzę-

tem, niczego złego w tym się nie dopatrzyłem.

No i zaczęli straszyć. Grzecznie odpowiedziałem, żeby sprawdzili, czy ja mam jakieś zakazy. Skończyło się kompletnym kuriozum, a mianowicie stworzeniem przez prawników dokumentu, w którym napisano – tu streszczam, mówię o tonie tego sformułowania – że właściwie mogę grać w jakichkolwiek reklamach, jeżeli poinformuję o tym kierownictwo. Kwintesencja bezmyślnej biurokracji, bo to niczego nie zmienia, ani mnie nie ogranicza, ani ich nie ogranicza, ale istnieje papier z pieczętką, że coś w tej sprawie zostało ustalone.

Miewał Pan już podobne przygody?

Proszę pamiętać, że miałem za sobą wywalenie z pracy w telewizji w stanie wojennym. Zostałem nauczycielem. Miałem już wtedy pewne doświadczenie: tuż po studiach załapałem się na uczenie angielskiego w liceum im. Batorego w Warszawie. To było porządne liceum, tylko w słabym okresie, bo odchodziły tam polityczne numery: pani dyrektor była z tych zapatrzonych we władzę, ale pal ją szęść. Prowadziłem nawet klasę maturalną, siedziałem w komisji egzaminacyjnej.

Więc kiedy mnie wywali z telewizora, zacząłem udzielać korepetycji. Dawało

mi to przyjemność, gdy widziałem, że mój nieszczęsny podopieczny nie przychodził wyłącznie przerażony, by odpękać zajęcia, ale wynosił z nich świadomość tego, co robi. Udało się. Zachodziłem tych malców w sprawie muzyki, a to nagle interesowało: czym jest piosenka. I w to wpłatałem gramatykę oraz sposób mówienia, no i mogło się im to podobać bardziej od odwalania poszczególnych rozdziałów z podręcznika.

Za PRL-u naciski na radiowców były gorsze?

O wiele gorsze. Na kogoś, kto bardzo nie pasował, były różnego rodzaju „zapisy” w cenzurze, że niby wszystko w porządku, ale nigdzie go nie zapraszali, nigdzie nie przyjmowali do pracy. Czasem przekraczało to granice świadomości średniej klasy obywatela, jak na przykład zatrzymywania, przesłuchania, próby skapowania dla siebie – też taką przeszedłem – przez nieumundurowanych funkcjonariuszy, którzy mówili, że są moimi przyjaciółmi. To były lata 80. Wtedy odbyła się cała seria podejść w moim kierunku – spotkań lekko wymuszanych.

Jak?

Pierwsze spotkanie było w kawiarni i zaczęło się od zapewnienia, że ten pan

mnie bardzo lubi i ceni, co zrobiło na mnie wstrząsające wrażenie i byłem już gotów oddać mu się bez reszty. Podkreślałem, że mówię to ironicznie, bo jeszcze ktoś zrozumie wprost. Ten gość usiłował zrobić na mnie wrażenie. To chyba wynika z podstawowych szkoleń, które mieli, bo ni stąd, ni zowąd zapytał mnie: a kto to jest pan albo pani G. I tu się trochę przeliczywałem, bo skoro nie wiedział, jaka jest płeć osoby o nazwisku G., to wiedziałem, że próbuje czegoś po omacku.

Pan G. to był mój znajomy z zagranicy. Uświadomiłem sobie prędką dedukcją, że zajął w moje podanie o paszport, gdzie to nazwisko się pojawiało. Po pierwszym momencie paniki, że on jest wszystko-wiedzący, uspokoiłem się. Potem odbyła się próba jeszcze iluś tam komplementów, docenienia tego, że jestem podobno – że on to wie – lubiany przez kolegów, i że po prostu fajnie by było, gdybym od czasu do czasu z nim porozmawiał i powiedział, o czym my tam gadamy, bo to naprawdę bardzo ciekawe rzeczy. To wszystko było miłe, niewinne, praktycznie mogłem się zgodzić. Dodał jeszcze, że jego córka mnie bardzo lubi, więc już się w ogóle rozpląnałem w radości. Proszę sobie wyobrazić, że zapytał mnie nawet, czy nie nagrałbym jakiejś kasety dla córki, z ładnymi piosenkami.

Nagrał Pan?

Wręczenie tej kasety to było jak z filmu „07 zgłoś się”. On powiedział, bym podjechał samochodem w określone miejsce, żebym nawet się nie zatrzymywał, a on w biegu wskoczy. I faktycznie wskoczy!

Byłem w środku tego czegoś i miałem wrażenie, że jestem we śnie: nagle ja, DJ radiowy, przyjmuję w ruchu agenta, który wskakuje mi do samochodu i pilotuje mnie do jakiegoś miejsca, które się okazało być dyżurnym hotelem Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Tam odbył się kolejny akt komedii, bo on najwyraźniej posprawdzał moje papiery i teraz nastąpiła delikatna próba nacisku. Jeszcze legenda, którą on do tego opowiedział: spotykamy się dlatego, że jego kolega jest na konferencji i mu pożyczył klucze, więc skorzystał – naprawdę bardzo kiepski film.

I nie miał Pan stracha?

No pewnie, że miałem. Posadził mnie przy biurku i okazało się, że kolega, co mu te klucze pożyczył, to ma świetne

kontakty. I że w szufladzie biurka tego niby kolegi leży mój osobisty paszport. On wygłosił kolejną część pochwały na mój temat, powiedział, że on mnie tak lubi, że po prostu wyciągnął paszport z odpowiedniego biurka i w zasadzie mi go może dać. Niech pani sobie wyobrazi, że nie przyjąłem tego paszportu, bo chciałem, bym mu podpisał kwitek, że go odebrałem. Odpowiedziałem, że nie mogę mu podpisać kwitka w pokoju hotelowym kolegi, bo to nie jest biuro, tu nie ma pieczętek, a wiadomo, że dla czerwonych najważniejsze były pieczętki. Odmówiłem podpisania i wzięcia paszportu, co go trochę zdziwiło, bo dostać paszport bezproblemowo to dla wielu ludzi było marzenie. A ja wcześniej złożyłem podanie o paszport, ono leżało, czekało, nie wiedziałem, czy zostało rozpatrzone, a on tu mi nagle ten paszport przyniósł.

No i co Pan wtedy zrobił?

Rzecz, za którą sam siebie do dzisiaj podziwiam... Mianowicie, jak pożegnałem się z tym swoim „serdecznym przyjacielem” w pokojowym hotelu, to pojechałem do biura MSW, do wydziału paszportowego, poprosiłem, by mi odpowiedzieli, czy został mi przyznany paszport. Tu się zrobiło jeszcze lepsze kino: przyszedł urzędnik i powiedział, że mam paszport. Spytałem grzecznie, czy mogę go odebrać, a oni najwyraźniej nie mieli wewnętrznej komunikacji między departamentami, gdyż zostałem poproszony do pokoju, w którym spotkałem jeszcze jednego pana. A ten powiedział: wie pan, oczywiście ma pan przyznany paszport, ale w tej chwili nie mogę go panu wręczyć – a ja wiem, że ten paszport jest w biurku w hotelu – bo taka głupia sprawa się zrobiła, że on jest w szafie pancерnej, a kolega, który ma do niej klucze, zamknął ją, a nagle dostał telefon, że jego żona jest chora i pojechał do domu z tym kluczem, więc po prostu nie możemy tego sejfu otworzyć. Kolega mówi, że żona jutro będzie zdrowa i on przyjedzie, i wtedy sejf otworzymy, i będzie już pan mógł odebrać.

Wyszedłem uśmiechnięty na ulicę Koszykową, widząc, że dzieją się rzeczy, o których mędrcom się nie śniło.

A naciski w poprzednich latach?

Raz miałem rodzaj zawieszenia za żart, który dzisiaj znów mógłby być ryzykowny. Była wietrzna jesień. Przyszedł

jakiś głos od słuchacza, że zmieniła się pogoda, że jest nieprzyjemnie zimno, że wyszedł i go przewiał. Powiedziałem: no tak, ale są takie stare sposoby, żeby sobie poradzić z nagłym ochłodzeniem. Na przykład dobrze jest owinać się pod ubranie gazetami, bo one grzeją. To zostało odczytane jako moja opinia o gazetach, które opowiadają, że dookoła jest cudownie, więc dostałem lekkie pacnięcie.

I?

Nagle nie miałem przez miesiąc audycji. Takie ostrzeżenie i sygnał, by uważać. Lecz zdarzały się zadziwiające sytuacje, kiedy niższy stopień ówczesnej władzy był bardziej nerwowy od wyższego. Dzisiaj to funkcjonuje idealnie. Nikt na niższym stopniu bez konsultacji z wyższym nic sam nie powie. Oni wszyscy są jak roboty, powtarzają tylko to, co przyszło z góry, a własne myślenie zostawiają nie wiem właściwie gdzie. W sejfie?

Była okrągła rocznica powstania Stanów Zjednoczonych. Wymyśliłem, że w „Zapraszamy do Trójki” – jeszcze w tej dawnej formie, na żywo, gdzie robiliśmy różne konkursy, ludzie dzwonili – zrobię konkurs o Stanach. Mało tego, poszedłem do amerykańskiej ambasady i zapytałem, czy ich interesuje uczestnictwo, w tym sensie, że dadzą nagrody. Bardzo się ucieszyli i dostałem rzeczy, które były atrakcyjne: specjalne wydawnictwa i komplety okolicznościowych znaczków pocztowych, które Amerykanie wydali na tę rocznicę, i jeszcze coś tam. Złożyłem ten pomysł w Trójce i został odrzucony. Pomyslałem, że to małostkowość, bo jednak media nie przeoczyły rocznicy i się o niej wspominało, może bez entuzjazmu, ale jednak nie było to zakazane.

Co dalej?

Nastąpił niespodziewany zwrot akcji, ponieważ, jak mi przekazano, ktoś z tych redaktorów powiedział na kolegium, że Mann chciał coś zrobić z Amerykanami i odrzucili. A prezes na to: a niech robi! Piętnaście minut, dostałem zgodę, i zrobiłem audycję. To też świadczy o niezwykłej autonomii poszczególnych redaktorów.

To jednak zależy od jednostki.

Tak. Wie pani, jak takie fakciki się gromadziły, to w człowieku układa się obraz zupełnie inny od tego, co kiedyś wydawało się ogromną wartością →

→ i marzeniem. Jak wszedłem pierwszy raz do Trójki – nie chcę zabrzmić melodramatycznie – wszystko tam wydawało mi się święte. Ta Trójka, która jest inna, która jest w awangardzie, która jest specjalna. Ale na jej korytarzach też byli ludzie, których na długo zapamiętałem.

Mniej awangardowi?

Bardzo mało. Pamiętam kartki w Taśmotece z wewnętrznymi zakazami: tego nie puszczać. Zawsze starałem się dowiedzieć, dlaczego.

I czego się Pan dowiedział?

Jeden taki przykład, który mi utkwiał, to zakaz puszczania grupy KISS. Mieli specyficzne logo – SS pisane czcionką jak skrót Die Schutzstaffel der NSDAP – ale przecież w radiu tego nie widać. A po drugie to nie miało nic wspólnego z nazistami, KISS przecież grał porządnego rock'n'rolla. Ale nie!

Potem była faza nienawiści do punka. Szefowa redakcji muzycznej zrobiła listę zespołów, żeby jej się coś nie pomyliło przypadkiem, i wyrzucała z audycji wszystko to, co jej pachniało punkiem. To zupełnie niewiarygodne! Sam za wczesnym punkiem nie przepadałem, też byłem dość konserwatywny i lubiłem swojego rock'n'rolla. Punk wydawał mi się za surowy i zbyt niezborny. Dopiero później doceniłem wszystkie te grupy. Ale pomyślałem sobie, że jeżeli oni zakazują, to trzeba zadziałać. No i zrobiłem całą punkową audycję na prima aprilis jako niby żart i upchnąłem tyle zespołów z tej listy, ile się dało. To rodzaj niechęci do ograniczeń. Gdyby mi nie zakazywali, tobym pewnie tego nie puścił na pierwszego kwietnia, bo miałem inne płyty.

Ale nie podoba mi się ta rozmowa, bo wychodzi na to, że się kreuję na rewolucjonistę.

Mówi Pan o tym, co było w owym czasie możliwe do zrobienia na swoim podwórku.

To mnie wyraziście dotknęło, kiedy wróciłem do Polski w stanie wojennym i oczywiście pojechałem na Myśliwiecką, nie tyle po to, by występować, bo był bojkot środowiska wobec mediów. Mało tego, wtedy właśnie byłem wyrzucony z telewizji, zjawiłem się tam tylko po to, by z pawlacza, który miałem przydzielony, zabrać swoje szpargały, taśmy, pudełka itd. Oczywiście żadne moje prze-

pustki nie były już ważne i musiałbym dostać taką jednorazową na zabranie gratów.

Stanałem tam, jeszcze nie było eleganckiego wejścia jak dzisiaj, tylko metalowa balustrada i strażnik. Powiedziałem, że chciałbym wejść po swoje rzeczy. Nie mam pretensji, bo skoro mieli w mediach specjalną obstawę, wojsko tam stacjonowało, to on nie mógł na piękne oczy wpuścić kogokolwiek, tylko zażądał przepustki. Stałem więc za tą przegrodą i czekałem, aż przejdzie ktoś znajomy, by poprosić o jednorazową przepustkę. No i to był właśnie taki egzamin, bo pojawiła się ta sama pani, co tych punkowców skreślała, a ja powiedziałem: „Cześć, chciałbym zabrać swoje rzeczy z pawlacza”. A ona po prostu uciekła.

Teraz, po odejściu z Trójki, pojawił się Pan na Facebooku.

W kwestii portali społecznościowych jestem jak tabaka w rogu. Nie uważałem tego specjalnie za ważną rzecz mojego życia. Słyszałem jednym uchem, co mówi ktoś znajomy albo mój syn Marcin. I nagle, kiedy zrobiła się pustka posttrójkowa, Marcin zaproponował, bym spróbował, bo mam więcej czasu. Właściwie to mi kazał. Posłuchałem się więc i nadal nie mam pojęcia, jak to działa, ale kiedy on wydaje mi polecenie, to staram się je wypełnić.

Miedzy innymi komentuje Pan w filmikach język, jakim mówią politycy.

Troszkę mnie pani dotyka w czuły punkt, jako między innymi filologa. Mówię to z półśmiechem, bo rzecz nie wynika raczej z moich studiów, ale z sympatii, zapewne ukształtowanej przez radio, do formułowania zdań niebędących jedynie brzdęknięciami. Obwiniam nie tylko czasy, ale i decydentów. Trzymam się jak pijany płotu ciągle tego samego: że nie daje się ludziom powodu czy haczyka do tego, by aspirowali. Nie mówię, by od razu przeskoczyć na język Kotarbińskiego, lecz by pokazać alternatywę – jak to się działo za przebrzydłej komuny, którą tak tępią dzisiejsi „szlachetni patrioci narodowi”.

Jeśli człowiek na co dzień obcował z drętwą nowomową „Dziennika Telewizyjnego”, ale na styk, tuż obok, miał Przyborę z Wasowskim i Jerzego Dobrowolskiego, Trójkę z najlepszych czasów, Jacka Fedorowicza, Bardiniego, Koftę,

Osiecką... No ludzie kochani! Przecież poziom literacki tego, co oni wtedy wyprowadzili w Opolu – ten Młynarski! – musiał wsiąkać w największego głębia, który może wreszcie coś pojął.

A teraz?

A teraz z estrady największe głęby produkują zwyczajne gówno. Publiczność nie żąda, by to był literacki język, ona chce odpocząć i ja to rozumiem. Ale jeśli w tym samym amfiteatrze, obok koszmarnego, prymitywnego kabaretu, da się coś lepszego, to istnieje duże prawdopodobieństwo, że trafi. Tylko trzeba to bez przerwy kultywować. Czuję, że zaczynam brzmieć jak taki drętwoł od pracy u podstaw, ale tak jest. Przecież jak myśmy w Trójce grali najlepszą muzykę z Polski i świata, eliminując rozmaite bylejakości, to całe pokolenie – aż mi się dzisiaj nie chce wierzyć – znało na pamięć dyskografię trudnych zespołów i wykonawców. Mało tego! Potrafili tego słuchać u siebie w domu z kaset, зараżać innych. Tym bardziej z bólem serca patrzę, jak się cepami zatłukuje resztki trójkowej elitarności.

A savoir-vivre w radiu?

Byłbym bardzo nieobiektywny, gdybym zachwalał środowisko radiowe jako zastępy aniołów, które w miejscu pracy trzymają najwyższe normy etyki i moralności. Tak jak w każdym środowisku, jest różnie, są wewnętrzne niechęci, sympatie, podsyrywanie sobie i inne brzydkie rzeczy. Ale radio w tym dobrym rozumieniu dawało pewnego rodzaju potrzebę tworzenia czegoś ponad małość różnych osób. Jeśli ktoś jest niepewny swojej moralności, a znajdzie się w środowisku, które próbuje podnieść się na wyższy poziom, to on się raczej podporządkuje, jeśli mu to dramatycznie nie przeszkadza.

Aż się boję to powiedzieć, ale w radiu na Myśliwieckiej zawsze były czyste toalety. W Telewizji na Woronicza było dużo gorzej. W radiu na Myśliwieckiej zawsze się mówiło „dzień dobry” portierowi, a wychodząc „do widzenia”. W radiu w ogóle mówiło się kulturalne rzeczy ludziom, z którymi się pracowało. Kończąc dyżur dziękowało się wszystkim. To były rzeczy naturalne i nawet jeśli pod spodem kotłowały się negatywne emocje, animozje, to przynajmniej na zewnątrz było troszkę szlachetności, co jednak promieniuje na człowieka. I również,

do pewnego momentu, sposoby załatwiania spraw oficjalnie były elegantsze. Ale może to tylko luki w moim dosyć starym umyśle i to wszystko tylko mi się zdaje.

Poproszę teraz o radiową lekcję pokory, którą Pan odebrał.

Nie będę się samobiczował, ale jedną z takich bolesnych anegdotycznych lekcji pokory było to, jak zasnęłam na scenie katowickiego Spodka, prowadząc koncert heavymetalowy. Obudził mnie inspicjent scenicznym szeptem, szycząc zza kulis: „Panie redaktorze, teraz Wilczy Pająk”.

To teraz proszę o odpowiedź serio.

Lekcja pokory spotkała mnie, kiedy miałem wystąpić w porannej audycji Programu Pierwszego, który był, i nadal jest, flagowym radiowym programem propagandowym. Ja byłem młodym redaktorem z Trójki i nagle jest propozycja, bym spróbował swoich sił na Malczewskiego. Koncepcja była taka, że jest tam paru wybranych młodych od muzyki z doświadczonymi spikerami w parze. Ta koncepcja nakładała na nas obowiązek mówienia do siebie per „ty”, co w tamtych czasach nie było powszechne, a jeszcze w przypadku różnicy wieku i stażu – ja niespełna trzydziestoletni, o połowę młodszy od swojego partnera, słynnego spikera. No więc była trema. My, młodszy, byliśmy dodatkiem do głównej treści, czyli do informacji, wywiadów – mieliśmy puszczać piosenki.

Na żywo?

No właśnie! To dzisiaj jest czymś zupełnie naturalnym, a wtedy stanowiło wyzwanie, z powodu jawnych i niejawnych cenzorów. Były telefony od słuchaczy z prośbą o życzenia, pozdrowienia itd. Zadzwonili żołnierze z jednostki wojskowej, prosili, by ich pozdrowić i nadać piosenkę, którą sobie wybrali. W swojej naiwności wybrałem piosenkę, odczytałem ich list i mówię: „A teraz piosenka, którą nadajemy na specjalne życzenie żołnierzy z jednostki wojsk pancernych nr 15-48 w miejscowości takiej i takiej. Życzymy wam lekkiej służby, uśmiechu itd.”. Piosenka ledwo się zaczęła, a już był telefon od jakiegoś ministra wojskowego z zapytaniem, kto na antenie podaje tajne dane dotyczące rozmieszczenia naszych wojsk.

Pan już widział kraty?

Miałem wrażenie,
że jestem we śnie:
**nagle ja, DJ radiowy,
przyjmuję w ruchu agenta,**
który wskakuje mi
do samochodu i pilotuje
mnie do dyżurnego hotelu
Ministerstwa Spraw
Wewnętrznych.

Proszę nie żartować. Pani sobie wyobraża, że człowiek mógł zemdleć ze strachu? Że zostanę posądzony o zdradę swojego kraju, przekazywanie obcym agentom informacji utajnionych? Taka była atmosfera.

Mój partner postanowił dać mi lekcję pokory. Odczytał – zaczynało się zwykle od ostatnich dokonania I sekretarza – wiadomość: „I sekretarz PZPR, kompletnie niepotrzebnie wybrany na sekretarza, odwiódł robotników, którzy kompletnie nic nie zrozumieli z jego wypowiedzi”. Miałem poczucie, że może nie przyjechałem do radia, tylko jeszcze mi się śni, albo mam chorobę głowy, która nagle się objawiła. A ten jedzie dalej: „Grupa harcerzy ze szczerpu jakiegoś wyjechała na wakacje pod namiot, gdzie będą się opieprzać, tak jak przez cały rok”. Brnę w próbę rozszyfrowania, co się dzieje. Za szybko – to jest pierwszy test – realizator, który słyszy teoretycznie to, co ja, powinien już zemdleć albo machać rękami, a on uśmiechnięty nie reaguje. Tym bardziej mam poczucie surrealizmu. Ten obok mnie, w garniturze, uśmiechnięty, zwraca się do mnie: „A teraz, Wojtku, przedstaw jakąś ładną piosenkę”. Nie mam siły, żeby cokolwiek powiedzieć, więc macham do realizatora za szybą, by puścił cokolwiek, a ten wychodzi ze studia. Byłem zdruzgotany, czekałem na kataklizm.

Nie rozumiem, co to miało być?

Dopiero po jakimś czasie dotarło do mnie, że obok normalnego, dostępnego dla nas obydwu tzw. zwieracza, czyli wyłącznika mikrofonu, był drugi pod blatem. Prezentor umiejętnie włączył go i wyłączał, co wymagało sporego zuchwa-

łości i brawury, że ja słyszałem to, co słyszałem, a na antenie tego nie było. Siedziałem złany potem, lecz wiedziałem, że nie mogę po sobie nic poznać. I z tego jestem dumny, bo on wrócił do studia z uśmiechem triumfu, że zobaczy dyminiącą kupkę śmieci na moim miejscu, a ja z uśmiechem powiedziałem: „Witam cię z powrotem, posłuchajmy następnej piosenki”. Udało mi się opanować. To był przykład tego, że nigdy nie wolno być pewnym siebie, bo mogą się wydarzyć rzeczy, których się nie ogarnie.

A ogarnia Pan teraz to, co się stało z Trójką?

Owszem, ogarniam.

Naprawdę?

To wszystko pasuje do mojego widzenia świata dzisiejszego na bazie doświadczeń gromadzonych przez całe dorosłe życie. To jest tak, jakby obserwować urządzenie typu wahadło, które w zasadzie funkcjonuje według pewnych praw fizyki, a potem, z zadziwiającej przyczyny, bo coś się na świecie przekrzywiło, przekracza swoje dotychczasowe granice i wywala w którąś stronę. Lecz to nie jest wydarzenie niemożliwe.

A jakby miał Pan spojrzeć w przyszłość Trójki?

Tu jest parę możliwych ścieżek. Jest ścieżka, że ona będzie dogorywać. Jest ścieżka, że się wprowadzi zupełnie nowych ludzi – nie wiadomo skąd i nie wiadomo jakich. Trójka przekształcona będzie pod swoim szyldem nadal funkcjonować i być może młodsze pokolenia ludzi, którzy będą ją włączać – jeśli będą – odrzucą historyczny bagaż i przyjmą ją jako jeszcze jedno zjawisko na horyzoncie mediów. Jest też ścieżka taka, że doraźnie zrobi się zabieg dla ludzi upokarzających, ale może skuteczny: dla pucu przysłać nową dyrekcję, która będzie udawać, że jest liberalna i nowoczesna, i część z protestujących schowa protest do kieszeni, uznając to za wygodne alibi, by wrócić, bo zło zostało odsunięte. I będzie jak dawniej, dopóki nie odłoni się jakaś kolejna aferka.

O ile pozostanie ta cała piętrząca się nad Trójką piramida rządząca Polską. Bo jeśli ona się wywali, no to w ogóle wszystko może być inaczej.

© Rozmawiała

KATARZYNA KUBISIOWSKA

Dobrzy włamywacze

MONIKA OCHĘDOWSKA

Trwająca niecałe pół godziny płyta Łona i Webbera zabiera słuchaczy w podróż po najbardziej wrażliwych strefach polskiej tożsamości.

CHOĆ ZARZEKAJĄ SIĘ, ŻE ZE „ŚPIEWNIKIEM domowym” Stanisława Moniuszki łączy ich najnowsza płyta jedynie zapożyczony mimochodem tytuł, do deklaracji szczecińskiego duetu Łona-Webber warto podejść z rezerwą. Moniuszko to wciąż żwawy inspirator polskiej sceny muzycznej. Dopiero co obchodził przecież urodziny razem z Pezetem i łódzkimi raperami, próbował już sił w dubstepie. Dobrze prezentuje się też na domówkach u Jakuba Józefa Orlińskiego (dowody dostępne na kanale śpiewaka na YouTube).

Nasączony folklorem XIX-wieczny „Śpiewnik” miał w zamyśle twórcy pełnić dwie funkcje: usuwać na bok importowaną tandetę oraz budować wspólnotę muzykujących domowników – pisał historyk muzyki i kompozytor Witold Rudziński. Do oddzielania ziarna dobrych bitów Łona i Webber zawsze mieli ucho. Mimo świadomości, że „ciężko uciec w objęcia muzyki którejkolwiek, skoro każdej wolny rynek przystawił do głowy rewolwer”, przez ostatnie 20 lat, trzymając się z dala od muzycznego hipermarketu, wyprodukowali spore ilości kwaśnego, orzeźwiającego „lekarstwa na ból”. Wychowani na Wojciechu Młynarskim i Kabarecie Starszych Panów skutecznie drażnili kolejne pokolenia „rapistów ze szczękościskiem”, stawiając na absurd, nonsens i humor, bo w końcu „frużki wolą optymistów”. Ale krytyka nie była dla nich równoznaczna ze skłonnością do pielęgnowania konfliktów, przeciwnie.

Kilka lat temu, zaraz po wydaniu albumu „Nawiasem mówiąc”, Łona zaryzykował na łamach „Tygodnika” tezę, że w sytuacji raptownego radykalizowania się społeczeństwa moglibyśmy odbudować poczucie wspólnoty dzięki upartej rekonstrukcji mapy narodowych skojarzeń. Co miałyby się na takiej mapie znaleźć? „Zapraszam do stołu, jak się nie chcemy pozabijać, pogadajmy o tym” – odpowia-

dał Łona. Próbę realizacji tej karkołomnej, choć przecież Moniuszkowskiej z ducha koncepcji wyraźnie słychać w wydanym właśnie esencjonalnym „Śpiewniku”.

Szkoda Zachodu

Elementem porządnego rapowego etosu jest nie tylko nawijanie o miejscu, w którym się dorastało, ale też dumne odwołanie do dziedzictwa przodków. O ile sceny amerykańska czy francuska, tworzone często przez emigrantów z Afryki, bardzo mocno zakorzenione są w historii i kulturze, a także rodzimych językach twórców, polski hip-hop (poza okolicznościowymi składankami) najchętniej sięga do momentu swoich narodzin – przełomu lat 80. i 90. „Lechu / Co ty zrobiłeś? / Tak życie nasze utrudniłeś! / Kapitalizm jest ustrojem takim / Że ludziom ubogim wypuwa flaki”, rapowało w 1995 r. Wzgórze Ya-Pa 3, na gorąco tworząc mówioną historię transformacji.

Hip-hop należał do dzieciaków z robotniczych blokowisk, do ludzi bezrobotnych i eksmitowanych. Świadomych, że w wyniku przemian ustrojowych zniknęły struktury i instytucje, na których można się oprzeć. Przekonanie o byciu niepotrzebnym, wypchnięcie na margines miasta, jego pustka, szarżyzna, „ludzka masa alkoholem wspomagana” – siłą tej muzyki był idący w poprzek propagandy sukcesu autentyzm. Ale mnogość oddolnych inicjatyw szybko zakrzyczana została przez jeden, dominujący głos płynący z centrum. Mimo że Śląsk czy Szczecin (jedno z ciekawszych muzycznie miejsc na początku lat 90.) zdążyły zaznaczyć swoją obecność na hip-hopowej mapie kraju, scenę szybko zawłaszczyla stolica. Na przełomie lat 90. i pierwszej dekady XXI wieku to Warszawa kształtowała opinie na temat tego, jaki powinien być rap.

Wielu artystów, często na przekór swojemu pochodzeniu, zdecydowało się na



mimikrę, przejęło uliczny język i styl. Łona robił to po swojemu. Opowiadał świat posiłkując się metaforą – z humorem i dystansem do siebie. W swoich nawijkach uciekał też poza kanoniczne tematy sceny hip-hopowej, takie jak „pieniądze, forsa, fufu, no i, oczywiście, szmal”, bo „popularność rzadko idzie w parze z rewolucją”. Zamiast najlepszych fur – w jego tekstach pojawia się szesnastoletni trabant. Zamiast depresji – niepoprawny optymizm.

Respekt, który Łona zyskał stylem bycia i doskonałym warsztatem, pomógł wykroić przestrzeń dla tzw. rapu inteligentnego, co nie znaczy – oderwanego od konkretnego codzienności. Ten podróżujący pierwszą klasą rap z kawalka „Co tak wyje” był empatyczny, otwarty na świat, wychylony w stronę Europy. Ale nie próbował nikogo pouczać, raczej włamywał się do zamkniętych łbów: „moja rozmetaforyzowana publicystyka to wspaniały klucz jest, żeby zrobić ludziom w głowach rewolucję”.

I choć to „Rozmowa” Łony z Bogiem trafiła do przeróżnych „Antologii polskiego hip-hopu”, będąc najczęściej przywoływanym kawalkiem z pierwszej płyty duetu „Koniec żartów” (2001), dużo ciekawsze i szczególnie dziś aktualne są jej autotematyczne wątki. Trwające tygodniami, osiągające wielomilionowe zasięgi oraz pierwsze miejsca w serwisach muzycznych #Hot16Challenge2 pokazało nawet tym, którzy dołączyli do internetowego



Łona (na zdjęciu z prawej) i Webber (z lewej)
z zespołem The Pimps na koncercie w Warszawie,
13 czerwca 2015 r.

łańcuszka w schyłkowym etapie „ostrego cienia mgły”, że polski rap od dawna nie należy do dzieciaków zaciskających pięści. Występujący w nim młodzi, bogaci, znudzeni szybkim hajsem i hajpem faceci świetnie czują rynek i zamiast wbrew systemowi grają dokładnie pod niego.

Jak zauważył 20 lat temu Łona: „Jest taki marketingowy zabieg, zaprosić tyle gości / Żeby wypełnili całą płytę prawie” („Zadnych gości”). Co więcej? „Nie przesadzaj z formą, nieważne jaka treść jest / A najlepiej niech to będzie instrukcja obsługi życia w mieście / Albo song o ilości nieszczęść”. Nie dziwi, że tej wiosny wśród najpopularniejszych króluje tęskniący „za poprzednim logo Reeboka” i „jazdą skuterem przez Wietnam” Quebonafide – oczywiście w duecie z Daria Zawiałow („Bubbletea”).

Czemuż by nie burzę?

Tymczasem nowa, niezwykle gęsta i „bez gości” płyta Łony i Webbera w poszukiwaniu odpowiedniego komentarza do rzeczywistości sięga poza nieprzekraczane dotąd przez „rodzimych rapistów” granice. Zarówno czasowe, przenosząc nas m.in. do tużpowojennego Szczecina, jak i muzyczne – album został wyprodukowany z udziałem żywych instrumentów, na których zagrał zespół Publiczki (ot, wspólnota muzykujących domowników wytwórni Dobrzewiesz).

Fundamentem tego „Śpiewnika domowego” jest zabawa, karnawał, sztuka

uliczna i ludowa, energia towarzysząca wspólnemu świętowaniu. Znajdziemy tu elementy kultury łemkowskiej, bałkańskiej, żydowski big-beat, ale też sambę i wywodzący się z kultury Joruba afrobeat. Każdy z utworów „Śpiewnika” ma swój wyjątkowy, geograficzno-kulturowy kod i melodię oraz rejestr (poza Kabaretem Starszych Panów znajdziemy Bohdana Butenkę i Marka Hłaskę oraz Leopolda Staffa sparowanego ze Stefanem Żeromskim). Wszystkie razem tworzą bogato ilustrowany kulturowy atlas skojarzeń, ale też antologię bardzo osobistych tęsknot.

Już promujący krążek „Nikifor Szczeciński” z teledyskiem Piotra Pauka (Lumpa), jednego z najbardziej rozpoznawalnych streetartowych artystów w Polsce, stanowi ciekawy autotematyczny komentarz do twórczości Łony. Utwór opowiada o znanym szczecinianom ulicznym artyście, który „obszedł system”. Lepiącym swoje prace z gazetowych wycinaków, roślin, zniczy i cegieł – wszystkiego, czym pogardzili inni. „Nikifor” stanowi więc pochwałę ulotnego miejskiego folkloru, którego elementem jest tenże gatunek muzyczny, ale także, jak sądzę, jego konkretnego wcielenia. W końcu Łona, znany z przywiązywania wagi do detali, by opowiedzieć o upływie czasu łapał raczej za szumiący jesienią kaloryfer, niż otwierał podręcznik filozofii.

Pochwała ulicznej wolności umieszczona zostaje na tle rozległej, narodowej

melancholii, nieoczekiwanie bliskiej idei portugalskiego *saudade* – rozumianego jako pogodna kontemplacja przemijania. Ujawnia się ona w prowadzonej w kawałku „No akomodejszon” rozmowie Łony z synem, który porzuca dziecinne klocki, by sięgnąć po mało zabawnego Hłaskę. Ten wybór czy raczej przemiana powraca w kolejnych utworach na płycie jako objaw charakterystycznego dla naszej szerokości geograficznej rozdarcia pomiędzy Wschodem a Zachodem („natura rzeczy tu z natury przewrotna”, bo „skwar na zmianę z depresyjną szarugą”). Wciąż wierzymy – pokazuje Łona – w Polskę radosną, kosmopolityczną, tolerancyjną i trzeźwą, ale pociąga nas także „nurt, ten nurt, co takie ma straszne wiry / Co nas pcha na wschód” i upija („Stop, Nadiu”).

Przez lata symbolem zachodniego stylu życia był dla Polaków hipermarket sprzedający, wedle słów z płyty „Absurd i nonsens”, pięknie opakowaną pustkę. W „Śpiewniku domowym” kolorowe klocki Lego – symbol nowego dostatku, ale też, jak wybrana do niego muzyka, różnorodności – lądują porzucone w „postnordyckiej” szafie. Zabawa przegrywa z przeszłością, ale i jakimś wewnętrznym głosem czy naturą, gdy dorastającego chłopca ciągnie do czegoś, co w tym klimacie wydaje się nieuchronne.

Czy zatem projekt rekonstrukcji mapy narodowych skojarzeń, który miałby budować nową wspólnotę, jest wciąż możliwy? Znajduję odrobinę zwątpienia w świadomości twórców „Śpiewnika”, że linia podziału, która nie pozwala nam się zespolić, przebiega także przez sam podmiot liryczny – „pół na pół tu – raz do buntu stanę / Raz ona [codziennosc] mnie do gruntu kolanem”. Pozostajemy wciąż „mało figlarni, więcej oklapli”, solidarni co najwyżej „w meteopatii”, a więc skupieni na wróżbach, prognozach i sondażach – zainteresowani tym, czy jutro znów „przyżarzy czy przydźdzy”.

Tymczasem pilnie potrzebny jest halny, mocna burza, która nas wyrwie „z bolesnych odrętwień”. Dla „tych wierzb i grusz” – ustalonego porządku skojarzeń i zdarzeń – będzie to znak i czas problemów, dla nas – długo oczekiwana ożywcza dawka tlenu. To może by tak burzę? Tylko – kto? ©P



EMILIA KINA / POTENCJA

KAROLINA JABŁOŃSKA, instalacja na wystawie „Ludzka Rzecz”, Szara Kamienica Fundation, Kraków, listopad 2016 r., obok: „Agresja”, 170x185 cm, olej na płótnie, 2018 r. Poniżej po prawej: **TOMASZ KRĘCICKI** „Minijack”, 130x170 cm, olej na płótnie, 2019 r.

Jest potencjał

PIOTR KOSIEWSKI

W ostatnich latach debiutowała w Polsce grupa wyrazistych młodych malarek i malarzy. Nie doszło jeszcze do pokoleniowej zmiany, ale już można dostrzec jej zapowiedź.

MALARSTWO WRÓCIŁO. WYSTAWA Szwajcarskiej artystki Miriam Cahn w stołecznym Muzeum Sztuki Nowoczesnej była jednym z najważniejszych wydarzeń sezonu, a malarki i malarze młodego pokolenia – często urodzeni w ostatnich latach PRL-u lub tuż po przełomie 1989 r. – przykuwają dzisiaj szczególną uwagę. Przed dekadą głośno było o powrocie do surrealizmu. Potem zaczęto rozpisywać się o zombie formalizmie, malarstwie odwołującym się do rozmaitych form sztuki abstrakcyjnej. Dziś doczekaliśmy się powrotu figuracji. Nie tylko w Polsce.

Jednym z najciekawszych wydarzeń ostatnich miesięcy jest wystawa „Radi-

cal Figures: Painting in the New Millennium” w londyńskiej Whitechapel Gallery. To pierwsza od dawna tak znacząca grupowa manifestacja malarstwa w tej prestiżowej i wyznaczającej nowe tendencje galerii. Z twórczości dziesięciorga zgromadzonych na niej twórców można podobno – jak podkreślają kuratorzy ekspozycji – odczytać ducha dzisiejszych czasów.

Na wystawie znalazły się m.in. obrazy Niemca Daniela Richtera (ur. 1962), o trzy lata od niego młodszej Amerykanki Nicole Eisenman, mieszkającej w Los Angeles Iranki Tali Madani (ur. 1981) i Afroamerykanki Tschabalali Self (ur. 1990), uznawanej za jedną z najciekawszych

malarek najmłodszego pokolenia. Nie łączy ich pokoleniowa przynależność, lecz podejmowanie współczesnych tematów: rasy, płci, seksualności, kwestii społecznych i politycznych. Także – przywiązanie do malarstwa figuratywnego, chociaż postaci w ich obrazach bywają kawałkowane, przekształcane, ulegają deformacji. Łączy ich wreszcie zwrot do narracji i dialog z przeszłością sztuki, od Goi, Delacroixa i Muncha po Willema de Kooninga i Marię Lassnig.

Blisko, bliżej, jeszcze bliżej

Uwagę zaczęło więc przyciągać malarstwo nieuleadzone, brutalne, niejednokrotnie nawiązujące do tradycji ekspresjonistycznej. Twórczość bliska codzienności, reagująca na otaczający świat, wchodząca w dialog z rzeczywistością.

Symbolem tej zmiany w Polsce stała się grupa Potencja, czyli, jak ich określono, malarski *dream team* z Krakowa: Karolina Jabłońska (ur. 1991), Tomasz Kręcicki (ur. 1990) i Cyryl Polaczek (ur. 1989). Szybko też zaczęto ich porównywać z pamiętą Grupą Ładnie, która dla kolejnych roczników artystów pragnących powtórzyć sukces, jaki odnieśli Rafał Bujnow-



POTENCJA

ski, Marcin Maciejowski i Wilhelm Sasnal, stała się niedoścignionym wzorem. Ładnie, jak lubi to podkreślać Wilhelm Sasnal, była „sytuacją towarzyską”. Ważne było samo bycie razem. Po grupie nie zostały więc manifesty czy dzieła.

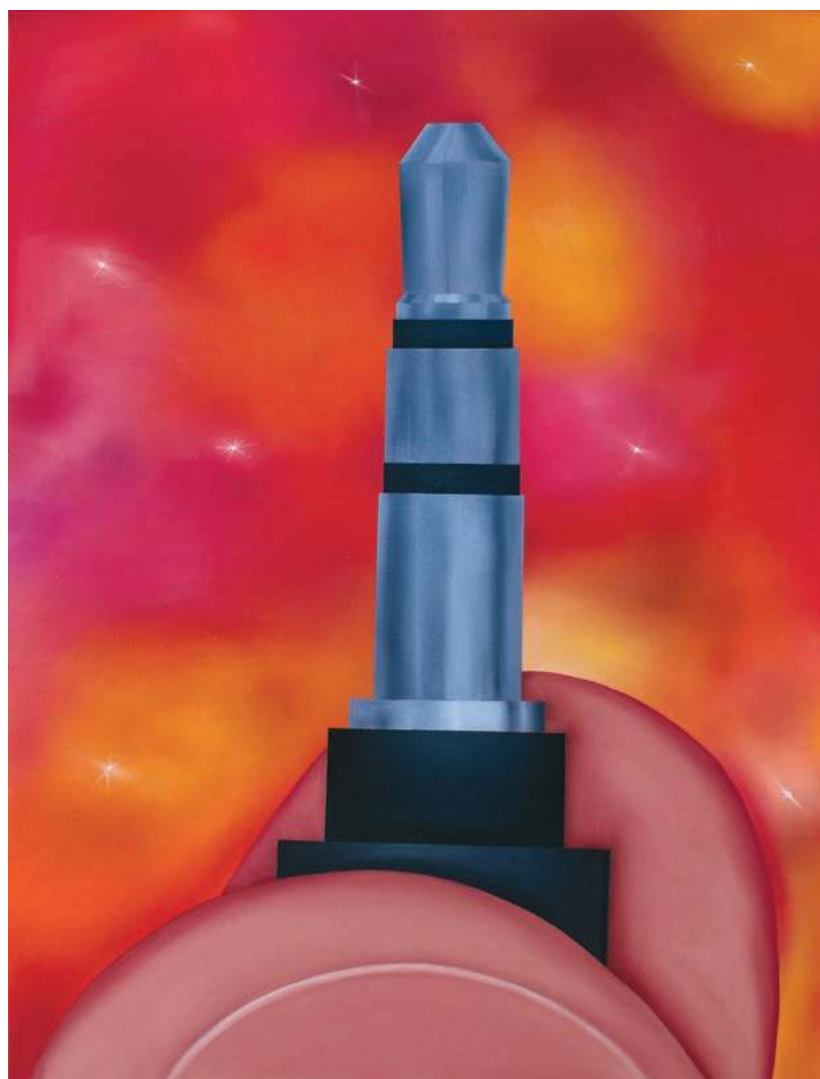
Potencji także nie można sprowadzić do klasycznej grupy artystycznej. Łączy ją wspólnota wykształcenia: cała trójka ukończyła w latach 2014-2015 krakowską ASP. Grupa prezentuje także prace innych artystów swojego pokolenia, prowadzi studio filmowe, kino i wydawnictwo (wydają pismo „Łałok”). Jest pretekstem do „dorealizowania się w kuratorowaniu wystaw, tworzeniu scenografii, rzeźb, obiektów, produkcji filmów, muzyki, aktorstwie etc.” – tłumaczył Cyryl Polaczek w tekście towarzyszącym prezentacji polskiej młodej sztuki na ubiegłorocznym Biennale w Wenecji. Nie czekali, aż zostaną zauważeni przez prywatne i publiczne galerie – sami postanowili się prezentować i promować.

Jabłońską, Kręcickiego i Polaczka łączy pokrewna stylistyka, która ma korzenie nie tylko w różnych historycznych wcieleniach ekspresjonizmu, ale przede wszystkim w pop-arcie. Wspólne są dla nich też sposób kadrowania obrazów i podobieństwo oglądu rzeczywistości. „Podchodzą blisko, bliżej, jeszcze bliżej – są tuż obok przedmiotów, sytuacji, ale przede wszystkim emocji” – zauważył Jakub Banasiak. Jednak każde z nich – i to największa siła Potencji – tworzy malarstwo odrębne.

Polaczek, autor obrazów inspirowanych, jak sam mówi, „chwilowymi błyskami w głowie”, we wczesnych pracach kreował mroczne, tajemnicze światy, na pograniczu abstrakcji i śladów rzeczywistości. Z czasem wprowadził znacznie jaśniejszą kolorystykę i zaczął stosować ostrzejsze uproszczenia. Na jego obrazach można zobaczyć fragmenty ciała – twarzy, oczu, rąk – lub pojedyncze rzeczy.

Kręcicki także z uwagą przygląda się zwykłym przedmiotom i ludziom. Jeszcze w czasie studiów przedstawienia człowieka w niemalże graficznych czy plakatowych ujęciach ograniczał do fragmentów: bioder, palców, dłoni. Owa fragmentaryczność stała się jego znakiem rozpoznawczym. Maluje rzeczy banalne, ale pokazuje je w nieoczywisty sposób.

W pracach Jabłońskiej panuje natłok: ostre zbliżenia, gmatwanina ciał. ➔



POTENCJA



KAROL PALCZAK „Prostytutka”, 70x70 cm, olej na płótnie, Krzywcza, 2017 r.

⇒ Powtarzają się motywy twarzy zbliżających się do pocałunku, ale też krzyczących ust, oczu wpatrzonych w siebie. To obrazy pełne emocji, zdziwienia, przerażenia, bólu. Wiele w nich przedstawień przemocy, której ofiarą przede wszystkim jest kobieta: bita, podduszana, kopana. W kolejnych latach malarstwo Jabłońskiej staje się coraz bardziej drażniące – to zdecydowanie najmocniejszy głos w całej Potencji.

Zbędni

Nie mniej wyraziste są prace Martyny Czech (ur. 1990). Dosadne i brutalne,

jakby tworzone nagłymi zrywami. Malowane ostrymi pociągnięciami pędzla, jakby ostentacyjnie niedbałe. Ciasno kadrowane, czasami urwane, „nie tak przycięte”. „Malarstwo olejne pozwala mi w szybki sposób nadążyć za myślami kłębiącymi się w głowie” – podkreślała w rozmowie z Joanną Glinkowską dla pisma „Miej Miejsce”. I dodawała: „Pracuję do momentu skończenia obrazu, choćby miało to trwać kilkanaście godzin, gdyż w kolejnym dniu mogę nie czuć tego samego. Moje obrazy, choć emocjonalne, są różne: od malowanych w dużym skupieniu po takie, gdzie ekspresja rozsadza

podobrazie”. Czech odtwarza skrajne stany i uczucia: miłość i nienawiść, cierpienie i śmierć. Kobiety są u niej wojownicze, mężczyźni słabi. Jedni i drudzy przerażający. „Nie lubię ludzi, pluję jadem” – deklaruje.

W obszarach pomijanych czy przemilczanych wkracza też Mikołaj Sobczak (ur. 1989). Po studiach zwrócił uwagę swoimi działaniami w performerskim duecie Polen Performance, tworzył filmy wideo. Potem prezentował prace na papierze, by wreszcie zacząć wystawiać płótna. Malowane wyrazistymi kolorami, z ostro zaznaczonym konturem, jakby ich pierwotno-

rami były komiksy. Z postaciami często przerysowanymi, niemalże karykaturalnie. Niejednokrotnie sięga po ikoniczne przedstawienia. W „The Smiths” było to słynne „Kucie kos” Artura Grottgera z cyklu poświęconego powstaniu styczniowemu; miejsce szykujących się do walki mężczyzn zajęły Joanna Duda-Gwiazda, Henryka Krzywonos, Ewa Ossowska, Alina Pienkowska, Anna Walentynowicz i Magdalena Wyszkowska.

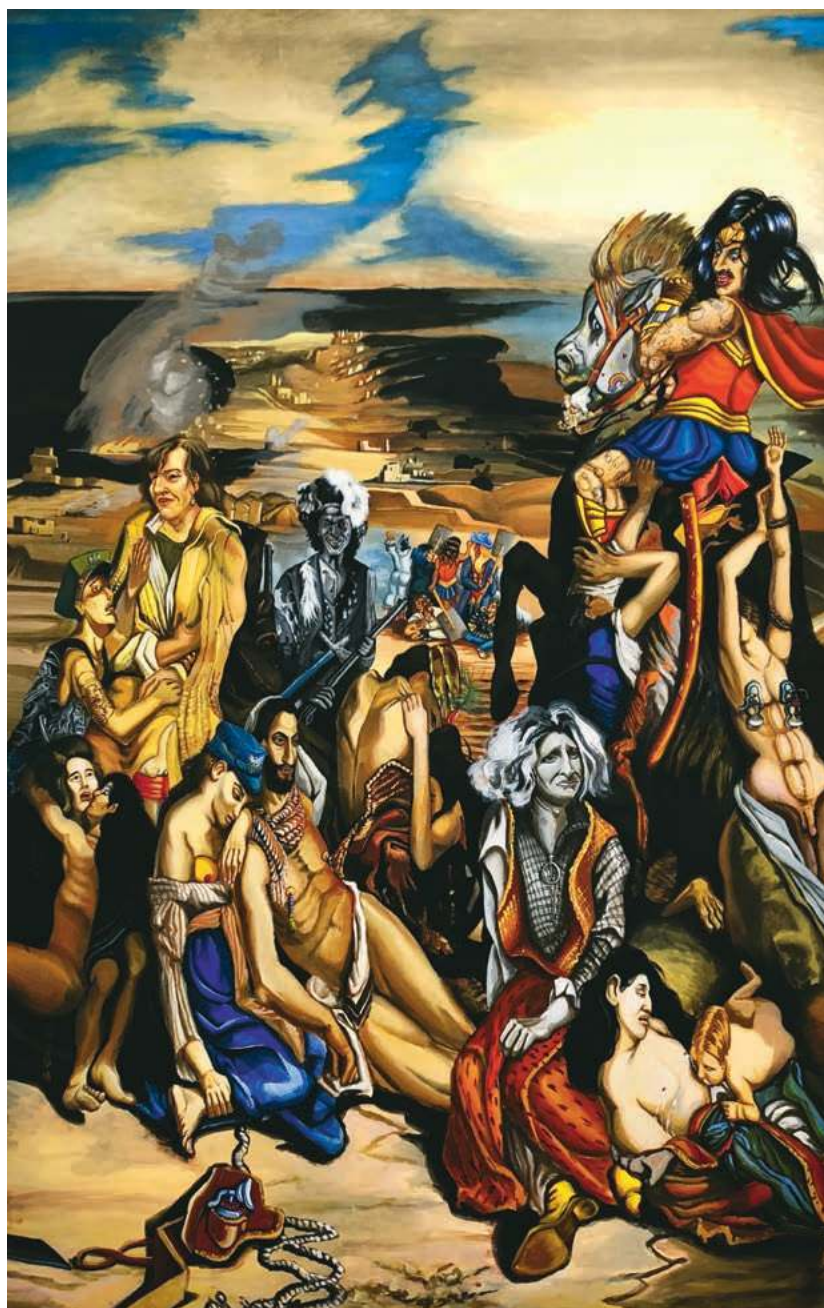
Wykorzystuje dzieła dawnych mistrzów, by opowiedzieć historie ważne z dzisiejszej perspektywy, w których miejsce znajdują dotąd pomijani: kobiety, przedstawiciele mniejszości seksualnych i inni „zbędni” w oficjalnej narracji. „Kategoria przystępności była ważna przy wyborze medium, w jakim moje narracje zostały opowiedziane” – dodaje. Nie przypadkiem rządzący przez wieki wykorzystywali malarstwo figuratywne – ma ono bowiem edukacyjny, ale też propagandowy i polityczny potencjał.

Figury i...

„Coś drgnęło także w samej malarskiej materii” – podkreślał w ubiegłym roku na łamach „Szumu” Piotr Policht. Nie doszło jeszcze do pokoleniowej zmiany, ale można dostrzec jej zapowiedź. Na pewno część młodych roczników odnajduje się w sztuce pełnej emocji, niestroniącej od zaangażowania – jedną z rozmów z Mikołajem Sobczakiem zatytułowano nawet „Z obywatelskiego obowiązku”. Ich twórczość została dostrzeżona, ale też doceniona (prace Martyny Czech i Mikołaja Sobczaka trafiły już do warszawskiego Muzeum Sztuki Nowoczesnej).

Zainteresowanie nimi wpisuje się w trwającą od kilku dekad modę na młodość. Nieustannie poszukuje się przecież nowych nazwisk, postaw, zjawisk. Jednak ograniczenie opisu młodego pokolenia do twórców uprawiających malarstwo figuratywne w ten specyficzny sposób byłoby uproszczeniem. Największym malarskim odkryciem ubiegłego roku był przecież Karol Palczak (ur. 1987).

Obrazy Palczaka wydają się skrajnie tradycyjne, dopracowane w najmniejszych szczegółach, jakby był praprawnikiem wielkich XIX-wiecznych realistów: Jeana-François Milleta, Aleksandra Gierzyńskiego, a nawet Józefa Chełmońskiego. Sam podkreśla, jakie znaczenie mają dla niego dawni mistrzowie. Jednak



MIKOŁAJ SOBCZAK „The Beginning of A State (After The Revolution)”, 183x126 cm, akryl na płótnie, 2018 r. Kolekcja prywatna

jest to malarstwo przefiltrowane przez doświadczenie realizmów ubiegłowiecznych, z zapomnianą dziś trochę twórczością amerykańskich hiperrealistów, przez fotografię i film. Nie ma w nim nic z anachronizmu.

I co istotne – Karol Palczak pokazuje rzeczywistość słabo u nas obecną w sferze publicznej, spychaną na ubocze. W jego niewielkich obrazach na blasze i znacznie większych płótnach można zobaczyć świat polskiej wsi, rodzinnej Krzywcy pod Przemysłem, niezmodyfikowanej, dla której nie ma miejsca w opowieściach o sukcesach naszej transformacji: mło-

dzi chłopcy palą na polu ognisko, dziewczyna czeka przy drodze, rodzina kąpie się w przerebli.

Oczywiście nie wszystkich młodych uwiodło malarstwo figuratywne. Jednak – i to zapewne najważniejsza zmiana ostatnich czasów – malarstwo jest dla nich jednym z oczywistych wyborów. Nie oznacza to jego celebrowania, uznawania za najważniejszą z artystycznych technik. Przeciwnie, często do niego się nie ograniczają. A nawet używają pędzla i płótna (lub innego materiału) z pewną, irytującą niektórych, niefrasobliwością.

© PIOTR KOSIEWSKI

Geniusz w piaskownicy

ZBIGNIEW MENTZEL

Lem i Kołakowski prowadzili ze sobą czterdziestoletnią wojnę. Jej powody, zdaniem niektórych, można nawet odczytać z odmiennych kształtów ich grobowców.

JEST POŁOWA LAT 60. XX WIEKU W POLSCE. Nasza mała stabilizacja. „Nieskończoność – jak w dramacie Tadeusza Różewicza – jest krótsza od nogi Sophii Loren”, „miłość i nienawiść zmniejszyły wymagania”, „metafizyka ma nogi jamnika”, „opoka mięknie i opowiada anegdotki”, „w kościołach mówi się o piekle w sposób oględny”, „głupota przybiera rozmiary normalne”, „hierarchia walczy z prezerwatywami”, „młodzież jest zagadkowa”.

Żyłetki do golenia

Gazeta codzienna „Sztandar Młodych” rozpisuje w 1965 r. ankietę „Ty i rok 2000”. „Za 35 lat będą za nas pracowały maszyny i automaty. Człowiek nie będzie zmuszany do żadnego wysiłku. Świat zostanie opanowany przez technikę (...) Tak naprawdę, w głębi duszy, chyba każdy humanista jest nieprzyjazyń maszynom?” – pyta redakcja profesora Leszka Kołakowskiego.

„Nie, wcale nie – mówi profesor. – Ja bardzo chętnie korzystam z wszelkiego komfortu, który mamy technice do zadziwienia. Żadnej ochoty do życia

w prymitywie, do »ucieczki« od cywilizacji. Maszyna, która ma nas wyręczać nie tylko w fizycznym, ale i umysłowym wysiłku, sama przez się jest dobrodziejstwem. Humanści nie są też chyba w większości przeciwni rozwojowi techniki, ale są zaniepokojeni pewnymi zjawiskami na obszarze psychologii społecznej, stowarzyszonymi z tym procesem”.

W tym samym czasie, ale z innej okazji, Kołakowski zauważa przytomnie, że w PRL „marzenia technologiczne kazały nam rościć sobie, że kiedyś ludzkość wynajdzie takie telefony, z których można bez trudu dzwonić z Warszawy do Pruszkowa, że zbuduje windy działające tygodniami bez zakłóceń, a także klej nada-



jący się do klejenia i żyletki nadające się do golenia”.

Prawdziwa przepaść cywilizacyjna dzieląca nas od świata zachodniego objawia swoją głębię za każdym razem, kiedy – sprawdzając nerwowo, czy na pewno ma w kieszeni paszport – profesor wsiada do samolotu i wysiada z niego w Paryżu, Londynie, cóż dopiero – w Ameryce.

„Spokój, zaufanie. Na każdym lotnisku rzędy kabin telefonicznych pustych i NIE zepsutych, z których dzwoni się automatycznie przez cały kontynent – z Montrealu do Vancouveru czy do Los Angeles,

czy do Meksyku...” – notował Jacek Woźniakowski, któremu szczęśliwie udało się wyjechać do Kanady w roku 1969. „To najmocniejsze chyba wrażenie za oceanem: fantastyczna łatwość przenoszenia się i porozumiewania na ogromną nawet odległość. Po powrocie do Polski usiłowałem przez 40 minut dodzwonić się do centrali międzymiastowej, żeby zamówić błyskawiczną Warszawę. Czekałem na połączenie 3 (słownie trzy) godziny. Czekaając, zabijałem czas lekturą sugestywnie napisanego artykułu, który głosił, że »trzeba mieć serce do komputerów« (...)

Zanim Polskę skomputeryzujemy, należałoby ją nieco stelefonizować”.

W połowie lat 60. marzenie o telefonach, z których można dzwonić, o kleju, który klei, i o żyletkach, które golią, Kołakowski wyraża na łamach miesięcznika „Twórczość” w obszernej recenzji z książki Stanisława Lema „Summa technologiae”. Książka, pisze, jest „znakomita”, „to prawdziwa perła literatury trudniejszej się filozofią techniki”, tym bardziej więc zasługuje na krytyczną uwagę. Zauważając, że sam jej tytuł, dzięki zamierzonym skojarzeniom filozoficznym zawiera „pewien pomysł zwodniczy”; wskazując fragmenty, które go „znicięripliły”; wyznając, iż dzieli z Lemem jego niepokoje, ale „nie dzieli zupełnie jego diagnozy”, Kołakowski z pewnością nie może przypuszczać, że prowokuje polemikę, która monstrualnie rozciągnie się w czasie. Ostatnio badacze tej „wojny czterdziestoletniej” w świetle sporu między Kołakowskim i Lemem opisywali nawet... odmienny „wystrój ich grobowców”.

Rzeź niewiniątek

Kołakowski zaczyna wojnę anegdotą o chłopcu w piaskownicy, który swoją łopatką zamierza przebić kulę ziemską i dokopać się z Polski na dno Pacyfiku. Chłopiec jest naiwny, ale dla zapatrzonych weń rodziców może mieć zadatki na geniusza: fantazję, śmiałe pomysły, wielką ambicję. Opowieść o dziecku, z którego nie wiadomo co wyrośnie – metafora i karykatura technokratycznej utopii – nie jest, zaznacza Kołakowski, krytyką „fantazjujących” dorosłych, o ile tylko nie wychodzą oni z założenia, że z czasem *w s z y s t k o* będzie można zrobić, i nie przestają odróżniać rzeczowych informacji od fantastycznych pomysłów. Takich np. jak przewidywane przez Lema powstanie wirtualnego świata, fantomatyki „całkowicie nieodróżnialnej subiektywnie od rzeczywistości”.

Dla Kołakowskiego Lem jest „wybitnym ideologiem scjentystycznej technokracji, to znaczy człowiekiem przeświadczonym, że nie istnieje taki realny problem ludzki, który zasadniczo nie dałby się rozwiązać za pomocą środków technologicznych”. Stanowisko nie do obalenia, jeśli za „realne” uznaje się tylko problemy mające szanse empirycznego rozstrzygnięcia (w przypadku pytań naukowych) lub szanse rozwiązania →



→ technicznego (w przypadku zadań praktycznych).

„Dlatego też Lem – wywodzi Kołakowski – zgodnie z tradycją scjentystyczną, bez trudu ruguje pytania metafizyczne z nauki i ruguje je z życia”. Dostrzega wprawdzie psychologiczne korzyści niektórych niesprawdzalnych spekulacji, zwłaszcza praktyczne zalety wiary, jej funkcję kompensacyjną w życiu człowieka, ale przecież „wiara, której czysto instrumentalne wartości są doskonale znane wierzącemu, znika, oczywiście, jako wiara: niepodobna »postanowić sobie« wiary jako pożytecznego narzędzia i żywić przy tym wiarę autentyczną”.

Osiągnięcia technologiczne rodzą problemy, których każde rozstrzygnięcie będzie, zdaniem Kołakowskiego, wymagało „apelacji do pewnych wartości uznanych za fundamentalne i nieinstrumentalne”, a więc właśnie do założeń metafizycznych. Skoro Lem przewiduje np. powstanie maszyn wydających optymalne decyzje w kwestiach najogólniejszych, takich jak przetrwanie gatunku ludzkiego, nic nie stanie na przeszkodzie, aby taką maszynę zapytać, czy z tego względu „w skali najbliższego miliona lat mordowanie ułomnych niemowląt jest czy nie jest korzystne?”.

Odpowiedź przecząca, do jakiej zdaje się skłaniać Lem, musi być oparta na wartościach niewarunkowych, nieinstrumentalnych, musi zatem mieć charakter metafizyczny i dzielić z niesprawdzalnymi spekulacjami „piętnowaną przez Lema szkodliwość społeczną: jest przecież wielce prawdopodobne, że utrzymywanie przy życiu ułomnych niemowląt przyczynia się w skali społecznej do pomnożenia głodu, cierpienia, obniżania standardu biologicznego gatunku i w ogólności przeciwdziała stanowczo Benthamowskiej zasadzie »największego dobra«, na którą Lem powołuje się bez zastrzeżeń, jak gdyby jej totalna jałowość nie była od niepamiętnych czasów dobrze wykazywana”.

W książce Lema szczególnie „zniecierpliwil” Kołakowskiego rozdział ostatni, w którym autor zastanawia się nad perspektywami sztuki (zwłaszcza literatury) w epoce zaawansowanej technologii, prezentując na ten temat przypuszczenia bardzo pesymistyczne.

Rozwój nauki, przede wszystkim współczesnej psychologii i neurofizjologii odwołującej się do schematów cyber-



DANUTA B. ŁOMACZEWSKA / EAST NEWS

LESZEK KOŁAKOWSKI:

Lem zgodnie z tradycją
scjentystyczną,
bez trudu ruguje pytania
metafizyczne z nauki
i ruguje je z życia.

netycznych, powoduje, zdaniem Lema, destrukcję „tajemnicy człowieka”, którą żywi się literatura. Skoro wszystkie, na pozór irracjonalne zachowania ludzkie dają się wyjaśnić w terminach naukowych, pisanie powieści traci sens. „Zbrodnię i karę” czytać musimy, ziewając z nudów, bo Dostojewski nie umie nam powiedzieć, jakie dokładnie procesy zachodzące w neuronach Raskolnikowa zmusiły go do zabójstwa starej lichwiarki i zracjonalizowania swojej zbrodni, co nauka współczesna wytłumaczyć potrafi.

Co do tej kwestii Kołakowski ma zdanie całkowicie odmienne i w polemice z Lemem wyraża je dobitnie: „Pokarmem literatury nie jest tajemnica. Pokarmem literatury jest zdumiewająca wielorakość ludzkiej nędzy”.

Nie ta Greta Garbo

O tym, jak bardzo Lem przejął się krytycznymi uwagami Kołakowskiego, najlepiej chyba świadczy fakt, że z drugiego wydania „Summy...” w roku 1967 usunął rozdział ostatni „Sztuka i technologia” i nie przywrócił go już w kolejnych czterech wznowieniach książki, które ukazały się za jego życia. Z Kołakowskim wymienia wprawdzie kilka listów pełnych kurtuazji, ale bolesna recenzja nie daje mu spokoju, wielokrotnie ją rozpamiętuje, podejrzewa, że recenzent chciał go ośmieszyć

(on, Lem, porównany do chłopca w piaskownicy!), i najwyraźniej sposobi się do polemicznego odwetu, ale polemikę jeszcze odkłada, bo po wyjeździe Kołakowskiego z Polski w 1968 r. nie chce, aby jego głos zabrzmiał w chórze miernot szkalujących filozofa z powodów politycznych.

W wielu późniejszych książkach, esejach czy wywiadach Lem, nie szczędząc Kołakowskiemu różnych złośliwości, podkreślać będzie, że porusza się w zupełnie innej galaktyce umysłowej niż jego adwersarz, a pięć lat przed śmiercią powie, że ich dialog dawno przestał być możliwy, choćby z tego względu, iż Kołakowski... uwierzył w Boga.

„[Leszków Kołakowskich jest przecież] dwóch: ten sprzed i ten po konwersji na katolicyzm. Nie interesuje mnie rozmowa z żadnym z nich. On przecież lekceważy wszystko, co pachnie (...) nauką. Przebywa w świecie Spinozy, rozmaitych mistyków i ma własną wykładnię chrześcijaństwa, która mnie nie interesuje ani w jego, ani w niczym innym wydaniu”.

W 1991 r., na łamach czasopisma „Wiedza i Życie” Lem ogłasza duży artykuł, zatytułowany „Trzydzieści lat później”, zarzucając Kołakowskiemu, że w swoich „Pismach rozproszonych” wydanych w 1988 r. przedrukował onegdajszą recenzję z „Summy technologiae” (prawdę mówiąc, ja go do tego skłoniłem) bez żadnych zmian i nigdy nie odwołał słów „teraz w oczywisty sposób nieprawomocnych i całkowicie błędnych”, które podważały jego (tj. Lema) wiarygodność jako futurologa. Artykuł nie był repliką na całą recenzję, tylko, jak sprecyzuje Kołakowski w swojej replice na replikę, „na sześć słów z teje recenzji, włączając przymek”. Chodzi o powstanie owej „fantomatyki... całkowicie nieodróżnialnej subiektywnie od rzeczywistości”.

To, co Kołakowski w roku 1964 uznał za „bajkę”, okazało się – triumfuje Lem – niezbitym faktem. Fantomatyka powstała i błyskawicznie się rozwija, komputerowe maszyny stwarzające iluzję doskonałą są już do kupienia; Lem przywołuje nawet cenniki różnych akcesoriów, które szczęśliwym nabywcom pozwalają przenieść się do świata fikcji nieodróżnialnego od zwykłej rzeczywistości (hełmy wyposażone w elektrody, rękawice opatrzone sensorami i „nadymanymi poduszeczkami” etc.).

Co może przeżywać człowiek podłączony do fantomatu? „Wszystko – twier-

dzi Lem. – Może wspinać się na ściany alpejskie, wędrować bez skafandra i maski tlenowej po Księżycu, zdobywać (...) północny biegun. Może też czuć, jak wyrastają mu olbrzymie orle skrzydła, latać albo znów stać się rybą i pędzić życie wśród raf koralowych; jako ogromny żarłacz mknąć z otwartą paszczą na stada ofiar, ba! porywać kąpiących się ludzi, zjadać ich ze smakiem i trawić w spokojnym zakątku podwodnej swojej pieczary” – komputer dostarczy mu niezbędnych do tego zmysłowych doznań i, na zasadzie sprzężenia zwrotnego, reagować będzie na zachowanie użytkownika. Lem zaznacza, że jego zainteresowania nie obejmują „komputeryzacji haremowej, ani w jakikolwiek sposób wyuzdanej”, przewiduje natomiast wielki na nią popyt.

Czy współczesne fantomaty naprawdę dają iluzję doskonałą? – zastanawia się w 1991 r. Kołakowski. Lem nie mówi, czy z tych urządzeń korzystał. „Dowód zaś jego główny – prócz informacji, że książkę Monako już zabawiał się w iluzjonie (...) – polega na tym, że kierowcom ćwiczącym się na symulatorach nie wolno (>kategorycznie<) przez pół godziny po seansie prowadzić samochodu; widocznie więc mają silne wrażenie autentyczności”.

Sam Lem zauważa jednak, że ta autentyczność nie jest zupełna. Pod władzą aparatu nie znajdują się treści przeżyć, emocji i wierzeń człowieka, który z niego korzysta. „Ponadto aparat nie zmienia pamięci, nie może zatem spowodować, by użytkownik po prostu zapomniał, że przed chwilą przyszedł na swoją rozrywkę, że mu założono hełm, maskę, rękawice itd., że więc jednak fikcją jest, co widzi, choćby sprawnie skonstruowaną”. Przyjdzie zatem poczekać, konkluduje Kołakowski, nim każdy będzie mógł na przykład „urządzić sobie seans erotyczny z młodą Gretą Garbo i w ogóle przy tym nie zauważyć, że »coś tu jednak jest nie tak«”.

„Nie od razu Kraków zbudowano” – przypomina z kolei Lem, nie kryjąc, że na drodze rozwoju technologii ciągle jeszcze piętrzą się trudności, niemożliwe na razie do przezwyciężenia, a związane np. z imitowaniem przez fantomaty rozumnych interlokutorów. Gdyby Kołakowski (to już moja, nie Lema uwaga) zapragnął posłuchać, o czym w 1672 r. Spinoza rozmawiał z Leibnizem i samemu wziąć w tej rozmowie udział, fantomat, który miałby to jego – prawdziwe, jak skądinąd



LUCIAN FOGIEL / EAST NEWS

STANISŁAW LEM:

Kołakowskich jest dwóch.
Nie interesuje mnie rozmowa
z żadnym z nich.
On lekceważy wszystko,
co pachnie nauką.

wiemy – marzenie spełnić, musiałby dysponować „złożonością, a więc i inteligencją dorównującą rozumowi człowieka genialnego”.

Bez znieczulenia

Czy taki poziom technologiczny zostanie kiedykolwiek osiągnięty? Przypomnijmy: trafność swoich prognoz co do rozwoju iluzjonistyki doskonałej Lem mógł potwierdzić 30 lat po nazwaniu ich przez Kołakowskiego fantazjami rodem z powieści *science fiction*.

Od tamtej pory minęło jednak kolejnych lat 30 i rozwój technologii znacznie przyspieszył. Zgodnie z tzw. prawem Moore’a, sformułowanym w 1965 r. i nieco później zaktualizowanym, moc komputerów podwaja się co dwa lata. Pół wieku temu łączna moc obliczeniowa komputerów z całego świata była miliony razy mniejsza niż moc obliczeniowa dowolnego smartfona, którym się posługujemy. Chociaż uczonym ówczesne komputery wydawały się potężne – mogły przecież przeprowadzać skomplikowane obliczenia tysiące razy szybciej niż ludzie – to późniejsze doświadczenie pokazało, że ich możliwości były ułamkiem ułamka promila tej mocy, która jest konieczna do tworzenia sztucznej inteligencji mogącej dzisiaj w jakichś dziedzinach konkurować z człowiekiem.

W 2018 r. koncern IBM zaprezentował możliwości programu do dyskusowania z ludźmi, nazwanego Watson Debater, którego przygotowanie zajęło sześć lat. Dowiadujemy się, że „wziął on udział w dyskusjach z dwoma zawodowymi dyskutantami i nie znał wcześniej ich tematów (czy subsydiować eksplorację kosmosu i czy zwiększyć zakres telemedycyny). Informacje czerpał z internetu, wypowiedzi przeciwników zmieniał z głosu na tekst pisany i w ten sposób mógł je analizować (...) Samo to, że program sztucznej inteligencji był w stanie »zrozumieć« temat, zgromadzić informacje, przedstawić je w »ludzki« sposób, jest niezwykle osiągnięciem, nawet jeśli jego zdolność perswazyjna jest gorsza od naszej”.

Oczywiście również maszyny takie jak Watson Debater niedługo trafią do technologicznego lamusa. Aż takiego postępu w rozwoju technologii nie przewidywał nie tylko Kołakowski, ale nawet Lem. Rzecz w tym jednak, że istotą polemicznych uwag, jakie recenzent „Summy technologiae” zgłosił pod adresem jej autora, nie była zdolność prognozowania tempa postępu technologicznego, w szczególności rozwoju „fantomatyki... całkowicie nieodróżnialnej subiektywnie od rzeczywistości”. Kołakowskiemu chodziło przede wszystkim o to, czy owa fantomatyka w jakikolwiek sposób zmieni status człowieka chcącego zrozumieć świat i odnaleźć sens swojego życia, chodziło mu o stosunek społeczny do technologii i o sposób korzystania z jej wyników, ostatecznie więc chodziło mu o problemy metafizyczne, nie zaś naukowe. O takich problemach Lem dyskutować zasadniczo nie zamierzał.

Sądzić można, że aparaty do wytwarzania iluzji doskonałej Kołakowski uznawał za „urządzenia protetyczne”, „znieczulające”. W „Obecności mitu” podkreślił, iż nic nie jest mu bardziej obce aniżeli utopia rajskiego „stanu naturalnego” w jakiegokolwiek dziedzinie życia. Niepokoją go jednak wszelkie formy ucieczki od „zdumiewającej wielorakości ludzkiej nędzy”.

Marzenia o wspaniałych przeżyciach erotycznych w fantomacie, które hojnie wynagrodzą brak prawdziwej miłości, mogą być według Kołakowskiego – podobnie jak lęk przed odrzuceniem, niedocenieniem, niespełnieniem – objawami „tego samego zjawiska: utraty →

→ naszej umiejętności stawienia czoła życiu; utraty narzędzi, za pomocą których pojedynczy człowiek może, z własnych zasobów duchowych, przywracać sobie równowagę w obliczu klęsk i cierpień; wzrastającej zależności od skomplikowanego systemu instrumentów, z zewnątrz regulujących zaburzoną homeostazę psychiczną”.

Nie wydaje się, aby Lem miał rację, utrzymując, że Kołakowski „lekceważył wszystko, co pachnie nauką”. Przeciwnie, postawę ludzi wobec nauki traktuje bardzo serio.

Materiał na Nobla

Lem, jak wspomniałem, nie szczędził Kołakowskiemu złośliwości, pisząc np., że choć swój światopogląd zmieniał on „slalomowo”, „całkowicie błędnego” zdania, jakie miał na temat wizjonerstwa Lema, zmienić nie potrafił. Polemikę z Lemem sam Kołakowski skończył w sposób równie, a może nawet bardziej złośliwy.

Od poczucia niespełnienia, a raczej niedoceny przez innych, nie są wolni, jak wiadomo, nawet wybitni pisarze. „Dowiadujemy się od Lema, że można sobie fantomatycznie zafundować Nagrodę Nobla – przykład w [jego] artykule trzy razy wspomniany (...). Na pewno aparat tak zaprogramowany, by każdy mógł sobie odebrać dyplom i emolumenty w Sztokholmie, byłby mile widziany przez liczną dosyć kategorię niedocenionych, żal swój nad niewdzięcznością świata obnoszących. Lecz nie mogą oni zapomnieć, gdy tak sobie elektrody na głowę założą, że to jednak nie naprawdę, a jeśli mogą, to tylko na chwilę, właśnie jak w kinie: dobre i to. *Vanitati creatura est subiecta*, mówi Pismo; próżność jest powszechna, ale sztuka próżności na tym polega, by ją uniewidocznić; nie jest to trudne, wymaga tylko nieco poczucia śmieszności”.

Miewają takie poczucie dzieci, choć – nie zawsze. Chłopiec w piaskownicy, porzuciwszy swoją łopatkę, może bawić się w wojnę i bardzo złościć, że koledzy nie chcą go mianować generałem brygady albo marszałkiem.

© ZBIGNIEW MENTZEL

Artykuł znajdzie się w biografii „Kołakowski. Czytanie świata”, która ukaze się jesienią nakładem wydawnictwa ZNAK.



Mohammad Valizadegan (żołnierz Javat) i Mahtab Servati (jako jego narzeczona Nana) w filmie „Zło nie istnieje”

Władza to słowo „nie”

ANITA PIOTROWSKA

„Zło nie istnieje” jest opowieścią o ludziach tłamszonych przez rządzących, ale i o tym, jaka może być cena indywidualnego wyboru w totalitarnym państwie.

KIEDY TRZY MIESIĄCE TEMU PODCZAS finałowej gali Berlinale przewodniczący jury Jeremy Irons ogłosił werdykt, kamery skupiły się na żywiołowych reakcjach ekipy z Iranu. Ten widok cieszył i jednocześnie łamał serca. Aktorki, aktorzy, producenci płakali bowiem nie tylko ze szczęścia. Również dlatego, że Mohammad Rasoulof, reżyser i scenarzysta nagrodzonego Złotym Niedźwiedziem filmu, nie mógł być wtedy z nimi.

Irańskie władze odmówiły mu wydania paszportu z powodu ciężącego na nim wyroku za działalność antypaństwową. Ów dokument pojawia się zresztą w scenariuszu jako karta przetargowa. „Zło nie istnieje” jest opowieścią o ludziach tłamszonych przez władzę, ale i o tym, jaka może być cena indywidualnego wyboru w totalitarnym państwie.

Porównywanie sytuacji w Iranie do czasów PRL-u uważa się za nadużycie,

lecz w filmach Rasoulofa („Rękopisy nie płoną”, „Uczciwy człowiek”) czuje się pokrewieństwo z naszym kinem moralnego niepokoju – świadome lub nie, ze wszystkimi osiągnięciami i ograniczeniami tego nurtu. Jednak najnowszy tytuł, aż dwupółgodzinny, podzielony na cztery oddzielne, choć zazębiające się nowele, przynosi dylematy, które odzywają nie tylko tam, gdzie mamy do czynienia z autorytarnymi rządami.

Czy dobro rodziny jest ważniejsze niż przyzwoitość? Czy można sobie kupić niewinność? Gdzie przebiega granica między konstruktywnym buntem a samozatraceniem? Irański filmowiec-dysydent stawia te sprawy na ostrzu brzozy, albowiem „Zło...” krąży wokół zagadnienia kary śmierci. Perfidia systemu polega na tym, że naciśnięcie przycisku zapadni podczas egzekucji wykonują nie tylko profesjonalni kaci, ale także młodzi rekruci. Niewykonanie rozkazu oznacza represję: przedłużenie

służby wojskowej, pozbawienie prawa jazdy, zawodowej licencji czy wreszcie – paszportu. Nawet chcąc uciec z kraju, trzeba się najpierw mocno ubrudzić.

Rasoulof konstruuje etyczne zagwozдки z udziałem przedstawicieli różnych grup społecznych. W pierwszej nowelce czujemy się trochę jak w filmie rumuńskiej Nowej Fali. Obserwowana z dystansu krzątanina rodziny z teherańskiej klasy średniej – zakupy w hipermarkecie, odbieranie dziecka ze szkoły, wspólna pizza w restauracji – podczas nocnego finału odkrywa szokujący rewers tej nudnej normalności. Słynne powiedzenie Stefana Kisielewskiego o urządzaniu się w sytuacji beznadziejnej pasowałoby tu jak ulał, gdyby nie fakt, że chodzi o życie ludzkie w sensie ścisłym. I że banalni funkcjonariusze opresyjnych systemów zawsze znajdują racjonalne wytłumaczenia. Bywają wszak przykładnymi obywatelami, którzy dbają o starych rodziców, ratują kotki i pomagają żonom przy farbowaniu włosów.

„Twoja władza to słowo »nie«” – słyszymy w innej noweli z ust intelektualisty, który żyje na emigracji wewnętrznej. Rasoulof dramatyzuje i radykalizuje te sytuacje, w których powiedzenie tego „nie” staje się aktem zgoła samobójczym. Największą jednak grozą przeszywa właśnie pierwsza z opowiadanych historii, w której ktoś świadomie i dobrowolnie stanął po ciemnej stronie mocy. Inspiracją dla tego wątku był moment, w którym Rasoulof jeżdżąc autem po Teheranie rozpoznał w szarym człowieku wychodzącym z banku brutalnego oficera śledczego, który go kiedyś przesłuchiwał.

„Zło nie istnieje” sięga po różne perspektywy i różne języki filmowe, tempa i nastroje, by jeszcze bardziej spopularyzować zachowania swoich bohaterów. Historia, w której rekrut wyznaczony do egzekucji musi zmierzyć się z podwójnym szantażem moralnym, zamienia się w ostre, desperackie kino akcji, aczkolwiek z ironicznym baśniowym finałem. W noweli pod tytułem „Urodziny” historia miłosna zostaje zatruta przez czyjś konformizm i czyjaś śmierć, skazując narzeczonych na wieczne obcowanie z duchem.

W ostatnim rozdziale pozornie tele-nowelowa intryga z wątkiem emigrancim, której bohaterem jest zdegradowany lekarz z górzystej prowincji, uka-

zuje tragiczną cenę bohaterstwa, doświadczaną potem przez młodsze pokolenie. Chociaż zróżnicowani klasowo i wiekowo, poszczególni bohaterowie stają się wariantami postaci z innej historii, podejmując odmienne decyzje i ponosząc odmienne ich konsekwencje.

Można zapytać, czy wewnętrzne konflikty, tak ostro zarysowane w irańskim filmie, nie są zbyt wypreparowane z życia, w myśl nośnego politycznie manifestu. Czy wieszony w bagażniku wór z zakładowym przydziałem ryżu musi tak bardzo przypominać ludzkie zwłoki? Rasoulof nie ukrywa, że chciał maksymalnie uwypuklić napięcie między moralną odpowiedzialnością a uczuciami wobec bliskich, między wyznawanymi ideałami a praktycznym wymiarem troski o innych. Jego film powstawał w warunkach półkonspiracyjnych, bo reżyser, podobnie jak Jafar Panahi, miał zakaz wykonywania zawodu, nadal nie może opuszczać kraju i grozi mu więzienie.

W ostatniej noweli mężczyzna, który podążył ongiś za swym sumieniem, wskutek czego nie zrobił kariery lekarskiej i został pszczelarzem, przyjmuje w swoim wiejskim domu bratanicę z Niemiec. Gra ją młodziutka Baran Rasoulof, córka reżysera, która mieszka na co dzień w Hamburgu, i to właśnie ona w imieniu ojca odbierała złotą statuetkę podczas gali w Berlinie Palast. Jego nieobecność na scenie nabiera w kontekście filmu jeszcze mocniejszej wymowy, podobnie jak i sam film w kontekście tego, jakie prywatne doświadczenia twórców za nim stoją.

W pewnym momencie słyszymy z ekranu „Bella ciao”, pieśń włoskich partyzantów, ponadczasowy symbol buntu. Przypomniat o niej niedawno hiszpański serial „Dom z papieru”, a ostatnio popłynęła z minaretów zhakowanych w tureckim Izmirze, co przez władzę zostało uznane za prowokację. Okazuje się, że piosenka, film czy wiersz mogą mieć jeszcze wpływ na ten świat. ©

ZŁO NIE ISTNIEJE (*Sheytân vojûd nadârad*) – reż. Mohammad Rasoulof. Prod. Iran/Niemcy/Czechy 2020. Film jest pokazywany w ramach internetowego festiwalu „Wiosna Filmów” na platformie MOJEEKINO.PL. Najbliższy pokaz 6 czerwca. Data premiery kinowej nie jest jeszcze znana.

WARTO ZOBACZYĆ

1. PJ Harvey. A Dog Called Money



Dokumentalny, reż. Seamus Murphy, Irlandia/Wielka Brytania/USA 2019, Canal+ Dokument, 7 VI, 1.15

Warto zaprogramować nagrywarke, by obejrzeć dokumentalną opowieść o jednej z najbardziej elektryzujących wokalistek ostatnich dekad. Przed nami dokumentalne kino drogi, w którym poznajemy także wewnętrzny pejzaż artystki. Jej podróż znajduje finał w studiu nagraniowym, gdzie PJ Harvey przetwarza swoje doświadczenia na dźwięki i słowa.

2. Arthur Miller: pisarz



Dokumentalny, reż. Rebecca Miller, USA 2017, HBO GO Córka amerykańskiego dramaturga stworzyła filmowy portret ojca.

Dzięki bliskiej relacji z bohaterem udało się jej wyjść poza zwyczajowe klisze – sławnego pisarza, ofiary politycznej nagonki z czasów McCarthy'ego, męża Marilyn Monroe. Twórcę „Śmierci komiwojażera” oglądamy więc w kapciach czy w przydomowej stolarni, ale przede wszystkim słuchamy jego wyznań.

3. Ostatni taniec



Serial dokumentalny, reż. Jason Hehir, USA 2020, Netflix Rozpisany na dziesięć rozdziałów sportowy poemat heroiczny

ekscytuje nie tylko fanów koszykówki czy Chicago Bulls. Przedstawione w filmie rozgrywki porównuje się do starć olimpijskich bóstw z gromowładnym Michaellem Jordanem na czele. Dokument, okraszony nieznany materiałami archiwalnymi, pokazuje też, co zostało z uczyty bogów.

4. Błąd systemu



Dramat, reż. Nora Fingscheidt, Niemcy 2019, vod.pl To film o niewydolności ludzi i instytucji, które zostały powołane, by

pomagać traumatyzowanemu dziecku. Dziewięcioletnia bohaterka, mimo najlepszych intencji jej opiekunów i terapeutów, pozostaje przypadkiem beznadziejnym. Może jednak należałoby odłożyć na bok postępowe teorie i po prostu wsłuchać się w krzyk małej Benni?

JAN

Klata:

Zakładnicy zakładek



MÓWI SIĘ, ŻE MIŁOŚCIWIE NAM PANUJĄCA władza władzy nadużywa, kpiąc sobie w żywe oczy. Mnoży się przy tym przykłady, które mają na celu zbulwersowanie suwerena, zwłaszcza ostatnio, kiedy suweren powinien mieć święty spokój, żeby móc właściwie oddać głos. Suweren, zamiast właściwie oddać głos, męczony jest kupletami i pomówieniami. Hańba! Oto ludzie, którzy uratowali nas przed pandemią, nie mogą spokojnie sobie nakupić maseczek czy respiratorów, pojechać na cmentarz, pójść do restauracji! Odmawia im się prawa do koncertowego uczczenia matek w ich dniu, a przecież Dzień Matki jest tylko jeden i zasługuje na telewizyjny performans...

Chciałbym na szacownych łamach stanowczo odciąć się od tej kreciej roboty, mnożonej mrówczą pracą stymulowaną przez kraczące wraże ośrodki. Wiadomo, kiedy słupki spadają, na pochyłe drzewo każda koza skacze, ale ja nie gęś i swe pióro mam, krzepko dzierzę w dłoni, zasłonię własną

klata przed falą hejtu i będę pisał. Nie mogę milczeć – milczeć znaczy przyzwalać – więc głośno daję odpór sypiącym się wsząd kalumniom.

Mówi się, że z 200 mln zł wydawanych przez nas rocznie na dobrostan pary prezydenckiej sporo pary idzie w gwizdek... Hola, hola, weto! Nie idzie w gwizdek, sugerowanie, że ktoś z obozu władzy coś gwizdnął, jest nie fair, po prostu, wobec ludzi, którzy – powtórzę – uratowali nas przed pandemią! Podobno na poprzedniego prezydenta rocznie szło kilkadziesiąt milionów mniej. Może i tak, ale nie bądźmy małostkowi, ten prezydent jest jeszcze lepszy, więc warto dołożyć, żeby nas godnie reprezentował, majestatycznie, na tym nie wolno oszczędzać, zwłaszcza że ten walczy z pandemią, a tamten nie walczył.

Ludzie zachodzą w głowę, po co wydawać 38 tys. zł rocznie na zakładki do książek. Ludzie, to już poczytać nie wolno? To prawda, można mnóstwo sobie pozakładać za te pieniądze, ale ja głęboko wierzę, że prezydent Duda zrobił to godnie, że sobie gęsto powtykał zakładki, a co nie powtykał, to rozdał potrzebującym, i że te zakładki zaprocentują i jemu, i nam, żebyśmy mogli zacząć nowy rozdział.

A apaszki? Na szereg apaszek prezydenckich poszło w 2018 r. 18 tys. zł... No i dobrze! Wara od apaszek. Apaszki to symbol. Czego? Wiem, ale nie powiem, nie mogę jeszcze ujawnić, bo gdybym wyjawiał, nic nie byłoby takie, jak przedtem, więc lepiej poczekać. Powstaje w tej sprawie ekspercki raport. Prace trwają. Jesteśmy coraz bliżej prawdy. ©

Lektor:

Raport z pułapki



■ **Mihail Sebastian**
OD DWÓCH TYSIĘCY LAT
Z języka rumuńskiego
przełożył Dominik Małecki.
Książkowe Klimaty,
Wrocław 2020, ss. 336.

PROZAIK I DRAMATURG URODZONY W 1907 r., był jednym z plejady rumuńskich intelektualistów lat 30. minionego wieku. Mircea Eliade, Emil Cioran, Eugen Ionescu (czyli Eugène Ionesco), Constantin Noica należeli do kręgu jego przyjaciół. Zginął tuż po zakończeniu II wojny, potrącony przez sowiecką ciężarówkę wojskową. Jego dziennik z lat 1935–1944, którego manuskrypt przeszmuglowano z komunistycznej Rumunii na Zachód w 1961 r. i opu-

blikowano dopiero 35 lat później (polskie tłumaczenie ukazało się w 2006 r. nakładem Pogranicza), jest książką wybitną i niezwykłym świadectwem. O powieści „Od dwóch tysięcy lat” można powiedzieć to samo. Sebastian był pisarzem rumuńskim – i Żydem. Podobnie jak Eliade zafascynowany charyzmatyczną postacią filozofa Nae Ionescu (1890–1940, zbieżność nazwisk z Eugenem przy-

się z faktem, że jego mistrz skręca coraz bardziej na prawo, a postulat odnowy duchowej narodu łączy z fascynacją faszyzmem i rosnącym antysemityzmem. Sebastian zrobił to w sposób osobliwy: poprosił Nae Ionescu o przedmowę do swojej książki, której narratorem jest młody rumuński Żyd.

Wydana w 1934 r., stanowi studium samotności i wyobcowania, a zarazem przerażający portret świata rządzonego przez uprzedzenia i ideologie. Niezgoda na jakąkolwiek narzuconą tożsamość, niechęć zarówno do tradycji getta (czy raczej sztetla), jak i do idei syjonistycznej nie chroni przed prześladowaniami. Sceny antysemickich burd na uniwersytecie są oszczędne, ale dostatecznie wyraziste. Mechanizm wykluczenia działa niezależnie od woli ofiary – choć bardzo

chciałby, bohater nie ma w istocie wyboru i jego rozterki intelektualne niczego nie zmienia. „Od dwóch tysięcy lat...” – słyszy w rodzinnym mieście od Moritza Bercovici (tekstyliasta i obuwie).

Przedmowa Nae Ionescu stała się też o teologicznych źródłach antysemityzmu. Wybuchł więc skandal podwójny, bo jedni krytykowali samą powieść, inni fakt poprzedzenia jej takim tekstem. Sebastian odpowiedział esejem „Jak zostałem chuliganem” (1935), ale już rok później notował w dzienniku: „Byłbym bardzo zadowolony, gdybym któregoś dnia mógł ponownie wydać tę książkę, bez przedmowy Nae i bez żadnych wyjaśnień z mojej strony”. I dodawał, że spośród rzeczy, które napisał, ona na pewno się ostanie. Na pewno – podobnie jak „Dziennik”. ©

PAWEŁ

Bravo:

Prawo litery „R”



DWA TYSIĄCE PIĘCSET POLSKICH GMIN. Cztery weekendy czerwca. Założmy ostrożnie, że średnio po dwa wesela na weekend, chociaż np. w gminie Kraków będzie ich pewnie setka – to bardzo „weselny” miesiąc, następuje bowiem po kwietniu i maju bez „R” w nazwie. Razem dwadzieścia tysięcy par. Sto pięćdziesiąt gości na każdą z nich – znów uśredniamy w dolnej części widełek. I mamy trzy miliony zadowolonych ludzi. Popili, pojedli, poobłapiali, gorzko, gorzko! A nuż co trzeci biesiadnik poczuje wdzięczność i ruszy postawić krzyżyk we właściwej kratce?

Za takie równania kreślone na skrawku serwetki Jarosław Flis by mnie przeświadczył. Ale cóż robić, nawet prosty kucharz bez dyplomu ma prawo dumać nad czymś tak nielogicznym, jak odmrożenie wesel. Inny nasz autor w tym numerze pisze, że logiki tu szukać nie warto, więc zauważę tylko, iż w moim rozumowaniu jest założenie o walorze faktu naukowego: że w miesiącach bez „R” w nazwie polscy narzeczeni ślubów nie biorą. Dlaczego? Toż to odruch czysto magiczny, ale rozum, jeśli dąży do obiektywnego opisu zdarzeń społecznych, musi uwzględnić czynnik irracjonalny. Trzeba umieć poruszać się we mgłę, podobnie jak w naszej grze z przyrodą musimy uwzględnić prawo niezamierzonych konsekwencji.

O czym przekonują się ludzie łamiący sobie głowę w laboratoriach nad antidotum na plagę z Chin. Straty z powodu inwazji tarczówki marmurkowej na plantacje warzyw i owoców w paru krajach Europy idą już w setki milionów euro. Zwany z angielska *stink bug*, czyli „pluskwiak śmierdziel” to szkodnik, który przekradł się w 1998 r. z transportem specjalnych dachówek z Pekinu, potrzebnych na pawilony w ogrodzie chińskim w Zurychu. Zwiedziwszy w kilka lat Szwajcarię, uznał, że lepiej mu będzie w północnych Włoszech, gdzie od początku dekady zaczął się mnożyć na potęgę, bo lubi ciepło i nie ma tam żadnych naturalnych wrogów. Równolegle, wraz z drewnianymi paletami na towar z Chin, śmierdziel zjawił się w Ameryce.

Jego larwy zadowolą się prawie każdym liściem, ale zniszczenie sięgają głównie dorosłe osobniki. Mówiąc fachowo, jest to polifagiczny fitofag ssący – wysysa soki z dowolnej rośliny. Np. jabłka i brzoskwinie – pierwotna szkoda jest niezauważalna, ot, drobne nakłucie, ale powoduje szybką degenerację owocu. Tym bardziej że drobinki soku ze skórki przyciągają inne szkodniki. W winnicach powoduje kolejny kłopot – owady chowają się w kiściach i zostają potem przetłoczone z winogronami, przez co sok nabiera, *nomen omen*, obrzydliwego posmaku i woni z powodu substancji zapachowej, którą tarczówka się broni w razie ataku. Jest tak intensywna, że nie pomaga nawet przedestylowanie. Duże,

mechanicznie obsługiwane winnice z Włoch nieraz muszą wylewać do ścieku prawie cały moszcz z rocznika.

Małe to, szarobure żyjątko jest – jak określił pewien amerykański entomolog – „hummerem w świecie owadów”. Insektycydy nie robią na nim wrażenia. Ma wysokie odnoża, przez co nie wchodzi w kontakt z owocem potraktowanym chemicznie, od góry chroni go solidny pancerzyk. Żeby się go pozbyć, sadownik i rolnik musieliby zwiększyć dawki środków do poziomów nieakceptowalnych w diecie człowieka. Naturalnym wrogiem we wschodniej Azji jest dla śmierdziela pewna odmiana osy, zwana samurajską. Trwają badania, czy sprowadzenie jej masowo do Europy będzie bezpieczne – już parę razy przejechano się na takich kombinacjach. Np. w Australii, dokąd ściągnięto z Ameryki ropuchę agę, aby zjadała chrząszcze na plantacjach trzciny cukrowej: z zadania tego wywiązała się słabo, za to dokonała spustoszeń w lokalnych ekosystemach. Raz zakłócona równowaga sprawia, że każda kolejna próba jej przywrócenia owocuje jeszcze większym chaosem.

O tej nowej szarańczy będzie zapewne coraz głośniejsze. Dlaczego rozsiała się dopiero w ostatniej dekadzie? Wszak transporty z Chin płyną do Europy od dawna. A może zanim znajdziemy wiarygodne wyjaśnienie, pójdzie sobie tak szybko, jak przyszła? Wpatrzeni z nadzieją w laboratoria, nieraz błądzimy w takiej samej mgłę, jak nasi przodkowie, którzy kiedyś uznali, że lepiej się w maju nie żenić. © P

Plantatorzy cieszą się z zimnego maja, bo truskawki dojrzewają powoli, przez co niedobór pracowników z Ukrainy nie jest na razie aż tak dotkliwy. Ten paradoks ma dla mnie jeszcze inne oblicze – ostatnio na targu zapłaciłem tyle samo za kilo truskawek, co za 10 kwiatów cukinii, czyli porcję tego luksusowego w Polsce frykasu na dwie osoby. Kwiaty męskie są większe, łatwiej je nadziewać i są na ogół tańsze, za to mniejsze żeńskie mają ten walor, że doczepiona jest do nich malutka cukinka, smakowita po upieczeniu. W obu przypadkach nie myjmy ich pod bieżącą wodą, bo łatwo je porzucić, tylko przetrzyjmy wilgotnym ręcznikiem papierowym. Ostrożnie rozchylamy, wyrrywamy ze środka słupki i nakładamy łyżeczką nadzienie. Jakże? Najlepiej się sprawdza leciutkie z ricotty zmieszanej np. z kozim twarożkiem albo parmezanem i doprawionej wedle uznania. Ja dodaję czasami, żeby ładniej się ścisnęło, jedno jajko na 250 g serka. Można też zrobić farsz wegański – na patelni poddusić bardzo drobno pokrojoną cukinię z papryką, potem dodać dla większej kleistości rozgotowanego ziemniaka. Farsz napęlamy do 2/3 długości kwiatu, po czym końcówki zawijamy, żeby zamknąć rozkoszną torebkę. Układamy ciasno na naoliwionej brytfance, skrapiamy oliwą, przykrywamy folią aluminiową i pieczemy w 170 st. C około kwadransa, odkrywając pod koniec. Płatki po upieczeniu powinny zachować żywą barwę i być tylko z lekka chrupiące.





ZE STATKU GŁUPCÓW WYSIADŁEM

Był pisarzem totalnym, nadobecnym, sytym sukcesów, nagród i skandali.
Wiódł życie idealne dla biografii, w rzeczywistości obfitujące w samotność i cierpienie.

RYSZARD KOZIOŁEK

MOGLOBY TO WYGLĄDAĆ TAK, JAK napisał w „Bezpowrotnie utraconej leworęczności”. A my czytając na nowo jego zdania, mielibyśmy poczucie – które daje czasem wybitna literatura – że mówią o nas.

„Staliśmy nad otwartą trumną (...) i śpiewaliśmy najpiękniejsze pieśni pogrzebowe. Wpierw śpiewaliśmy »Pan zawołał sługę swego« w kancjonałe Heczki numer 747, potem śpiewaliśmy numer 777 »Dziś jeszcze żyje, lecz jutro może lub przed wieczorem śmierć przyjdzie, Boże«, potem numer 789 »Pobożnych dusze żyją, u Boga wieczny dzień, grobowce tylko kryją żywota ziemski cień«, potem numer 783 »Już się wykonało, serce przecierpiało«, potem jeszcze numer 770 »Wiemć ja, że w niebie jest miejsce krasne«, a na samym końcu, przed modlitwą i przed przyłożeniem wieka, zaśpiewaliśmy porywającą i rozdzierającą niczym ukraińska dumka pieśń numer 825 »Jam stęskniony, jam stęskniony«”.

Myślę też, że podobalby mu się fragment Psalmu 90, odczytywany podczas luteranckich pogrzebów. „Życie nasze trwa lat siedemdziesiąt, a gdy sił stanie, lat osiemdziesiąt; a to, co się ich chluba wydaje, to tylko trud i znój, gdyż chyżo mijają, a my odlatujemy”. „Trud i znój, i nieco innych rozkoszy” – mógłby dorzucić.

Kronika upadków

Nie dość jasno myśli się w stanie smutku i złości, jakie towarzyszą pospiesznym próbom zdania sobie sprawy, co literatura polska straciła wraz z Jerzym Pilchem. Świeży żal potęguje rozmiar straty, niemniej sędzę, że od śmierci Gombrowicza nie było w polskiej prozie powojennej równie wybitnego stylisty. Pilch dokonał dwu rzeczy rzadkich i wspaniałych. Po pierwsze, wypracował styl autorski, odrębny, osobliwy, natychmiast rozpoznawalny, którym jednak rychło mówić zaczęli jego czytelnicy, wprowadzając „pilchizmy” do polszczyzny powszechnej. Żywa mowa poczęła naśladować jego literaturę.

Drugie dokonanie jest bardziej oszałamiające. Wpuścił mianowicie w krwiociąg swojej prozy tematykę i styl ksiąg biblijnych na skalę, której od końca

XIX w. nie podjął żaden polski pisarz. Zaprzeczył w ten sposób twierdzeniu Miłosza, że polska proza nie oparła swego rozwoju na wspaniałym fundamencie dwóch polskich Biblii – Gdańskiej i Wujka.

We wszystkim, co Pilch napisał – od felietonu przez opowiadanie po powieść – słyhać i widać biblijny prototyp. To było do pomyślenia tylko jako wymuszony eksperyment na języku, bez związku z mową żywych ludzi mówiących po polsku na przełomie tysiącleci, a jednak Pilch połączył tę urwaną ścieżkę, dzięki cudowi lokalnej polszczyzny mówionej Śląska Cieszyńskiego, która przechowała słownik i styl luteranckich przekładów Biblii oraz zbioru kazań Reja.

Nasiąkając w dzieciństwie językiem domowym i kościelnym wiślańskich ziomków Pilch zdobył kluczowy surowiec dla swojej prozy. Nie tylko dla jej oryginalnego stylu i kuglarskiej zwinności opowiadania. Jego powieści i opowiadania o seksie i nałogach w zadziwiający sposób harmonizują z proroczym patosem stylu i aluzjami biblijnymi. Powoduje to również niezrównane efekty komiczne, za które kochamy autora, jak choćby obraz matki w stroju kąpielowym porządkującej księgozbiór: „Rozgrzane nieoczekiwaną gimnastyką ciało pachnie olejkami do opalania i zapach ten na zawsze łączy się z zapachem protestanckich broszur” („Spis cudzołóżnic”).

Niech nas jednak nie zwiedzie humor felietonów, ironia aforystycznych puent, komiczne amplifikacje przymiotników. Wbrew powierzchownej aurze humorysty Pilch zbudował ze swoich utworów konsekwentny, imponujący, tragifarsowy moralitet o całkowicie nowoczesnych i świeckich upadkach człowieka, powodowanych pospołu przez rozpacz i zachwyt nad światem; oraz o sztuce i hedonizmie jako kompensacjach nieobecnego Boga.

Wobec ich nieskuteczności pozostaje jeszcze praca, której luterancki etos Pilch przerobił na literaturę i włączył do stałego repertuaru swoich motywów. Też zresztą idąc za radą biblijnego kaznodziei, który powiada, „że człowiekowi nie masz nic lepszego, jedno weselić się z pracy swej, gdyż to jest dzieło jego; albowiem któż go do tego przywiedzie, aby poznał to, co ma być po nim?”.

Trzeci człowiek

Pisarz rodzi się, kiedy zaczyna widzieć język; jak gdyby ryba zobaczyła wodę, w której pływa. Towarzyszy temu częściowa przynajmniej zdrada własnego świata na rzecz humanistyki – tego domu z powietrza, republiki napisanych słów, które stają się ważniejsze od tych słuchanych i używanych w domu, a nawet od żywych ludzi. Pilch był wybitnym, zachłannym, ale i hojnym czytelnikiem. Niezliczone sceny z książkami-bohaterami to nieustająca apologetyka czytania jako stanu umysłu, a nawet więcej – jako formy życia. Zdziwiona Dorota Wodecka pytała pisarza:

„Sienkiewicz? Pan czyta Sienkiewicza?”

Jerzy Pilch: Stronę dziennie, co rano. Jak w dzieciństwie w Wiśle. Ojciec kazał mi go czytać na głos. Dzień w dzień, z morderczą konsekwencją. Jeden błąd – i strona od nowa. Zdań prostych tam nie było, dlatego »Trylogię« mogłem recytować z pamięci. (...) Kiedy przeprowadziłem się do Krakowa, mówiłem gwarą. Przede mną rozpostarł się nagle ocean zwany polszczyzną literacką. Obcy język *de facto*.

DW: Ten miszmasz pomógł panu stworzyć własny styl.

JP: Sienkiewicz i Biblia. To z tego się wzięły moje skłonności do dziwactw językowych, przydługich fraz i indywidualny język. Nie wiem, czy mówię o czymś ważnym, ale na pewno mówię po swojemu”.

W pisaniu między autorem i światem pojawia się trzeci człowiek. Patrzy i opowiada o tym, co należy do autora i znanych mu ludzi, ale ta opowieść nie dla nich powstaje. Rzadko też są z niej zadowoleni. Nieobecni, przekształceni, z protezami fikcji lub zredukowani o to, co ich zdaniem ważne – protestują, że to nie było tak.

„Trzecia osoba jest jak szkło powiększające...” – powie narrator w powieści „Zuza albo czas oddalenia”. Wiele mamy świadectw o rozczarowaniu i gniewie ludzi, którzy stali się modelami jego bohaterów. Pilch na różne sposoby odnosił się do tych reakcji, ubolewał, kpił, tłumaczył w powieściach.

„Chciałem opowiedzieć mu o bliskich i wieloznacznych związkach ewangelików z komunistami. I chciałem mówić o tym tonem szyderczym: ➔

→ przybrawszy faryzejski ton niby-prostaczka, opowiadać na przykład, jak zmienia się twarz naszego najprzewielebniejszego księdza biskupa, gdy siada po prawicy Jaruzelskiego. Chciałem, ale nie uczyniłem tego. A nie uczyniłem, ponieważ poczułem nagle na sobie ciężki jak »Postylla domowa« wzrok starych ewangelików” („Spis cudzołożnic. Proza podróżna”).

W podziękowaniu za nagrodę Złotej Cieszyńianki w 2008 r. mówił: „Najtrudniej przekonać swoich. Sądzę, że pokonałem pewne stopnie przekonywania moich krajan, że to, co piszę, nie jest jedynie naśmiewaniem się”.

Niepotrzebne tłumaczenia. Dla endemicznej, luterkańskiej wspólnoty cieszyńskiego pogranicza zrobił coś bezcennego, co spotkało wcześniej Czarnolas, Zaosie, Zbaraż czy Bronowice. Przed Pilchem nie było w kanonie polskiej literatury utworów reprezentujących świat jego dzieciństwa – doświadczenia rodziców i dziadków, beskidzki pejzaż, lokalną historię, obyczaje, religijność, gwarę, miejskie mity. Przyjmowaliśmy z pokorą, że historia literatury polskiej toczy się zawsze gdzie indziej.

Proza Pilcha uczyniła czytających Polaków obywatelami Wisły – nie tej na mapie, ale tej wyobrażonej, do której zaczyna się tęsknić pod wpływem zniewalających słów literatury. Wielkie książki pomnażają nam ojczyzny. Jesteśmy dziećmi swoich światów rodzimych, ale sztuka potrafi sprawić, że odnajdujemy azyl w tym, co wydawało się obce i niezrozumiałe.

Wdzięczni za to, możemy przenieść się na inny poziom frustracji. Mawiał Pilch, że pisze się po to, aby wkurwić kolegów. I to nie jest całkiem zła motywacja dla pracy twórczej. Ale zwykli ludzie, nie pisarze, też nie mają łatwo z efektami jego talentu i pracowitości. Z jednej strony ziomkowie nieco odlegli, jak ja, są mu nieskończenie wdzięczni, że nasze małe śmieszne beskidzkie światki do polskiego uniwersum przeniósł, czytelnikom narzucił, do historii literatury na stałe wprowadził. Z innej jednak zadość ogarnia na myśl, że przecież to wszystko było mi znane, zwykle, codzienne, a przegapione. Że też ja tego bogactwa wspaniałej dziwaczności nie dostrzegałem?! Jednym z setek miejsc jego pisania, które mnie o taką zawiść przyprawia, jest epicko-eseistyczny wą-

tek zimnych luterkańskich domów. Nie wolno tego streszczać, omawiać, parafrazować. Tylko cytować.

„Wabią was – gdy przyjedziecie do Sigły – widoki przytulnych zasypanych śniegiem domków? Kuszą was chatki puchatki, wille stojące w dolinach, pięknie w stok wkomponowane arcydzieła architektury cieszyńsko-beskidzkiej? Chcielibyście tak mieszkać? Mieć taką rezydencję? Wyobrażacie sobie, jak w środku musi być miło, przytulnie, zacisznie? Płoną szczapy na kominku i jest jeszcze przytulniej? Dajcie spokój – to są wszystkie lodowate psianie! Siedziby zakutanych w podwójne skarpety, potrójne gacie, poczwórne swetry oczadziałych od mrozu tubylców. W tych – pozał się Boże – przytuliskach mieszka plemię skazane na zimno, konające z zimna i do końca, do obrócenia się w bryłę lodu udające, że nie jest aż tak zimno, że jest do zniesienia, że w zasadzie jest ciepło” („Wiele demonów”).

I jeszcze dalej trwa ta orgia stylu czule jadowitego. Tylko że to nie pusty popis roztańczonego języka, ale prawda, która spod rzadkiej urody spiralnych zdań wyłazi. I wtedy mówimy: „Tak było, tak właśnie. To przecież mój tata, ja, Hela”. W zdumieniu przecieramy oczy, bo nagle dostrzegamy to, cośmy widzieli po wielokroć, ale teraz jest inne – ciekawe, dziwne, ważne, znaczące. Zazdrość bierze, gdy pojmuję, że Pilch umiał mi opowiedzieć moje doświadczenie lepiej, niż ja zdołałbym je sobie kiedykolwiek uprzytomnić. Co ważniejsze, opowiedział je czytelnikom spoza świata luterkańskiej Wisły. Z bezwzględną miłością przełożył obyczaje, mowę i domowe historie tych tubylców na wspaniałą język swojej prozy.

Okularnik z zeszytem i ołówkiem

Przeczuwam, że recepcja jego książek będzie egzystencjalnie gestnieć. Dopóki nad opowiadaniem i powieściami unosiła się czujna i kpiarska twarz jadowitego felietonisty, mieliśmy skłonność do szukania w nich tego samego, co uczyniło z Pilcha gwiazdę tej małej, arcytrudnej formy prasowej.

Osiągnięte w niej mistrzostwo miało jednak swoją cenę. Ułatwiała tezę o pro-

blemowej powierzchowności jego pisarstwa. Owszem, Pilch pisze wspaniale, ale w kwestiach społecznych, politycznych, historycznych – nie ma do powiedzenia nic istotnego. I na zweryfikowanie tego przyjdzie czas, na Pilcha politycznego mianowicie – z tych gorszych rzekomo powieści, jak „Miasto utrapienia” czy „Marsz Polonia”. Tymczasem w dwóch kwestiach jest Pilch pisarzem wyjątkowo poważnym i głębokim. A są nimi tworzenie literatury przeciw nicestwieniu przeszłości oraz literackie studium choroby.

A co z „Pod Mocnym Aniołem?” – za pyta ktoś. Czy to nie poważna książka o dramacie uzależnienia? Tak, ale w przypadku tej powieści, podobnie jak innych klasyków tematu – Lowry’ego, Bukowskiego czy Jerofiejewa – obawiam się, że koloryt pijackiej anegdoty pochłonie dramat. A bez względu na wnikliwość psychologiczną i naturalizm ukazywania degradacji ciała i umysłu alkoholika anegdota triumfuje prawie zawsze.

Nie mam za to żadnych wątpliwości co do powagi i skuteczności Pilchowego mierzenia się z nicością za pomocą literatury. I paradoksalnie właśnie „Pod Mocnym Aniołem” jest doskonałym przykładem tych zmagania, ponieważ przeszłość łatwo objawia się bohaterowi, ale tylko w pijackim delirium. Pilch twierdził, że żadnego dobrego zdania nie napisał pod wpływem, konsekwentnie więc pijanemu bohaterowi powieści przeszłość zjawia się tak oto, bez wysiłku przypominania, bez pracy zapisywania.

„Była przy mnie babka Maria – właścicielka rzeźni, był przy mnie dziadek Jerzy – naczelnik poczty, i był przy mnie dziadek Kubica – wielki gospodarz, i mój ojciec – młodziutki żołnierz Wehrmachtu – i moja matka – studentka farmacji, i był przy mnie doktor Swobodziczka”. Ale już trzeźwiejący Juruś rozpaczliwie pyta: „Kiedy to było? Nie było tego wcale. Nie ma literatury, bo nie ma tamtej przeszłości i nie ma tamtych historii. Jest tylko czas teraźniejszy – późny styczniowy wieczór roku 1932 albo 1933. (...) Stary Kubica chyba czyta to, co piszę, bo mówi, tak jakby powtarzał za mną: Niepodobna dwa razy zanurzyć twarzy w tym samym śniegu. Niepodobna, a może, do stu tysięcy piorunów, podobna!” („Pod Mocnym Aniołem”).

Ta przeszłość mająca w delirycznej wizji jest poza zasięgiem historii. Nie da się jej wyczytać z dokumentów ani z fotografii. Są to, jak pisał Carlo Ginzburg, „elementy bezwładne, niejasne, nieświadome określonej wizji świata. Przejty, archaizmy, uczuciowość, czynniki irracjonalne” (Carlo Ginzburg „Ser i robaki”, przeł. Radosław Kłos).

O mentalność jednostek i zbiorowości tu chodzi; o zachowania wynikłe z afektów, przypływów emocji, powszednich dziwactw. Nie można tego odzyskać, ponieważ nie zostawiło wielu śladów, trzeba więc ten świat wiarygodnie stworzyć poddając studium siebie samego, na którym przeszłość zostawiła swoje znaki.

„Dopiero za wiele lat usłyszę wyraźniej, zacznę domyślać się kolejności rzeczy, ustalę nikomu niepotrzebną datę postawienia domu, dowiem się, gdzie kto mieszkał i co kiedy zostało powiedziane, i zapiszę to prawą ręką w fatalnym zeszycie. Poznam przelotne satysfakcje rękodzielnika mozolnie oddzielającego śnieg od wody”.

Pilch nie jest historykiem umarłych światów, zdaje się nie wierzyć w skuteczność drobiazgowych rekonstrukcji i kontekstowych objaśnień. W eseju „Protestancka trawa” z widocznym zniecierpliwieniem lekceważy taką pracę.

„Gdybym zaczął wyjaśniać, dlaczego nasza trawa jest luterska (...), albo gdybym zaczął objaśniać, że zdanie »za wielkim stołem w naszej kuchni siedział biskup i biskupina«, gdybym zaczął objaśniać, że zdanie to jest uprawnione, bo w Kościele ewangelickim nie tylko biskup, ale każdy ksiądz może mieć swoją pastora; gdybym zaczął w takie rzeczy wchodzić, nie literaturę bym pisał, ale foldery objaśniające sekrety luteranizmu”.

Nie wyjaśniać przeszłości, ale tworzyć jej prawdopodobny ekwiwalent ze słów, a tak chyttrze i skutecznie działających, że czytelnik dozna niemal delirycznego stanu obecności przepadłych w przeszłości ludzi i rzeczy.

Szlachetna przewrotność jego prozy tkwi w lekkości frazy, która sugeruje, że problem, który ta fraza ujmuje, jest równie nieważki i łatwy w przyswojeniu, jak wdzięczna w lekturze jest ta narracja. Naprawdę jednak ma ona strukturę lekarstwa, które pod słodką powierzchnią

Nad jego prozą unosiła się czujna i kpiarska twarz jadowitego felietonisty.

I czasem przesłaniała nam
rangę jego pisarstwa.

nią kryje gorzką treść. Zabawne perypetie wiślańskich luteranów są opowieścią o dramacie każdej świadomości, która odkrywa, że przygoda przeżytego czasu jest nie do wyrażenia. Bo oto żyjąc wystarczająco długo tracimy to, co jest najbardziej własne – rzeczywistość przeżytego życia. Nie wiemy, jaki sens ma to, co nam się w życiu przydarzyło, i czy w ogóle ma jakiś sens. I wtedy częstą reakcją jest ulokowanie swojego doświadczenia w czymś większym, wspólnym, powszechnym; zwrot ku historiom rodzinnym, tworzenie genealogii, studiowanie herbarzy, członkostwo w grupach rekonstrukcyjnych.

Pilch robi to samo, zajmuje się sobą, własną biografią, swoimi indywidualnymi doświadczeniami w dziwnym, mało znanym świecie. Z tą różnicą, że dzięki talentowi może ten szal osieroczonej świadomości zmienić w literaturę. Samotność utraconych przeżyć zmienia się we wspólnotę pisarza i czytelników, za cenę intymnych zdrad i uproszczeń. A towarzyszy jej gorzkie przeświadczenie, że trwałość literatury jest tylko nieco większa niż pamięci i historii.

Krotochwilny Hiob

Trzy tomy „Dziennika” są wyjątkową w historii literatury wiwiskacją życia z chorobą Parkinsona. Przenikliwość autoobserwacji, dystans do własnego cierpienia, heroizm codziennych czynności, tłumiona rozpacz, sarkazm i ironia wobec pokusy poddania się rozpadowi – czynią z tych wątków swoisty monolog Hioba, który Bogu się nie skarży, litość i natrętne rady odrzuca, ale sobie i swojemu cierpieniu przygląda się uważnie.

„Kręgosłup w rozsypce – ból niepojęty, zwłaszcza przy wstawaniu. Dygot od prawej nogi idący i całe ciało obejmujący. Niemota, a w każdym razie duże,

a nawet bardzo duże kłopoty z mówieniem. Można to uznać za komplikację pooperacyjną, rzecz się zdarzyła podczas stymulacji elektrycznej; zapewniano mnie, że lada chwila paraliż mowy sam się cofnie, tymczasem raczej się pogłębia. W każdym razie częściej tracę wiarę, chwile euforii rzadkie, tak rzadkie, że prawie ich nie ma”. Choroba odbierająca władzę w rękach i w mowie wystawiła Pilcha pisarza na potworną próbę, którą podjął, by opowiedzieć o tym, co z zasady niekomunikowalne, co nigdy naprawdę nie staje się intersubiektywne, czyli o własnym bólu. Dowodem w sprawie jego istnienia jest zawsze udreżone ciało, którego znaki, odgłosy i pozy nie komunikują utajonych przeżyć. Więc znów literatura.

Był pisarzem totalnym, nadobecnym, syty sukcesów, nagród, skandali, plotek. Wiódł życie idealne dla biografii, w rzeczywistości obfitujące w samotność i cierpienie. Mimo fizycznego unieruchomienia, zawsze w intelektualnym i twórczym ruchu, jak rozwibrowana polszczyzna jego prozy. Hiob-kpiarz, religijny pisarz bez wiary, autor luterskich kryptomoralitetów, eklezjasta w masce błazna – „wszystko to czyniło zeń swoistego wirtuoza zacierań śladów” („Wiele demonów”). Niech nikt nie twierdzi, że znał Pilcha.

„Ze statku głupców wysiadłem” – mógłby złośliwie powiedzieć zza grobu zdaniem z powieści „Żywego ducha”. Nie wiem, kto i czy w ogóle wygłosił mu kazanie pogrzebowe. Powinien to zrobić „żywy duch” pastora Lasoty z Jaworza, któremu ślad życia na tym świecie przedłużył Jerzy Pilch. Tenże pastor Lasota specjalizujący się „w malowniczych mowach pogrzebowych” wyrzekłby wówczas swoją najsłynniejszą frazę: „O śmierci okrutna! Czemuś ten dom nawiedziła? Czemuś nie poszła do sąsiada?”.

© RYSZARD KOZIOŁEK



**RADIO
KRAKÓW**

Co wtorek o godz. 14.30
na antenie Radia

Kraków goszczą dziennikarzy „Tygodnika Powszechnego”.

Śluchaj nas w Małopolsce:

Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM

Krynica Zdrój – 102,1 FM

Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM

Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM

Gorlice – 97,4 FM | www.radiokrakow.pl

ZMYŚŁY

OPIUM DLA MASY

Jeżeli przyjąć, że na przyjemność powinno się zasłużyć,
najsprawiedliwszą z rozkoszy będzie euforia
towarzyszająca biegaczom.

MAREK RABIJ



OD KILKUNASTU DNI ŻAR LAŁ SIĘ Z NIEBA. DOPIERO GDY sierpniowe słońce zbliżyło się do horyzontu, założyłem buty do biegania i wytoczyłem na zewnątrz ociężałe od upału cielsko. Plan treningowy na tamten dzień zakładał osiem kilometrów. Po raz pierwszy w życiu miałem pokonać biegiem więcej niż pięć kilometrów i prawdę mówiąc nie wierzyłem, że uda mi się zrealizować to założenie przy tak nie sprzyjającej pogodzie.

Pierwsze trzy kilometry, zgodnie z obawami, okazały się katogą. Rozgrzane powietrze kleiło się do skóry. Stopy wychwytywały każdą nierówność terenu i gubiły rytm. Spodenki nagle zrobiły się za małe, koszulka – krzywo uszyta. Lewy but uciskał podbicie stopy, podczas gdy prawy był zasznurowany – okazało się – zbyt luźno, chociaż przysięgałbym, że oba zawiązałem jednako starannie. Po dwudziestu minutach walki, rozczarowany samym sobą, postanowiłem przerwać, a może nawet przestać na zawsze.

Wtedy zjawily się meszki. Za nimi bąki, gzy i reszta łakowego towarzystwa czającego się w wysokiej trawie na wszystko, co porusza się dość wolno, żeby dało sobie utoczyć krwi na kolację. Niespodziewanie zniknął też upał i zadyszka, nawet ucisk w bucie. Ścigany przez wygłodniałe owady gnałem ścieżką pośród traw w stronę domu, zupełnie nieświadomy tego, że przestałem czuć zmęczenie. Płuca pracowały miarowo. Każdy wdech nagle dostarczał organizmowi dostatecznie dużo tlenu, by móc poruszać się szybko, a do tego z lekkością.

Kiedy w końcu dotarło do mnie, jak fantastycznie mi się biegnie, spróbowałem przyspieszyć. Uczucie lekkości nie

zniknęło. Przeciwnie. Miałem wrażenie, że mógłbym tak pędzić godzinami, wolny od własnego ciężaru, ledwie muskając podeszwami ścieżkę. W domu sprawdziłem wskazania zegarka biegowego. Okazało się, że ja, początkujący wtedy biegacz ze sporą nadwagą, ostatnie dwa kilometry pokonałem w średnim tempie czterech minut i czterdziestu siedmiu sekund na kilometr. Wcześniej nie udało mi się zejść poniżej sześciu minut! Biegając w tym tempie na całej trasie maratonu, pokonałbym go w rewelacyjnym dla debiutanta czasie trzech godzin i 36 minut.

– To proste – wzruszył ramionami Adam Klein, ówczesny redaktor naczelny serwisu bieganie.pl, gdy opowiadałem mu o tym doświadczeniu. – Zaliczyłeś swój pierwszy *runner's high*, odlot biegacza.

Na treningowym głodzie

Nie jest to temat, któremu biegacze poświęcają wiele uwagi. Wyniki, metody treningowe, sprzęt – cały ten naskórek biegowej pasji pojawia się w dyskusjach i relacjach systematycznie, zapewne dlatego, że daje się także porównywać i poprawiać. A przecież bieganie, zwłaszcza długodystansowe, od pewnego etapu rozgrywa się przede wszystkim w głowie. Nieważne, czy jesteś zaprawionym ultramaratończykiem, który walczy o podium na dystansie 100 km, czy debiutantem usiłującym pierwszy raz w życiu przebiec bez zatrzymywania się 10 km.

Kiedy organizm zużyje zgromadzone w wątrobie zapasy glikogenu, paliwa na czarną godzinę, wtedy nieuchronnie przychodzi kryzys, który może pokonać tylko siła woli (wsparta kilkoma kęsami banana lub batonikiem).

Występowanie euforii biegowej część naukowców wiąże właśnie z deficytem energetycznym. W latach 70. minionego wieku, gdy rosnąca popularność amatorskiego biegania →

Triathlonistka Sarah Piampiano podczas treningu do wyścigu Iron Man. Kalifornia, 26 maja 2020 r.

→ zaowocowała wysypem relacji o tym stanie, badacze doszli do wniosku, że odpowiedzialne zań mogą być receptory opioidowe odkryte niedawno w mózgu. W reakcji na długotrwały wysiłek o umiarkowanej intensywności, taki jak bieganie, pływanie czy kolarstwo, organizm zaczyna wytwarzać endorfiny, hormony, które oddziałują właśnie na owe receptory, zmniejszając odczuwanie bólu i zmęczenia. Zdaniem fizjologów opowiadających się za tym wyjaśnieniem efektem ubocznym pobudzenia receptorów opioidowych jest właśnie stan euforii. Część badaczy wyprowadziła stąd nawet daleko idący wniosek, że potrzeba treningu, jaką odczuwają zaprawieni biegacze, może być po prostu odmianą narkotykowego głodu.

Może więc to stanowi wytłumaczenie, dlaczego w relacjach ze startów zawodowców tak rzadko pojawia się wątek biegowej euforii? Jeżeli bieganie działa jak narkotyk, to uzależnione od niego osoby, zwiększając systematycznie obciążenia treningowe, w pewnym momencie automatycznie wypadają poza fizjologiczne zakresy, w których następuje zwiększona produkcja endorfin. Byłby to dowód przedziwnej zapobiegliwości natury, która elity obdarza smakiem sportowego sukcesu, zachowując frajdę na wyłączność dla amatorów.

Piotr Hercog, jeden z najlepszych polskich ultramaratończyków, słuchając tej hipotezy uśmiecha się tajemniczo.

– Przykro mi, ale ja również często miewam biegowe odloty – odpowiada w końcu. – Zdarzają mi się i podczas ważnych startów na długich dystansach, i w trakcie treningów czy choćby wtedy, kiedy idę pobiegać dla przyjemności na dwie-trzy godziny. Nie wiem nawet, czy trzeba to wiązać z intensywnością wysiłku. Ważniejsze jest chyba otoczenie, to, co widzę i czuję podczas biegu.

Teoria endorfinowa ma solidne podstawy laboratoryjne, bo w organizmach poddanych długotrwałemu wysiłkowi rzeczywiście następuje uwolnienie dużych dawek tego hormonu. Szkopuł w tym, że endorfiny krążą po układzie krwionośnym, który od mózgu dzieli, jak wiadomo, bariera fizjologiczna, rodzaj naturalnego filtra zapobiegającego przedostawaniu się niepożądanych substancji do układu nerwowego. Wzrost stężenia endorfin we krwi podczas wysiłku nie musi zatem przekładać się na proporcjonalny skok ich zawartości w mózgu.

Przeciw teorii endorfinowej przemawiają zresztą jeszcze inne przesłanki. Badania na zawodnikach, którym podczas wysiłku podawano substancje blokujące receptory opioidowe, pokazały, że część z nich odczuwała jednak biegowe odloty nawet bez endorfinowego pobudzenia.

Metafizyka ruchu

Co zatem stoi za cudownym stanem towarzyszącym biegaczowi na pewnym etapie treningu? Niektórzy badacze za sprawców zamieszania uważają wytwarzane przez organizm fenyloaminy, substancje zbliżone do amfetaminy. Inni wskazują na anandamid, naturalną substancję psychoaktywną, występującą w śladowych ilościach m.in. w nasionach kakaowca, która powstaje także w ludzkim organizmie – zwłaszcza w trakcie długotrwałego wysiłku o umiarkowanej intensywności.

Rozwiązanie tej fizjologicznej zagadki ma jednak w gruncie rzeczy znaczenie drugorzędne, a może nawet kieruje na-



Siostra Madonna Buder podczas zawodów triathlonowych DATEV Challenge Roth. Niemcy, Hilpoltstein, 20 lipca 2014 r.

szą uwagę w niewłaściwą stronę. Bo czy ważniejsza nie jest odpowiedź na pytanie, po co natura pozwala nam odczuwać euforię podczas biegania?

Wśród hipotez bodaj najciekawszą jest ta, która w biegowej euforii widzi swoisty odpowiednik orgazmu, premię od natury za życie zgodne z jej rytmem. Bo jeśli w zamian za próbę przedłużenia gatunku możemy liczyć na chwilę rozkoszy, dlaczego natura nie miałaby nagradzać nas także za umiejętność poruszania się dłuższy czas w szybkim tempie – czyli za coś ewolucyjnie równie ważnego dla przetrwania gatunku? Kładąc na szalach wagi obie rozkosze, trzeba od razu uczciwie zaznaczyć, że nagroda za bieganie waży więcej, bo trwa po prostu znacznie dłużej.

Jerzy Skarżyński, jeden z najbardziej utytułowanych polskich maratończyków, nie pamięta tego swojego pierwszego razu.

– Ale ja od dzieciaka byłem bardzo aktywny, jak nie ganiałem za piłką, to się ścigałem albo grałem w inne dyscypliny. O tym, jaką przyjemność daje bieganie, wiedziałem chyba od zawsze. Potem, kiedy już biegałem zawodowo, miałem przez to nawet problemy.

Bo ten sam odlot, który sprawia, że amator wspomina potem biegowe doświadczenia ze wzruszeniem, z punktu widzenia zawodnika bywa zgubny. Podczas biegania dla przyjemności przyjemnie jest dać się porwać myślom lub muzyce w słuchawkach. Ale podczas zawodów, gdy walczysz o podium, a nie o dotarcie do mety, musisz stale kontrolować, co się dzieje na trasie. Trzeba obserwować rywali, dostosowywać opracowaną wcześniej taktykę do bieżącej sytuacji. No i nie możesz odpłynąć, bo wtedy istnieje ryzyko, że złapiesz biegowy *flow*, za wcześniej zaczniesz biec zbyt szybko i nie dowiesz tempa do mety – ostrzega maratończyk.

Na szczęście – jak zauważa Skarżyński – stany euforyczne może zapewnić także dokładna realizacja założeń taktycznych. Zwłaszcza gdy towarzyszy jej świadomość, że plan prowadzi do wygranej.

– Londyn, rok 1983 – wspomina. – Na całej trasie maratonu towarzyszył nam lekki deszczyk. Nie było gorąco, biegle-

się więc przyjemnie, a świadomość, że jestem najszybszym Polakiem na trasie i biegnę na swój życiowy rekord, od pewnego momentu niosła mnie jak na skrzydłach. Wpadłem na metę, ale czułem się tak, że chyba bez trudu pocisnąłbym jeszcze półmaraton. Myśmy wtedy nie mieli takich lekkich fajnych strojów jak teraz. Biegało się w zwykłej bawełnie, która od deszczu i potu robiła się ciężka jak cholera. O tym, że ten mokry bawełniany podkoszulek zdarł mi sutki do żywego mięsa, zorientowałem się dopiero za metą. Jakieś pół godziny po biegu, kiedy przysła euforia, wyłem już z bólu.

Poza ciałem

Siostra Madonna Buder jest prawdopodobnie jedyną zakonnicą, której urodziny wielka korporacja uczciła specjalną reklamą. Firma Nike – bo o niej mowa – od dawna chętnie podkreśla w reklamach swój feministyczny genotyp, a siostra Madonna nadaje się do tego jak mało kto.

W 2012 r., licząc 82 lata, ustanowiła światowy rekord wiekowy w triathlonie Iron Man, osiągając przy tym czas, którego na tym wymagającym dystansie nie powstydziłoby się wielu czerstwych czterdziestolatków. 16 godzin i 32 minuty – dokładnie tyle zajęło siostrze przeplnięcie 3,86 km w pływ, a następnie pokonanie 180,2 km na rowerze i 42,2 km biegiem na trasie maratonu. Wśród ponad 300 startów w karierze Madonna Buder ma na koncie aż 45 ukończonych Iron Manów, co zapewniło jej pseudonim „Iron Nun” i szacunek w triathlonowym świecie. Tym większy, że startami (a od pewnego etapu także kontraktami reklamowymi) zakonnica zarabia na działalność charytatywną swojego zgromadzenia.

Na trasie jednego z najbardziej wymagających Iron Manów globu, słynnych zawodów Kona na Hawajach, siostra przeżyła doświadczenie, które z grubsza można opisać także jako euforię biegową, choć lekarze pewnie dostrzegliby w nim więcej podobieństw do śmierci klinicznej.

„Mijała 14. godzina wyścigu – wspomina siostra w dokumencie nakręconym przez stację ABC News. – Na trasie panowały kompletne ciemności. Biegłam sama, gdzieś przede mną i za mną w mroku znajdowali się inni biegacze, ale nie widzieliśmy się nawzajem. Byłam wykończona. Otarte stopy krwawiły. Nogi dosłownie ugiwały mi się pod ciężarem ciała i pewnie zataczałam się jak pijana. W pewnym momencie poczułam, że nie jestem już w swoim ciele. Zobaczyłam siebie samą biegnącą nieco przede mną. Nie wystraszyłam się, przeciwnie, przepełniła mnie wielka miłość do świata. Byłam szczęśliwa, poczułam harmonię i ten wewnętrzny spokój chyba mnie wzmocnił. Kiedy się ocknęłam, nie czułam już bólu ani zmęczenia. Ostatnie kilometry do mety pokonałam jak uskrzydłona”.

Swoją autobiografię Madonna Buder zatytułowała „The Grace to Race”, w której w niebezpośredni sposób porównuje rywalizację w triathlonie do biegu po zbawienie. W obu wyścigach zdarzają się przecież upadki, wiele razy miewa się też momenty słabości. Wszystko to jednak przestaje mieć znaczenie z chwilą przekroczenia linii mety.

Dlaczego biegam?

Może więc nie powinniśmy mówić o euforii? Być może stan, w którym ludzie na skraju omdlenia, płaczący z bólu, jeszcze przed chwilą powłóczyli z ledwością nogami, kilka minut

później mkną jak na skrzydłach ku metce, lepiej opisać za pomocą słowa „zmartwychwstanie”?

Paweł Sadura z Koszalina na trasie stukilometrowego Biegu 7 Dolin stawał dwa razy i za żadnym razem nie dotarł nawet do połowy: – Do trzeciego startu przygotowałem się o wiele porządniej, ale do ostatniego punktu pomiaru czasu na 88. kilometrze i tak doczłapałem z płamami przed oczami. Wcześniej zwymiotowałem resztki jedzenia. Trząsałem się jak w gorączce.

Wolontariuszka podała mu kubek z napojem i spytała, czy pomóc mu zdjąć numer startowy, co oznacza zejście z trasy: – W zasadzie byłem już z tym pogodzony, ale gdy usłyszałem jej słowa, nagle poczułem, że nie mogę zrezygnować. Poczłapałem więc dalej, przekonany, że ostatnie 12 km po prostu sobie przejdę. Kwadrans później zacząłem jednak truchtać. Na metę w Krynicy-Zdroju wpadłem właściwie sprintem nie czując w ogóle zmęczenia. Nie wiem, co to było, ale wiem, że nigdy nie czułem się lepiej.

Piotr Hercog posyła mi drugi tajemniczy uśmiech, kiedy pytam, czy uprawiałby bieganie, gdyby na trasach nie zdarzały mu się takie zmartwychwstania.

Jedna z hipotez widzi w biegowej euforii odpowiednik orgazmu. Jeśli w zamian za próbę przedłużenia gatunku możemy liczyć na chwilę rozkoszy,

dlaczego natura nie miałyby nagradzać nas także za szybkie poruszanie się?

– Z pewnością – odpowiada po chwili namysłu – ten sport nie byłby wtedy tak wartościowy. Jestem przeciwnikiem robienia z biegania czegoś więcej niż zwykłej aktywności fizycznej. Ale wiem też, że bieganie uczyniło mnie innym człowiekiem. Pod pewnym względem lepszym.

Haruki Murakami nie jest może najwybitniejszym ze współczesnych pisarzy. Z pewnością jest jednak najlepszym wśród nich biegaczem, bo ukończył 20 maratonów, finiszował też w jednym biegu ultra i próbował sił w triathlonie. Obie aktywności łączy – jak pisze w eseju „O czym mówię, kiedy mówię o bieganiu” – o wiele więcej, niż może się na pierwszy rzut oka wydawać. Bieg i pisanie to w gruncie rzeczy taki sam akt poznawczy: „Gdzie się kończy rozsądna konsekwencja, a zaczyna ograniczenie i obsesja? Ile uwagi powinienem poświęcać światu wokół mnie, a jak bardzo powinienem skupić się na własnym wewnętrznym świecie? Do jakiego stopnia powinienem ufać swoim umiejętnościom, a kiedy powinienem w nie powątpiewać? Wiem, że gdybym, rozpoczynając karierę pisarską, nie zaczął biegać na długich dystansach, moje książki byłyby zupełnie inne”.

Nie lepsze. Inne. Całe szczęście, że w tym miejscu japoński prozaik postawił kropkę, nie dołączając do nielicznej, ale hałaśliwej grupki zelotów, którzy z biegania próbują uczynić religię. W każdej przyjemności warto zachować umiar.

© P MAREK RABIJ

STANISŁAW

Mancewicz: U fryzjera



PARĘ DNI TEMU DO ZBIORU CIEKAWYCH życiowo przeżyć, nie tylko w obecnej ludowej Polsce, ale w ludowej ogólnie i w ogóle życiowo, dopisaliśmy mierzenie nam temperatury przez fryzjera. Zaiste, w trakcie tej przecież zwykłej dotychczas czynności

pochwaliliśmy nagle i niespodziewanie i cywilizację, i postęp, i technologię. Pochwały te szeptaaliśmy sobie z radością, moszcząc się w fotelu naprzeciw lustra, patrząc, jak straszliwa fryzura *à la Trump&Johnson* idzie pod odkążony nóż.

Oto obsługa termometru nie wymagała żadnego kontaktu ani tego urządzenia, ani operatora z żadnym fragmentem naszego boskiego ciała. Trzeba się – powiada mądrość życiowa – cieszyć z rzeczy małych, gdy wielkich nie staje. Gdyby oto – dajmy na to – epidemia zdarzyła się dawniej, nasze spotkanie z fryzjerem trzeba by było zakwalifikować jako skomplikowane na tyle, że musiałoby się odbyć za parawanem. Zapewne nie obyłoby się bez krępującego monologu bądź namiastki dialogu: – Proszę tego, ten, o, dobrze. Nie, niestety. Musimy zmierzyć jeszcze raz. Gratulacje, jest pan zdrowy. Kompletnie zdrowy.

Tak sobie w trakcie strzyżenia fantazjowaliśmy, niby niewinnie, ale jednak coś w tym było z pocucia bytowania

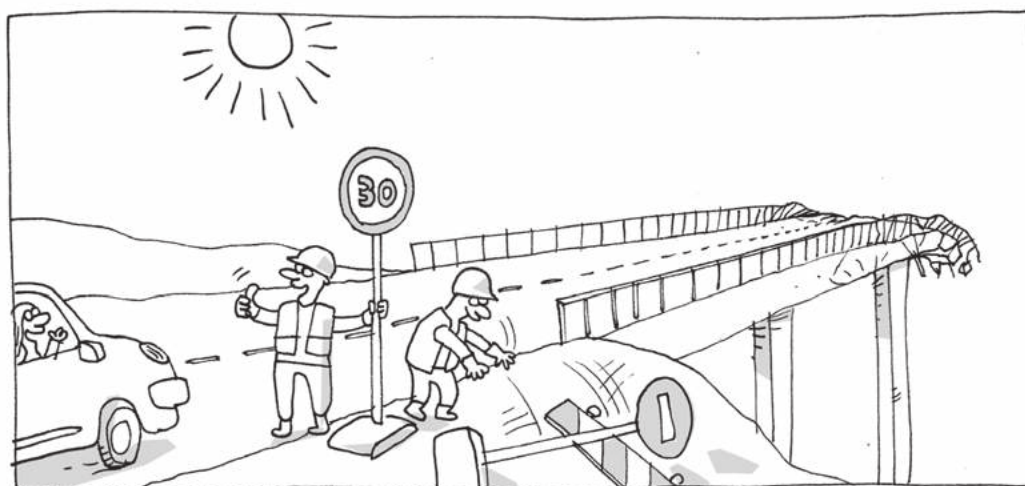
w świecie kompletnego obłądu. Słodczyz obecnej, szalenie zaawansowanej technologii powiązaliśmy natychmiast z poziomem – *pardon* – intelektu tutejszej władzy.

Bo poziom intelektu obecnej władzy rzuca na kolana wszędzie, jak okiem sięgnąć: u fryzjera, który mierzy temperaturę klientom, i w restauracji, gdzie przy stoliku mogą siedzieć ludzie śpiący w jednym łóżku, i w przepełnionym tramwaju, w którym nikt nie liczy pasażerów, choć ma być ich zgodnie z zarządzeniem kilkunastu, i w barze z alkoholem, gdzie nikt, nie tylko dziś, nie wie, kto, z kim, kiedy i po co. Jest to władza, która, jeśli o intelekt idzie – trzeba przyznać – przejdzie na pewno do kronik, do wspomnień i do dzienników. Musi, bo nie dorównuje żadnej innej. Zazdrość bierze wobec badaczy i czytelników tego wszystkiego za – powiedzmy – sto lat. Już słyszymy zdrowy rechot naszych rodaków-potomków, wi-brujący w dalekiej przyszłości.

Patrzmy dalej, tzn. nie zawężajmy naszych obserwacji do widoku rozciągającego się raptem z fryzjerskiego fotela, choć bowiem jest on niezwykły, to niepełny. Obrazem całości są coraz to nowsze, luzujące atmosferę zarządzenia i absolutnie niezbędne tu obrzędy magiczne. Oczywiście, z powodu siadających nastrojów, nie tylko wyborczych, magia jest w Polsce zawsze ostatnią nadzieją, zawsze wdrażaną. Nie można już – popatrzmy – zarazić się na ulicy. Jeszcze tydzień temu za brak maski dostawało się pięć stów kary. Dziś, choć chorujących plus minus jest tyle samo, maski już nie są potrzebne. Można pójść na wesele. Epidemia wygasła, wszyscy są zdrowi, a jak nie są, to będą. Panuje demokracja i zbliża się lato. Będą wybory. Policja nie bije ludzi i znakomicie rozumie, co jej wolno, a czego nie. Urzędnicy państwowi nie kradną publicznych pieniędzy. Bo po co. Bajka. Zobaczymy, jak się skończy.

©P

BARTOSZ MINKIEWICZ



KOLEJNY ETAP ODMRAŻANIA GOSPODARKI, CZYLI
CZĘŚCIOWE ZNOSZENIE OGRANICZEŃ.

Jest Was prawie 8 tysięcy – dziękujemy!



„Tygodnik» od kilku lat prenumeruje moja mama, która zawsze pożycza mi egzemplarz po jego przeczytaniu OD DESKI DO DESKI”

„Nic nie zmieni mojej opinii na temat »mojego« »Tygodnika«... bo lepsza być nie może”

„Cały mój kształt umysłu i duszy zawdzięczaam lekturze Waszego pisma”

„Dziękujemy za jedyne pismo, które da się czytać z przyjemnością!”

„W mojej ocenie to najlepsze źródło informacji i opinii w Polsce”

„Nie chciałabym stracić żadnego numeru”

„Czysta przyjemność czytania”

„Dziękuję za to, że jesteście”

Jeśli możesz podpisać się choć pod jednym z tych cytatów – może czas dołączyć do prawie ośmiotysięcznej społeczności naszych prenumeratorów? Kupując abonament, wspierasz bezpośrednio misję „Tygodnika”, pisma niezależnego dzięki swoim Czytelnikom. „Tygodnik Powszechny” w prenumeracie to także pewność otrzymania każdego egzemplarza; to – przy rocznej prenumeracie – niższa cena numeru; to zniżki na inne wydawnictwa „TP”; to nieprzypadkowe prezenty dołączane z myślą o Was.

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny
ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków
Bank Pekao SA
nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na powszech.net/ewydania

Pomocy przy problemach technicznych udziela Anna Dziurdzikowska pod nr. tel. 668 475 263 (w godz. 10.00–14.00) lub adresem e-mail: kontakt@powszechswiat.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ*

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	370 zł	450 zł
Półroczna (26 numerów)	220 zł	270 zł
Kwartalna (13 numerów)	120 zł	140 zł
Pokolenia**	333 zł	
Karta Dużej Rodziny***	333 zł	

„TYGODNIK POWSZECHNY WYDANIE SPECJALNE” NA 2020 ROK W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM”

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	430 zł	510 zł
Pokolenia** + 4 wydania specjalne	393 zł	
Karta Dużej Rodziny*** + 4 wydania specjalne	393 zł	
4 wydania specjalne	69 zł	

* ważny od 1 grudnia 2019

** z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

*** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin



PARTNER MARKETINGOWY

SALESmanago
marketing automation



xABo — KSIĄDZ BONIECKI

xABo



W KINACH
OD 24 LIPCA